

KENNETH ROBERTS

arundel

kronika prowincji maine

I

warownia

arundel

II

pochód straceńców KENNETH ROBERTS

pochód straceńców

księga pierwsza

monitou

kinnibec

I

Wężową piękność ma rzeka Kennebec. Powierzchnia jej nakrapiana wysepkami i ławicami. Wije się rzeka pomiędzy sfalowanymi łąkami, niebotycznymi lasami, górami, co jeżą się od złomów skalnych. Gładko prześlizguje się przez równiny. W wodospadach leci na złamanie karku. W zatokach zwija się w kłębek, cicha i miękka. Jest w niej czar, który urzeka i odurza, czar, który nas będzie długo prześladował, gdy raz poddamy się

jej tajemniczemu wpływowi. Siła jakaś, która nam każe nadstawiać piersi niebezpieczeństwu; która zmusza do wsłuchiwania się w suche szelesty, chichoty i grzechoty, zdradzające nieustanny posuw wód po kamienistym dnie. Jesiotry i łososie nawiedzają tę rzekę co roku w niespotykanej gdzie indziej obfitości. Nawet dzikie ptactwo, choćby nie wiem jak usiłowało ujść magicznej przemocy tych lśniących fal, z daleka, z kresów świata wracać będzie ku nim, ciągnione nieprzeparcie, i niejedną gorzką ofiarę przyplaci ten szal.

A człowiek musi mieć się na bacności. Albowiem przez cały rok tchnie rzeka wężowym chłodem. Na jesieni i zimą chłód przybiera ostrość żądła, wgryza się w ciało i przeszywa kość.

Wiosłowaliśmy pod prąd. Zajęty mozolnymi myślami, nie zwracałem uwagi na piękność rzeki i nie czułem wrześniowego chłodu. Rozważałem imiona Indian, którzy byli wiosłarzami Arnolda. Eneasz i Sabatis! Tak, to ci sami dwaj, których z łuku postrzelił mój ojciec, ci sami dwaj, których uciekający Guerlac zostawił wówczas przy Łańcuchu Stawów.

Jakim cudem znaleźli się w naszej brygadzie, i to obaj jednocześnie? Hobomok twierdził, że mieszkają daleko od siebie, Eneasz w sąsiedztwie Wysokiego Łądu, Sabatis w Pittston, blisko stoczni Colbur-na, dla którego łowił bobry i wydry. Ta zagadka przyprawiała mnie o zamęt w głowie. Nie mogłem ich wypytywać wprost, bo wówczas poznaliby, kim jestem.

Trudno przewidzieć, jak się zachowa Indianin

6

w takim wypadku. Jeżeli ci dwaj dowiedzą się, że byłem jednym z ludzi, którzy na nich napadli podczas owej przeprawy z Guerlakiem, wrodzona mściwość może ich pchnąć do czynów wręcz niepoczytalnych. Mogą

mnie nawet zabić, a nic nie stoi na przeszkodzie, aby zemstą objęli również moich przyjaciół: Natanisa, Capa Huffa, Febe lub Hobomoka. Przykazałem więc Hobomokowi, żeby milczał i czekał cierpliwie, póki nie znajdziemy Natanisa. On już albo będzie wiedział, co się święci, albo uczyni wszystko, aby się dowiedzieć.

Pułkownik Arnold dał nam znak, że lądujemy przy osadzie Vassalborough. Kiedy wysiadał z kanadyjki, siedzenie jego szarawarów było przemoczone na wskroś. Głosem pełnym gorzkiego szyderstwa zapytał, czy wyobrażamy sobie, jakby wyglądała armia płynąca w kanadyjkach.

— To jest koszyk, nie czółno — rzekł — dobry do łapania piskorzy, ale nie do jazdy! Nie będę płynął w łupince z kory! Dajcie mi coś takiego, żebym nie siedział po kolana w wodzie!

Nie chciał skorzystać z naszej kanadyjki, chociaż była sucha jak purchawka. Wobec tego kapitan Oswald i ja przeszukaliśmy osadę i w końcu znaleźliśmy wysokie drewniane czółno, cienko wyrzeźbane z olbrzymiego pnia sosny. W nim Arnold płynął nieco wolniej.

Przed zmrokiem wyminęliśmy łodzie czwartej dywizji i zaobozowaliśmy w sąsiedztwie starego opuszczonego Fortu Halifax, którego wartość, podobnie jak wartość wszystkich fortów nadkenebeckich, spadła do zera, odkąd Wolfe zajął Quebec. Późnym rankiem przemknęliśmy obok fortu. Przy pierwszym szlaku lądowym zastaliśmy sporo łodzi. Część już przeniesiono półmilowym blisko szlakiem, okrążającym wodospad Ticonic. Panował tam nieprawdopodobny zamęt. Nurt był wartki i nierówny, przeto ludzie musieli raz po raz wchodzić do wody i spychać łodzie na środek rzeki. Często się przy tym poślizgiwali na wygładzonych kamieniach, nie zdążyli nawet zakląć, bo do ust im chlustał chłodny

strumień, otrząsali się, wypluwali wodę, krzyczeli, zanosili się kaszlem.

Dziękowałem Bogu, że mam kanadyjkę. Łodzie rozładowywano, ładunki układano na brzegu, każdą łódź osadzano na poziomych tykach. Załoga brała tyki na ramiona i szła chwiejąc się, uderzając o korzenie i odłamki skalne, poślizgując się w błocie. W ten sposób przebywali niespełna półmilową trasę, po czym wracali po baryłki, wory, namioty i muszkiety, przenosili znowu tą samą drogą, ładowali na łodzie i płynęli dalej.

Gorszy był Pięćmil Falisty powyżej wodospadu Ticonic.

7

Rzeka tu obniża się pod tak ostrym kątem, wzbija taką burzę bryzgów i piany, że kto pierwszy raz spogląda na te bystrza, nie wierzy, aby można było je przebyć inaczej niż na tratwach.

Wiedząc, że tak czy owak płynąć muszą, żeglarze podrwiwali sobie z mozołów. Ryby jakoś sobie radzą, a oni nie są przecież gorsi od ryb.

Z całych sił odepchnęli się tykami od dna. W każdej łodzi było dwóch ludzi z tykami i dwóch pasażerów. Gdy siła prądu odwracała dziób łodzi, pasażerowie wyskakiwali i z powrotem wykręcali łódź ku górze. Często nie udawała się ta sztuka i łódź wirując i młynkując leciała w dół, aż uderzała z trzaskiem o jakiś głaz. Na poły żywa załoga nadawała łodzi właściwą pozycję i próbowała od nowa.

Przez pięć długich mil ciągnęły się te faliste bystrza. W końcu wszystkie łodzie dotarły do spokojniejszej wody, ale w takim stanie, że zmiłuj się, Boże. Obite, skołatane, nie trzymały się nurtu i przeciekały jak sita. Większość żeglarzy stała po kostki w wodzie, a suchego ładunku próżno by szukać ze świecą.

Zapadł mrok, chłodny i zjadliwy. Białe mgły wstawały z rzeki, mgły, od których drętwiały nogi i ramiona. Widząc łańcuch ognisk, wysiedliśmy na brzeg. Ogniska należały do dywizji Meigsa. Żołnierze milczeli ponuro, bo nadludzki, całodzienny wysiłek przyniósł im w zysku zaledwie siedem mil.

Rozpakowaliśmy namiot Arnolda i rozstawiliśmy między drzewami. Tego wieczora wybuchła epidemia kaszlu. Odtąd już przez wiele miesięcy nie mieliśmy nocy, w której do głosów rzeki i puszczy nie przyłączyłby się suchy grzechot chóralnego pokaszliwania. Zasnęliśmy przy akompaniamencie kaszlu, kaszel usłyszeliśmy natychmiast po przebudzeniu. Kaszel wielokrotny, kaszel bezkresny, kaszel wiekuisty. Rzekłbyś, nie ma na świecie miejsca, w którym nie rozlegałby się kaszel.

Tego wieczora otworzono beczkę solonej wołowiny, ale okazało się, że mięso pochodzi z letniego uboju i jest już dobrze kwaśne. Wśród żołnierzy wybuchła hałaśliwa dysputa. Jedni upierali się, że to jest pomimo wszystko wołowina. Inni twierdzili, że koń, delfin lub foka. Mało kto chciał jeść, przeważnie wyrzucano mięso do rzeki.

Poszukałem Febe. Była zajęta Jamesem Dunnem, który siedział w ciepłe ogniska, majestatyczny jak cesarz. Od czasu do czasu wstrząsała nim febra, wówczas zapadał się w sobie jak przekłuty pęcherz. Ludzie przemokli na wskroś, Jethro, Asa, Noe, biedny Nataniel Lord i nawet Febe. Noc była szczególnie ostra, jedna z tych nocy, jakie niekiedy trafiają się pod koniec września, noc, podczas której

8

krawędzie strumyków i łąch obrastają cienkim lodem, a ziąb kąsa dotkliwiej niż prawdziwy zimowy mróz.

Poradziłem im, aby napchali sobie rozmokłe buty i mokasyny suchymi liśćmi, jeżeli chcą w nich chodzić jeszcze przez tydzień.

— Jak wygląda dalsza droga? — zapytał Noe, siląc się na nie dbały ton.

Wolałem nie odpowiadać na takie pytania. — Nie jest łatwa — rzekłem — ale i nie najtrudniejsza.

Zdawali się przeżuwać moje słowa. — To nic nie znaczy — zauważyła Febe. — Dzisiaj mogły być szczególnie złe warunki. Fala przyplywowa albo coś w tym rodzaju.

— Proponuję — rzekł Asa — wywiercić dziury w dnie naszej łodzi, żeby woda mogła nie tylko przeciekać, ale i wyciekać.

Od przyległego ogniska zahuczał męski głos. — My tu mamy lepszy pomysł! Wyrąbujemy dziury w baku i rufie. Wtedy będziemy mogli chodzić po dnie rzeki i podtrzymywać na sobie łódź jak spódnicę.

- Jak sobie radzi James? — zapytałem Febe.
 - Jeżeli nie będzie gorzej niż dziś — odparł James — mogę tak maszerować choćby przez wieki.
 - To chyba potrwa wieki — z kwaśną miną zauważył Noe Cluff.

Stwierdziwszy, że przemoczona odzież i marna wieczerza nie odebrały moim krajanom humoru, wróciłem do namiotu Arnolda. Kapitana Oswalda zastałem w rozterce. Przed chwilą dowiedział się o dezercji, która miała miejsce pod koniec przeprawy przez Pięciomil Falisty. Załoga jednej łodzi z dywizji Meigsa zwartym oddziałem wyszła na ląd i z muszkietami na ramionach uciekła w głąb lasu.

- A co Arnold na to? — zapytałem.
 - Powiada, że dobrze. Powiada, że ci ludzie i tak nie byliby zdatni do

walki.

- To chyba słuszne?
- Może i słuszne. Ale podobno im dalej, tym gorzej.
- Podobno. Na pewno nie wiecie.
- A jeżeli wszyscy uciekną?
- I wy? I pułkownik?
 - Na Belzebuba! — zawołał. — Nas nic nie zmusi do ucieczki.
 - Widzicie — powiedziałem. — Przypuszczam, że tak samo jak wy, myśli wielu innych.

9

Oswald skinął głową. — Macie rację. To ta słońca wołowina nastroiła mnie tak ponuro.

Tak, marnie przespaliśmy tę noc. Mokra odzież oblodzała się na żołnierzach. Nie znam wstrętniejszego uczucia. O świcie musieliśmy roztopiać lód i wyżymać łachy przy ogniu. Pocieszaliśmy się, że to dopiero pierwszy października, że czeka nas niejedna jeszcze ciepła noc i pogodny dzień. Wciąż wędrowaliśmy przez" okolice zamieszkałe, do prawdziwych lasów był spory kawał drogi. Sądziliśmy więc, że znajdziemy wkrótce lepsze warunki terenowe. Niestety, omyliliśmy się.

Znowu wypłynęliśmy na rwący nurt. Łodzie jakoś szły, udawaliśmy więc, że nie widzimy, jak boleśnie ucierpiały od skał, jak często wychodzić trzeba na brzeg i czerpać wodę czerpakami z kory.

Tego dnia dotarliśmy do wodospadu Skowhegan, stworzonego przez samego diabła biednym łodziom na udrukę. O pół mili poniżej wodospadu rzeka skręcała pod kątem prostym, a poniżej tego zakrętu siła wody,

lecącej wąskim korytem w dół, uformowała potrójny wir. Tu łodzie przypadały do skał, jakby same były zwałami kamienia. Jakim cudem przebywaliśmy ten wir i wąski kawał spadku, nie wiem do dziś dnia, chociaż każdej łodzi przyglądałem się uważnie, chociaż podziwiałem żeglarzy bijących tykami jak cepami, to na prawo, to na lewo, czepiających się szczelin dennych, wdrapujących się wzwyż jak koty. Powyżej spadku, najeżone występami skalnymi, biała półmilowe pasmo wściekłego nurtu — nurtu, którego niepodobna wprost objąć myślą. Załogi wyszły na brzeg i ciągnęły łodzie na sznurach, ale nie na wiele to się zdało. Niezgrabne kolosy obijały się o kamieniste ławice i piły wodę niczym worki z solą. Za tym półmilowym pasmem huczy już wodospad Skowhegan, a właściwie dwa wysokie wodospady, pomiędzy którymi tkwi w samym środku rzeki postrzępiona skalista wysepka. Ściany tej wysepki są sześć razy wyższe niż rosły mężczyzna, a środkiem biegnie głęboka rozpadlina, którą według legend abenackich tomahawkiem swoim wyrąbał wielki duch Glooskap. Nad tą właśnie przepaścią przenosi się kanadyjki. Jeden ciągnie, palcami nóg i paznokciami rąk wczepiając się w głaz, drugi popycha, przywierając do ścian skalnych jak ślimak. Niech tylko któryś się poślizgnie, a obaj wychodzą z tej przygody pokrwawieni i posiniaczeni, ba, mogą się uważać za szczęśliwych, jeżeli nie runęli na dno przepaści, jeżeli skóra jakoś trzyma się jeszcze ciała, a kanadyjka nie ulega zupełnemu zdruzgotaniu.

Kiedy więc żołnierze wyładowali beczki, toboły i skrzynie,

10

kiedy z łodziami na ramionach ruszyli przez rozpadlinę, bywały momenty, gdy myślałem, że ludzie pękną jak jajka pod podwójnym naciskiem łodzi i

skały, że już łódź nie posunie się o cal dalej, chyba że ją porąbać toporami na sztuki. A przecież przeniesiono łodzie, wszystkie, co do jednej. Na cyplu wysepki leżały wycieńczone załogi w złachmanionych bluzach, w szarawarach ukazujących nagie kolana, w purpurowych bandażach.

Ci, którym przypadła łatwiejsza praca przenoszenia ładunków, rozsiali się teraz po obu brzegach i pracowali nad uszczelnieniem swoich łodzi. Ze świeżych zbudowane desek, i to zbudowane pośpiesznie, pootwierały się od nieustannych uderzeń, od nieustannej walki z prądem, i wyglądały jak kupy nanośnego drewna. Słusznie powiedziała Febe, że wolałaby podróżować w owej żagłowce z czasów dzieciństwa, połatanej zbutwiałym płótnem, niż w tych okropnych łodziach.

Arnold, gryząc paznokcie z wściekłości, wysłał mnie na czoło, abym zatrzymał dywizje przy Norridgewock i zarządził naprawę. Rzeczywiście, odniosłem wrażenie, że to nie łodzie, ale wiązki obtłuczonych drewnien unoszą się na powierzchni wody.

Wraz z Hobomokiem udaliśmy się w górę rzeki. Wyminęliśmy ludzi Greene'a, pracujących z mozołem przez bystrza Bombazee. Z zapadnięciem mroku dotarliśmy do cypla, który niegdyś zwał się Norridgewock. Dziś nie było tam nic. Chaty zrównano z ziemią, aby uczynić miejsce dla dwóch osadników, którzy mieli się pobudować, ale jeszcze się nie pobudowali. Morgana znaleźliśmy u stóp wodospadu Norridgewock. Karabinierzy wyrzucili już ładunki z łodzi i przygotowywali się do przeprawy lądowej.

Morgan nie posiadał się z wściekłości. Wyglądał cudacznie. Obrośnięty szczeciniastą brodą, obnażony do pasa, w nogawicach tylko, mokasynach i zapasce, przypominał Indianina. Jego nagie plecy poznaczone były od

chłosty, którą otrzymał za młodu, gdy służył w brygadzie Braddocka.

- Na Belzebuba! — ryczał basem zagłuszającym łoskot wodospadu. — Przecież już najwyższy czas. Spójrzcie jeno! — Najbliższą łódź uchwycił za poprzeczkę i przechylił, wysypując na brzeg beczki, namioty, worki i resztę gratów. Trzasnął pięścią w burtę — jedna z desek zapadła się. W powstałą w ten sposób szparę wsunął palce i jednym szarpnięciem oddzielił górną część burty od dolnej, tak lekko, jak z przypieczonej makreli wyjmuje się kręgosłup z ości.
- Zasmarkane niemowlę zbuduje z kłody drzewnej lepszy statek! — piorunował, dwoma potężnymi ciosami pięści przywracając deskom właściwą pozycję. — Dajcie mi do rąk tego upachnionego krawca, który uszył to świństwo i kazał w nim ludziom narażać życie, a skórą jego uszczelnię łódź! — Klął tak bujnie, tak obrazowo, że nie mogłem wyjść z podziwu dla jego niewyczerpanej fantazji.

Równie wściekli byli karabinierzy. Ich zapasy przemokły. Oni sami, odkąd wyruszyli z Fortu Zachodniego, to jest od siedmiu dni, nieustannie mokli za dnia i przemarzali po nocach, tak że chorób nabrało się co niemiara: biegunka, angina, reumatyzm. Prawie nie było wśród nich zdrowego człowieka.

Niektórzy oświadczyli mi zupełnie na serio, że nie ruszą się stąd, póki nie nadpłynie kompania cieśli. Wówczas zwiążą tych partaczy, wyniosą ich na szczyt wodospadu i spuszczą w trzech najgorszych łodziach.

- Słuchajcie — powiedziałem — to nie jest wina cieśli. Winić trzeba człowieka, który wmówił generałowi Waszyngtonowi i pułkownikowi Arnoldowi, że w takich łodziach można żeglować po

Kennebecu.

- Któż to taki? — zapytał wysoki Wirgińczyk o przegubach tak nabrzmiałych od reumatyzmu, że musiał trzymać ręce przed sobą. Sprawiało to wrażenie, że nieustannie o coś prosi.
- Nie wiem, ale kiedyś dowiem się wreszcie.
- Pamiętajcie go nam wskazać — rzekł. — Obłupimy dziada ze skóry. Chyba że wolicie, aby go oblepić gliną i upiec na ogniu w jamie ziemnej.

Ci ludzie nie zgadzali się na postój. Pilno im było torować drogi, chcieli pokazać, że są lepszymi drwałami i lepiej znają las, niż my, ułamki z Maine i Connecticut. I rzeczywiście przewyższali innych o całe niebo, chociaż, prawdę powiedziawszy, nasz chłop z Maine nieźle sobie radzi z flintą i siekierą. Następnego dnia o świcie część Wirgińczyków zabrała się do przenoszenia bagażu na strome, skaliste zbocze wzgórza Norridgewock — wzgórza zajmującego blisko milę, a tak postrzępionego i najeżonego odłamkami, jak nadmorskie skały w Maine. Reszta uszczelniała łodzie i zalewała smołą szpary. Każdą naprawioną łódź natychmiast brało na bary czterech ludzi i potykając się, wchodziło na wzgórze. Pod wieczór przybył Arnold, ale do tego czasu wszyscy ludzie Morgana zdążyli się przeprawić przez wyżynny szlak.

Powoli nadciągały inne dywizje, bardziej jeszcze pokiereszowane. Byli to wszystko żołnierze słabszej budowy, nie mogli się

12

mierzyć z Wirgińczykami, a ładunki nieśli cięższe, przeto ich łodzie, nie tak wprawnymi sterowane rękami, odniosły więcej szwanku.

W życiu nie widziałem podobnego bałaganu. Niektóre załogi wiozły

prowiant w postaci suszonych sztukfiszów, luźno powtyka-nych między beczki i skrzynie. Nasiąkłe wodą ryby zaczęły się rozpadać. Wilgoć przenikła do beczek, zawierających suchary. Suchary napęczniały i porozsadzały beczki. Suszony groch, wieziony w źle skleconych baryłkach, napęczniał i powysadzał klepki. Przeto na spodzie łodzi zbierała się cuchnąca zupa, maź, złożona z rozdeptanych ryb, sucharów i grochu. Wszystkie ładunki były usmarowane tą papką.

Norridgewock to zaledwie jedna trzecia część drogi do Que-becu. Od Norridgewocku aż do odległych francuskich osad nad rzeką Chaudiere nie ma ani chaty, ani gościńca, ciągnie się tylko dziki dziewiczy las, nietknięty siekierą. Wielce bolałem nad losem naszych prowiantów. Zostaliśmy o mące i solonej wieprzowinie, a i tego było niewiele. Nie zauważyłem też, aby żołnierze oszczędzali żywności, i wiedziałem, że oszczędzać nie będą, póki znajdzie się w worku chociaż jeden funt mąki. Takie już mieli niezależne usposobienie, że gdyby im kazano jeść mniej, jedliby więcej jeszcze — przez przekorę.

Wobec grożącego głodu postanowiłem pomimo wszystko odesłać Febe do domu. Znalazłem ją przy jednym z ognisk. Siedziała obok Jamesa Dunna, jak bardzo senny pies obok na poły żywego łosia. Piekła plasterki wieprzowiny, zatknięte na ostruganym kijku, po czym maczała je w cieście z mąki i wody i wpychała Jamesowi do ust. Twarz miała ubłoconą, a szyję poszarpaną cierniem. Od piersi po mokasyny oblepiało ją czarne błoto, a mokasyny zapasowe uwiązała sobie na szyi. Wisiały u jej uszu niby jakieś potworne kolczyki.

—Gdzie twój naszyjnik? — zapytałem.

Zapchała sobie usta wieprzowiną i dalej karmiła Jamesa. W pewnej

chwili sięgnęła do karku i pokazała mi jeden z zapasowych mokasynów, w którego nosku tkwił mały, twardy gruzełek.

—Febe — powiedziałem — wracaj z Jamesem do domu.

Straciliśmy żywność. Po drodze nie będzie rudzkich osiedli.

James Dunn przyglądał mi się ze złowieszczym spokojem. — Kiedy ty wracasz? — zapytał.

—Oto jest James! — wybełkotała Febe ustami pełnymi wieprzo winy.

13

- Co takiego? — zawołałem, zdumiony tym niespodziewanym odezwaniem się Jamesa. — Ja nie wracam, ale nie chcę, aby was spotkało coś złego.
- To jasne, Stefanie — rzekła Febe. — Nikt z nas pewnie nie wyruszyłby na tę wyprawę, gdyby mógł przewidzieć, że będą trudności.
- Ja jestem przyzwyczajony do trudności — oświadczył James.
- Cóż byśmy mieli do roboty, gdyby wszystko szło jak po maśle? — zapytała Febe.
- Wiesz, o co mi chodzi — nalegałem.
- Jeżeli namawiasz nas do powrotu — dalej mówił James — to chyba uważasz nas za tchórzliwe szczury, jakich setki w czwartej dywizji.
- Nic podobnego! — broniłem się, zaskoczony tą odwagą, niezawisłością i poniekąd gadatliwością Jamesa. — Ależ nie!
Bynajmniej!
- Mam biegunkę — rzekł James — i od dwóch dni boli mnie brzuch,

ale pomimo to chodzę lepiej niż większość moich kolegów. Żaden z nich mnie nie prześcignie. Jestem tyleż wart, co najlepsi żołnierze naszej brygady. I nie dam z siebie zrobić ofiermy.

- To wspaniale! — powiedziałem. Chętnie bym zmienił temat, ale jakoś nie mogłem wykrzesać z siebie jednej myśli.
- Jeżeli zabraknie żywności — zakończył James z wyrazem zadumy, od której twarz mu niemal wypiękniała — będę jadł dmuchawce, a może szyszki. Albo liście.

Febe wsunęła mu w usta plasterek wieprzowiny i obrzuciła mnie szyderczym spojrzeniem. Odszedłem spiesznie, przysięgając sobie, że nie będę się mieszał więcej do spraw kobiety tak nieobliczalnej, jak Febe Dunn.

Pułkownik zatrzymał się w Norridgewock przez siedem dni — siedem ponurych dni, owianych deszczem, ziąbem, poswistliwym wiatrem i brunatnymi liśćmi, które opadały z ołowianego nieba, pachnące smutkiem i śmiercią. Przez siedem dni stał na przylądku, doglądając naprawy łodzi, przebierając i rozdzielając pomniejszone prowianty, wysyłając dywizje wraz z łodziami na skaliste zbocza wzgórza Norridgewock.

Dopiero siódmego października po południu dywizja pułkownika Enosa przeniosła ostatnią sztukę bagażu. Żołnierze skarżyli się, że wyznaczono im ładunki cięższe niż innym. Poszukałem Treeworgy'ego. Dźwigał nie gorzej od innych, ale twarz przy tym

14

miał tak szarą, tak boleśnie skrzywioną, że gdybym go musiał widywać częściej, serce by mi się okrwawiło z litości.

Nieraz rozważałem, jaki dopust przyrody najtrudniej znieść. Niekiedy wydaje mi się, że najgorszy jest upał. Kiedy indziej znów myślę, że nic okropniejszego niż dotkliwy, kąsający mróz. Ale chyba najgłębiej unieszczęśliwić potrafi długi, uporczywy deszcz, napełniający świat ponurym półmrokiem, deszcz, od którego płaczą drzewa, skały i domy, a w sercu człowieka zalega nieutulona melancholia. Ziemia przemienia się w trzęsawisko, w którym więzną stopy. Ciała ludzi parują wśród chłodnej mgły, od której nie ma ucieczki.

Ósmego października, gdy zbieraliśmy się do dalszej drogi, lało jak z cebra. Po błotnistym zboczu wzgórza niemożliwością było chodzić, w każdej chwili groziło, że się poślizgniemy i upuścimy kanadyjkę na skałę. Zaczekaliśmy więc do dziewiątego, licząc na przejaśnienie. Ale następnego dnia padało jeszcze gorzej, pułkownik więc powiedział, że trudno, strzelało się do kuropatw, strzelamy i do wielbłąda. Jakoś zdołaliśmy się przepawić, spuściliśmy kanadyjki na wodę i popłynęliśmy za armią.

Gdyby cała droga wyglądała tak przyjemnie, jak ten odcinek pomiędzy Przylądkiem Norridgewock a wodospadem Carritunk, i gdyby nurt nie rwał szybciej, moglibyśmy, pomimo nieustannego deszczu, uważać naszą wyprawę za wesoły piknik. Rzeka roiła się od pstrągów, które łowiliśmy tysiącami. Trafiały się zielone, trawiaste wysepki, żyzne brzegi opadały łagodnie, a przy wodzie strzępiły się w zatoczki, zwane na Kennbecu loganami. Nad loganami rosły dęby, klony, wiązy, buki, jesiony, sosny i jodły. Wobec tego połowa armii wspięła się na brzeg i szła wysokopiennym lasem, wolnym od zarośli i odłamków skalnych.

Zaobozowaliśmy na wyniosłej wysepce, porośniętej, jak wszystkie

wyseпки w tej części rzeki, błękitną wielokolankową trawą, wysoką na sześć stóp. Z tej trawy usłaliśmy sobie legowiska. Nałowiliśmy pstrągów, roznieciliśmy ogień z nanośnego drewna i wysuszyliśmy się jak należy. Wszyscy byliśmy zdania, że na ludzi zaprawionych do mozołu wędrówka przez dziką puszcę wpływa znakomicie.

Zdarzają się na nowoangielskich wybrzeżach dni nieskazitelnej pogody, dni tak ciche i bezwietrzne, że liść topoli nie drgnie pod bryzą. Ludzie niedoświadczeni cieszą się ze słońca, ale my,

15

rolnicy i rybacy, wiemy, że takie dni są zwiastunami nawałnic, chociaż nie potrafilibyśmy nikomu wytłumaczyć, na czym polega różnica pomiędzy zwykłym pogodnym dniem a taką podejrzaną ciszą. Zazwyczaj powiadamy wówczas, że trochę za dużo tego dobrego, jak na jeden raz.

Kiedy o świcie powitał nas przejmujący ziąb, kiedy przenieśliśmy łodzie naokoło wodospadu Carritunk i popłynęli rzeką tak skalistą i płytką, że bladły przy tym wszystkie poprzednie doświadczenia, wówczas zrozumieliśmy całą prawdę: wczorajsza przyjemna podróż to była taka właśnie nienaturalna cisza przed burzą.

Po obu stronach wznosiły się góry uwieńczone śniegiem, ponury, przygnębiający krajobraz, a zimne, szare chmury opierały się wprost na wierzchołkach. Od ciągnięcia łodzi przez płycizny bolały mięśnie brzucha. Same łodzie wychodziły na tym nie lepiej. Bo kiedy taki pływający grat ze sto razy obił się o kamienne dno, kiedy się dobrze otarł o jedną, drugą, dziesiątą nabrzeżną skałę, kiedy zrobił jakieś dwanaście mil po ławicach żwiru, stawał się ażurowy jak kuchenna tarka mojej matki.

Przez najpłytsze miejsca nawet kanadyjki nie mogły przejechać. Nieustannie więc wszyscy, nie wyłączając pułkownika i Oswalda, musieliśmy wysiadać i brnąć przez lodowatą wodę. O zmroku rozpaliliśmy ogień na brzegu, ale nikt już nie mówił o rozkoszach marszu przez puszcze kanadyjską.

Nie wiem jak inni, ale ja wielce się ucieszyłem ujrawszy nazajutrz przed sobą, po trzygodzinnej walce z niepowstrzymanym prądem, zarysy góry zwanej Głową Cukru. Góra ta jest bowiem strażniczką Wielkiego Międzyrzecza, szlaku lądowego, po którym przechodzi się z Kennebecu do Martwej Rzeki.

Zachodni brzeg zalegały łodzie, przynależne pierwszym trzem dywizjom, obok leżał sprzęt i prowiant, a na ogniach piekły się pstrągi. Panował nieprawdopodobny zamęt: jedni wyładowywali zapasy, inni złorzeczyli nowo przybyłym, bezceremonialnie spychającym łodzie tamtych na mniej dogodne miejsca; inni wreszcie, przekonując się o żalonym stanie podmokłej żywności, klęli na czym świat stoi.

Greene i Morgan dawali Arnoldowi znaki, aby wysiadł. Za nimi stał porucznik Church, zły i nachmurzony. Miał właśnie złożyć raport. Spodziewałem się, że ujrzę również Capa Huffa, który przecież towarzyszył Churchowi w wyprawie wywiadowczej, ale obok Churcha stał tylko jakiś wychudły brodaty dryblas i wznosił nad głową garście pełne pieczonych pstrągów. Gdy,

16

najwidoczniej zirytowany, ryknął na mnie, przyjrzałem mu się uważniej. To był Cap Huff, a raczej cień Capa Huffa.

Cień, ale pomimo to dorównywał dwóm zwyczajnym śmiertelnikom,

złożonym w jedno.

— Wysiadaj! — zahuczał strzepując z brody kawałek pstrąga. — Mamy przed sobą ładną promenadę!

II

W górnym biegu Kennebec się rozwidla i obejmuje północną puszcę dwoma rękawami. Jeden rękaw jest krótki, prowadzi na północo-wschód i gubi się w Jeziorze Łosiogłowym. Drugi — główny, prawdziwy nurt — skręca na zachód, wije się wśród nagich gór i pagórków, wreszcie wciska się początkiem swoim w wielką skalną barierę, znaną jako Wysoki Łąd. Ten początek ma postać łańcucha stawów. Nieregularne stawy tkwią jeden obok drugiego, nanizane na ogon krętej, serpentynowej rzeki, jak grzechotki *Manitou Kinnibeca*.

Ludzie dobrze obznajomieni z tą rzeką nazywają prawdziwy nurt Wododziałem Zachodnim, a rękaw Wododziałem Wschodnim. Inni widząc, że zachodnia część ma odmienny charakter, podobnie jak ogon węża ciemniejszy jest i jednostajniejszy od głównych zwojów, określili ją osobnym mianem. Nazwali ją Martwą Rzeką ze względu na pozorną powolność prądu.

Ale jak na rzekę martwą, ten zachodni nurt zachowuje się dość osobliwie. Zrazu płynie gładko, pluskając i szemrzając, póki za szesnastą milą nie spotka się z dopływem. W tym miejscu rzeka nagle staje dęba, kurczy się i rozkurcza, jak w agonii. Przegalopowawszy w ten sposób po ławicach i rafach skalnych jakieś dwadzieścia mil na północ, dzika i żwawa jak żbik w pogoni za królikiem, skręca na wschód, płynie jeszcze ze dwadzieścia mil, po czym przyjmuje postać znaną pod imieniem

Kennebec.

Ktokolwiek zapuszczał się w kanadyjskie bezdroża, czerwono-noskóry czy biały, ktokolwiek wędrował ku Wysokiemu Łądowi lub od Wysokiego Łądu na wschód — jak daleko sięgnąć pamięcią wstecz, wszyscy unikali północno-zachodniego spadku Martwej Rzeki i przez Wielkie Międzyrzecze przenosili czółna z Kennebecu wprost ku północnemu jej zakrętowi. Przenoszenie ułatwiają trzy jeziora, położone w samych widłach. Kto podróżuje bez nadmiernego obciążenia, kto ma lekkie toboły i kanadyjkę z kory,

17

dającą się przenieść na plecach jednego człowieka, kto cicho się porusza, aby nie wypłoszyć ptactwa i zwierzyny, ten nie zazna wielkich utrudzeń.

Jednakże wygląd Capa Huffa świadczył niezbyt pochlebnie o zaletach szlaku, którego zbadanie powierzone było oddziałowi Churcha.

Przyjrząwszy mu się uważniej, umocniłem się w tym przeświadczeniu.

Jego bluza myśliwska była w strzępach, szarawary podarte, mokasyny przewiązane prowizorycznie skrawkami łosiej skóry. Poprowadził mnie do ognia, zatknął na rożen sporego pstrąga i przystawił do płomieni. Błysnął ku mnie białkami wybałuszonych ślepiów, przetarł czoło wierzchem dłoni i zagwizdał melancholijnie.

- O co chodzi?
- O wszystko.
 - Mów dokładniej. Masz coś do zarzucenia Churchowi? A może droga była uciążliwa? Lub marne jedzenie?
 - Jedzenie! — ochryple rzekł Cap zdejmując pstrąga z ognia i próbując zębami, a gdy okazał się jeszcze surowy, znowu go przystawił. —

Jedzenie! Cóż to było za jedzenie? Tu kąsek, tam kąsek, a w sumie pusty brzuch.

- Nikt nic nie miał?
 - Pewno, że nie! Gdyby ktoś miał coś jadalnego, już ja bym dobrał mu się do tobołu!
- Jakże więc? Przecież zabraliście z sobą prowianty?
 - Tak nam się zdawało — odparł — ale rychło cały nasz zapas znikł jak dym. A ta przekłeta wołowina była kwaśna. Chleb się zamoczył. — Zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem. — Mielicie tu deszcze?

- I to jakie!

Odetchnął z ulgą. — Nam tyle naleciało za kołnierze, że już myśleliśmy, dla was nie zostanie ani kropelki. Chleb spuchł od tej mokrości i rozwalił beczkę. — Wyjął pstrąga z ognia, po czym spojrzął na kosmyki chmur osnuwających przeciwległe wierzchołki. — Chyba już wypadało się? Koniec, he? — Nie odpowiedziałem. Wolałem go nie zasmucać. Lato było suche, a w tych północnych okolicach nie można ufać pogodzie. Wprawdzie szrama na czole w ostatnich dniach dobrze dawała mi się we znaki, ale skąd mogłem wiedzieć, czy ten ból zwiastuje nawalnicę, czy też jest tylko wynikiem ciągłych przemoczeń i nieustannego wysiłku?

- Czy widzieliście Natanisa?
- Nikogośmy nie widzieli. Niceśmy nie słyszeli. Miejsc,

które zwiedziliśmy, nie tknęła przed nami ludzka stopa. Ach, byliśmy

wszędzie. Wdrapywaliśmy się na każdą skałę, próbowaliśmy jej twardości, włączaliśmy do każdego błota, aby zbadać jego głębokość. Przepłynęliśmy wzdłuż, wszerz i na ukos wszystkie jeziora i bajorka, zakosztowaliśmy wody ze wszystkich strumieni, a gdyby zostało nam jeszcze parę dni, powłazilibyśmy na wszystkie drzewa, z wyjątkiem tych najstarszych, których ani nie obejmiesz ramionami, ani zębami nie uczepisz się kory. Między jednym a drugim zajęciem robiliśmy jeszcze spacerki i mierzyliśmy, co się dało. Powiadam ci, Stefku, ten Church to zmora! Gdyby Arnold kazał mu zbadać Ocean Atlantycki, facet przebyłby wpław drogę z Ameryki do Europy w kilku kierunkach, a gdyby mnie miał pod ręką, musiałbym chodzić po dnie jak krab!

- Więc nic nie słyszałeś o Natanisie?
 - Stefku — rzekł ogryzając pstrąga, jak się ogryza kukurydzę — jak ci się zdaje, od kogo mogłem słyszeć o Natanisie? Od wiewiórek? Może ludzie Steele'a coś wiedzą. Oni mieli rozkaz go zabić.
 - Zabić? Kazano zabić Natanisa? — Ta wiadomość tak mnie oszołomiła, że pod czaszką zamiast mózgu poczułem mętłą papkę. — Zwariowałeś, bracie!

Cap zmierzył mnie zimnym spojrzeniem. — No pewno! —

Wszyscyśmy powariowali, ty jeden masz łeb na karku! Słuchaj. Co wiem o Natanisie, to wiem od Steele'a. Pułkownik powiedział Steele'owi, że Natanis jest szpiegiem, niebezpiecznym szpiegiem, i kazał strzelać do niego jak do kuropatwy.

Cap cisnął ogryzek na płonące szczapy i nadział na rożen nowego pstrąga. — Marzę tylko o jednym — mówił, podczas gdy ja daremnie usiłowałem dociec, kto też mógł mieć interes w takim fałszywym

informowaniu Arnolda. — Marzę tylko i jednym: dać drapaka od tego Churcha i jąc się zwykłej żołnierskiej robótki. Ot, ponosić taką łódź na plecach — człowiek by przynajmniej odzip-nął.

Mało mnie interesowały pragnienia Capa. Zapomniałem o jego obecności, całkowicie pochłonięty sprawą Natanisa.

Nadszedł porucznik Church i stanął melancholijnie przy ognisku. Spode łba zerknął na Capa: — No co, pokrzepiacie się?

—Ognie piekielne! — wrzasnął Cap. — Tak zakrzepłem, że chyba do końca życia nie pokrzepię się i nie odtaję!

Church mrugnął na mnie smutno. — Dobry piechur z tego Capa. Za nic nie mogłem go zgubić w lesie.

19

- No pewno — z pretensją w głosie rzekł Cap. — Gdybyście mnie zgubili, już nigdy nie poczułbym w pysku kęsa strawy!
- Przesada! — mitygował go porucznik. — Czuliście się całkiem nieźle, gdyby nie ten solony sztokfisz.
- Cóż to za historia? — zapytałem.
- Którejś nocy, była chyba godzina druga. Cap znalazł w jednej z kanadyjek solonego sztokfisz. Nie chcąc nas budzić dla ustalenia, czyją ten sztokfisz jest własnością, zjadł go i nie zostawił nawet łba.
- W ten sposób oszczędziłem wam wielkich boleści — wtrącił Cap.
- To prawda — zgodził się porucznik. — Tej nocy obozowaliśmy przy Stawie Pośrednim. Woda była śmierdząca, błotnista, pełna robactwa. Po tej rybie Cap omal nie wychłptał stawu do dna. Osłabiło go to trochę.

- Zniszczyło mnie — mruknął Cap.
- Niech i tak będzie. Cap. wyruszamy lada chwila w kierunku Martwej Rzeki, oddajcie więc pstrąga Nasonowi i jazda ze mną.

Cap wręczył mi rożen, zacisnął pasa. przelali twarz rękami, które stały się dziwnie kościste, i bez słowa ruszył za Churchem.

Namiot dowódcy stał na niewysokim garbie ziemnym, na północnym brzegu potoczku, który zasila nurty Kennebecu tuż pod Wielkim Międzyrzeczem. Zastałem Arnolda przy pisaniu rozkazów. Zarazem miał oko na czynności armii i wysłał łączników ze zleceniami lub wiadomościami dla kapitanów.

Jeszcze nie widziałem człowieka, który by tak jak on potrafił szczegółowo rozpatrywać najbardziej niepozorne sprawy, dotyczące najostatniejszego z żołnierzy, a po chwili rzucać w kął wszelkie drobiazgowość względy i nawoływać innych do całkowitego podporządkowania się jednemu, wielkiemu celowi. Po dniu, wypełnionym morderczą wędrówką przez błota i zarośla, kiedy my wszyscy parowaliśmy od potu i z jedzeniem w ustach waliliśmy się spać, on często po takim dniu całymi godzinami siedział przy pulpicie polowym, pisząc list za listem, świeży jak po wesołym popołudniu, spędzonym w oberży.

—Przejdź przez Międzyrzecze — powiedział z tym osobliwym uśmiechem, który mu wydłużał i rozjaśniał owalną twarz. — Ładunek przeniesiesz w dwóch albo trzech rzutach. Ja dzisiaj zaobozuję na przeciwległym brzegu pierwszego stawu, ale ty wal

20

przed siebie i zaczekaj na mnie przy potoku, który spływa do Martwej

Rzeki. — Wziął nowy arkusz papieru.

— Słuchajcie. Church powiada, że droga do pierwszego stawu jest kiepska i wynosi mile trzy z ćwiartką. Potem gorsza jest jeszcze półmilowa droga do drugiego stawu. Potem, półtorej mili do trzeciego, same głazy i wyboje. Wreszcie trzy mile do Błotnego Potoku, z czego ostatnia — istne piekło, błota przez cały czas po łydki!

Lekceważąco machnął uzbrojoną w pióro dłonią i wrócił do przerwanych zajęć. Z pomocą Hobomoka opróżniłem kanadyjkę, wszystko, cośmy mieli, spakowałem w toboły, część złożyłem przy bagażach kompanii Goodricha, resztę wzięliśmy na bary i przyłączyliśmy się do oddziału, który miał właśnie przejść przez Międzyrzecze.

Wobec szczególnych trudności terenowych przeprawę zorganizowano w ten sposób, że każdy brał na grzbiet, ile mógł udźwignąć, i zwałł to przy pierwszym stawie, potem wracał, i tak w kółko, póki nie przewiózł całego powierzonego sobie ładunku. Potem przenoszono do pierwszego stawu łodzie, ładowano je, przeprawiano się przez staw i zrzucano ładunek. Ludzie znowu brali na ramiona baryłki, paki, tłumoki. Zrazu wydawało mi się, że najgorzej jest dźwigać beczkę solonej wieprzowiny, ze względu na jej kształt, lub beczkę mąki. Ale okazało się, że wszystko jeden diabeł. Ta przeprawa powyginała nam plecy w pałaki. Niektórzy twierdzili, że już nigdy się nie wyprostują, chyba że powiesić ich na jakiś tydzień za ręce i do każdej nogi przywiązać worek kul.

Pomimo że Cap Huff niezbyt sobie chwalił wywiad, odbyty z porucznikiem Churchem, wątpię, czy któryś z nich właściwie ocenił teren, po którym wypadło nam przenosić łodzie. Church nie miał bagażu i szedł tędy, jeszcze zanim drwale pierwszej dywizji wyrąbali drogę dla wojska.

Teraz na każdym kroku sterczał z ziemi pniak trzystopniowej wysokości. Gdyby Church podróżował w tych warunkach co my, nie określiliby tych dróg jako złe, ani nawet jako bardzo złe. Gdyby je opisał w sposób zgodny z prawdą, stanąłby przed sądem wojennym za sianie defetyzmu.

Czterysta funtów ważyła jedna łódź — straszliwy ciężar dla najtęższych barów. Pierwszy szlak biegł zboczem góry i wynosił trzy mile i ćwierć. Gdyby każdy z nas miał tylko muszkiet i parę ubitych kaczek za pasem, to i wtedy droga wydałaby się nam nieznośnie długa. Przygięci ciężarem ponad siły, myśleliśmy, że ten marsz nigdy się nie skończy. Większość pozdejmowała bluzy i szynele, pozwijiała je w płaskie wałki i podłożyła pod ładunek, aby ulżyć

21

zmordowanym plecami. A dolegał nam nie tylko ciężar. Deszcze rozmyły glebę, która zapadała się teraz pod stopami, a ten i ów grzął nagle po kolana w błocie i osuwał się na ziemię. Wówczas łódź z grzmotem uderzała o pniaki. Wcześniej czy później każdemu było przeznaczone natknąć się udem na pniak. Straciwszy równowagę, nieszczęśliwy padał, łódź zwała się na niego, pociągając na ziemię trzech innych.

Całe szczęście, że nie brakowało nam żywności. Pierwszy staw roił się od łososiowych pstrągów, różowomięsnych, delikatnych w smaku, a tak żarłocznych, że wpływały na płytką wodę, byle prędzej dopaść wędki, i staczały z sobą o przynętę formalne boje.

Kiedyśmy zwalili ciężary na brzeg pierwszego stawu, nadpłynęła ku nam łódź z pozoru pusta, odpychana tykami przez dwóch Wirgiń-czyków. Kiedy stanęła przy brzegu, z dna dźwignęły się trzy postacie i chwiejąc się

na nogach, wyszły na ląd — trzech wychudli, brodaci mężczyźni w poszarpanych, poplamionych bluzach.

Poznałem wśród nich porucznika Steele'a, który opuścił nas przed dwoma tygodniami, aby zbadać warunki, panujące na Wysokim Łądzie, i dotrzeć aż do źródeł rzeki Chaudiere.

Pamiętam, jak wyruszał. Był wtedy smukły i zgrabny, chodził z zamaszystym podrygiem ramion, z wiecznym uśmiechem na ustach, w czapce nieco przekrzywionej na bakier: mężczyzna, który w każdym łachu wygląda świeżo i elegancko. Dzięki temu go teraz poznałem, bo czapkę miał zsuniętą na prawe ucho i wciąż się uśmiechał. Ale chodząc garbił się i byle nierówność gruntu wystarczała, aby się potknął i upadł. Oczy miał jak podmalowane sadzą.

Chciał natychmiast ruszyć długim szlakiem, dzielącym pierwszy staw od Kennebecu. Ale kiedy mu powiedziałem, że po południu przybędzie tu Arnold, rzucił się na ziemię z jękiem ulgi. Oświadczył mi, że czeka nas dłuższa podróż, niż sobie wyobrażamy — osiemdziesiąt mil Martwej Rzeki, a dopiero potem Wysoki Łąd i szlak lądowy do brzegów Chaudiere.

Zapytałem go, czy przejście przez Wysoki Łąd jest bardzo uciążliwe. To kwestia żywności, odpowiedział. Jeżeli nam starczy żywności, poradzimy sobie. W przeciwnym wypadku będzie krucho. Jemu w drodze wyczerpały się prowianty, a zwierzyna jakby pouciekała. Oddział ustrzelił dwa łosie, ale mięso nie miało tłuszczu, jak to łosie mięso: zapchało żołądki, ale nie dodało sił. Omal nie umarli z głodu, a na dobitkę obie kanadyjki uległy zdruzgotaniu.

22

Siląc się na niedbały ton, zadałem mu najważniejsze pytanie: czy

widział Natanisa?

Okazało się, że otoczył chatę, aby go wywlec i zabić. Natanisa nie było, chociaż chata w ostatnich czasach na pewno nie stała pustką.

—Zostawił mapkę na korze brzozy dla któregoś ze swoich indiańskich przyjaciół — mówił Steele. — Skorzystaliśmy z niej.

Ciężar spadł mi z serca. A więc Natanis otrzymał moje zawiadomienie i uczynił, o co go prosiłem.

- Świetnie! — rzekłem. — Doskonale!
- Znaście tego Natanisa? — szybko zapytał Steele.
- Nie widziałem go od lat.
- Co to za Indianin?
- Najlepszy na świecie. Abenak. Nasz przyjaciel.
- Gdyby nie ta mapka — rzekł Steele — przeprawa przez Łańcuch Stawów zajęłaby nam co najmniej tydzień. Może i dobrze, że nie było go w chacie. Dlaczego Arnold tak się na niego zawziął?
- Chciałbym i ja to wiedzieć! Mielibyśmy żywności pod dostatkiem, gdyby Arnold zechciał współpracować z Natanisem.
- Z tymi losami też wyszło dziwnie — zamyślił się Steele. — Wybiegły prosto na nas, jakby je ktoś umyślnie pędził.
- Widzieliście jeszcze jakichś Indian?
- Ani gęby. Ten kraj jest pusty jak serce torysa * i niemal równie zimny.

Zasnął. Biegiem ruszyłem przez międzyrzecze, chcąc jak najrychlej przenieść kanadyjkę. Zależało mi, aby poszukać Natanisa, gdy tylko będę miał swobodną chwilę — aby go poprosić o pomoc, zanim zdarzy się nieszczęście. Wyminąłem Febe. Niosła na barkach trzy muszkiety. U luf

muszkietów była uwiązana nie tylko derka, ale jeszcze połacie solonej wieprzowiny, zwieszające się aż do pięt. Obok niej szedł Asa Hutchins, zgięty w pół pod ciężarem. Tak byli zajęci swymi ładunkami, że nie mogli mnie nawet widzieć.

Spotkaliśmy pułkownika. Kroczył wesoło, nie obciążony tobołem, a każdej załodze, każdemu obładowanemu żołnierzowi miał coś do powiedzenia. — Byle dalej! — mówił. — Dobra jest, chłopcy! Zalejemy im sadła za skórę! Naprzód! Nie damy się!

• **Torysi** — w Anglii partia arystokratyczno-ziemiańska, broniąca przywilejów króla i kościoła anglikańskiego, uznająca zasadę dziedziczenia tronu. W koloniach północnoamerykańskich torysami nazywano wiernych Anglii osadników i urzędników w okresie wojny o niepodległość (przyp. red.).

23

Po każdym takim jego nawołaniu widziało się, jak żołnierze raźniejszym stąpają krokiem. Z daleka czuli w nim wojownika. Jego dwa słowa znaczyły więcej niż godzinne przemówienia innych.

O zmroku przenieśliśmy kanadyjkę i resztę bagażu nad pierwszy staw. Uważając, że dosyć napracowaliśmy się jak na jeden dzień, postanowiliśmy odpocząć. Ale gdybyśmy nie byli nowicjuszami, wiedzielibyśmy, że takie słowa są tylko wodą na młyn nieszczęścia. Z czasem mieliśmy się przekonać, że nie ma takiej sytuacji, w której, mimo największego wyczerpania podjętym trudem nad siły, nie bylibyśmy w stanie podjąć jeszcze większego wysiłku, przejść przez jeszcze cięższe znoje.

Z rana przepłynęliśmy pierwszy staw i przenieśliśmy łodzie przez półmilowe pasmo upłazów skalnych. Wreszcie stanęliśmy nad stawem drugim. Zakłęśły wśród bagien i martwic leśnych, złowrogie sprawiał wrażenie. Jego wstrętna żółtawa woda, zbyt wstrętna nawet dla ryb, cuchnęła zgnilizną i rozkładem. Zgrzani i spragnieni, piliśmy nie bacząc na woń i kolor. Skutki były opłakane. Pochorowaliśmy się wszyscy co do jednego, z różnymi objawami, ale pochorowaliśmy się wszyscy.

Mogliśmy, co prawda, zaobozować, oczyścić wodę przez gotowanie, wyleczyć się, odpocząć, ale żaden z nas, póki miał jeszcze władzę w rękach i nogach, nie godził się na postój. Zbyt żywo stała nam przed oczami przygoda, która zdarzyła się biednemu Erwinowi z pierwszej dywizji. Obrzękły od reumatyzmu, sparaliżowany, nie był w stanie się poruszać, nie mógł nawet przewrócić się z boku na bok. Ułożyliśmy go w chruścianym szałasie przy drugim stawie, a z nim czterech żołnierzy, którzy mieli go doglądać, podnosić i układać na nowo, ilekroć ból stanie się nie do zniesienia. Na dobitkę żarły go robaki. Mając w pamięci jego los, woleliśmy nie odpoczywać w tak zdradliwej okolicy.

Przeprawiliśmy się przez ten ohydny, zgniły staw, po czym ruszyliśmy pieszo ku trzeciemu, największemu rozlewisku. Szlak wynosił półtora mili i przez cały czas prowadził po błocie. Powierzchnia bagna była pokryta płataniną korzeni, które chwytały nas, podstępnie czepiały się naszych nóg, zmuszając do ślimaczego wleczenia się. Nieraz widziało się taką scenę: dwaj żołnierze, podtrzymujący rufę łodzi, daremnie szukali oparcia dla stóp, tymczasem nosiciele dzioba znajdowali pewny grunt i parli na-przód; wówczas ci od rufy musieli stawiać nogę, gdzie popadło. W ten sposób albo ci, albo tamci na przemian potykali się i padali, a łódź to

wznosiła się, to waliła o ziemię. Łańcuch łodzi, ociężale

24

i chwiejnie sunących na barkach żołnierzy, przedstawiał się z perspektywy niby jakiś brunatny smok, boleśnie czołgający się szpalerem wysokich ścian leśnych, drogą utorowaną przez pierwszą dywizję.

Woda w trzecim stawie była czysta i obfita w ryby — ciemne, grube pstrągi o kwadratowych ogonach. Z tego miejsca, spoglądając na zachód, mogliśmy już dostrzec uwieńczoną śniegiem Martwą Górę. Jeszcze jeden wysiłek, a dotrzemy do Martwej Rzeki. Po jej falach, powtarzaliśmy radośnie, bez trudu dopłyniemy do Wysokiego Łądu. Jasne było dla nas, że podróż zbliża się ku końcowi, że jeszcze trochę, a staniemy u wrót Quebecu.

Jeszcze dziś zdumiewa mnie bezmiar młodszej naiwności, jaką ujawniliśmy w tej podróży. Parskam gniewnie i wpatruję się w pułap, powleczone szarością przedświt, ilekroć pomyślę, jak byłem niedowarzony, jakim przedwczesnym myśłem dawałem przytułek w skołatanej głowie. Kiedyśmy wiosłowali po trzecim stawie, uroiłem sobie, że już najwyższy czas postanowić, jak zachowam się wobec Mary Mallinson: czy, przestąpiwszy próg domu w Quebecu, nie rzeknę nic, tylko wezmę ją w ramiona i pocałuję, czy też raczej powinienem napisać długie przemówienie, pełne wyszukanych zwrotów — takie przemówienie, jakie wygłosił bohater powieści, czytanej mi w dzieciństwie przez matkę — nauczyć się na pamięć i w stosownej chwili je wypowiedzieć?

Okazało się, że sprawa wcale nie jest taka pilna. Szlak, wiodący od

trzeciego stawu do małego potoczku, który wpadał do Martwej Rzeki, wynosił zaledwie trzy mile. Trzy mile w porównaniu z odległościami, które zdarzało się nam już przebywać pieszo, to była trasa dziecinna. Podwójnie obładowaliśmy kanadyjkę, spiętrzając toboły na dziobie i na rufie, aby nie złamała się w środku, i ruszyliśmy wraz z dywizją Greene'a, obciążoną łodziami. W pierwszej mili droga prowadziła wzwyż po nastrzępionej grani skalnej, okropna droga, zdzierająca skórę z ramion. W drugiej mili było zejście, tak łatwe i łagodne, że okrzykiwaliśmy się żartobliwie, chociaż skóra płonęła nam na twarzy, a nogi tak bolały, jakby miały za chwilę pęknąć. Nie zważaliśmy nawet na ucisk ładunków, zsuwających się ku przodowi i formalnie zdzierających nam skórę z barków, przed nami bowiem zieleńiała się łąka, równa i podłużna, nakrapiana kępami krzewów i obrzeżona malachitem cedrów i jodeł.

Kiedyśmy hucznie i buńczucznie zapuścili się w tę zieleń, grunt

25

zapadł się pod nogami. To nie była łąka, ale warstewka zielonego mchu, pływającego po czarnej, gęstej mazi, w której więzło się po kolana.

Dno bagna było usiane ostrymi pniakami i cierniami zbutwiałych gałęzi — jednym słowem cmentarzysko lasu, uduszonego przez rzeczne wylewy, zwalonego górską zawieruchą, cmentarzysko, jakich wiele we wschodniej Kanadzie.

Pniaki i ciernie szarpały podeszwy naszego przemoczonego obuwia, dobierały się do skóry. Nie sposób było im się wymknąć. Nie pozostawało nam nic innego, tylko posuwać się na trzy tempa: najpierw obślizgiwaliśmy się w błoto aż do pozycji siedzącej; trafiwszy stopami na dno, dźwigaliśmy łódź i pchaliśmy ją przed siebie o osiem, dziesięć cali;

po czym wyciągaliśmy nogi z błotnej papki i stawialiśmy następny krok.

Ja osobiście nie widziałem w tych ewolucjach nic zabawnego, ale żołnierze zanosili się od wszetecznego śmiechu, oświadczali wśród przekleństw, że ktoś ich łapie za nogi, że nieustannie trafiają na ciała zdechłych kotów, że błoto jest pełne połamanych krzeseł i starych butelek. Wlekli się, chichocząc i postępując z uciechy. Z rozbełtanego błota wznosił się smród, który mógłby być ojcem wszystkich złowonnych wyziewów świata.

W końcu dotarliśmy do wąskiego strumyczka, zwanego Potokiem Bagiennym. Jego brunatna woda wionęła rozkładem. Pomimo to z ochotą zanurzyliśmy się w zimne fale, po głowę, po włosy, wraz z odzieżą, pasem i mokasynami, aby opłukać się z potu, mułu i smrodu. Ci żołnierze, których wszystkie ładunki przeniesione zostały jednym rzutem, spuścili łodzie na wodę Bagiennego Potoku i popłynęli ku Martwej Rzece. Spoza łąki, oddzielającej potok od rzecznej nurtu, dobiegały nas ich rubaszne okrzyki: snąć bez wielkiego wysiłku sterowali przeciwko leniwemu prądowi. Inni, którym nie udało się od razu przenieść całego bagażu, musieli wracać przez tę okrutną łąkę, potykając się co chwila, przebijając warstwę mchu i oślizgując się w błoto, natykając się na pieńki i kolce sterczące w dnie, padając na twarz i bokiem.

Obmyliśmy się, naładowaliśmy kanadyjkę i popłynęliśmy z prądem Potoku Bagiennego.

Kiedy skręciliśmy w rzekę, pomyślałem sobie, że na razie nie mam się po co pchać między płynące pod prąd łodzie. Natanis na pewno uczyni jedno z dwojga: albo, wypatrzywszy moje stanowisko, przyśle mi wieczorem gońca, albo też sam będzie mnie oczekiwał w sąsiedztwie tego

zakrętu.

26

W milczeniu sunęliśmy po leniwym, brunatnym nurcie, wypatrując znaków.

Nieco wyżej dostrzegliśmy trzy wrony siedzące na wysokim drzewie. Kiedy podpłynęliśmy, wzbiły się w powietrze i kracząc jak szalone poleciały ku skręconej sośnie, rosnącej po przeciwnej stronie rzeki. Okrążyły ją kilkakrotnie, a wiatr przynosił do nas ich daleką wrzawę.

Hobomok wyszczerzył zęby w uśmiechu i puścił kanadyjkę z prądem.

— Natanis rozmawia z wronami — rzekł.

Podjechawszy do owej rozcapierzonej sosny, wysiedliśmy na brzeg. W krzakach znaleźliśmy Natanisa i Natawammeta. Ich radość równa była naszej. Minęły lata, odkąd po raz ostatni widziałem Natanisa, a przecież mało co się różnił od owego chłopca, którego wydarliśmy spod kopyt jelenich, twarz miał tylko pociąg-lejszą i bardziej zwartą, a mięśnie mocniej związane i czyściej grające pod skórą. We mnie stwierdził większe zmiany, czemu zresztą nie można było się dziwić, bo i brodę miałem zmierzwioną i oczy zapadłe od choroby. Z mojej bluzy myśliwskiej i szarawarów zostały strzępy, od butów poodpadały mi podeszwy, ukazując nagą skórę stóp.

- Czekamy tu na naszego brata — rzekł Natanis szukając w kołczanie łajki — od chwili, gdy na rzece ukazali się ludzie z karabinami. Nie poznałbym go, gdyby nie płynął z naszym bratem Hobomokiem, który wyrósł, słyszałem, na wielkiego m'teulina.
- Dlaczego mówią o tobie — zapytałem, chcąc od razu dotrzeć do jądra sprawy — że jesteś szpiegiem?

Natanis zapalił fajkę i wręczył mnie pierwszemu. Smakowała mi, pomimo że do tytoniu dosypano liści sumakowych i sproszkowanej wierzbowej kory. — Zastanówmy się — rzekł garbiąc się nad ogniskiem, roznieconym na modłę indiańską, tak małym, że można by je pomieścić w zagłębieniu dłoni. — Człowiekowi, który puścił tę pogłoskę w świat, zależy, aby wasza armia nie korzystała z mojej pomocy.

- Dlaczego tak myślisz?
 - Kiedy głupi przewodnik Conkey zjawił się w tych stronach, jego pierwszym pytaniem było, czy jestem szpiegiem, bo tak niby mówią o mnie. Nie jestem szpiegiem i nigdy nie byłem. Wniosek prosty: człowiek, z którego ust padło to słowo, chce w dowódcach waszej armii wzbudzić nieufność wobec mnie.
- Tak i ja sędzę — rzekłem. — Wielkiego wodza Waszyngtona

27

i wodza tej armii, Arnolda, powiadomiono w sierpniu, że należy się ciębie wystrzegać jako nieprzyjaciela.

- Nie rozumiem — odparł Natanis. — Co za bezmyślne oskarżenie! Kiedy Conkey mnie zapytał, czy jestem szpiegiem, sądziłem, że żartuje. Dlatego odpowiedziałem mu, również żartem: „Oczywiście, że jestem szpiegiem, ponieważ oddaję się wam do rąk i siedzę przy jednym ogniu z wami, zamiast ukryć się w lesie i beczynn timer śledzić wasze ruchy. Będę musiał napisać na kawałku kory »jestem szpiegiem« i ten kawałek kory zawiesić sobie na szyi, aby na przyszłość uniknąć nieporozumień”. Chciałem w ten sposób uprzytomnić Conkey'owi całą nedorzeczność jego podejrzeń. Przeliczyłem się, albowiem ten tchórz czym prędzej umknął do

domu, nie zbadawszy ani rzeki, ani Wysokiego Łądu, nie poprosiwszy mnie nawet o rysunek, który dałbym mu z chęcią.

- Jak bardzo do serca wziął sobie Conkey twoją odpowiedź, możesz wywnioskować stąd, że porucznik Steele i siedmiu podległych mu ludzi otrzymali rozkaz zastrzelenia ciebie jako szpiega.

Natanis skinął głową. — Widziałem ich. jak lądowali. Miałem przygotowaną mapę, jakieś mnie prosił, bracie. Widząc, że zbliżają się do mojej chaty, uciekłem, a mapę zatknąłem w rozszczepienie kija. Z wystawionymi do strzału karabinami powoli otaczali chatę. Razem z Natawammetem śledziliśmy ich aż po najwyższe miejsce Wysokiego Łądu. Kiedy byli głodni, zaganiałem im króliki i szopy. W pośpiechu nie dostrzegali tego drobiazgu. Wreszcie, bojąc się, że umrą z głodu, wpędziłem w rzekę przed same dzioby ich kanadyjek parę łośi.

—Chciałbym dotrzeć do sedna tych bredni o szpiegostwie — rzekłem. — Wioślarzami Arnolda są Eneasz i Sabatis. Czy sądzisz, że któryś z nich ma powody życzyć ci śmierci?

Natanis potrząsnął głową. — Dwa upalne miesiące lata Eneasz spędził w Becancour, u swoich braci. Powrócił we wrześniu i natychmiast wspólnie z Sabatisem udał się na wyprawę łowiecką, nie mógł przeto w sierpniu rozmawiać z białym wodzem. Sabatis od wielu lat łowił ryby i polował nad dolnym biegiem Kennebecu, a w chacie mojej bywał miłym gościem. Nie ma powodu mnie oczerniać i z pewnością tego nie czyni.

—Ha — westchnąłem. — Bóg jeden wie, kto cię obmówił i dlaczego. Ale słuchaj, jest jeszcze jedna niewyraźna sprawa. Kiedy zbudowaliśmy ci chatę i wróciliśmy do Arundel, w parę miesięcy potem zmarł mój ojciec. Do grobu zaprowadziła go

przysługa, oddana bostońskiemu kaznodziei, Hookowi, łapiduhowi, który przez pewien czas grasował wśród Abenaków.

Natawammet zaśmiał się. — Pamiętam! Gniewał się na nas, ponieważ nie chcieliśmy odstąpić od wierzeń, które nam przekazali przodkowie.

- W armii naszej jest facet, używający nazwiska Treeworgy — rzekłem. — Mnie on wygląda na Hooka. Czy moi bracia wiedzą coś o Treeworgym?
- Trzeba będzie dobrze mu się przyjrzeć — powiedział Natawammet. Natanis potrząsnął głową.
- Co z Pawłem Higginsem i jego Assaguntikukami? — zapytałem.
- Są na Wysokim Łądzie — odparł Natanis. — Trzymają się na uboczu i czekają, aż biali ludzie zaczną przymierać głodem.
- Czy sądzisz, że do takiego dojdzie?

Natanis dotknął błękitnej blizny, która mu znaczyła bok. — Czuję ból w bliźnie. Zapewne przyjdą burze. Wielkie, gwałtowne burze. Trudno o żywność. Rzekłbyś, ktoś umyślnie powybił króliki. A zwierząt, które karmią się królikami, jeszcze mniej. Również łosie wędrują na zachód. Odkąd tu mieszkam, nie widziałem czegoś podobnego.

—Pozwolę sobie wyłuszczyć sedno sprawy — powiedziałem. — Natanis jest moim bratem. Ludzie, z którymi odbywam wyprawę, są także moimi braćmi. Jestem w potrzebie i proszę mojego brata o pomoc. Spodziewam się, że mój brat okaże mi pomoc na wszelkie sposoby, tego samego spodziewam się po innych moich braciach, jeżeli przyjdzie zły czas.

Natanis uznał te słowa za zbędne. — Mój brat ocalił mi życie — rzekł. —

Gotów jestem mu pomagać, póki życia tego stanie. Ponownie nabił fajkę. Wypaliliśmy ją we czterech.

—Już teraz — oświadczyłem — wyczerpują się resztki naszych zapasów, a armia nie może przerwać pochodu i zająć się polowaniem. Wówczas przestałaby być armią i straciłaby siłę, którą daje obawa przed śmiechem ludzkim i chęć wykazania się większą, niż inni, dzielnością. Bliski jest przeto dzień, gdy zostaniemy bez jednego okrucha. Łodzie nadają się już tylko na opał i wątpię, czy będzie można je przenieść przez Wysoki Łąd. Może się więc stać, że armia, jeżeli nawet dotrze do Chaudiere, nie będzie miała środków do dalszej podróży. Musicie na stan armii dawać najżywsze baczenie, a jeżeli przewidywania moje są nie tylko smutne, lecz i słuszne, musicie wysłać rychłych gońców do francuskich osiedli

29

i podać wieść, aby sprowadzono tu żywność. Zarazem innemu oddziałowi zlecić należy budowę kanadyjek w dolnym biegu Chau-diere, abyśmy mieli czym się przepawić przez Rzekę Świętego Wawrzyńca. Szczególną opieką trzeba otoczyć dowódców, aby nie zbłądzili i nie padli z głodu. Omów to wszystko z Pawłem Higginsem; wspólnie postanowicie, jakich użyć sposobów, aby wynik był dobry. Cokolwiek przedsięweźmiecie, pamiętajcie, aby o wyprawie nie dowiedział się żaden zaufany Anglików. Kiedy wasze postanowienie zapadnie, Natanis powróci i odnajdzie mnie nocą w obozie białego wodza Arnolda. Pikiet nie ma, mogą więc czerwoni bracia swobodnie chodzić nocą po obozie. Jest już wśród nas przeszło dwudziestu Abenaków, przeważnie z Wyspy Łabędziej, Arrowsic i Georgetown.

- Tak uczynię — rzekł Natanis.
 - Nastanie dzień — oświadczyłem — gdy ci, którzy oskarżają Natanisa o szpiegostwo, gryźć będą ziemię. I pójdzie w świat inna wieść: że bez Natanisa i jego braci nie zdołalibyśmy wziąć Quebecu.

Pożywiliśmy się mięsem łośia, maczanym w cukrzonym smalcu niedźwiedzim. Przyjemna to była odmiana po solonej wieprzowinie i pstrągach, które od wielu dni stanowiły moją wyłączną strawę.

Kaprysy ludzkiego żołądka wprawiają mnie w zadziwienie. Bywają okresy, gdy krzywię się na kuropatwy i kaczki, upieczone soczyście na rozżarzonych węglach, i tęsknię za soloną wieprzowiną i p^l u :igami. Kiedy indziej znów przy wzmiance o pstrągach i wieprzowinie zbiera mi się na mdłości. A przecież dożyłem dnia, gdy najrozkoszniejszym jadłem na świecie zdawał się skrawek surowej skórki świńskiej, zleżały na dnie abenackiego kapciucha.

III

Przez cztery następne dni armia wędrowała tam i z powrotem po cuchnącym, omszonym bagnie. Wreszcie przeniesiono wszystkie łodzie i bagaże — wszystkie z wyjątkiem przynależnych dywizji Enosa. Była to dywizja włóczykijów, nie żołnierzy. Ludzie z tylnej straży Greene'a jeden po drugim splukiwali z siebie brud i smród, chwyтали za tyki i odbijali od brzegów potoku. Karabinierzy Morgana w płóciennych szynelach, poszarpanych i postrzępionych od wyrąbywania dróg, po raz pierwszy od początku wyprawy zajęli drugie miejsce, narażając się na kpiny kolegów z chorągwi Greene'a. Oni jednak, tak zazwyczaj dumni ze swojej

sprawności

30

i chyżości, odpowiadali chłodno i obojętnie. To milczenie musiało mieć swoje przyczyny. Przyczyn tych postanowiłem dociec.

Dywizja Meigsa wygramoliła się z błota i powoli ruszyła w ślad za innymi.

Każda łódź — po raz pierwszy od początku wyprawy — wiozła chorych: po jednym, po dwóch, czasami nawet po trzech i czterech. Wszyscy oni albo zatruli się żółtą wodą ze Stawu Pośredniego, albo osłabli od biegunki, albo stopy porozdzierała im gęstwa kołków i kolców, usiewających dno bagniska, albo wreszcie reumatyzm poodbierał im władzę w kończynach.

Kiedy żołnierze z kompanii Goodricha, uporawszy się z przenosinami, padli na brzeg czekając, aż z kolei im przyjdzie odpływać, poszukałem wśród nich Febe i Jamesa Dunna. Wyglądała przy nim jak wróbelek przy obalonym pniu drzewnym. On leżał rozciągnięty na ziemi, twarz miał szarą, a odzież w strzępach. Nie lepiej przedstawiała się Febe. Przyszwy zdartych mokasynów wciągnęła na golenie, aby uchronić skórę od ostrych sęczków, a brakujące podeszwy zastąpiła płatami łosiej skóry, luźno związanymi u kostek i śródstopia za pomocą skóry wężowej i skrawków konopnej tkaniny. Jej sarni kaftan cały był w strzępach i plamach. Oczy wyblakły nieco, ale została dawna prężność ciała i ostrość ruchów.

- Stefanie — rzekła Febe. — James musi pojechać łodzią. Jest niezdolny do dalszego marszu.
- Potrafię tyle, co inni — wyszeptał James.

Z obuwia zostały mu szczątki, ale na żebrach miał jeszcze sporo ciała.

Powiedziałem więc Febe, że lepiej, aby szedł pieszo i nie poddawał się słabości. W marszu mogą mu wrócić siły, a w łodziach miejsc mało i bardzo wiele jest takich, którzy naprawdę nie mogą już chodzić.

- Ilu jest chorych w łodziach? — zapytał z takim wyrazem twarzy, jakby od moich słów zależało jego życie.
- W każdej kilku — odpowiedziałem — ale jeśli chcesz, znajdziemy i dla ciebie miejsce.
- Mam więcej sił niż ci chorzy — powiedział James wspierając się plecami o wzgórek murawy, usypany przez Febe.

Dziewczyna rzuciła mi zdumione spojrzenie, po czym nachyliła się nad Jamesem i poklepała go po ramieniu. — Masz więcej sił niż niejeden zdrowy.

Noe Cluff siedział nie opodal, łatając rozdarte kolano szarawarów czworokątnym skrawkiem mokrej skóry jelonkowej. Na-

31

stroszył wąsy i wyszczerzył zęby w kościotrupim uśmiechu: — Z ciebie też dobry kawał chłopca, Febe!

Czekaliśmy cztery dni. Na czwarty dzień rozboleła mnie szrama na czole, jakby świeżo przypieczona gorącym żelazem. Padał miarowy, nieustanny śnieżek, welonem śniegu przysłonięty był szczyt zbocza Martwej Góry. Rychło po południu nadeszli od łąki, potykając się i więznąc za każdym krokiem, pułkownik Arnold i kapitan Oswald. Kanadyjkę Arnolda nieśli dwaj Indianie z Wyspy Łabędziej. Zapytani przez nas, odpowiedzieli, że Arnold wysłał Eneasza i Sabatisa z depeşami do przyjaciół w Quebecu, sympatyków naszej sprawy. Dlaczego tak ważną

wiadomość powierzył im, właśnie im? Ale prawda, Eneasze i Sabatis byli najlepiej spośród nas wyekwipowani do roli kurierów. Nie ufałem im, ale nieufność moja zasadzała się tylko na tym, że przed laty towarzyszyli Guerlacowi w jego zbójczej wyprawie.

Gdybym z nieugruntowanymi podejrzeniami pobiegł do człowieka, na którego barkach spoczywało całe brzemie naszego przedsięwzięcia, w chwili gdy człowiek ten nareszcie działa, nareszcie swobodnie oddycha — postąpiłbym głupio.

Staliśmy na przeciwległym brzegu. Dostrzegłszy nas, Arnold porwał z łodzi tykę żeglarską, rozpędził się i zatknąwszy ją w nadbrzeżnym szlamie, przesadził strumień z taką łatwością, jakby to była zwalona kłoda drewna.

Za ten wspaniały skok wynagrodziliśmy go ogonami dwóch bobrów, umyślnie dla niego ustrzelonych. Uradowany z daru jak dziecko, zawołał: — Najgorsze już za nami. Do wieczora zrobimy połowę Martwej Rzeki, a u bram Quebecu staniemy prędzej, niż zdołałbyś zjeść średniej wielkości pieczoną gąskę!

Ale po kilku godzinach żeglugi zrzędała mu mina. Rzeka bowiem wije się i plecie, skręca i rozkręca dokoła stóp Martwej Góry, ciemna, migotliwa, milcząca, jakby w skrętach swoich udusić chciała niebacznego śmiałka. Odbijając od brzegu, podróżny ma po lewej stronie nachmurzony masyw góry. Robiąc tyką i wiosłem, porusza się pod prąd: na prawo, potem na lewo, potem znów na prawo, i znowu na lewo, i na prawo. Po wielu godzinach takiego kręcenia się w kółko widzi tę samą posępną górę, po lewej stronie, jak przedtem, i góra ta ani nie oddaliła się, ani nie zbliżyła o krok.

Na pół godziny przed zachodem słońca dotarliśmy do pięknego cypla, na którym niegdyś z ojcem zbudowaliśmy Natanisowi

32

chatę. Wspomnieniami pobiegłem ku owemu odległemu dniu, gdy napiliśmy się rumu za zdrowie rudego Jamesa Wolffa, który zdobył Quebec. O, jak żałowałem, że ojciec nie siedział obok nas w kanadyjce. Hobomok chyba czytał w moich myślach, bo ni z tego, ni z owego powiedział, że według abenackich wierzeń wojownikom, idącym na wojnę, towarzyszą duchy przodków, osłaniają ich i wspomagają. Dziecinna to zapewne wiara, ale pomyślałem sobie, jeżeli jest w niej cień prawdy, to żadna ludzka moc nie powstrzyma mnie od przesadzenia murów Quebecu i odzyskania przedmiotu mojej miłości.

O zmroku byliśmy już daleko za chatą Natanisa. Wjechaliśmy pomiędzy łodzie pułkownika Greene'a. Kiedy nastąpiła się dogodna łąka nad skarpą brzegu, wszyscy razem wylądowaliśmy i rozpaliliśmy ogień. W sam czas, bo śnieg właśnie ustał, a rzeka była pełna łososiowych pstrągów i wolna od mielizn. Czułbym się doskonale, gdyby nie coraz silniejszy ból czoła, tak silny, że nieustannie dotykałem szramy palcami w obawie, że się otworzy.

Przed rankiem w obozie zaczęto szeptać. Kompanie, które powinny były mieć po trzy, cztery beczki mąki, nie znalazły w łodziach ani szczypty. Z początku myślano, że podczas przenosin mąkę omyłkowo załadowali ludzie z innej kompanii, ale tej samej dywizji. Kiedy jednak zebrano do kupy całą mąkę, jaka była w posiadaniu dywizji Greene'a, okazało się, że na każdego przypada ledwo kwaterka, tyle, że i pies by się nie najadł.

.la i Hobomok właśnie piekliśmy placki z zapasowej mąki, którą na wszelki wypadek mieliśmy przy sobie w pęcherzach jelenich. Obok nas przeszedł kapitan Oswald, zły i zaaferowany. — To wy zabraliście mąkę? — zapytał, podejrzliwie przyglądając się naszym plackom.

- Jeszcze czego! — odparłem. — Całe szczęście, że dobrze pilnowaliśmy własnych zapasów.
- Ta dywizja — rzekł Oswald — nawarzyła sobie piwa. Nie mają co wziąć do ust. Trzeba będzie pożyczyć od Hnosa.

Poszedł dalej, ale po chwili zawrócił. — Mówicie, żeście dobrze pilnowali własnych zapasów. Co te słowa miały znaczyć?

- A wam jak się zdaje? — Byłem w złym humorze, bo moja szrama tętniła boleśnie, jakby młot uderzał o kość czołową.
- Mnie się zdaje, że znaczenie jest proste. Gdybyście nie pilnowali zapasów, to by je wam skradziono.
- Tak jest — potwierdziłem. — Z dawna mi wiadomo, że prowiantów, a i wszelkiego innego dobytku, nie wolno zostawiać

33

bez ochrony, jeżeli w pobliżu obozują głodni ludzie. Chyba że tymi ludźmi są Indianie. W ostatnich czasach nie można już ufać nawet Indianom, tyle skorzystali przez obcowanie z białymi dobroczyńcami.

- Co chcecie przez to powiedzieć?
- Nic zgoła! Widzę, że węcycie tu jakąś tajemnicę i mielibyście ochotę coś powiedzieć, ale jeszcze sami nie wiecie, co. Ja wam tylko pomagam wykrztusić słowo. Moje poglądy nie mają w tej armii żadnej wagi. Tylko innym przysługuje prawo występowania z radami

i wnioskami.

- Wobec tego — rzekł Oswald — przedstawię wasz pogląd, gdzie należy, jeżeli okaże się to pogląd słuszny. No to walcie. Co wam się roi?
- Roi mi się to — odparłem. — Daniel Morgan jest człowiekiem ambitnym i doskonałym dowódcą. Widzieliście, jak odrzucił zwierzchnictwo Greene'a. Osobliwa to była scena: kapitan odrzucający zwierzchnictwo podpułkownika. Karabinierzy Morgana to ludzie z żelaza, świetni żołnierze, najlepsi w naszej armii. Sami doskonale wiedzą o tym i jeżeli ich zapytacie, bez zmrużenia oka oświadczą wam, że są najlepsi.

Zrobiłem pauzę. Oswald spoglądał na mnie wyczekująco, jasne więc było, że nie zrozumie, póki mu nie włożę łopata do głowy. — Sprawa prosta. Morgan i jego Wirgińczycy, jak zresztą wszyscy karabinierzy, z łatwością wyprzedzą nas, niezgrabnych Nowoangielczyków, czy to w pieszym marszu, czy w żegludze. Zanimby ustąpili, nie mając szczególnych po temu powodów, pierwszeństwa ludziom Greene'a lub którejkolwiek innej dywizji, wprzód zdarliby sobie palce z nóg i rąk.

Oswald kiwnął głową, a w oczach jego pojawił się błysk zrozumienia.

- Ludzie Morgana nie spracowali się znowu tak bardzo tym rąbaniem dróg — ciągnąłem dalej — żeby nie utrzymać się na pierwszym miejscu, gdyby im na tym zależało. Zwłaszcza że dywizja Greene'a ruszyła Martwą Rzeką zaledwie o dwie godziny wcześniej.
- Tak jest.
- Widzicie! Czy Daniel Morgan i jego żołnierze wlekliby się tak za Greene'em o przeszło godzinę drogi, gdyby bliskość dywizji Greene'a

była im obojętna? Nie, raczej by poszli na udry! Morgan ryczałby niby rok niedojona krowa, jego ludzie zepchnęliby ludzi Greene'a w błoto i potratowali butami, a sami ruszyliby

34

pierwsi! A co ciekawsze, chociaż tak chyżo umieją żeglować, jakoś nie dogonili jeszcze Greene'a. I nie bez kozery!

- Mówcie wszystko — rzekł Oswald.
- Wszystko powiem! Na Wielkim Międzyrzeczu ludzie Morgana umyślnie zwolnili kroku, aby dywizję Greene'a puścić przodem. Podczas mijania się ukradli mąkę.
- Hm — mruknął Oswald.
- Tak, a następnie pozwolili Greene'owi pierwszemu odbić od brzegów Bagiennego Potoku, aby jego żołnierze nie spostrzegli beczek mąki wiezionych w łodziach Morgana.
- A łajdaki!
- Niekoniecznie. Ojciec mój opowiadał, jak podczas oblężenia Louisburga koledzy jego ukradli żołnierzom Beniamina Cleavesa trzydzieści homarów. Żywność w wojsku zawsze była przedmiotem kradzieży, nawet za Egipcjan. Ci Wirgińczycy nie nadają się na dewotów i filantropów. Są bezczelni i z grubego ciosani kamienia. Kto im stoi na drodze, obojętne, czy torys, czy patriota, musi się dobrze pilnować. Uważają siebie za wartościowszych od nas żołnierzy, i nie bez słuszności, cóż więc dziwnego, że pragną wszelkimi sposobami wzmacniać w sobie zdrowie i siły? Jeżeli komuś tu należy się przygana, to kapitanom, którzy nie umieli swoich

podwładnych utrzymać w karbach, lub kapitanom Greene'a, którzy przy prowiantach nie postawili straży.

- Czy potrafilibyście udowodnić słuszność waszych domysłów?
- Zostawcie mnie w spokoju. Z wiadomością, jakiej wam udzieliłem, możecie czynić, co wam się podoba.
- Trzymajcie więc język za zębami — rzekł — a ja zobaczę, co się da zrobić.

Gdy Oswald chciał już odejść, zatrzymałem go. — Jeszcze jedna sprawa. Powiedziałem wam, ile wiem. Chcę i od was czegoś się dowiedzieć. Skąd pułkownik ma tego kuriera Eneasza i przewodnika Treeworgy'ego?

—Słyszał o nich jeszcze za swego pobytu w Crown Point.

— Jeszcze wtedy! Skąd miał informacje? Z Bostonu?

Oswald zawahał się i mruknął coś na temat tajemnicy służbowej.

- Przysięgam na Boga — rzekłem — że będę trzymał język za zębami. Pytam was tylko po to, aby zapobiec nieszczęściom, które spaść mogą na naszą armię.
- Więc dobrze — powiedział Oswald. — Arnold ma kores-

35

pondentów w Quebecu. Jeden z nich polecił mu Eneasza i Tree-worgy'ego.

—Kto? Wyplujcie to imię! — zawołałem rozwścieczony bólem w czole i wstrzemięźliwością Oswalda. — Któż to taki?

Oswald obejrzał się za siebie i rzekł cicho: — John Woodward!

- John Woodward! John Woodward! — krzyczałem. — Co to za jeden

ten John Woodward? Gdzie mieszka i skąd zna Eneasza i Treeworgy'ego?

- Nie wiem — odparł Oswald. — Pułkownik daje mi do kopiowania listy przeznaczone dla Woodwarda, ale adres powierza tylko kurierowi. Mówi, że gdyby w Quebecu dowiedziano się o roli, jaką spełnia Woodward, rozstrzelano by go niezwłocznie.

Tymi niewiele mówiącymi wiadomościami musiałem się na razie zadowolić.

Kiedy nazajutrz wypełzliśmy spod derek, wiatr szedł z południo--zachodu. Nie pojmowałem, czemu szrama na czole tak uparcie mi doskwiera, bo południowo-zachodni wiatr zapowiada tylko przelotne deszcze, od których może strzykać w kościach i zasklepionych ranach, ale nie powinno żreć i palić.

Pułkownik wysłał majora Bigelowa na czele dwunastu łodzi do Enosa po żywność dla głodującej dywizji Greene'a. Enos wciąż jeszcze marudził na Wielkim Międzyrzeczu, a to znaczyło, że trzeba będzie poczekać na żywność przynajmniej trzy, cztery dni. Wobec tego jęliśmy się rybołówstwa. Łowiliśmy pstrągi, których w wodzie było zatrzęsienie, wszystkie tej samej wielkości i wagi, po pół funta sztuka.

Dywizja Morgana wyminęła nas w południe, trzymając się przeciwległego brzegu rzeki. Wirgińczycy robili tykami w milczeniu i po raz pierwszy od początku wyprawy pozwalali z siebie kpić bezkarnie. Twardy to był naród ci karabinierzy. Okrzyknąłem którąś łódź i zapytałem, jak stoją z mąką. Żołnierz mi odkrzyknął: — Żywimy się rybami, bracie, a mąki oszczędzamy. — Myślałem, że jego koledzy zwalają się za burtę ze śmiechu, ale nie, nawet im powieka nie drgnęła.

Morgan wyszedł na brzeg, aby przywitać się z Arnoldem. Później dowiedziałem się od Oswalda, że Arnold powiedział ambitnemu Wirgińczykowi tylko jedno zdanie: „Kapitanie, spodziewam się, że odtąd wasza dywizja będzie szła na czele, zawsze na czele!” Podobno Morgan spojrzał na niego, jakby nie rozumiejąc, o co

36

chodzi, potem nagle zmienił się na twarzy i oświadczył głośno: „Panie pułkowniku, proszę liczyć na nas!”

Pewien jestem że nawet gdyby Morgan odpowiedział nie tak po wojskowemu, Arnold poprzestałby na tym. Ten człowiek umiał podporządkować swoją dumę, swoje zdrowie i życie jednemu jedynemu celowi, któremu na imię było zwycięstwo.

Wobec bliskiego już, jak się zdawało, kresu podróży, kazano ludziom sporządzić naboje i załadować je do beczek. Kiedy za karabinierami Morgana nadeszła trzecia dywizja i przygotowawszy odpowiednią ilość naboji ruszyła dalej, pułkownik oświadczył, że nie mamy po co czekać. Popłynęliśmy w ślad za Morganem. Żołnierze to wpraszali się na łodzie, to wysiadali, aby skrócić sobie drogę na pętłach rzeki, to znowu jechali łodzią, aż do następnej pętli. Ujrzałem między innymi wysiadającego z łodzi olbrzymiego Jamesa Dunna. Febe, dziwnie jakoś zniekształcona, wypychała go na ląd. Okrzyknąłem ich, aby się dowiedzieć, jak tam z żywnością, i podszedłem zaintrygowany zmianą w figurze Febe. James przeszedł, nie podnosząc głowy. Ale Febe przystanęła i zadarła swój sarni kaftan powyżej bioder. U nabijanego mosiądzem pasa wisiał uwiązany za tylne nóżki nieżywy szop.

— Myśliwski łup Jacataqui! — zawołała. — Burr chciał zabrać dla

siebie. Niewiele brakowało, żebym go zdzieliła przez łeb tą zabaweczką! — Wesóło machnęła mi przed oczami swoim orężem z czterech muszkietowych kul, oplecionych skórą, po czym spiesznie odciągnęła Jamesa od gęstwiny choinowej, na którą szedł jak ślepy.

Wydarzenia następnych dni grupują się w pamięci mojej dokoła piątku, nie dlatego, że uważam piątek na dzień złowróźbny, ale po prostu dlatego, że nieszczęścia nasze po większej części przypadały na piątki. Chociaż, Bogiem a prawdą, gorsze rzeczy zdarzały się w inne dni tygodnia, zwłaszcza w niedziele.

Tak czy owak, katastrofa zaczęła się w przeddzień piątku: w czwartek, to jest dziewiętnastego października. Kiedy odrzuciliśmy derki z głów, padał deszcz, zimny i żałobny, a nadbrzeżny krajobraz w niczym nie umniejszał naszego przygnębienia, bo w miarę jak parliśmy naprzód, coraz więcej było beznadziejnych równin, przypominających bagna solankowe, i piaszczystych jałowizn, porośniętych gdzieś kępkami sosen, świerków i jodeł. Nie widziało się tu klonowych, wiązowych i dębowych lasków, które taki urok nadają ojczystym brzegom moim w Arundel.

37

Rzeka zwężała się, najeżona progami i kaskadami. Bojąc się wywrócić łodzie i stracić resztę żywności, każdą kaskadę okrążaliśmy pieszo, raz po raz poślizgując się na mokrym gruncie, wypuszczając z rąk łodzie, beczki i toboły.

Lało raptownymi porywami: rzekłbyś, chmury się rozdierają i wysypują do rzeki gęsi śrut, baryłkę za baryłką. Wiatr coraz gwałtowniej dał z południo-zachodu. Od werbla zimnych kropel tężała na nas skóra.

Kiedyśmy zaobozowali przy ostatniej kaskadzie, dwie godziny trwało, nim znaleźliśmy odrobinę suchego drzewa na rozpałkę.

W piątek wiatr był jeszcze gwałtowniejszy, wył boleśnie wśród jodeł i obumarłych modrzewi, pędząc powietrzem ociążałe masy deszczu. Krople odskakiwały od powierzchni rzeki, od płaskiej gleby łąk, wirowały wraz z wiatrem. Brnęliśmy jak gdyby między dwoma oceanami deszczu: odniebnym i odziemnym. Licząc, że taka ulewa nie może trwać długo, leżeliśmy w suchym ciepłe szałasów. Obok nas przeszła dywizja Meigsa. Ludzie i łodzie — wszystko ociekało wodą, niby upłazy skalne, o które przed chwilą złamała się morska fala.

Nadeszła Febe, wciśnięta między Jamesa Dunna i Noego Cluffa niby ptak-piaskowiec między dwoma kulikami. Krzyknąłem jej, żeby weszła do szałasu i przeszła trochę. Jej kaftan i szarawary przymokły do ciała, pod oczami i naokoło ust miała sine cienie, jakby niebieska chustka, związana na jej włosach, puściła farbę. Ponuro wstrząsnęła głową, pomagając wstać Jamesowi, który właśnie się potknął. Zauważyłem, że brak mu jednej podeszwy.

Posepnie nastrojony przez ten deszcz, przez to zasnutę niebo, zacząłem rozmyślać nad szaleństwem kobiet. Skąd to się bierze, że one najwierniej dotrzymują kroku tym spośród nas, którzy są najsłabsi i najmniej wartościowi? A może sprawa przedstawia się inaczej, może ulegamy tu pewnemu złudzeniu, bo ze szczególną uwagą przyglądamy się słabym i nieudolnym, bo gniewa nas niesprawiedliwość losu, który im zesłał żony i matki godne bardziej zasłużonych.

Rzeka kipiała, pienila się, warczała gniewnie, zmiatając resztki całego stulecia — chaos gałęzi i liści, pnie drzewne szerniały ze starości,

młyńce korzeni przewiązanych wstęgami piany. Wielkie pstrągi podchodziły od dna, tak ciemne, że niemal purpurowe, i uwijały się po powierzchni, łapczywie połykając gąsienice i dżdżownice, bijąc ogonami w zdobycz zbyt wielką jak na ich paszczęki.

Tego piątku lało zwartymi całunami wody. Nigdy jeszcze nie

38

widziałem podobnej ulewy. Wiatr huczał wśród drzew, wzmagał się porywami, podobnie jak wzmagą się tchnienie człowieka, gdy za pierwszym razem nie udało mu się zgasić świecy. Przy każdym takim porywie oświadczaliśmy, że już mocniej dąć nie może. Raz po raz słychać było w lesie niesamowity trzask. Wobec tego w sobotę o świcie postanowiliśmy ruszyć dalej, aby nie doznać jakiejś szkody na miejscu.

Doświadczałem w życiu burz, jakim równie trafiają się rzadko — sztormów północno-wschodnich, od których siły krople deszczowe przeciskają się przez zewnętrzne ściany domu i przez lamperię wnętrza; północnych zawiei, które z taką mocą ciskają człowiekowi śniegiem w twarz, że aż schodzi skóra; północno-zachodnich szkwałów, od których płaskodenna łódź wywinie ci kozła po dwakroć, a szpunt jej zostanie wysadzony z dna. Ale ta burza, której zaznaliśmy nad Martwą Rzeką, była zjawiskiem bezprzykładnym. Woda podniosła się o trzy stopy, a kaskady, raz po raz zagrządzające nam drogę, były piekielnymi kołbaniami piany. Kiedyśmy zmieszali się z łodziami trzeciej dywizji, poprzez oślepiające tumany deszczu dostrzegliśmy, że więcej napadało do nich wody, niż zaczerpnęły przeciekami podczas przeprawy przez Pięciomil Falisty. Wycie wiatru miało w sobie coś żywego, zwierzęcego. Wydawało się, nad naszymi głowami gą się całe stada żbików. Niekiedy, słysząc trzask

wśród wysokich nadbrzeżnych drzew, pędziliśmy jak szaleni, aby umknąć ciężarowi padającego pnia. Wszędzie na krawędziach lasu leżały świeżo powalone sosny.

Po południu przebrnęliśmy mimo otwartej łąki, na której stała jedna jedyna olbrzymia sosna, mierząca u podstaw jakieś trzy stopy średnicy. Na naszych oczach całe to potężne drzewo uniosło się nieco w powietrze i runęło bokiem, wydzierając korzeniami płat ziemi większy niż podłoga naszej kuchni w Arundel. Nie zachwiało się, nie osunęło z wolna, jak drzewo podcięte przez drwala, ale po prostu łupnęło o ziemię, niby stojący w kozłach muszkiet, gdy zawadzić stopą o kolbę.

Kiedy mijaliśmy łagodne zbocze, odziane sosnami i jodłami, w powietrzu rozległ się przeciągły łoskot, od którego serca nam pouciekały w pięty. W jednej chwili wielobok zielonych drzew o powierzchni trzech lub czterech akrów spłaszczył się i przypadł do ziemi, jakby usiadł na nim niewidzialny wielkolud.

O zmierzchu zrównaliśmy się z karabinierami Morgana. Obozowali na niskim, łysym cyplu, bez ogni, osłonięci od wiatru ba-

39

rykadą wzniesioną z łodzi. Bynajmniej nie zachwyceni tą bliskością wody i brakiem porządnej osłony, zdecydowani znaleźć miejsce, w którym będzie można rozpalić ogniska, przepłynęliśmy jeszcze milę wśród nieprzeniknionych ciemności i rozhukanych żywiołów, aż przybiliśmy do wysokiego upłazu, który stanowił dobrą zaporę dla drzew, na każdym kroku łamiących się z trzaskiem piekielnym. Pod tym upłazem znaleźliśmy stos suchych gałęzi. Wreszcie, po trzygodzinnych zabiegach, zdołaliśmy wyczarować kilka ognisk, pokrzepiliśmy się ciepłą strawą i

rozwiesiliśmy zmoczoną odzież.

Była już północ, kiedy owinęliśmy się w derki, zbyt odrętwiali, aby myśleć, zbyt odrętwiali nawet, aby cokolwiek czuć.

Było jeszcze ciemno, jak w przemoczonym piernacie, gdy zbudziły mnie krzyki. Przez parę minut leżałem w otępieniu, póki nie uderzyła mnie w twarz fala. Woda przesiąkła przez moją derkę i zimnym strumieniem spłynęła mi po udzie. Po chwili usłyszałem odgłos wielu stóp chlapiących w wodzie. Odrzuciłem derkę i zerwałem się na równe nogi. A więc rzeka przysła aż tu, wypełzła po brzegowej skarpie i dosięgła nas, pomimo że zaobozowaliśmy na wysokość rosłego mężczyzny nad dobrze już rozlanym nurtem! Nie wierzyłem, że możliwy jest tak gwałtowny przybór wód.

Zatopione kanadyjki i część bagażu znaleźliśmy i wyciągnęliśmy na suchy ląd, macając pod wodą jak foki. Przenieśliśmy te żalosne resztki na zbocze wzgórza i usiedliśmy obok, drżąc i szczękając zębami. O świcie przestało lać, ale wiatr dął coraz mroźniej.

Te dwie godziny, dzielące nas od świtu, ciągnęły się jak dziesięć. Jeszcze bardziej, niż mnie. musiały ciążyć pułkownikowi. Nie zwierzał mi się ze swych trosk, ale słyszałem, jak niecierpliwie kląska językiem. A troskom jego było na imię legion, bowiem los jakby zawział się na nas i mieszał niebo z ziemią, aby nam zagrozić drogę do celu.

Niedzielny świt uraczył nas nie byle jakim widowiskiem. Gdzie wczoraj jeszcze płynęła między brzegami rzeka, wzburzona wprawdzie, ale rzeka, tam dziś rozlewało się potężne jezioro, urozmaicone sterczącymi wierzchołkami drzew, usiane białymi wodogrzmotami kaskad, gnane prądem tak silnym, że co mniejsze drzewa gięły się poci

naciskiem w pałąk.

Dywizja Morgana wyminęła nas w południe, a dywizja Meigsa wieczorem. Nadludzkim wysiłkiem prac przeciwko prądowi, żołnierze wykrzykiwali nam raporty. Dziesiątki łodzi zaląła woda, prąd strzaskał na skałach, zabrały lale. W mgnieniu oka odpłynęły skape zapasy wieprzowiny i mąki, utonęły muszkiety. Z każdą

40

następną wieścią robiło nam się lżej na duszy, jakby to nie była wieść hiobowa, lecz jakieś radosne objawienie.

Nasi przyjaciele, przepływając mimo, pytali, ileśmy stracili. Słyszając odpowiedź: — Nic prócz prowiantów! — śmiali się dźwięcznie i oświadczyli, że ich straty wynoszą pięć łodzi, beczkę wieprzowiny i dwie baryłki prochu. Wówczas my aż pokładaliśmy się ze śmiechu, biliśmy się po udach wołając, że Martwa Rzeka wcale nie jest taka martwa, jak wynikałoby z nazwy.

Kiedy zawiadomiono nas, że piechota, zapędzona falami powodzi w głąb lądu, musi cofnąć się aż do pasma wyżyn, daleko poza trasę ostatnich dni, i dopiero wtedy będzie mogła ruszyć naprzód, można by pomyśleć, że to największy nasz sukces, odkąd w Bostońskiej Przystani utopiono herbatę — w taki wpadliśmy szał wesołości. Zarzuciliśmy wędkę, aby jakoś zapełnić wyłom uczyniony w naszych prowiantach. Niestety, wielkie pstrągi, które widzieliśmy poprzedniego dnia, uciekły, zapewne ku nowo nawodnionym terenom, a pozostały tylko piskorze nie większe od kciuka. Każdego złowionego piskorza witaliśmy wybuchem szyderczego śmiechu. Niejednokrotnie miałem sposobność się przekonać, że w ludziach, których odwaga nie została ostatecznie złamana przez chorobę i krzywdę, sytuacje

beznadziejne budzą odruch wesołości i pogłębiają spokój. Być może w chwilach takich wszystkie przeszłe i przyszłe troski ulatniają się z pamięci, a bezpośrednia terażniejszość wydaje się absurdalnie jasna i nikła wobec ogromu bliskich niebezpieczeństw.

W poniedziałek wyruszyliśmy razem z dywizjami Meigsa i Morgana. Wioślarze czepiali się drzew i zatopionych krzaków, bo głębokość i chyżość nurtu uniemożliwiała odpychanie się tykami.

Liczyliśmy, że najgorsze już minęło i że na spiętrzonej fali szybko dopłyniemy do Wysokiego Łądu. Ale ledwośmy odbili, nadeszła wieść, że piechurzy z dywizji Morgana zmylili drogę i poszli brzegiem dopływu Martwej Rzeki, który ich zaprowadzi Bóg wie dokąd i zagubi gdzieś w sercu kanadyjskiej puszczy. Arnold oświadczył, że trzeba ich odszukać za wszelką cenę. Tę misję powierzył mnie i Hobomokowi.

Gdyśmy uszli dwie niemieckie mile, ujrzeliśmy wysoko na drzewie wiewiórkę, prychnącą gniewnie, wymachującą ogonem i bijącą przednimi łapami o pień. Hobomok zaśmiał się i zatoczył kanadyjkę. Pod drzewem stał Natanis, uśmiechnięty jak zwykle.

— Skąd tyle wody? — zapytałem.

41

Natanis podniósł brwi. — Odkąd żyję, niczego podobnego nie widziałem. Żeby tyle drzew padło od jednej burzy! Źle, bardzo źle.

- Część naszych żołnierzy zmyliła kierunek — rzekłem. — Widziałeś ich może?
- Spotkałem ich o trzy zakręty powyżej tego miejsca, przeprowadziłem po zwalonych drzewach przez strumień i posłałem z powrotem ku

rzece. Powinni stanąć nad brzegiem po trzech godzinach marszu.

- Czy wiedzą, kim jesteś?

Natanis spojrział na mnie z politowaniem. — Powiedziałem, że wysłał mnie po nich biały wódz.

- Wśród nich była również biała kobieta z niebieską chustką na głowic?
- Tak — odparł. — A zachowywała się bardziej po żołniersku niż niejeden silny mężczyzna.

To, co powiedział Natanis, to mogła być prawda. Ale po dziesięć razy dziennie robiłem sobie wyrzuty, że nie odesłałem Febe do Arundel, że zamiast pomagać mojej matce włóczy się tu z wojskiem i zawraca mężczyznom głowy. Jeżeli obecność Febe drażniła mnie bardziej niż obecność pani Grier lub pani Warner, które również towarzyszyły swoim mężom, pochodziło to zapewne stąd, że ilekroć po całodziennej mordędze zasiadałem z przyjaciółmi przy ognisku i, parując w ciepłe, zwracałem myśli ku Mary, naraz przed oczami mojej wyobraźni zjawiała się szczupła, ogorzała twarzyczka Febe i chcąc nie chcąc musiałem się frasować o jej zdrowie, o bezpieczeństwo, czy starczy jej sił, czy ma co jeść, a Bóg mi świadkiem, że wolałbym o niej nie myśleć wcale.

—Możesz o nią zupełnie się nic troszczyć — dodał Natanis wpatrując się we mnie badawczo. — Dziewczyna ma ciało chłopca, wyjdzie obronną ręką z najgorszych opresji. — Dotknął błękitnej blizny, która mu znaczyła bok, zapewne przypomniał sobie, ile on sam przetrzymał kiedyś, jako chłopiec.

Odparłem szybko, że nic mnie ona nie obchodzi, i zapytałem go, czy powtórzył Pawłowi Higginsowi moją prośbę.

Natanis kiwnął głową. — Paweł wysłał czterech ludzi w dół rzeki Chaudiere, przykazując im zająć się budową czółen i wezwać okolicznych mieszkańców, aby zgromadzili żywność w Sartiganic, najbliższej osadzie. Zarazem zwrócił się do wszystkich oddziałów abenackich, polujących przy Chaudiere, aby ustrzelili dla armii tyle zwierzyny, ile się da.

42

— Zdaje się — rzekłem — że więcej uczynić nie podobna. Trzymaj się naszej piechoty. Dziś wieczorem, kiedy zaobozujemy, przyjdź do mojego ogniska. Obgadamy dalsze sprawy.

Zawróciliśmy ku Martwej Rzece. Pułkownik szalał z bezczynności. Odetchnął z ulgą, gdy mu powiedziałem, że piechota znalazła powrotną drogę. — No to walimy dalej! — zawołał. — Mam już tego stania po uszy! Żegluga po tej zwariowanej rzece trwa tak długo, że przez ten czas można by przepłynąć z Cambridge do Hawany!

Ruszyliśmy pod prąd rzeki, pohukując wesoło, okrzykując się radośnie, bowiem deszcz przestał padać, a najgorsze trudy należały do przeszłości.

Nie jestem zabobonny i nie sądzę, aby pukanie w drzewo lub plucie przez lewe ramię mogło odwrócić zły los, jak wierzy wielu Arundelczyków. Myślę jednak, że zamiast pohukiwać i pokrzykiwać powinniśmy byli owego październikowego popołudnia pukać w drzewo aż do okrwawienia palców i płuc przez lewe ramię, aż rzeka by się podniosła o jeszcze jedną stopę.

Po dwóch milach żeglugi dotarliśmy do rzecznej przewężenia, w którym fala nabrzmiwa olbrzymim guzem i stacza się wściekle po niewielkim skalistym skłonie przypominającym wodospad. Indianie nazywają to miejsce Kaskadą Shadagee. Łańcuch Stawów odległy już jest

o godzinę drogi kanadyjką.

Przy normalnym stanie wód wysokość spadku wynosi cztery stopy. Powódź sprawiła, że spadek wydał się mniejszy. Cóż w tym trudnego? — myśleliśmy sobie. I rzeczywiście, trudności byłyby niewielkie, gdyby wszystkie łodzie miały oprócz tyk również wiosła. Na naszych oczach kilka czołowych łodzi z uzbrojonymi w wiosła karabinierami wspięło się po kaskadzie. Wysiłali się niemal do zerwania mięśni, ale przepłynęli bez szwanku. Następnie wspiałem się ja z Hobomokiem, za nami pułkownik i Oswald. Ale ledwo upłynęliśmy parę łokci, z dołu dobiegł nas rozpaczliwy, opętańczy wrzask. Hobomok okręcił kanadyjkę i zjechaliśmy z powrotem.

Trzy łodzie płynęły w górę, jedna obok drugiej. Ich załogi robiły tykami, szczerząc zęby z wysiłku. Ale w pewnym miejscu tyki nie sięgały dna. Nurt odwrócił dzioby łodzi i zatopił burty.

Gdy przewrócone łodzie leciały z prądem na łeb na szyję, cztery łodzie następne, chcąc im się usunąć z drogi, a nie mając dostatecznej lekkości ruchów, również stanęły w poprzek rzeki.

43

Wściekły nurt porwał je i zatopił jak tamte. W mgnieniu oka cenne zapasy wpadły do brunatnej wody i potoczyły się Bóg wie dokąd — muszkiety, proch, beczki z mąką, wieprzowiną i solą.

Nie było czasu na pościg za ładunkami, bo musieliśmy wyławiać załogę. Tymczasem nadpłynął pułkownik. Miał urażone, bolesne oczy i zawzięty uśmiech na wargach. Taki uśmiech, takie oczy nieraz widziałem u ludzi, którzy z gołymi pięściami rzucali się na silniejszych od siebie i nie bacząc na własne rany walczyli, póki przeciwnik nie padł trupem.

—Na ład, panowie! — rzekł do oficerów. — Urządzimy naradę wojenną. Do rozstrzygnięcia jest kwestia: jak żyć zupełnie bez jedzenia.

LV

Daremnie usiłowałem dociec, na czym polega różnica pomiędzy człowiekiem odważnym i tchórzliwym, i do dziś dnia nie wiem. Nigdy już nie powiem na tego człowieka, że jest odważny, a na tamtego, że tchórz, gdyż przekonałem się, że postęпки na pozór małoduszne wymagają nieraz większej odwagi niż sławne w historii przykłady męstwa. Wielu zdobywało się na odwagę, aby ukryć przed światem bezmiar przepełniającego ich lęku. Bywają ludzie tchórzliwi na wojnie, ale nadludzko odważni, gdy w grę wchodzi pieniądze. Niejeden na oczach innych popisuje się szaleńczą odwagą, ale pozostawiony sam sobie jest tchórzem. Inni znowu sam na sam z niebezpieczeństwem zdobywają się na wielką działalność, ale przy świadkach zawodzą. Są tacy, co boją się choroby, ale śmiało stawiają czoło morskim nawałnicom. I tak dalej, i tak dalej. Ilekroć wracam do tego tematu, w głowie mojej powstaje zamęt. Po dłuższych rozważaniach nasuwa mi się tylko jeden jedyny wniosek: że w każdym gdzieś na dnie tli się iskierka odwagi.

Tego wieczora na wojennej naradzie nie padł ani jeden głos za powrotem. Arnold stwierdził, że nasze zapasy ledwo wystarczą dla nakarmienia dziesięciu zgłodniałych wron, ale ludzie, którym przyświeca jakiś cel, potrafią żyć i powietrzem.

—Mógłbym wziąć trochę prowiantów od Enosa — rzekł. — Ruszę przodem ku francuskim osadom i zażądani pomocy. Bóg świad

kiem, że spadły na nas wszystkie możliwe dopusty. Cokolwiek jeszcze się zdarzy, powinno przez porównanie smakować jak mleczko mi gdałowe!

44

Na to Morgan z brodą nie goloną od tygodni, z przekrwionymi oczami, z pęcherzami na przegubach wielkich łap, ze śladami zadrapań i dawnych bizunów na udach, tylko do połowy zakrytych przez indiańskie nogawice, zaryczał ochrypłym kaprałskim basem: — Naprzód, ognie piekielne! Przez tydzień potrafimy żyć nadzieją!

—Myślę — wtrącił Arnold — że trafi się nam coś konkretniejszego. Nawet gdy z zapasów nie zostanie ani szczypty, znajdziemy przecież jakąś zwierzynę w lasach, jakieś ryby w wodach. Strzelało się do łosi, strzelmy i do puchacza. Jeżeli zwyciężymy, pamięć wyprawy naszej przetrwa tysiąclecia!

Poza tym, co ważniejsze, generał Waszyngton liczy na nas. Nie wiem, jak tam kto, ale ja ani myślę raczkować do domu z płaczem, że nie mogłem wypełnić rozkazu, bo byłem głodny.

W odpowiedzi rozległ się gniewny pomruk oficerów. Kapitan Dearborn, ten, który w późniejszych czasach pełnił przy rządzie jakiegoś europejskiego państwa czynności ambasadora — a wyglądał w tej chwili jak strach na wróble: jego czarnych zmierzwionych wąsów i brody nie odróżniłbyś od sierści kudłatego psa, którego ścisnął kolanami, a twarz, biała, niby szczeżuja, zdradzała jakąś trawiącą go chorobę — przemówił cicho: — Pułkowniku, jeżeli dobrze chwytam sens naszej narady, ci panowie mają dotrzeć do Quebecu, nawet gdyby po drodze przyszło im zjeść własne szarawary.

—Słusznie powiadacie — wtrącił pułkownik Meigs — ale wnosząc z wyglądu moich szarawarów, po dziesięciu minutach nie miałbym już. co jeść.

Arnold podziękował im po żołniersku.

- Jeszcze jedna sprawa — rzekł. — Nie możemy obciążać się ludźmi nieprzydatnymi. Rzecz prosta, odeślemy przede wszystkim chorych. Ale ja osobiście jestem zdania, że należy również odesłać wszystkich tych, którzy nic wykazują dość zapału do dalszej drogi.
- Mam paru chorych — warknął Morgan — ale nie mam strachajłów! Gdybym znalazł w mojej dywizji strachajkę, wziąłbym go za portki i przerzucił przez. Wysoki Łąd!

Noc już była, kiedy Oswald zawołał mnie do namiotu pułkownika.

Arnold zajęty był pisaniem, jak zawsze w godzinach wieczornych.

Podniósł głowę sponad małego pulpitu polowego i uczynił ku mnie gest ręką, uzbrojoną w gęsie pióro.

—Męstwo zostanie nagrodzone — rzekł wesoło. — Wracacie

45

do kraju płynącego mlekiem i miodem. Uważajcie, żebyście się nie rozchorowali z przejedzenia.

- Żołądek mi się skurczył — odpowiedziałem. — Nie mogę teraz jeść tyle, co przed miesiącem.
- Tym bardziej baczcie na siebie, kiedy staniecie przy rogu obfitości. — Podjął z pulpitu dwa listy. — Oto zlecenia dla pułkownika Enosa i pułkownika Greene'a. Greene czeka na Enosa, który ma nadejść z zapasową żywnością. Znajdźcie ich obu razem. Sprawa jest wyjątkowej wagi. Brak żywności wcześniej może nas zbić z nóg,

niż przewidujemy. Na wypadek, gdybyście zgubili list, odczytam wam jego treść.

Przeczytał na głos list do pułkownika Enosa, datowany: „Z Martwej Rzeki, z miejsca odległego o trzydzieści mil od Stawu Chaudiere. Staw Chaudiere nie jest niczym innym, tylko jeziorem, które ojciec mój znał pod nazwą Megantic.

W liście była mowa o deszczach i powodziach, od których ucierpieliśmy. W dalszym ciągu pisał Arnold:

Odbyliśmy naradę wojenną, na której postanowiono zaopatrzyć wszystkich chorych i słabych w żywność na trzy dni i odesłać do domu, a Wam poruczono zaopatrzyć ich w nieodzowne zapasy i sprzęt, iżby bezpiecznie mogli dotrzeć do Norridgewock, gdzie zaopiekuje się nimi intendent. Natychmiast po otrzymaniu niniejszego winniście ruszyć w dalszą drogę, biorąc z sobą najlepszych żołnierzy w takiej liczbie, jaką zdołacie zaopatrzyć w prowiant na okres piętnastu dni. Wszyscy pozostali, czy to chorzy, czy zdrowi, winni natychmiast wrócić i oddać się do dyspozycji intendenta, któremu przykazałem roztoczyć nad nimi troskliwą opiekę. Nie wątpię, że spełnicie to, o co proszę, tylko bowiem w ten sposób zdołamy zachować zdatność bojową armii i doprowadzić naszą wyprawę do zwycięskiego końca, a uniknąć groźnych przypadków. Piętnaście dni, dłużej nie powinna trwać dalsza nasza droga do Kanady. Spodziewam się, że wyruszyście z pośpiechem równym mojej niecierpliwości.

—Odplynę o świcie — rzekłem — i o zmroku zrównam się z dywizją Greene'a.

Arnold wstał z polowego zydlu i wytknął pięść, jakby godził w

niewidzialnego przeciwnika. — Powiedzcie im, aby wzięli tempo! Tempo, tempo, tempo! Od miesiąca dławimy się w splotach tej rzeki, a jeszcze pozostała nam trzecia część trasy do przebycia!

46

Gdyby nie przymusowe postoje, stalibyśmy już u wrót Quebecu. Walcie, ile mocy w wiosłach! I wracajcie z wieścią, ilu jeszcze dostaniemy ludzi!

Na dworze panował tej nocy kęsający ziąb i pachniało śniegiem, przeto Natanis wszedł do naszego szałasu i spał z nami. Wiedząc, że jest lepszym wiosłarzem niż Hobomok lub ja, postanowiłem go zabrać z sobą gwoli szybkości i bezpieczeństwa. Mogłem sobie na to pozwolić, ponieważ nikt w armii nie znał go z widzenia poza Eneaszem i Sabatisem, a ci udali się do Quebecu z listami.

W szarości jutrzennej Natanis wysunął się z szałasu i ukrył się w lesie za obozem, skąd mieliśmy go wziąć na kanadyjkę.

Gdy spuściliśmy czółno, właśnie na brzegu gromadzili się chorzy, których miano odesłać z powrotem. Niektórzy tak ucierpieli od krwawej biegunki, że nie mogli poruszać nogami, inni byli spuchnięci od reumatyzmu i do tego stopnia osłabieni, że pot się lał z biedaków, gdy ich dźwigano z ziemi i niesiono. Jeden z nich, wysoki Pensylwańczyk, karabinier, któremu kości niemal wyłaziły przez skórę, bo tak wycieńczyła go biegunka, narobił wrzasku, że aż zleciał się cały obóz.

—Nie chcę wracać! — krzyczał cienko jak kobieta. — Dajcie mi jeden dzień, a wyzdrowieję! Nie chcę wracać! Słyszycie? — Nie miał nawet sił opierać się tym, co go ciągnęli na brzeg. — Wielu naprawdę chorych ukrywa się w obozie i udaje zdrowych!

Nie chcę wracać! Nie wracam! Połóżcie mnie samego w lesie!

Dogonię!

Daniel Morgan słysząc, co się święci, potężnymi krokami wszedł pomiędzy obszarpanych, brodatych karabinierów i spojrzał choremu Pensylwańczykowi w twarz.

—Postawić go na nogi! — rzucił żołnierzom, którzy trzymali dryblasza pod pachy.

Dźwignęli go, aż podeszwami stóp dotknął ziemi, i puścili. Chory załamał się i opadł, dysząc z cicha jak zziajany pies.

—Do łodzi z nim! — powiedział Morgan. Złowrogim spojrzeniem powiódł po karabinierach. — Żeby mi się żaden z was nie odważył więcej chorować! Pod rygorem sądu wojennego!

Było raptem dwudziestu czy dwudziestu pięciu chorych. Szukałem wśród nich Jamesa Dunna, ale na próżno. Bóg mi świadkiem, że wolałbym go widzieć w liczbie chorych, niż ustawicznie drzeć o jego los.

W drodze przyłączył się do nas Natanis. Daliśmy mu drugie

47

wiosło, pierwsze wziął Hobomok. Mając taką załogę, sunąłem z prądem rzeki szybciej, niż śmiałybym marzyć.

Brzegi były usiane żalonymi świadectwami minionej powodzi: płótna namiotów, uczepione pni, smętnie podrygiwały w lalach nurtu, w krzakach tkwiły całe kłębowiska sznurów i tyk, deski łodzi strzaskanych na kaskadach; półcie solonej wieprzowiny obracały się z wolna w przybrzeżnych wirach; pęknięte beczki kołysały się wśród na poły zatopionych drzew.

W południc dotarliśmy do dywizji Greene'a obozującej o parę mil

poniżej tego miejsca, gdzie dosięgła nas powódź. Wysłałem Natanisa i Hobomoka w dół rzeki, a sam poszukałem Greene'a. Siedział z majorem Bigelowem i kapitanem Thayerem, Tophamem i Hubbardem, a tematem ich rozmowy było jedzenie. Zawsze się tak dzieje w okresach głodowych: ludzie rozmawiają o jedzeniu i wciąż tylko o jedzeniu.

Pułkownik Greene kazał mi zaczekać, rozdarł kopertę i na głos odczytał list. Zapytał mnie łagodnym głosem, głosem, który, rzekłbyś, wstydzi się własnej śmiałości, czy bardzo ucierpieliśmy od powodzi i co z naszymi prowiantami. Podkomendni lubili i szanowali pułkownika Greene'a, był bowiem dobry i taktowny, zawsze pamiętał o towarzyszach i nie narzucał ludziom swoich poglądów, lecz chętnie wysłuchiwał cudzego zdania.

Odpowiedziałem, że o mały włos bylibyśmy się potopili, lecz nasi oficerowie i żołnierze zdecydowani są dotrzeć pomimo to do Quebecu, choćby w drodze przyszło zjadać szarawary.

Greene uśmiechnął się dobrotliwie. Kapitan Thayer, który cudem uniknął śmierci przy Forcie William Henry, a przedtem, nim wstąpił do wojska, prowadził zakład perukarski, ten Thayer, który był prawdziwym lwem w jagnięcej skórze, oświadczył spokojnie, że pomysł jest doskonały, tylko niech każdy je własne szarawary, a nie nadgryza szarawarów sąsiada.

Zapytałem, gdzie znajdę pułkownika hnosu. Zamienili z sobą znaczące spojrzenia ludzi, którzy są o kimś bardzo złego zdania, ale przy obcych nie chcą mówić otwarcie.

- Z grubsza biorąc — rzekł major Bigelow mrugając do mnie nieznacznie — znajdziecie go na tyłach.
- Z grubsza biorąc — mruknął Thayer — on sam jest tyłem.

- Nie, nie — jowialnie zaprzeczył Bigelow — Enos nie może ani rusz posunąć się naprzód, bo musi pilnować prowiantów. Będzie tak stał w miejscu, aż się okaże, że jego ludzie nie mają już czym się podzielić z nami.

48

- Panowie! Panowie! — upominał pułkownik Greene, jak gdyby zatrwożony własną śmiałością. Zwrócił się do mnie: — Zapewne ^najdziecie pułkownika Enosa o parę mil niżej. Im wcześniej dojdzie do niego list pułkownika Arnolda, tym lepiej dla nas wszystkich. Podobno część jego ludzi — tu chrząknął z zażenowaniem — przeżywa pewien stan niepokoju.
- Słyszałem — głośno oznajmił major Bigelow — że mają zwyczajnego pietra. Kiedy w pobliżu takiego żołnierza, co to służy pod Enosem, trzaśnie sucha gałązka, chłop podskakuje, niby łania zepchnięta na jałowcowy krzak.
- Jeżeli Enos zapyta o nas — dodał Greene — bądźcie łaskawi mu powiedzieć, że czekamy na jego prowianty.

Major Bigelow i kapitan Thayer wybuchnęli nieprzystojnym śmiechem. Greene pokręcił głową z wyrazem łagodnego wyrzutu.

Wielce zatroskany tym, co usłyszałem o Enosie, ruszyłem ku rzece. Naraz drogę mi zastąpił młody Burr. Buty i szarawary miał w łachmanach, ale był czysto ogolony i zdołał zachować pewne pozory elegancji.

- *Co za szczęśliwe spotkanie) — zawoh)). — .Jak tam czolo wojska? Macie co jeść?*
- Tyle co pies napłakał. Chyba jeszcze mniej niż wy. Wszystko zabrała

powódź.

- Mniej niż my! To pięknie! Cudownie! Nareszcie ludzie, którzy mają mniej niż nic!
- Co takiego?
- Pstro! — zaśmiał się Burr. — Od siedmiu dni żyję wyłącznie z myśliwskich łupów Jacataqui! Żywność? Ha, dostajemy racje głodowe! Widziałem dzisiaj, jak ludzie krasili mączną papkę okrawkami łożowych świec!
- Przecież Enos miał wam oddać swój nadmiar prowiantów! — zawołałem.
- Enos! — wrzasnął Burr, złowrogo mrużąc oczy. — Enos! Ten wszawy moczypludra! Zaparł się, że sam nic nie ma! Przysłał nam dwie beczki mąki. O dwóch beczkach, mąki dwie setki ludzi mają dotrzeć do Quebecu! Z równym powodzeniem mógłby nam ofiarować dwanaście jabłecznych ogryzków! — Jął obsypywać pułkownika Enosa takimi wyzwiskami, że jego ojciec, czcigodny prezes kolegium w Princeton, słysząc to, dostałby udaru serca.
- Więc cóż się stało z tym nadmiarem? — zapytałem. — Enos miał tyle żywności, że wystarczyłoby na powrót całej armii do Cambridge!

49

Burr zaśmiał się nieprzyjemnie. — Prawdopodobnie ma, ile miał. Inaczej czemuż by jego ludzie wciąż tkwili na tyłach, zamiast zrównać się z nami? Boją się, że siłą odbierzemy im te skarby. I, Bóg mi świadkiem, użylibyśmy siły!

Zszedłem ku rzece i dałem znak Natanisowi i Hobomokowi. — Powiedzcie — zagadnął mnie Burr. — Czy u was nie mówią nic o

odwrocie?

—Owszem — odparłem — mówią. Mówią, że kto marzy o odwrocie, ten gorszy jest od karalucha. A karaluchy wrzuca się do wody.

Burr uśmiechnął się i klepnął mnie w ramię. Na widok Natanisa, sterującego czółno do brzegu, szeroko otworzył oczy. — Hejże! Nowy Indianin! Można wiedzieć, co zacz?

- Przyjaciel. Możecie go nazywać obywatelem Pittem.
 - Ba! — rzekł Burr. — Z rozkoszą nazwę go Beniaminem Franklinem, jeżeli pojedzie i świśnie parę beczek mąki od tego wszawego tyłotrąby Enosa!

Kiedy odpływałem, on wciąż jeszcze stał na brzegu i klął Enosa.

Spotkaliśmy wreszcie Enosa. Płynął powoli pod prąd, jakby miał przed sobą co najmniej rok czasu. Daleko za nim widać było dwie łodzie, wynurzające się spoza zakrętu.

Pierwsze wiosło kanadyjki Enosa dzierżył John Treeworgy. Tak wiele w ciągu ostatnich tygodni zajmował miejsca w moich myślach, że z daleka już rozpoznałem jego szarą twarz, jego oczy patrzące spode łba. Drugim wiosłarzem był Indianin, którego nie poznałem w pierwszej chwili. Hobomok rzucił mi przez ramię: — Swashan, sachem z St. Francis. Ten, któremuś natarł uszu przy stawie Cobosseecontee.

- Ciebie zna? — zapytałem Natanisa.
 - Widzę go pierwszy raz w życiu — odpowiedział. Nie byłem zachwycony ani koligacjami Swashana z Treeworgym, ani widokiem ich obu przy boku Enosa. W kościach czułem, że ten Treeworgy to mętna figura. Miałem również podejrzenia co do Swashana i chętnie

bym jednego z drugim wyprawil na tamten swiat. Nie moglem jednak zabijac z zimna krwia. Bo nawet w czasach wojny zbrodnią jest ušmiercanie człowieka, któremu nie jest się w stanie udowodnić nieprzyjacielskich zamiarów.

Pułkownik Enos nie stracił nic z dawnego swego dostojenstwa. Kiedy więc Natanis skierował czołno równolegle do ich czołna, odezwałem się przymilnie, niby bostoński balwierz:

—Pozdrowienia i list od pułkownika Arnolda — rzekłem,

50

wręczają Enosowi kopertę i drugą ręką chwytając za burtę jego kanadyjki aby lepiej się przyjrzeć Treeworgy'emu. Ten tylko ponuro kiłynął głową i zwrócił oczy przed siebie.

Czytając, pułkownik raz po raz drapał się to w prawe, to w lewe kolano, i klaskał językiem na znak zniecierpliwienia. Dwukrotnie przeczytał list, złożył go i schował do kieszeni, potem znowu wyjął i przeczytał po raz trzeci, wreszcie rzekł: — No tak! No tak! — powtórzył ze zmarszczonym czołem... i zawzięcie jął się drapać.

Wreszcie spojrział na mnie oczami, w których malowało się zaskoczenie. — Jakie u was panują nastroje? Czy wszyscy są za dalszym marszem, i ci od Morgana, i ci od Meigsa?

- Tak jest, panie pułkowniku. Nawet chorzy. Odsyłamy ich wbrew ich woli.
- Gha! — wydał gardłowy okrzyk, okrzyk schludnej gospodyni, która zastaje kuchnię w nieładzie. — Gha! Ci chorzy! Gdyby nie chorzy, mógłbym czegoś dokonać! Chorzy! Chorzy! Dogładaj, pielęgnuj, karm, jak niemowlęta!

Zmierzył mnie gniewnym spojrzeniem. — Jakim cudem Arnold, Morgan i Meigs wyżywią wojsko przez piętnaście dni, kiedy nic się od nich nie słyszy prócz wołania o prowiant? Prowiant i prowiant! Czy wy przez cały czas tylko jecie?

- Panie pułkowniku — powiedziałem — wiem tyle, ile pisze pułkownik Arnold. Prawie wszystko straciliśmy podczas powodzi i przy wodospadach, dostajemy więc zmniejszone racje. Ale żołnierze gotowi są iść naprzód, nawet gdyby zupełnie nie było co włożyć do ust.
- Morgan, Meigs i Arnold są zbyt dobrymi oficerami, aby pozwolić na coś podobnego — rzekł z patosem. — Pierwszym obowiązkiem oficera jest dbać o powierzonych sobie żołnierzy.

Przypomniały mi się zasłyszane kiedyś opowieści o oficerach, którzy płazami szabel wyganiaли żołnierzy spoza drzew i uformowanych w kolumny pędzili pod francuskie i indiańskie kule. Przypomniały mi się również słowa ojca, że większość naszych oficerów tak się zachowuje, jak gdyby pierwszym ich obowiązkiem było dbać o własną karierę. Mając jednak do czynienia ze zwolennikiem ścisłej dyscypliny, zachowałem te uwagi dla siebie.

—Nie mam zapasów, o których pisze pułkownik Arnold — kłótliwie rzekł Enos. — Moi żołnierze są zaopatrzeni najwyżej na trzy dni! Każdy z nich dobrze wie, że jeszcze jeden dzień marszu przez tę dziką puszcę, a przyjdzie umierać z głodu. Śmierć głodowa,

51

jeśli pójdą naprzód. Śmierć głodowa, jeśli będą się cofać ponieważ

- Dowództwo czołowych grup sądzi — odparłem -t- że skoro wasza,

pułkownikowi, dywizja najwięcej miała żywności przy wymarszu, to i teraz powinna chyba mieć najwięcej.

- To nieprawda! — wrzasnął uderzając dłonią w poprzeczkę czółna. — Sami przymieramy głodem! Nie tylko straciliśmy sporo zapasów przez deszcze i przecieki, ale na dobitkę karmiliśmy chorych i udzieliliśmy mąki Greene'owi.
- Mówiono mi — rzekłem — że Greene dostał od was raptem dwie beczki mąki.
- Tak! — Enos zdawał się nie dostrzegać w moich słowach ironii. — I po tym wszystkim przychodzi rozkaz, żebym część ludzi wysłał w górę rzeki z zapasami na piętnaście dni, a resztę odesłał do domu! Jakże ja, na miłość Boską, mam wypełnić dwa zlecenia naraz, kiedy na wypełnienie choćby jednego z nich nie pozwala mi brak środków?

Powtórzyłem mu słowa Greene'a — że druga dywizja czeka na żywność. Enos chrapnął gardłowo: — Gha! — i tknął Treeworgy'ego palcem w plecy. — Wychodzę na brzeg. Ty, Treeworgy, wracaj i przykaż kapitanowi McCobb wraz z resztą oficerów czym prędzej tu przybyć. Chcę z nimi pomówić. — Dodał zwracając się do mnie: — Wy również jesteście mi potrzebni. Zapewne przyjdzie wam odpowiedzieć na parę pytań!

Jął nerwowo przechadzać się po brzegu, mamrocząc do siebie i mlaskając językiem jak stara, bezzębna kobieta.

Dłużące się w nieskończoność minuty czekania urozmaicił nam Natanis opowieściami o bajecznym bogactwie tej okolicy. Niedaleko od tego miejsca, mówił, na zachodnim brzegu Martwej Rzeki wije się szeroki strumień wpadający do dwóch stawów. Bobrów tam zatręsenie. Nad

tym strumieniem, wyznał, jest kryjówką, podobnie jak nad strumieniem towarzyszącym górnemu biegowi rzeki, nad czwartym stawem Łańcucha i nad pierwszym stawem po tamtej stronie Wysokiego Łądu.

—Jaka kryjówka? — zapytałem. — Kryjówka bobrów?

Natanis i Hobomok przypomnieli mi, że północni Indianie zwykli jesienią zakopywać zapasowe kanadyjki, aby uchronić je od mrozu i kradzieży. Mając na względzie niezliczone wodospady i uciążliwe szlaki lądowe kanadyjskich bobrów i rzek, przemyślny Indianin buduje kilka czółen i rozstawia je wzdłuż głównych

52

linii komunikacyjnych. Zimą leżą w ziemi, wiosną wydobywa się je na powierzchnię i starannie przykrywa gałęziami.

Gdy łodzie dywizji pułkownika Enosa pojawiły się na rzece, odesłałem Natanisa i Hobomoka, polecając im zająć się polowaniem, ale zarazem nie oddalać się zbyt daleko, gdyż będą mi potrzebni. Żołnierzy Enosa cechowała jakaś pochmurna opieszałość. Sprawiali wrażenie głęboko nieszczęśliwych, chociaż wykluczone, aby doznali większych utrudzeń niż trzy dywizje czołowe.

Podeszli do mnie dwaj Connecticutczycy i zapytali, czy przybywam od czoła. Gdy potwierdziłem, jeden z nich zapytał, kiedy czołowe dywizje zamierzają rozpocząć odwrót.

- Skąd taki pomysł? — zdumiałem się.
 - Chodzą słuchy, że panuje u was głód. Nam wszystkim grozi śmierć głodowa, jeżeli popłyniemy za wami. Nie pójdziecie naprzód! Musicie wracać!
- Głupstwa gadacie — odrzekłem. — Powtarzacie słowa, zasłyszane

od jakiegoś szaleńca, od jedynaka, który pierwszy raz. w życiu wyszedł z domu bez mamy. Od jakiegoś rozmazanego niemowlęcia.

- Nie — odparł Connecticutczyk. — Tak mówią wszyscy chorzy z dywizji Morgana.

- Słyszeliście na własne uszy?

—Nie. Ale Treeworgy rozmawiał z nimi. Od niego wiemy.

A więc moje podejrzania okazały się słuszne! Treeworgy był źródłem tych bałamutnych pogłosek, które krążyły wśród żołnierzy jeszcze podczas postojów przy Fortcie Zachodnim!

- Zapewne nie powiedzieli mu wszystkiego — zauważyłem, chcąc z nich jeszcze coś niecoś wydobyć.
- I to możliwe — odparł Connecticutczyk. — Mówili, że żołnierze nie chcą przenosić łodzi przez trudne miejsca, ale oficerowie smagają ich harpami do krwi.
- Hm, hm...
- Tak — podchwycił drugi. — A woda podobno tak jest zatruta przez deszcze, że kto się napije, ten zaraz puchnie na całym ciele i nie może chodzić.
- Czy wszyscy spuchli? — zapytał pierwszy.
- Wy zapowietrzeni idioci! Czy wyglądam na spuchniętego?
- Nie. Ale Treeworgy uprzedzał.
- O czym uprzedzał?
- Że przyślą tu takiego, który nie jest spuchnięty, aby nas uspokoił i zabrał nam prowianty.

- Ode mnie nikt nie dostanie ani okruszyny! — oświadczył pierwszy.
- I ode mnie!

Roześmieli się ponuro. — Kto chce zabrać nam żywność — rzekł drugi — ten wprzód zapozna się z naszymi muszkietami.

Obejrzałem się na Enosa, który stał nad wodą, skubiąc dolną wargę i patrząc w dół rzeki.

- Baba, nie oficer! — rzekł pierwszy Connecticutczyk, biegnąc za moim spojrzeniem.
- Tak — przytwierdził drugi. — Po diabła karmi inwalidów? Byle leń udaje chorego! I staremu, i tym darmożjadom życzę nagłego skonania! Sami musimy dbać o siebie, bo o nas nikt nie dba!
- W czołowych dywizjach — rzekłem — panują inne nastroje. Ludzie powiadają, że miłsza im głodowa śmierć niż odwrót.

Pierwszy Connecticutczyk chrapnął gniewnie. — I na co to się zda? Treeworgy dobrze mówi: jeżeli upór grozi śmiercią, większy pożytek dla kraju nie upierać się i nie bić łbem o ścianę.

Znowu zaczął padać deszcz, chłodny kapuśniaczek, który lada chwila mógł przejść w śnieżycę.

—Patrzcie! — zawołał drugi Connecticutczyk. — Patrzcie, jaka psia pogoda, jaki psi kraj! Spójrzcie na te psie góry! Nie idę dalej!

Enos mnie zawołał. Z niesmakiem odwróciłem się od tych tchórzy i podszedłem ku niemu. Tymczasem napłynęły inne łodzie, wioząc kilku oficerów z czwartej dywizji — kapitanów Williamsa, Scotta i McCobba, porucznika Hyde'a i porucznika Petersa. Rozpalono dla nich ognisko i rozbito wspaniały namiot. O ile pamiętam, w dywizjach Morgana i Meigsa

nie było ani jednego namiotu. Oficerowie rozsiedli się pod płótnem, z kwaśnymi minami przyglądając się strugom deszczu. Skąd się to bierze — myślałem — że ludzie tego samego wzrostu, tej samej tuszy, tak samo wychowani i wykształceni mogą zarazem tak bardzo różnić się między sobą? Umysły oficerów, podległych Morganowi, Meigsowi i Greene'owi, pracowały szybko i sprawnie, jednym rzutem ogarniały każdą sytuację i umiały wykorzystać wszystkie jej dobre strony. Oficerowie Enosa myśleli wolno i niechętnie, ruszali mózgi akurat tyle, ile krowa niepokojona przez popołudniowe muchy rusza skórą na karku. Nigdzie, w niczym nie umieli dostrzec promyka nadziei.

—Oto jest goniec, który przyjechał z listem — rzekł Enos wskazując na mnie.

54

Zmierzyli mnie złowrogimi spojrzeniami. Kapitan Scott, brzuchaty, chudy na gębie, z nosem jak truskawka i kroplą wody na końcu nosa, zapytał posepnie, czy wiadomo mi, ile drogi dzieli nas jeszcze od Quebecu?

Odpowiedziałem, że sam nie byłem nigdy w Quebecu, ale odległość jest mi w przybliżeniu znana. Wówczas kapitan Scott zapytał, czy, tak z ręką na sercu, podjąłbym się odbyć tę drogę nie mając żywności pod dostatkiem?

- Kapitanie! — rzekłem. — Gdyby to była dla mnie sprawa ważna, ruszyłbym, mając tylko szczyptę soli i skrawek wieprzowiny na omastę dla pstrągów.
- Czcza gadanina! — rzekł Enos. — Nie znoszę czezej gadaniny!
Odpowiadajcie szczerze: gdybyście mieli żywności zaledwie na kilka

dni i żadnej nadziei na uzupełnienie zapasów, czy zdecydowałibyście się płynąć stąd do Quebecu, wiedząc, że jesteście odpowiedzialni za zdrowie i życie podwładnych?

- Pułkowniku! — rzekłem. — Wy jesteście wysokim oficerem, ja tylko przewodnikiem. Gdybym powiedział, co o tym wszystkim myślę, słowa moje mogłyby obrócić się przeciwko mnie i stanąłbym przed sądem wojennym za obrazę zwierzchnika. Nie znam się na wojskowych przepisach, ale widzi mi się, że niektóre z nich musiały narodzić się w mózgu szaleńca.
- Mówcie, nie bacząc na naszą rangę — rzekł pułkownik Enos. — Udzielcie nam wyraźnej odpowiedzi na zadane pytania.
- Dobrze więc. Istnieją dwa sposoby żeglugi: inny w czasach wojennych, inny w pokojowych.
- Znowu czcza gadanina!
 - Pułkowniku — rzekłem — to nie jest czcza gadanina! W czasach wojennych gotów jestem płynąć do Quebecu bez jednego okrucha żywności, byleby znalazł się ktoś do towarzystwa.
 - Rozpatrzmy sprawę z innej strony — wmieszał się kapitan Williams, gładki i ugrzeczniony. — Czy znana wam jest treść zleceń zawartych w liście pułkownika Arnolda?
 - Tak. Pułkownik Enos ma wysłać naprzód tylu ludzi, ilu zdoła zaopatrzyć w żywność na piętnaście dni, a pozostałych, czy to zdrowych, czy chorych, odesłać do domu.
 - Właśnie. Pozwolę sobie zapytać, jak postąpilibyście na naszym miejscu: przypuśćmy, że w żywność na piętnaście dni możecie zaopatrzyć najwyżej trzydziestu ludzi, a pozostali, przeszło trzy setki,

muszą wracać bez niczego — przebijać się przez puszcze

55

i błota, całymi tygodniami walczyć z dziką przyrodą, nie mając co włożyć do ust.

- Tak źle sprawy nie stoją.
- Owszem, proszę was, owszem! — zawołał Enos. — To są nasze widoki na najbliższą przyszłość. Proszę, jak postąpilibyście na naszym miejscu?
- Przede wszystkim — odrzekłem powoli — kazałbym całą żywność złożyć w jedno miejsce i dokonałbym obrachunku.
- Co przez to chcecie powiedzieć?
- Z pewnością macie więcej żywności, niż wam się zdaje.
- U diabła! — zaczął pułkownik, purpurowy z wściekłości, ale Williams go powstrzymał.
- Pułkowniku, prosiliśmy o szczerość, oto ją mamy. — Grzecznie przemówił do mnie: — Chciałbym, abyście w rozpatrywaniu tej kwestii nie kierowali się, zacytuję zresztą, pobudkami osobistymi. Nasi żołnierze drżą z obawy, że prowiantów nie starczy. Poza tym dbać musimy o chorych, których przysyłają Morgan, Meigs i Greene. Czy uważacie, że powinniśmy chorych skazać na śmierć głodową w puszczy?
- Jasne, że nie.
- Uważacie więc, że powinniśmy dać im tyle żywności, ile trzeba, aby bezpiecznie dotarli do osad, jako że bez żywności musieliby skonać?
- Tak uważam.

- Jeżeli tak — dalej ciągnął kapitan Williams — to musicie uznać, że jedyna droga, jaka nam pozostaje, to cofnięcie się wraz z całą dywizją.
- Do kroćset piorunów! — zawołałem z niesmakiem.
- Ależ nie możemy uczynić dwóch rzeczy jednocześnie! — wywodził kapitan Williams. — Nie możemy odesłać chorych do domu, a zarazem posuwać się naprzód. Sami powiedzieliście, że chorym należy dać żywność. Jeżeli zaopatrzymy chorych, nie ma mowy aby dla kogoś jeszcze starczyło na piętnaście dni. Pułkownik Arnold zażądał tylko tych ludzi, którzy potrafią się wyżywić przez piętnaście dni. Nie ma takich. Obowiązkiem naszym jest powrócić.
- Wasze rozumowanie byłoby bez zarzutu — rzekłem hamując wzburzenie — gdybyście w samej rzeczy mieli tak mało prowiantów, jak powiadacie.
- Kto, zdaniem waszym, lepiej się w tym orientuje: wy czy my? — miodowym głosem zapytał kapitan Williams.

56

- Sądzę, że ja bym się zorientował lepiej, gdyby mi dano przeliczyć prowianty bez ryzyka, że któryś z waszych dzielnych chłopców wypali mi w łeb z muszkietu.
- Ani myślimy was narażać!
- Dobrze to rozumiem — rzekłem. — Nie chcecie narażać nikogo, a zwłaszcza samych siebie.

Nieraz później, budząc się po nocach, żałowałem następnych swoich

słów. Ale do prawdziwej furii mnie doprowadziły jezuickie wykręty tego Williamsa.

—Poradzę wam coś — rzekłem. — Gdybym był na waszym miejscu i myślał tak, jak wy myślicie, panowie oficerowie, spakowałbym manatki i zawrócił, choćby mi wystarczyło zapasów na wyżywienie i tysiąca ludzi! Zwiąłbym do domu, pozostawiając boje i znoje tym, którzy nie żyją z miarką w rękę, tym, którzy ufają, że własnym wysiłkiem i Bożym działaniem zdobędą obuwie dla bosych stóp, powietrze dla chorych płuc i pożywienie dla pustych żołądków.

Wyszedłem z namiotu licząc, że za chwilę dostanę kulę w łeb lub przynajmniej tęgi cios pięścią od tyłu.

Na mój widok Natanis i Hobomok skierowali kanadyjkę do brzegu. Kiedy wsiadłem, zbyt zgnębiony, aby należycie powitać łup myśliwski leżący na dnie — dwa szopy i wiązkę pięknych tłustych kuropatw — doszedł mnie zrzędlawy głos Enosa: — Przykażcie pułkownikowi Greene'owi, aby oczekiwał mnie jutro rano. Chcę z nim odbyć naradę wojenną.

Z jego tonu wyczytałem więcej, niż powiedziały same słowa. Chętnie bym wziął z wiązki największą kuropatwę i zatkał nią staremu głupcowi krtań.

Kiedyśmy o zmierzchu płynęli ku obozowi Greene'a, deszcz przeszedł w śnieżycę. Wśród wirujących płatków śniegu i mroku coraz trudniej było obchodzić wodospady. Myślę, że bez Natanisa zbłądzilibyśmy. Potykałem się na każdym kroku, bo myśl moja krążyła dokoła kwestii prowiantów, na których brak uskarżał się Enos i jego podwładni. Nie wierzyłem wówczas, że są aż tak biedni, i po dziś dzień w to nie wierzę. Zapewne

żołnierze czwartej dywizji, śmiertelnie wystraszeni opowieściami Treeworgy'ego, poukrywali żywność, aby skorzystać z niej potem w czasie odwrotu. Ale jeśli moje domysły były słuszne, to Enos i jego oficerowie doprawdy znaleźli się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Gdyby posunęli się naprzód, pozostawiając chorych na pastwę głodu, zarzucano by im okrucieństwo. Gdyby zawrócili i, porzucając

57

armię, udali się do domu, oskarżono by ich o tchórzostwo. Tak źle i tak niedobrze.

Dotkliwie nękała mnie świadomość, że Treeworgy od samego początku miał niezadowolenie wśród żołnierzy Enosa, a ja, mając co do niego podejrzenia, nie zdołałem jednak dotrzeć do jądra sprawy. Niewielka to była pociecha, że jeśli Enos zawróci, zabierze z sobą również Treeworgy'ego.

Panowała już zupełna ciemność, gdy poprzez gąszcz śnieżnych płatków dostrześliśmy biwakowe ognie Greene'a. Diabli mnie brali. Trząsałem się z gniewu i zimna, odzież miałem przemoczoną na wskroś, a w stopach czułem nieznośne palenie. Nic dziwnego, bo wszystkie przeprawy dokoła wodospadów odbyłem w butach tak podziurawionych, że lepiej już chodzić boso.

Ale gdy zostawiłem Natanisa i Hobomoka na brzegu, zleciwszy im rozpalić ognisko pod osłoną wywróconej kanadyjki, a sam z szopami i kuropatkami na ramieniu udałem się do namiotu Greene'a, aby mu powtórzyć prośbę Enosa — doznałem tak radosnego przyjęcia, że zrobiło mi się ciepło, niż gdybym wdział grubą, suchą koszulę, a mrok, który wywozłem z obozu Enosa, uleciał niby przez otworzone w głowie jasne

okno.

Cenię powagę i umiar, mam uznanie dla postawy dostojnej i majestatycznej. Ale kiedy chodzi o bojowy marsz i bitwę, wolę mieć towarzyszy lekkomyślnych i wesołych. Tacy właśnie biją się i maszerują, podczas gdy ci dostojni rozważają, co, gdzie, dlaczego i jak.

—Boże mój! Boże mój! — wykrzykiwał pułkownik Greene, machinalnie obmacując szopa i oddając go majorowi Bigelowi. Ten wziął zabite zwierzę na ręce, jak dziecko. — Przykre przy wozicie wiadomości od Enosa, chociaż, prawdę mówiąc, na nic innego nie liczyłem. Ha, spodziewam się, że pułkownik postąpi zgodnie ze swoim sumieniem.

Bigelow, szczupły, ogorzały facet o krzaczastych czarnych brwiach, znany z tego, że w najsmutniejszych chwilach wybuchał kaskadą sztucznego śmiechu, ułożył sobie szopa na kolanach i z zabawną troskliwością zaczął przebierać jego sierść. Nagle zagwizdał wysoko i z udanym przerażeniem wskazał na rozchylone włoski szopowego futra. Po białej skórze zwierzęcia powoli spacerowała wielka, czarna pchła. — Pułkownik Enos! — z namaszczeniem rzekł Bigelow.

- Prędko się rusza, he? — zagadnął go kapitan Thayer.
- Tak — potwierdził Bigelow. — Odchodzi na południe.

58

- A niech sobie idzie — rzekł kapitan Topham. — W przeciwnym razie po zdobyciu Quebecu będziemy musieli czekać tam na niego ze dwadzieścia lat.
- Panowie! Panowie! — mitygował ich pułkownik Greene.
- Panowie, panowie, hamujcie się w mowie — przedrzeźniał go

Bigelow. Wyszedł z szałas i cisnął szopa kucharzowi, który stał przy pniu sosny, pochylony nad parującym kotłem. — Masz, Łukaszu, zapraw tym papkę — krzyknął. — Ale ma być gęsta! Co najmniej pięć ziaren mąki na szklanę wody!

Powrócił do Greene'a. — Enos to stara baba, a nie oficer, pułkowniku! Dobrze o tym wiecie. Nie bądźcie dla niego zbyt pobłażliwi! Gdyby Niebiosa uczyniły go kwoką, wprzód spojrzełyby pod siebie ze dwa razy, aby sprawdzić, czy jajko już jest, a potem dopiero odważyłbym się zagadać. Ha, znaleźć się z nim sam na sam za gęstą sosną! Pędziłbym go kopniakami aż do Noridgewock! Nie wymyślajcie mi, proszę, od panów! W sprawach dotyczących Enosa nie jestem żadnym panem, ale zwyczajnym poganiaczem bydła, i chętnie bym tak wziął bicza i chlasnął przez łeb!

- Możliwe — rzekł pułkownik — że on naprawdę nie ma już prowiantów. A jeżeli tak, to nie zazdroszczę mu. Pod jego opieką znajdują się chorzy ze wszystkich dywizji.
- Brednia! — ryknął Thayer. — Jakim cudem Enos może nie mieć prowiantów, skoro wyruszając był dwa razy lepiej zaopatrzony niż każdy z nas?
- A co wy o tym sądzicie? — zapytał mnie pułkownik.
- Trudno mi powiedzieć — odrzekłem. — Z początku myślałem, że Enos, Williams i McCobb to po prostu wierutne tchórze, i krzychałem na nich jak opętany. Ale cóż, ich żołnierze są wystraszeni i nachmurzeni, drżą o własną skórę, a gwizdzą sobie na Enosa i całą armię. Nie jest wykluczone, że zmarnowali żywność gotując ponad potrzeby. Może też w tajemnicy przed Enosem i oficerami

poukrywali część zapasów.

- Diabła tam! — wrzasnął Bigelow. — Mógł wziąć choćby garstkę ludzi i walić z nami. Co wam się zdaje? Że będziemy się cofać, jeżeli nie dostaniemy żywności na piętnaście dni, jak pisze pułkownik Arnold? — Przybrał teatralną pozę. — Nie cofnę się, choćbym miał żarcia tylko na czternaście i pół dnia! — Zaniósł się piskliwym, sztucznym śmiechem. My również, śmieliśmy się z jego błazeństw, dobrze wiedząc, że gotów jest maszerować na Quebec wraz z pułkownikiem i całą dywizją, choćby mu przyszło przez cały czas wyprawy żyć o jednej kwaterce mąki.

59

Nie zamierzam uchodzić za znawcę, który czyta w twarzach, wielu bowiem widziałem na wojnie ludzi wesołych, gdy wszystko przemawiało za tym, że powinni się smucić, i smutnych, gdy istniały wszelkie powody ku radości. Ale jeżeli pułkownik Enos wyglądał na zgnębionego, kiedy przybyłem do niego z listem, jakże wielkie musiało być jego przygnębienie następnego dnia!

Ziemię okrywała kołdra śniegu. Ostre powietrze szczypało w uszy i kolana, ziębiło, przenikało na wskroś. Może zbyt się tu szeroko rozwodzę na temat mrozu panującego nad Kennebekiem, ale trzeba pamiętać, że był to jeden z głównych naszych wrogów i że późną jesienią tego roku napłynęły do Wysokiego Łądu masy szczególnie chłodnego powietrza, pełzające i wijące się zakrętami rzeki, zbijające się w falującą, lepka mgłę, co zapełniała sobą całą rozległość doliny.

Po wtóre tego dnia zwalili się Enosowi na głowę choroby. Nie przypominam sobie, w ilu płynęli łodziach, ale było ich z dywizji

Morgana i Meigsa dwudziestu pięciu, a sześćdziesięciu od Greene'a, przy tym wszystkich tak wycieńczyła biegunka, że ledwo stali na nogach, i tak pokręcił reumatyzm, że jeśli podczas okrążania wodospadu któryś upadł, co się zdarzało nieraz, musiał raczkować na czworakach, póki koledzy nie rzucili się ku niemu i nie dźwignęli z ziemi.

Ledwo się rozwidniło, Greene wysłał naprzód swoją dywizję, a sam został w obozie wraz z Bigelowem i innymi oficerami, czekając na Enosa.

—Po skończonej naradzie — oświadczył mi — zgłóście się po komunikat dla pułkownika Arnolda.

Rozdeptując świeży śnieg na brudną papkę, żołnierze schodzili ku rzece, wsiadali na łodzie. Była ich zaledwie setka, sami obszar-pańcy, a dwóch nawet boso. Sądzę, że podeszwy ich stóp zdążyły nabrać twardości skórzanych mokasynów.

Zahaczyłem biegnącego Burra i zapytałem, co z Jacataquą.

—Poszła polować — rzucił mi przez ramię. — Jeżeli jeszcze tu zostajecie, niech ten wasz obywatel Pitt zdobędzie coś do jedzenia. Na dziś wystarczyłaby mi dobra, soczysta wrona!

Oznajmiłem przeto Natanisowi i Hobomokowi, że daję im jakieś trzy godziny na polowanie. Nie wiedziałem wtedy, jak gorzkie będą tego polowania owoce. Chociaż, prawdę powiedziawszy, nie żałowałem, dawno bowiem doszedłem do wniosku, że gdybyśmy żalowali i starali się na przyszłość uniknąć wszystkich tych drobnych posunięć, które przyniosły nam klęskę i gorycz, w rezul-

60

tacie musielibyśmy strawić dni żywota na pustych żalach i zgryzotach.

Było już południe, gdy na rzece pojawił się Enos ze swymi oficerami:

Williamsem, McCobbem, Scottem, Hyde'em i Petersem. Tyle już lat minęło, a przecież, pisząc ich nazwiska, nie mogę powstrzymać przekleństw, które mi się cisną na usta, chociaż w głębi serca wiem, że ich postępowanie było podyktowane względami całkowicie zrozumiałymi. Łodzią, która ich przywiozła, kierowali Treeworgy i Swashan. Od razu pojąłem, że nie zamierzają płynąć dalej, gdyż w łodzi nie było ani prowiantów, ani sprzętu.

Stłoczyli się w namiocie pułkownika Greene'a. Po jakimś czasie przysiadłem w pobliżu, aby podsłuchać, ile się da. Przemawiał major Bigelow, a ton jego był tak lekceważący, jakby tu chodziło o zeskrobanie małżów z dna szalupy.

- Na diabła się zda mleć ozorem, jakie rozkazy wydałby Arnold, gdyby wiedział, że to i tamto, i owo. Z tego, co słyszałem, rozumiem jedno: nie chcecie spełnić rozkazów już wydanych, ponieważ Arnold zbyt wysoko ocenił wasze możliwości. Co takiego Arnold powiedział? Że nie chce chorych i tchórzów, że potrzebni mu wojownicy. Ja, panowie, idę z Arnoldem, i moi ludzie tak samo. I żadne mielenie ozorem nic tu nie zmieni!
- Ależ prosta kalkulacja wam wykaże — skamlał Enos — że sama przeprawa przez Wysoki Łąd potrwać musi co najmniej trzy dni, dwa dni zużyć trzeba na drogę do jeziora Megantic, a dalsze trzy dni...
- Za przeproszeniem pana pułkownika — przerwał major Bigelow — nie mam obowiązku kalkulować i kalkulować nie będę. Moją rzeczą jest maszerować na Quebec i nie tracić czasu na kalkulacje.
- To samo zrobię i ja — rzekł kapitan Thayer miodowym głosem.
- Zapominacie, że oficer jest odpowiedzialny nie tylko za siebie, ale i

za swoich żołnierzy — dowodził pułkownik Enos. — Muszę myśleć o swoich żołnierzach.

- Na świętą makrelę! Za przeproszeniem pana pułkownika — zawołał Bigelow — co byście zrobili, gdyby nam przyszło wystawić żołnierzy na ogień brytyjskich dział? Nie ma żadnych pisemnych glejtów, że do tego nie dojdzie. Co wy sobie wyobrażacie? Że owiniemy ich w piernaty i pozwolimy wysadzić głowy na świat dopiero wtedy, gdy na murach Quebecu nie zostanie już ani jednego obrońcy?

61

- To zupełnie inna sprawa — rzekł pułkownik Enos. — Muszę pamiętać o moich żołnierzach.
- Tak samo ja! — zawołał Bigelow. — Muszę pamiętać o żołnierzach, o pułkowniku Arnoldzie, o żołnierzach dywizji Morgana i Meigsa. Dlatego płynę dalej!
- Moi ludzie odmawiają posłuszeństwa na wypadek, gdybym rozkazał im iść dalej — powiedział Williams.
- Moi również — rzekł McCobb.
- I moi — powtórzył Scott.
- Panie — rzekł Enos zwracając się pozornie tylko do Bigelowa. — Nie pozwolę, aby wzruszano ramionami, kiedy moi oficerowie obliczyli i ustalili pewien fakt, na podstawie którego mamy powziąć postanowienie. Takie wzruszenie ramionami jest niegodne oficera i człowieka honorowego!

Co na to odpowiedział Bigelow, nie wiem, bo na ramieniu poczułem

czyją rękę. Odwróciłem się. Za mną stał Natanis.

- Gdzie czółno? — zapytał.
- Nasze czółno?

Skinął głową. — Znikło razem z żywnością i derkami.

- Treeworgy! — krzyknąłem ze ściśniętą krtanią. Biegiem rzuciliśmy się ku miejscu naszego zaobozowania. Nie musieliśmy długo badać śladów prowadzących do rzeki, aby zrozumieć, że zostaliśmy obrabowani przez Swashana i Treeworgy'ego. Ze szczyb w linii brzegowej widać było, że popłynęli w górę rzeki.
- Jak daleko — zapytałem Natanisa — do twojej zapasowej kanadyjki?
- O dziesięć lotów kuropatwy. Ale na tamtym brzegu.

Było to około mili. — Prędko! — rzekłem. — Bierz kanadyjkę Greene'a, przepraw się razem z Hobomokiem i odkopcie czółno! Na miłość Boską, piorunem! Ten Treeworgy ma nieczyste zamiary! To szpieg!

Nic przypominam sobie, aby nowo wytworzona sytuacja wprowadziła mnie w szczególną rozpacz, pomimo że straciłem muszkiet, całą żywność i derki. Miotła mną tylko jedno pragnienie: czym prędzej wziąć Treeworgy'ego za gardło lub na muszkę celownika. Hobomok i Natanis mieli przy sobie muszkiety, a w kapciuchach sznury rybackie, skałki i stal. Ale prawdę powiedziawszy, nie przewidziałem, że Treeworgy spleta nam takiego figła. Aż w dołku mnie ścisnęło od złych przeczuć.

Zbliżyłem się do Greene'a i Enosa, którzy właśnie wychodzili z namiotu, za nimi reszta oficerów. Enos głośno zażądał Treewor-

gy'ego. Bigelow i pozostali oficerowie Greene'a skierowali się ku swojej łodzi, nie rzuciwszy nawet pożegnalnego spojrzenia świecie Enosa.

- Pozdrowienia dla pułkownika Arnolda — rzekł Greene z takim wyrazem twarzy, jakby przed chwilą zjadł coś ohydneho. — Powiedzcie mu, że moja dywizja, zmniejszona do liczby stu i siedmiu przydatnych bojowo żołnierzy, dąży za nim.
- A wynik narady? — zapytałem.
- Ze wstrętem powierzam wam tę wiadomość — rzekł łagodnie. — Oficerowie pułkownika Enosa wypowiedzieli się przeciwko dalszemu marszowi pod pretekstem, że mają za mało żywności, a wśród żołnierzy szerzą się nastroje paniczne. Pułkownik Enos głosował podobnie jak my, za dalszym marszem, ale, ulegając prośbom swoich oficerów, postanowił wrócić razem z dywizją.
- Patrzałem na niego, a on na mnie. — Czy to wszystko? — zapytałem.

Chyba wszystko — westchnął. — Sprawa przykra i bolesna. Enos naturalnie stanie przed sądem wojennym.

—Nietrudno mu będzie się wykręcić — zauważyłem — przy takich świadkach, jak Williams i McCobb, a w nieobecności Bigelowa i Thayera.

Greene skinął głową i odwrócił się. Zaczynał być dowódca, dzielny i szlachetny, ale myślę, że grzeszył zbyt dużą łagodnością i wyrozumiałością. A łagodność i wyrozumiałość nie popłacają w armii, w której nie wszyscy oficerowie są równie zacni i szlachetni, bowiem idealnej armii nikt jeszcze nie stworzył.

Ukryty wśród sosen niedaleko naszego obozowiska, przyglądałem się

Enosowi, który dla rozgrzania stóp rozbijał kopniakami grudy śnieżne i rozglądał się po rzece za Treeworgym. Wreszcie zjawili się Natanis i Hobomok, sterując pod prąd w małej kanadyjce, najwidoczniej dobrze obciążonej, bo woda pieniała się przy obu burtach. Pośrodku kanadyjki stał jakiś dziwaczny, sporych rozmiarów przedmiot, okryty derką. Zatrzymali się pod przeciwległym brzegiem, a gdy się ukazałem, popłynęli ku mnie. Obok okrytego derką przedmiotu leżał nowy muszkiet.

- Co ty tam wiesz? — zapytałem Natanisa.
 - Pół beczki mąki — rzekł Natanis — o którą proszono obywatela Pitta.

Słyszając za sobą bas Enosa, szybko wsiadłem do kanadyjki. — Hola! — zawołał, gdyśmy ruszyli w górę rzeki. — Przewieźcie mnie do mojego obozu!

63

— Za przeproszeniem pana pułkownika — rzekłem naśladowując styl majora Bigelowa — ale pan pułkownik może mnie pocałować gdzieś!

Kiedyśmy go stracili z oczu, on wciąż jeszcze miotał się na brzegu, wzywając Treeworgy'ego. Z całego serca mu życzyłem, aby miotał się tak aż do u..anej śmierci.

V

Piękna przyroda zawsze wywiera na mnie silne wrażenie, a wiele mi opowiadano o urokach Łańcucha Stawów, który opiera się o Wysoki Łąd i poniekąd nań zachodzi, dając początek tej mroźnej rzece, tak krętej i burzliwej, że z jej splotu człowiek wychodzi okaleczony i bezwładny. A

przecież te stawy wydały mi się jakimś okropnym przywidzeniem, gdy wraz z towarzyszami swymi żeglowałem po nich wśród październikowego wiatru i śniegu. Myślę więc, że łagodne wzgórza, piramidy głazów, przejrzyste głębie nie stanowią jeszcze o pięknie. Nie oddałbym jednego akra moich poszarpanych piaszczystych dziur w Arundel za wszystkie stawy górskie świata.

Niewiele też piękna dostrzegłem w owych dzikich, bezładnych krajobrazach, które dzieliły nas od Kanady. Ślepotą moją miała swoje przyczyny. Po pierwsze, w twarze nam leciał kłujący śnieg, nie pozwalając widzieć nic poza najbliższymi drzewami. Po drugie, szliśmy przez taką gęstwą krzaków i zwałonych pni, że nie chcąc stracić wzroku, musieliśmy rękę przykładac do czoła. Po trzecie, trzymałem się wskazówek Natanisa, który twierdził, że podczas uciążliwych marszów i trudnych wspanię najlepiej patrzeć przed siebie w ziemię: wtedy i szybciej się wędruje, i oszczędza się sił.

Pewno, że lepiej poznałbym ten kraj, gdyby mi wypadło swobodnie włóczyć się po nim i strzelać do łosiów i rysiów, gdybym na nogach miał mocne buty, w brzuchu trzy razy dziennie porcję gorącej stawy, a przed szłałem trzaskający ogień dla rozgrzania zdrętwiałych mięśni i przegubów. Ale ogólny zarys terenu pamiętam do dziś dnia, bo często tam powracam w gorączkowych snach, kiedy wszystkie przedmioty nabrzmiewają i nabierają potwornych kształtów, stają się bliskie, lecz niedosiężne, natarczywe, lecz nieuchwytnie.

W snach widuję niebotyczny kamienny mur, podobny do murów, które budujemy z nieciosanych szarych głazów, zalegających

nowoangielskie pola. Mur ten przecina bagno, w którym zamarzły, odtajały i mieszały się z sobą ślady miliona olbrzymich krów. Z jednej połowy bagna pnie się po murze i opada ku drugiej połowie długa, kręta łodyga wiciokrzewu. Po tej łodydze wędruje tłum małych czerwonych mrówek, przystaje raz po raz, omackiem bada dalszą drogę, podciąga się wzwyż, opada, znowu się podciąga, prze dalej, rozsypuje się, znowu zwiera szeregi, ale wciąż, nieustannie, dąży przed siebie.

Na kształt tego muru Wysoki Łąd, straszliwy, skalnymi najeżony zębami, rozdziela bagniska Północy. Południową stronę zajmują błota Łańcucha, rzekłbyś, ślady olbrzymich kopyt, zostawione w bagnie stuleci, z którego spływa na południe olbrzymi dział wodny. Na północy ciągną się błota otaczające jezioro Megan-tic. W tych błotach bierze początek rzeka Chaudiere i wszystkie inne rzeki i strumienie, wpadające do Rzeki Świętego Wawrzyńca. Szlak, którym wędrowaliśmy, przypominał splątana, skręconą łodygę wiciokrzewu, a my byliśmy jako mrówki, z mozolnym trudem pełznące naprzód, uparcie, zawzięcie.

Zostawiwszy rozwścieczonego Enosa na pastwę śnieżnych płatków, ruszyliśmy przed siebie, ile mocy w wiosłach. Pilno nam było dopaść Treeworgy'ego, niestety śnieg i zapadający mrok zmuszały do ostrożności. Wyminęliśmy Greene'a, a po jakimś czasie zrównaliśmy się z Burrem, któremu towarzyszył w łodzi nasz wojskowy kapelan, wielebny Spring, wesoły młodzieniec z kolegium Princeton, cierpiący na odmrożenia. Krył się z tą swoją dolegliwością, aby nie odejmować ludziom otuchy. Biedaczysko nie wiedział, jak wiele jest spraw w wojsku zatajonych przed okiem i uchem kapelana.

—Hej, wy — zawołałem, gdy nasza kanadyjka podpłynęła do łó

dzi. — Enos cofnął się wraz z całą dywizją. Macie tu ździebko mąki.

Burr wybuchnął stekiem wyzwisk, dostępnych tylko człowiekowi znającemu Biblię.

- Amen — rzekł wielebny Spring, ukradkowo rozcierając palce odmrożonych nóg.
- Tak czy owak — przemówił Burr, skończywszy przeklinać Enosa — cieszę się, że obywatel Pitt wypełnił swój obywatelski obowiązek. Serdecznie wam dziękujemy, obywatelu Pitt! — uchylił kapelusza i skłonił się Natanisowi, który aż wyszczerzył zęby w uśmiechu.

—Skąd oni to wytrzasnęli? — zwrócił się do mnie.

Natanis wygłosił parę szybkich zdań po abenacku.

65

- Ha — powiedziałem — wolałbym nie wiedzieć, bo zawsze istnieje możliwość opaczego pojmowania, ale w tym wypadku, zdaje się, że w grę wchodził czysty przypadek. Obywatel Pitt znajdował się nie opodal grupy żołnierzy Enosa, gdy naraz w lesie rozległ się straszliwy krzyk, taki krzyk, jakiego ludzkie ucho nigdy nie słyszało. Żołnierze tak byli tym krzykiem ogłuszeni, że niechcący upuścili mąkę, muszkiet i trzy derki, które przydały nam się w sam raz.
- O — rzekł Burr tonem głębokiego zrozumienia — to tłumaczy sprawę bez reszty.
- Pan Bóg daje i Pan Bóg zabiera — zauważył wielebny Spring, starannie owijając derką stopy.

Nazajutrz skoro świt ruszyliśmy dalej. Wprawdzie zawieja śnieżna ustała, ale na szlakach lądowych zagradzali nam drogę żołnierze z dywizji

Meigsa, mozolnie posuwający się, naprzód z łodziami na plecach i raz po raz poślizgujący się w rozmiękłym terenie. Dopiero koło południa stanęliśmy u Łącucha Stawów. Każdy staw był otoczony pierścieniami gór, które spowijały nas niby kołdry mroku. Nie sposób było wśród nich oddychać pełnią piersią, tak jak oddycha się wśród solankowych błot i srebrzystych plaż mojego ojczystego Arundel.

Przeplýwaliśmy stawy okrągłe, stawy jajowate, stawy postrzępione, niby sięgająca ku nam palczasta dłoń, stawy w kształcie klepsydr nanizanych na nitkę rzeki, na rzekę wijącą się, krążącą, to malejącą i niknącą w błotach, to nagle zaskakującą nas spoza upłazów skalnych; przebywaliśmy stawy małe, stawy średnie, stawy duże, aż w końcu mieliśmy tych stawów po dziurki w nosie. Do dziś dnia na widok stawu robi mi się mdło. Ale Łącuch Stawów ma jedną wielką zaletę: tak jest różnorodny, że może zaspokoić wymagania najwybredniejszego miłośnika stawów, bajor i pojezierzy.

Dogoniliśmy żołnierzy Morgana w chwili, gdy płynęli wzdłuż brzegów stawu, który zdawał się nie mieć wylotu. Natanis puścił naszą kanadyjkę przodem i przeprowadził nas do następnego, ukrytego stawu z taką pewnością siebie, z jaką mieszkaniec Fal-mouth udaje się z domu do przystani. W ostatni czwartek października — znowu pamiętam tę datę, ponieważ następnego dnia przypadał piątek — o zmierzchu dotarliśmy do ostatniego, największego stawu. Kiedyśmy wpłynęli na jego spokojną powierzchnię, zamajaczyła przed nami granatowa, odziana lasem ściana Wysokiego Łądu, czarna na tle bladego, październikowego nieba.

podszedłem do grupy żołnierzy Morgana, którzy wylądowali w naszym sąsiedztwie. Dowiedziałem się od nich, że Treeworgy w towarzystwie nieznanego Indianina wyminął ich wczesnym popołudniem.

- Czy mówił coś o Enosie? — zapytałem.
 - Ani słówka — odparł jakiś Wirgińczyk, zajęty naszywaniem kawałka wiewiórczej skóry na dziurawe szarawary. Mówił przeciągle, cedząc zgłoski. — Przeleciał obok nas jak świnia goniąca węża. Więc co z tym Enosem?

Opowiedziałem. Dryblaszy stłoczyły się dokoła mnie, słuchając uważnie, żując w milczeniu sumakowe liście i korę wierzbową, nie pozwalając sobie nawet splunąć, póki nie skończyłem. Wreszcie rzekł jeden z nich:

— Żeby mu wygniły najpierw zęby, potem mózg, potem język, potem wnętrzności. Żeby go sto lat trzęsła cholera! — Ozdabiał swoje przemówienie takimi kwiatuśkami, że bujne słownictwo Burra wyglądało przy tych wonnościach niby szczebiotanie młodej panienki. Zawtórowały Wirgińczykowi chóralne przekleństwa ko legów. Z Enosa i jego rodziny niebawem zostały tylko cuchnące strzępy.

Nieraz słyszałem, że dzisiejsze przeklinanie to już nie to, co za czasów mojego dziadka. Wtedy ponoć i przeklinający, i przeklinany traktowali sprawę poważnie i jeżeli klęło się, to za jakiś grzech lub przywarę. Dzisiaj człowiek klnie wszystkich i wszystko, bez powodu, bez wyboru: gałązkę, która trzasnęła go w policzek, ptaszka, któremu zachciało się śpiewu akurat, gdy jemu zachciało się spać. Może to rozróżnienie nawet jest słuszne. Ale przekleństwa, które spadały na głowę pułkownika Enosa, były

równie poważne, jak wykwintne i wymyślne. Jeżeli nie miały się ziścić, to już w skuteczność żadnych przekleństw nie wierzę.

W piątek o świcie, w ostatni piątek października, ruszyliśmy przez Wysoki Łąd. Zawsze wysoko ceniłem żołnierskie zalety karabinierów Morgana, ale tego dnia przekonałem się, że są ponad wszelkie pochwały. W późniejszych czasach, ilekroć przy mnie rozpowiadali o swoich wyczynach, co nieraz się zdarzało, czułem, że kto jak kto, ale oni z pewnością mają prawo się chełpić.

Zapasy armii wyglądały mizernie. Z żywności pozostały zaledwie okruchy, a i sporo amunicji się zepsuło, gdyż do baryłek z prochem przeciekła woda. Chcąc wygłodniałym żołnierzom ułatwić przemarsz przez straszliwą pięciomilową ścianę Wysokiego Łądu, Arnold

67

dał znać przez łączników, żeby każda kompania zabrała tylko jedną łódź, skrzynię medykamentów i najnieodzowniejszy sprzęt. Resztę dobytku kazał ukryć przy ostatnim stawie Łańcucha.

Ale karabinierzy Morgana, rozwścieczeni dezercją Enosa, ani chcieli słyszeć o tym. Gdy już staną na ziemi kanadyjskiej, mówili, nie życzą sobie, aby brak środków transportowych utrudniał im dalszy marsz, poza tym szkoda im było tych szczupłych zapasów, które ochraniali z takim poświęceniem. Wobec tego postanowili przenieść przez góry wszystkie swoje łodzie — a mieli już tylko siedem. Spełnili swój zamiar, ale przy tym starli sobie skórę na barkach tak dokładnie, że aż przeświecały nagie kości.

Kiedyśmy mijali tych ludzi, pnących się powoli wysokogórskim szlakiem, ciągnących łodzie na podobieństwo mrówek, które wloką

przedmiot nieskończenie przerastający ich własne rozmiary, pomyślałem sobie, że Roger Enos może znaleźć usprawiedliwienie w oczach całego świata, ale w pojęciu tych, którzy nie przełękli się dalszej drogi, zawsze będzie tylko tchórzliwym, skamlającym szczeniakiem.

Mając na uwadze, że szlak, którym posuwali się karabinierzy Morgana, wyrąbany został przez porucznika Steele'a, porucznika Churcha, Capa Huffa i kompanię dwudziestu drwali, nie chciałem zbyt wydukać się na czoło, aby nie narażać Natanisa. Poza tym bałem się zasadzki ze strony Treeworgy'ego, który zapewne nie o wiele zdołał nas wyprzedzić. Zeszliśmy ze szlaku i Natanis poprowadził nas ku wąskiej, krętej ścieżynce, jakby przebitej przez jelenie. Ścieżynką tą pięliśmy się jak akrobaci po linie.

Nie wiem, jak wygląda piekło, ale jeżeli podobne jest do Wysokiego Łądu, wolałbym tam się nie znaleźć. Niejeden widziałem las trudny do przebycia, ale tu, na stosunkowo małym obszarze, stłoczyły się chyba wszystkie niedogodności świata.

Drzewa były wyschłe i karłowate. Rosły na butwiejących kościach innych lasów, które zostały zrównane z ziemią, jak twierdził Natanis, przez straszliwe zawieruchy nawiedzające to pasmo. Co parę kroków trafialiśmy na pnie zwalone przez wiatr, na gniazda martwych sosen, powiązanych młodymi, zielonymi pędami, zasieki nie do przebycia, zastawione przez przyrodę. Gdyśmy dotarli do wyższych rejonów, wilgoć, wbrew spodziewaniu, bynajmniej nie znikła. Zbocze było usiane błotnistymi wybojami, wilgotne wyrwy biegły przez gęstwinę, która martwymi gałązkami raniła nam twarze. W wąwozach stały cuchnące bagna, a z bagien strzelały w górę prostopadłe ściany, znowu uwieńczone bagnami.

Po wąskiej ścieżynie, dostępnej tylko jeleniom, okrążającej wyboje i bajora, zahaczającej o martwice leśne, Natanis poruszał się krokiem śmiałym i pewnym. Ja nie podjąłbym się iść tędy samopas. Kiedy powiedziałem to Natanisowi, wskazał mi abenackie znaki przydrożne, tak niepozorne, że nic by z nich nie wyczytał ani góral, ani żaden inny północny Indianin: potrójne nacięcia, a raczej draśnięcia na korze, pochylone na lewo lub na prawo, biegnące pionowo ku górze lub na dół, w zależności od kolejnego zakrętu ścieżki. Z Łańcucha Stawów, pouczył mnie, wiodą przez Wysoki Łąd trzy abenackie szlaki: jeden zaczyna się u ostatniego stawu i zygzakiem biegnie do Siedmiomilowego Potoku, spływającego z północnych stoków Wysokiego Łądu w jezioro Megantic; drugi zbacza na prawo i prowadzi na wschodni brzeg jeziora ; trzeci skręca na lewo ku brzegowi zachodniemu. Te szlaki, bez których niemożliwe byłoby polowanie, istnieją od niepamiętnych lat i łączą się między sobą wieloma ścieżkami poprzecznymi. My szliśmy jednym ze szlaków abenackich. Droga wyrębana dla armii była o wiele prostsza i krótsza.

Kiedyśmy dotarli do najwyższej przełęczy i *zaczęli* schodzić, drogę nam przecięła urocza łąka górską, która zdawała się być żywcem wyrwana z nowoangielskich równin i ciśnięta w sam środek tego skalnego chaosu. Ozdabiały ją kępy majestatycznych wiązów i porastała bujna trawa. Przez chwilę zdawało mi się, że jestem na pastwisku gminnym w Ipswich lub na zieleńcu przy Newburyport. Natanis ostrzegł mnie, abym z tego niespodziewanego widowska nie wnioskował, że dalsza droga będzie łatwa. Ta łąka, oświadczył, jest jedyną łąką w promieniu wielu dziesiątków

mil. Abenakowie ją uważają za kolebkę wielkiego ducha Glooskapa. U dolnych jej krańców przepływa Potok Siedmiomilowy, zwany tak dlatego, że po siedmiu milach krętego biegu wpada do jeziora Megantic. Ale okolica, którą przecina ten potok, gorsza jest jeszcze od Wysokiego Łądu, pełna bajor o zdradliwych bagnistych dnach i tak niebezpieczna, że Abenakowie wolą zbaczać przełęczą na wschód lub na zachód, niż zapuszczać się nad brzegi Siedmiomilowego Potoku.

Środkiem łąki biegł szeroki szlak. Znaczyło to, że Church, Steele ze swoją kompanią i sam Arnold szli tędy w kierunku Siedmiomilowego Potoku i jeziora Megantic. Okrążyliśmy łąkę i rozglądając się uważnie, czy gdzieś w pobliżu nie ma Treeworgy^{go}, spuściliśmy kanadyjkę na wody Potoku. Cicho płynęliśmy nurtem, obrzeżonym płaskimi bagniskami. Im niżej spływaliliśmy, tym

69

bardziej zacierały się brzegi. Drzewa i krzewy stały bezpośrednio w wodzie, gdzieś tam trafiała się wysepka, zagłuszona gąszczem krzaków.

Pod wieczór perspektywa oczyściła się z drzew i chaszczów. Dotarliśmy do jeziora. Daleko przed nami, z prawego brzegu, pionowo w mroźne powietrze wzbijał się pióropusz dymu. Pod brzegiem stały łodzie, a nad nim jarzyło się pięć albo sześć biwakowych ogni. Więc dogoniliśmy pułkownika Arnolda!

Wyminęliśmy obóz, aby nieco dalej wysadzić Natanisa na ląd. Miał czekać na nasz sygnał. Po czym zawróciliśmy. Hobomok tak szybko podjechał do brzegu, że gdyby w obozie znajdował się Treeworgy, miałbym go w rękę, zanimby łotr zdołał się obejrzeć.

Na cyplu stał kapitan Oswald, rozmawiając z porucznikiem Churchem i porucznikiem Steelc^em. Kiedy wyskoczyłem z kanadyjki i podszedłem do nich, przerwali rozmowę. — Czy jest tu u was Treeworgy? — zapytałem.

Steele wpatrzył się w nadjeziorną mgłę, a Church, palcem wskazującym pocierając melancholijne oblicze, rzekł pogrzebowym tonem: — Czego wam trzeba?

Dziwna rzecz, pomyślałem. Ci trzej nie przywitali się nawet ze mną. —Cóż to, u diabła? — zapytałem. Odpowiedź nasunęła mi się sama przez się. — Aha! Pewno Treeworgy opowiedział wam o dezercji Enosa. Gdzież jest ten przeklęty pieski syn?

Steele odwrócił się i odszedł. Church w ziemię utkwiał żałosny wzrok.

- Radzę wam zgłosić się do pułkownika, a tymczasem język trzymać za zębami — rzekł Oswald. Jego głos brzmiał nieprzyjemnie.

- Cóż to, do kroćset par beczek? — zawołałem. — Co za giez was ukąsił? Dlaczego traktujecie mnie jak zbrodniarza?

- Na prawo — rzekł Oswald wskazując na indiańską chatę, zbudowaną z kory, a od północy osłoniętą gęstym skupieniem jodeł. Przez szpary migotało światło. Oswald i Church oddalili się. Zostałem sam.

Podszedłem do chaty z uczuciem, jakby mi w żołądku utkwiała grudka lodu. Szarpnąłem derkę zasłaniającą drzwi. W chacie siedział Arnold trzymając na kolanach polowy pulpit. Na mój widok zatrzasnął wieko kałamarza i z łoskotem postawił pulpit na ziemi.

—Na Boga! — zawołał. — Albo jesteście bardzo odważnym

człowiekiem, albo największym głupcem na świecie, jeżeli ośmielacie się tu wchodzić!

—Cóż się stało, na miłość boską? — zapytałem. Serce mi się skręcało od przeczucia.

Oczy Arnolda błysnęły biało w ciemnej, nabrzmiałej twarzy, tak okrągłej jak tykwy, które hodujemy w Arundel. Zmierzył mnie szyderczym spojrzeniem, syknął przeciągle i sięgnął po papiery leżące obok pieńka, który mu służył za siedzenie.

- Proszę — rzekł uderzając ręką w jakiś dokument i wpatrując się we mnie oczami, które, zdawało się, za chwilę wyskoczą z orbit. — Doradziliście pułkownikowi Enosowi, aby wracał do Cambridge wraz z żołnierzami swymi i całą żywnością! Co macie na swoje usprawiedliwienie?
- To jest ohydne kłamstwo! — odparłem, cały się trzęsąc. Pod sercem czułem bolesną, lodowatą próżnię.
- Ośmielacie mi się w żywe oczy zaprzeczać...
- Mało zaprzeczać! Powiadam, że to jest kłamstwo. Powstrzymałem się ze wszystkich sił, klnę się Bogiem! Jak wy możecie stawiać mi taki zarzut?
- Mam raport! — krzyczał Arnold uderzając pięścią w pie-niek. — Mam raport! Czarno na białym! Proszę. Powiedzieliście to kapitanowi Williamsowi w obecności pułkownika Enosa, kiedy was zapytano o zdanie! Na ich miejscu — takie były wasze słowa — spakowalibyście manatki i dalibyście drapaką do domu bez względu na ilość posiadanych prowiantów! Tak czy nie?
- Pułkowniku! — zawołałem. — To były moje słowa. Ale mówiłem

ironicznie! Rozumiecie? Ironicznie! — Dzika kawalkada myśli przetaczała mi się przez głowę. Chciałem je wypowiedzieć wszystkie naraz i wszystkie mi się wymykały. — Na Boga! — tyle tylko zdołałem wykrztusić. — To Treeworgy! Treeworgy słyszał rozmowę.

- Tak — podchwycił Arnold purpurowy z wściekłości. — Treeworgy słyszał!
- Powiadam wam, że sens moich słów był zupełnie inny! Powiedziałem również wiele innych rzeczy. Tu chodziło o coś zupełnie innego!
- Użyliście tych słów, czy nie?
- Tak, ale w innym sensie. Nie, nie pamiętam dokładnie, co powiedziałem. Ale słuchajcie, walczyłem z nimi, omal nie rzuciłem się do gardła Enosowi i Williamsowi! Ten Treeworgy — on jest wszystkiemu winien, oby mu język spłonął! — Gdyby nie Treeworgy, Enos nie musiałby się cofać!

71

- Aha — rzekł Arnold mierząc mnie zimnym, nieżyczliwym spojrzeniem bladoniebieskich oczu. — Więc zwalacie winę na Treeworgy'ego! Co macie przeciwko niemu?
- To skończony łotr! — zawołałem, niemal płacząc z nienawiści. — Ukradł mi żywność, muszkiet i czółno i pędem tu przyleciał, aby nałgać na mnie!

Arnold nie odrywał ode mnie oczu. — Dobrze zrobił! Słyszając, jak doradzacie innym dezercję, wywnioskował, że i sami zbieracie się z powrotem.

- To nieprawda! Nikomu nie doradzałem dezercji! Wolałbym ujrzeć Enosa w drodze do piekła niż do domu! Jeżeli Enos zawrócił na skutek mojej rozmowy, to czym wytłumaczycie, że ja nie zawróciłem wraz z nim? Co na to powiedziałyby wasz prawdomówny Treeworgy? Gdzie on jest, ten szubrawiec?
- Chcecie wiedzieć, co on by na to powiedział? — rzekł Arnold zbliżając się do mnie. Naprężyłem mięśnie sądząc, że zamierza chwycić mnie za gardło. — On to przewidział! Zabrał wam czóło, bo uważał was za tchórze i przypuszczał, że zamierzacie wrócić wraz z Enosem, wobec czego czóło będzie wam niepotrzebne. Jeżeli jednak nie cofnęliście się, potwierdza to, niestety, jego domysły: że jesteście szpiegiem!
- Co?! — zawołałem, daremnie szukając odpowiednich słów. Te słowa, które wydobywały się przez moje usta, były jak chłodne odpryski kutego młotem czerwonego żelaza. — Pułkowniku! To nieprawda! Znacie mnie! Byliście w Arundel, byliście gościem w moim domu i znacie mnie! Znaliście mojego ojca! Znacie matkę moją i siostry! Jakże możecie uważać mnie za szpiega?
- Jeżeli o to chodzi — rzekł Arnold obserwując mnie spode łba — to któż wy ostatecznie jesteście? Oberżysta, handlarz, człowiek, który wszystko gotów sprzedać za pieniądze...
- Do wszystkich diabłów, milczcie!
- Mam milczeć? A to czemu? Zadaniem moim jest przeprowadzić przez te lasy tysięczną armię! Powtarzam słowa Treeworgy'ego. Musiano was przekupić! Daliście się przekupić! Jesteście przekupieni!

- Czekaście! — rzekłem trzęsąc się jak w febrze. — Czekaście!
Zaczekaście jedną chwilę!
- Jesteście przekupieni! — powtórzył Arnold. — Nie pozwolę, aby po mojej armii grasowali tacy jak wy, rycerze spod ciemnej gwiazdy. Nie chcę was więcej widzieć! Jesteście elementem niepożądanym i niebezpiecznym.

72

- Zaczekaście! — wykrztusiłem, sijąc się na coś przekonywającego. — Dlaczego mówicie, że jestem niebezpieczny? Czy dybię na życie Febe lub Noego Cluffa, lub wasze, lub na życie któregokolwiek z moich przyjaciół? Jak możecie w ten sposób mówić! Zaczekaście! Na Boga, zaczekaście! Jakże to? Wiecie, że od lat myślę o podróży do Quebecu, że muszę odnaleźć Mary! Widzieliście Mary, przyjechaliście do mnie, aby mi o tym powiedzieć. Zaczekaście chwilę! Nie pozwoliliście mi się oddalać bez was! Znaście i ją, i mnie. Doskonale mnie znacie! Nie macie prawa w ten sposób mnie traktować! Pułkowniku, przysięgam na wszystko, co mi drogie: od nikogo nie brałem pieniędzy, nie jestem przekupiony! Po cóż mi pieniądze? W jakim celu brałbym pieniądze i zdradzał własny kraj, rodaków, krewnych?
- W jakim celu? — Arnold powtórzył z namysłem. — Bywają cele na pozór błahe, ale bardzo ważne dla zakochanych idiotów! Bramy Quebecu staną dla was otworem! Gdy my będziemy musieli torować sobie drogę z bronią w ręku, tam wy przejdziecie sobie spacerowym kroczkiem, aby rzucić się do kolan swojej białolicej lalce!
- Pułkowniku! — krzyknąłem. — To kłamstwo! Wierutne kłamstwo!

Czekałem wiele lat i doskonale wiecie, że gdyby to było konieczne, czekałbym jeszcze lata!

- Macie krótką pamięć! — rzekł Arnold. — Kiedy byłem gościem w waszym domu, o małości mnie nie rąbnęli stołkiem w łeb, ponieważ zbyt opieszale opowiadałem wam o tej waszej porcelanowej pannie! Czekalibyście! Ha! Ha! Zadurzony człowiek zdolny jest do wszystkiego. Należy go traktować jak szaleńca. Kiedy Treeworgy mnie zapytał, czy przypadkiem nie ma w waszej sprawie kobiety, zrozumiałem, że trafił w samo sedno!
- Ależ na miłość boską! — rzekłem siląc się na spokojny ton. — Nie możecie lekceważyć mojego słowa, a opierać się na słowie Treeworgy'ego. Jestem waszym przyjacielem, a Treeworgy'ego poznaliście dopiero podczas tej wyprawy. Powiadam wam, że to łgarz i obłudnik!
- Tak? — łagodnie powiedział Arnold. — Poznałem go, mówicie, dopiero teraz? I wszystko, co on powiada, jest kłamstwem?
- Tak! Z pewnością! To łajdak! Nakarmił żołnierzy Enosa takimi łgarstwami, że już przy wodospadzie Skowhegan zaczęli przemyśliwać o ucieczce.

Arnold zaśmiał się z cicha. Pod jelonkową bluzą, którą nosił po wierzchu, trzęsły mu się szerokie bary. Ale w niebieskich oczach,

73

które spoglądały na mnie badawczo, nie było wesołości. — Czasami Treeworgy mówi prawdę.

- Nigdy! Każde jego słowo jest wysrane z brudnego palca!
- Czy i to wyssał z palca, że obozowiska armii zwiedza w czólnie

waszym Indianin Natanis?

Zaniemówiłem i tylko wpatrywałem się w niego wytrzeszczonymi oczami. Wpadłem w potrzask.

- Mówcie! — krzyknął Arnold. — Może Treeworgy jest kłamcą, ale tego się nie zaprzecie. Był z wami Natanis, czy nie?
- Był!

Wstał z pieńka. Twarz miał ciemną i nalaną. — Co tu dużo gadać! Ostrzegałem was przed Natanisem. Ostrzegł was generał Waszyngton i ja was ostrzegałem! Dokładnie zbadaliśmy sprawę i wiemy, co wiemy! Natanis jest szpiegiem. Jak wam wiadomo, nie mamy do niego zaufania za grosz. Pomimo to pokazaliście mu całą naszą armię, cały nasz dobytek, aż do ostatniego skrawka wieprzowiny, aż do ostatniej baryłki prochu! Mówiono wam, że Steele ma rozkaz zastrzelić Natanisa, ale wam gwizdać na to! Założę się, żeście go ostrzegli i dzięki wam uciekł w porę!

Wzruszył ramionami, jakby chcąc je wywikłać ze zbyt ciasnej odzieży. — Nie wiem, dlaczego miałbym puszczać mimo uszu słowa Treeworgy'ego, a bacznie wsłuchiwać się w wasze gadanie. I jeśli was to interesuje, przyjmijcie do wiadomości, że Treeworgy oddał mi wiele cennych usług na długo przed początkiem tej wyprawy! To mój stary znajomy!

- Pułkownik — powtórzyłem, nie znajdując argumentów, bo moje myśli krążyły nieporadnie, niby umykający przed psem królik. — Treeworgy to łgarz i obłudnik. Łgarz! Wezwijcie go tu, a zobaczymy, czy odważy się to wszystko powiedzieć mi w oczy! — Mówiąc to, zarazem czułem boleśnie, że gdyby stanął tu Treeworgy z tą swoją skwaszoną, świętobliwą ponurą gębą, jego kłamstwa miałyby więcej

przekonywającej siły niż moja najprawdziwsza prawda.

- Wysłałem Treeworgy'ego na Rzekę Świętego Wawrzyńca z listem do generała Schuylera — warknął Arnold. — Gdybym go tu miał, wasza zdrada, potwierdzona przez fakt obcowania z Natanisem, ujawniłaby się jeszcze wyraźniej. Przyznajecie, że w tym względzie Treeworgy nie minął się z prawdą?
- Pułkowniku — oświadczyłem — daremnie zarzucacie mi zdradę. Natanis nie jest szpiegiem! To człowiek, który chętnie odda życie za naszą sprawę!

74

Arnold pokręcił głową i spojrzał na mnie z wyrazem politowania. — Czyż nie rozumiecie, że przy takim poglądzie może się upierać albo skończony bałwan, albo przekupiony szpieg? On sam to przyznał w rozmowie z Conkeyem. Podobnie twierdzą moi informatorzy z Quebecu i Treeworgy. — Opuścił zaciśniętą pięść na kolano gestem wyłączającym wszelką dalszą dysputę. — Treeworgy nie pomylił się ani co do tego, ani co do innych kwestii. Jesteście szpiegiem, zaprzędanym wrogowi!

—Na miłość boską, pułkowniku! — rzekłem. — Powiadam wam, że nie jestem szpiegiem. Przeciwnie, gotów jestem iść z wami na koniec świata. Oczerniono mnie podle! Choćby Treeworgy szukał schronienia w niebie i schował się pod Bożym podnóżkiem, wyciągnę go stamtąd i zamorduję. To on jest szpiegiem!

Arnold obrzucił mnie ironicznym spojrzeniem. — Jak powiadacie? Pod Bożym podnóżkiem? Ten Treeworgy przeniknął was na wskroś! Zapowiedział mi, że nie mam co z wami gadać, bo usłyszę tylko wyzwiska i bluźnierstwa.

- Co? Błuznierstwa, powiedział? — zapytałem, wściekły na samego siebie, bo słowa i myśli stłoczyły mi się w głowie, bezużyteczne i bezradne, a do głosu dochodziły tylko blahe, drugorzędne szczegóły.
- Nazwał was tchórzem, szpiegiem i bluzniercą!
- Hook! Wiedział, że to jest Hook!
- Hook czy nie Hook, dobrze was określił.
 - Powiadam wam, że to jeden stek kłamstw! Nie jestem szpiegiem, jak szpiegiem nie jest Steele ani Morgan, ani wy!

Twarz Arnolda była czarna, bryłowata, straszliwa. Chodził po ciemnej podłodze chaty jak uwięziony wilk, rzucając mi spojrzenia pełne gorzkiego gniewu. — Nason! Chciałbym wam uwierzyć, ale ta historia z Natanisem jest dla mnie nie do strawienia. Nie jest wykluczone, że we własnym pojęciu postępujecie uczciwie. Może w głębi serca nie jesteście zdrajcą. Nie mam pewności co do waszej winy i dlatego nie zostaniecie rozstrzelani. Ale jedno wiem: spoczywa na mnie odpowiedzialność za bezpieczeństwo armii. Wolę więc nie ryzykować. Nie ma dla was miejsca w moich szeregach!

Ostatnich jego słów prawie nie dosłyszałem, bo w głowie miałem zamęt i natłok myśli — myśli związanych głównie z Mary. Obrazy przetaczały mi się przed oczami niby drobne fale w zatoce, kiedy przyływ bije o brzegi, nakładają się na siebie, aż wreszcie wypełniły mnie bez reszty. Widziałem przed sobą klęczącą Mary.

75

Chwytałem jej ostatnie spojrzenie, kiedy znikła wśród drzew. Wojownicy Guerlaca, wywijając wiosłami, sunęli ku mojej wodnej kryjówce. Natanis, chory, bezwładnie leżący na posłaniu z gałązek jodłowych, opowiadał mi

o sukience Mary uszytej z kawałków derki. Dwaj Francuzi, przyodziani w śliwkowe surduty, uśmiechali się do Febe Marvin i opowiadali mi o Białej Lilii, która powróciła z Francji jako Marie de Sabrevois. Arnold włamywał się do klasztoru i rozmawiał ze szczupłą dziewczyną w szarej sukience. Przypomniały mi się te momenty zniecierpliwienia, gdy już gotów byłem sam wyruszyć do Kanady i sprowadzić Mary do Arundel. I oto koniec piosenki! Oto stoję w sercu kanadyjskiej puszczy, w chacie skleconej z kory, oskarżony o szpiegostwo i o udzielanie pomocy szpiegowi!

—Nie ma tu dla was miejsca — dalej ciągnął Arnold, a na jego twarz, twardą jak skała, padały blaski ognia. — Niech wam się nie zdaje, że kiedy o świcie odjadę, aby zdobyć dla wojska żywność, będziecie mogli wyruszyć razem z innymi! Uciekajcie w lasy do tego czerwonego szpiega Natanisa, niech on was ratuje — o ile sam zdoła umknąć przed kulami karabinierów!

Spojrzał na mnie roziskrzonymi oczami. Oddałem spojrzenie. Naraz w stosie pakunków, zwalonych pod ścianą, coś zadźwięczało. Arnold się odwrócił, spojrzał i wsadził rękę między toboły. Nie znalazłszy nic osobliwego, przeszedł obok mnie, podniósł derkę, która zasłaniała drzwi, i wyprosił mnie gestem. Kiedy wyszedłem, rozejrzał się dokoła i zakrzyknął na Oswalda. Wobec tego ruszyłem ku gąszczom leśnym. Idąc czułem w sobie bolesną pustkę, a nie była to pustka głodu, chociaż od rana nie miałem nic w ustach poza kawałkiem żytniego placka. Była to pustka rozpaczy.

Wolałem nie pokazywać się Churchowi, Steele'owi, Oswaldowi, w obawie, że obrzucą mnie obelgami. Ale jak tu uniknąć spotkania, kiedy na

rzece w pobliżu cypla pływa moje czółno, a w czólnie jest Hobomok? Nie miałem też pojęcia, w jaki sposób zejść się z Natanisem, a tak czy owak musiałem go znaleźć, bo noc była ciemna, panował przejmujący ziąb i woda stopniowo zamarzała.

Kiedy tak stałem zamyślony, szukając natchnienia w gwiazdach, nagle poczułem czyjąś ciepłą obecność: czy to był oddech, czy odgłos cichych poruszeń, nie wiem, ale na pewno stała przy mnie żywa istota. Gdy sprężyłem mięśnie i już miałem się odwrócić, doszedł moich uszu dobrze znany głos, ochrypłym szeptem wypowiedziane słowa:

—Stellu! Nie bój się! To tylko ja!

76

—Cap! — zawołałem. Wciągnąłem go w gąszcz krzaków i ująłem za potężne bary. Dotknąłem jego piersi, wypukłej i mocnej jak beczka, jego kłującego zarostu i olbrzymich ramion, muskułarnych niby końskie uda, wciągnąłem w nozdrza odór potu po mieszany z zapachem jelonkowej skóry. Cap miał przy sobie toból i muszkiet, jakby zbierał się do marszu. W pierwszej chwili nie zwróciłem uwagi na tę dziwną okoliczność.

Świetnie, że się spotykamy, Cap! Przyjaciel jest mi teraz potrzebny jak jeszcze nigdy! — Chyba się rozchorowałem ze smutku, bo pod powiekami czułem wilgoć, a nogi miałem omdlałe. Podobnych uczuć zdarzało mi się doświadczać w Arundel, gdy przewalająca się przez rafy fala już-już miała zalać burtę mojej dorki.

- Ty ośle bizantyński! — rzekł Cap, tkliwie klepiąc mnie po plecach.
— Po diabła ci to było?
- Cap, przysięgam, że jestem niewinny!

Cap mruknął gniewnie i powlókł mnie głębiej w krzaki. W nozdrza uderzyła mi cierpka woń igliwia.

- Nie ma w tym wszystkim ani słowa prawdy, Cap! Oskarżenie spadło na mnie jak obuch! Te łotry szybko odbyły podróż!
- Mazgalis reterendis! — ochrypłym szeptem rzekł Cap. — Czemuś mu nie przemówił do słuchu? Skamlałeś jak stara mamka, czepiałeś się go jak rzep psiego ogona, a sensu w tym niewiele. Ognie piekielne! Nie zatykał ci przecież gęby! Człowiek z nie-zatkaną gębą powinien wykręcić się z każdej opresji!
- Gdzieś ty był?
 - Nie daleko, ale nie zgadniesz, gdzie. Najbardziej mnie złości, żeś niepotrzebnie nastąpił staremu na odcisk. Po co ci było zadawać się z tym wszawym z wszawej maci zrodzonym Natanisem?

Urwał i obejrzał się trwożliwie. Ze wstrzymanym tchnieniem nasłuchiwaliśmy, obracając głową na wszystkie strony i spoglądając ukosem, aby lepiej widzieć w mroku.

- Kto tam? — zapytałem.
- Natawammet! — odparł znany głos.

Lżej mi się zrobiło na sercu. — Skądżeś ty się wziął?

 - Zbudowałem tę chatę. Zostawił mnie tu Paweł Higgins i kazał mieć baczenie na wojsko. Waruję tak od pięciu dni.
- A gdzie Paweł?
 - Po zachodniej stronie łąki, u źródeł Siedmiomilowego Potoku.
- Uważaj, Natawammet, co ci powiem. Zhańbiono mnie

i usunięto z armii, ponieważ pewien zły człowiek nakłamał na mnie. Znasz go — jest to Hook, kapłan, który usiłował nakłonić twój szczep do hołdowania bostońskiemu Bogu.

- Pamiętam — rzekł Natawammet.
 - Jeśli go ujrzysz, zabij! To on sprawił, że mnie i Natanisowi zarzuca się szpiegostwo. Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. O milę stąd w dół rzeki wysadziliśmy Natanisa na ląd. Czeka na nas. Przed chatą siedzi w kanadyjce Hobomok. Czy mógłbyś mnie po ciemku przeprowadzić do Natanisa i dać sygnał Hobomokowi?
 - Udamy się na przeciwny kraniec obozu i przywołamy Hobomoka — rzekł Natawammet. — Tak będzie najlepiej.
 - Cap! — zwróciłem się, do olbrzyma. — Pożegnajmy się. Powiedz ludziom, że ciężą na mnie niesłuszne podejrzania. Kiedyś wreszcie prawda wypłynie na wierzch.
 - Jestem tego pewien, Stefku — rzekł Cap pocieszająco. — W drogę! Ja z tobą!
- Zbłądzisz!
- Nie! Idę z tobą w lasy!
- Nie znasz prawa! To jest dezercja!
 - Jak to? Nie wolno mi zbłądzić? A zresztą, w obozie zostać i tak nie mogę.
- Na miłość Boską! Dlaczego?
 - Teraz dopiero przyszło mi na myśl — rzekł ochrypłym szeptem. — Oficerowie znajdą na śniegu moje ślady prowadzące od miejsca, w którym podsłuchiwałem.

- No to co?
 - Nic nie rozumiesz. Kiedy pułkownik rozmawiał z tobą, ja wsadziłem rękę pod ścianę chaty i namacałem worek z butelkami.

Natawammet kazał nam przystanąć, a sam poszedł na skraj jeziora.

Słyszeliśmy, jak dawał znaki Hobornokowi — naśladował nierytmiczne, ciche pojękiwanie nocnej czapli.

—I co znalazłeś w butelkach?

Rozległ się suchy huk, potem trzask tłuczonego szkła i ciche bulgotanie. Bulgotanie umilkło i Cap chuchnął mi w nos.

—Koniak! — zawołał. — Co za szczęście, że nie atrament!

Wepchnął mi butelkę do rąk. Odchyliłem głowę i nie dotykając ustami stłuczonej szyjki, wlałem sobie do gardła potężny haust. Rzeczywiście był to koniak, i to dobry koniak. Po raz pierwszy od początku wyprawy poczułem w żołądku odrobinę trunku.

—Nie damy Indianom ani kropelki — rzekł Cap odbierając mi flaszkę. — Oni się nie znają na takich delikatesach. — Znowu

78

butelka zbulgotała melodyjnie i przeciągle. Po dłuższej chwili wróciła do moich rąk. — Dokończ! — rzucił mi Cap między jednym a drugim wybuchem czkawki.

U brzegu zazgrzytała kanadyjka i Natawammet wynurzył się z gęstwy, podejrzliwie pociągając nosem, nie wiadomo po co, bo i z odległości pięćdziesięciu mil mógłbym bez specjalnych zabiegów pochwycić bijący od nas odór alkoholu. Powiedziałem mu, że i czkawkę przyprawiły mnie medykamenty, które dostałem od Capa. Rażno wzięliśmy się do wiosł, wyminęliśmy obóz i wysiedliśmy tam, gdzie miał czekać Natanis.

Znaleźliśmy go przy małym indiańskim ogniu. Ogień ten powiększyliśmy na sposób białych i złożyliśmy na wspólny stos resztę naszych prowiantów, aby oddalić głód i chłód. Do naszej mąki i nałowionych przez Natanisa pstrągów Cap dorzucił swoją drugą i ostatnią butelkę koniaku. — Jeżeli podzielić butelkę koniaku na pięć części — oznajmił melancholijnie — na każdego wypadnie tyle, że i mysikrólikowi nie zakręciłoby się w głowie, co dopiero mówić o Indianach!

Z fajki Hobomoka ciągnęliśmy dym sumakowych liści. Opowiedziałem Natanisowi o wypadkach, w następstwie których zostałem usunięty z armii jako szpieg.

Natanis przykrył sobie nos derką i myślał przez chwilę. — To źle — rzekł wreszcie — ale mogło być gorzej. Żaden z nas nie jest chory ani ranny. Jeżeli chcesz, możemy teraz ruszyć do Quebecu i stanąć tam, zanim przybędzie biały wódz.

- Cóż my sami wskóramy w Quebecu? — zapytałem. — Przecież nie przyłączymy się do Brytyjczyków, jak przypuszcza Arnold!
- Moglibyśmy udać, że im sprzyjamy — zaproponował Cap — i przy sposobności odpocząć sobie. Do stu piorunów, Stefku, czuję się, jakbym od trzęsienia ziemi ani jednej nocy nie przespał w ciepłym łóżku!
- Nie — powiedziałem. — Ani myślę oddalać się od armii, a i tobie nie pozwolę. Jeszcze byś roztył się i przedwcześnie umarł.
- Hm — rzekł Cap — wolę przedwczesną śmierć niż służbę pod Churchem i Steele'em. To diabły, mówię ci! Kiedyśmy mieli wyrąbywać drogi, Steele powiedział, że kto zgubi siekierę, ten będzie musiał gryźć drzewa zębami!

Jął burczeć i mruzczyć pod nosem. Ja obróciłem się do Natanisa.

—Czy teraz, po przejściu Wysokiego Łądu, armia napotka dalsze trudności terenowe?

79

- Wielkie trudności. We wszystkich marszach przeszłych i przyszłych nie było i nie będzie takich przeszkód i bagien, jak bagna rozciągające się ppniżej łąki, którą przybyliśmy dziś, tej łąki, na której urodził się wielki duch Glooskap.
- Wobec tego musimy zawrócić ku łące i okazać żołnierzom wszelką możliwą pomoc. Dlaczego uważasz te nadjeziorne bagna za takie okropne?

Natanis zgarnął swój mizerny dobytek. — Szkoda czasu na rozmowy. Paweł Higgins śledzi ruchy wojska. Nie jest wykluczone, że już jutro zacznie się dalszy marsz. Musimy odszukać Pawła i odbyć naradę wojenną, a w tym celu trzeba nam jeszcze dziś dotrzeć do Siedmiomilowego Potoku i popłynąć z powrotem. Jutro o świcie znajdziemy Pawła.

Cap i ja również zwinęliśmy derki. — Jeszcze jedna sprawa — rzekł Natanis. — Jutro z rana Arnold opuszcza chatę i płynie z prądem Chaudiere. Tę chatę zbudowaliśmy dla żołnierzy, którzy zabłądzili wśród błot. Zostawmy tu Capa i Natawammeta. Gdy Arnold opuści chatę, oni w niej zamieszkają i będą dniami i nocami trzymać ogień, aby ludzie zgubieni w błotach mogli dostrzec albo płomień, albo dym. Cap będzie doglądał ognia, a Natawammet zajmie się gromadzeniem żywności.

- Nareszcie się wyśpię! — westchnął Cap.
- Ale nie zaśpijcie! — ostrzegł go Natanis. — Ogień musi płonąć we

dnie i w nocie, aby nikt, powiadam nikt, nie zginął. Może wystarczą trzy lub cztery doby, ale gdyby wyprawa miała trwać nawet dwadzieścia dni i nocy, ogień nie może zgasnąć ani na chwilę.

Cap rozwinął derkę mruczając pod nosem. Wiedziałem, o czym myśli: o wypitej butelce koniaku i o idących przymrozkach.

- Skąd pewność, że ludzie będą błędzić? — zapytałem.
- Zrozumiesz później — odparł Natanis. — Dobrze, jeżeli ujdą 7 życiem.

Popłynęliśmy w górę jeziora i tak długo snuliśmy się wśród zatopionych drzew, aż znaleźliśmy ujście Siedmiomilowego Potoku. Po omacku pięliśmy się po niezliczonych niewidzialnych zakrętach, łapaliśmy się w łachy, objaliśmy się o kłody i krzaki, w końcu jednak dotarliśmy do miejsca, gdzie kończyły się błota, a strumień płynął między brzegami twardego gruntu, pokrytego sosnowym igliwem. Nie można było określić godziny, bo widok gwiazd przesłaniały chmury śniegowe.

Owijając się w derkę, miałem poczucie, że już minęły tygodnie

80

od czasu, jak spotkałem za ostatnim stawem Łańcucha karabinierów dźwigających łodzie i ścierających sobie skórę do kości. Pomyślałem melancholijnie, jak w czarnych godzinach życia zwykli myśleć młodzi ludzie: że w ciągu jednego dnia zrobił się ze mnie siwy, znużony starzec.

VI

Paweł Higgins miał na barkach niedźwiedzią skórę, w mokasynach suche liście dla ochrony przed zimnem. Kiedyśmy go zdybali koło

południa, był usposobiony nie najlepiej. Głód nam dokuczał, z punktu więc zabraliśmy się do tłustego niedźwiedziego mięsa, ale nie mieliśmy odwagi jeść dużo, bo od tygodnia byliśmy na racjach połówkowych. Gdybyśmy się od razu najedli do syta, przez następne dwa dni bolałyby nas brzuchy.

- To białe wojsko — rzekł Paweł z pogardą, bo chwilami uważał siebie za Abenaka, pomimo że dorównywał mi białością skóry, co nie brzmi zbyt przekonująco, gdyż twarz miałem pokrytą strupami, żywicą i brudem — to białe wojsko wszędzie musi wtykać nos! W nocy rozpałem duże ognisko, aby się ogrzać. Naraz wali ci przez gałęzie patrol i z daleka już wrzeszczy, co to za dym! — Mówił po abenacku, jak zawsze, kiedy czuł się dotknięty na honorze.
- Czy już wszyscy przeszli przez Wysoki Łąd?
- Część przybyła wczoraj wieczorem — rzekł Paweł. . — Nieśli siedem łodzi. — Pokręcił głową. — Dobrzy żołnierze, silniejsi od łosia. Inni przywlekli się dziś rano. Byli u schyłku sił.

Utkwił pogardliwe spojrzenie w moich butach. Na Wysokim Łądzie zgubiłem lewą podeszwę, wskutek czego stopę miałem poznaczoną bliznami, a palce poobijane i nabrzmiałe.

—Gdzie twoje zapasowe obuwie?

Skradł mi je łotr i łgarz, który nazywa się Treeworgy i na domiar tego jest szpiegiem. Oczernił mnie tak, że nie mogę pokazać się wśród żołnierzy.

- Znam go — rzekł Paweł idąc po swój toból. — To urodzony szpieg. Będąc w naszych okolicach, szpiegował zarówno Abenaków, jak

białych i donosił o nich swemu Bogu w nadziei, że zostaną ukarani.

- Tak, to ten! Prawdziwe jego nazwisko brzmi Hook!

81

—Hook — zgodził się Paweł szperając w tobole. — Gdy okazało się, że biali nie przestają pić rumu, czerwoni nie chcą wielbić jego Boga, a ten Bóg jakoś ich nie karze dla dogodzenia swemu gorliwemu słudze, Hook rozzłościł się i zaczął szpiegować dla Plymouth Company, a szpiegował ludzi, którzy nie płacą podatków i nie robią tego, co im przykazano. To mu dawało więcej zadowolenia, gdyż prezesi Plymouth Company byli znacznie skorsi do karania grzeszników niż jego Bóg.

Cisnął mi parę mokasynów z łosiej skóry.

—Napchaj do środka łąwy albo liści i wzuj, inaczej stopy odpadną ci do wieczora. Temu Hookowi było trochę wstyd opuszczać Boga dla Plymouth Company. Udał więc, że nie jest Hookiem, tylko jego przyrodnim bratem. Kłamał w tym, jak we wszystkim. Mógł zmienić zawód i nazwisko, ale nie zmienił śladów. Hook opierał się na wewnętrznych krawędziach stóp i palce zwracał na zewnątrz, nie dotykając nimi gruntu. Tak samo chodzi Treeworgy-

- Nie warto nad nimi się zastanawiać — rzekł Natanis. — Stefan powiada, że Treeworgy musi zginąć, zginie więc. Opowiedz lepiej o wojsku, które obozuje na łące. Czy patrol znalazł twoje ognisko?
- Nie — odparł Paweł. — Kiedy usłyszeliśmy w lesie ich kroki i pohukiwania, zasypaliśmy ogień warstwą ziemi grubą na stopę i położyliśmy się za upłazem skalnym, obserwując żołnierzy. Za-

chowowali się hałaśliwie i wojowniczo, widać było, że z rozkoszą wpakowaliby komuś kulkę. Nie możemy im narzucać się przemocą, póki nie osłabną i nie zaczną się błąkać.

- Wciąż słyszę i słyszę — rzekłem — że ludzie zgubią drogę, że zbłądzą. Czy istnieje takie prawo? Czy w tych górach człowiek musi koniecznie zbłądzić? I jeżeli tak, to czemu przypisać, że pułkownik Arnold tak łatwo i szybko przedostał się na jezioro?

Natanis usiadł i oczyścił z trawy kawałek gruntu. Otoczyliśmy go kołem — ja, Hobomok, Paweł Higgins i dwaj Abenakowie Pawła.

—Od łąki, przy której jesteśmy — tłumaczył Natanis kreśląc kijem na ziemi — do jeziora Megantic, które opuściliśmy wczoraj wieczorem, jest siedem mil. Łodzią lub kanadyjką spłynąć po Siedmiomilowym Potoku to niewielka sztuka. Ale gorzej, gdy trzeba iść pieszo, bo każda kompania przeniosła przez góry jedną tylko łódź. Z wyjątkiem kompanii Morgana.

Jeśli armia pójdzie brzegiem Siedmiomilowego Potoku — mówił

82

dalej — dotrzeć musi do tych nawodnionych terenów, które oglądaliście wczoraj wieczorem. Bagno to przecinają półkoleście dwa pozorne ujścia Siedmiomilowego Potoku, oba bardzo głębokie. Jeżeli więc ludzie pójdą prosto bagnami, prędzej czy później muszą dotrzeć do tych pozornych ujść i utknąć między nimi, jak w potrzasku. Jeżeli się cofną, aby* obejść ujścia, trafią na Staw Klonowy i ugrzęzną wśród otaczających go bagien i nadbrzeżnych urwisk. O ile i ten staw zdołają okrążyć, czeka ich znowu labirynt i strumień, i inny, większy jeszcze staw. Zatoki i błotniste cieśniny tego stawu wyglądają jak palce, przeto zowiemy go Jeziorem Palczastym.

Te dwa stawy i pozorne ujścia potoku leżą pomiędzy jeziorem Megantic i Wysokim Łądem niby bariera, zagradzająca drogę pieszym. Chcąc dojść do jeziora Megantic, trzeba okrążyć błota i stawy. Ale, jak się przekonacie, takie okrążenie jest kwestią wielu mozolnych dni.

- To prawda — rzekł Paweł. — Nigdy i nigdzie nie widziałem równie uciążliwego terenu. Nie da się tego wyrazić słowami. O szlakach nie ma mowy, bo nie znajdziesz tam równego gruntu, tylko pagór za pagórem. Ani jednego nacięcia na korze drzewnej. Cała zwierzyna to wrony i czarnogłówki. Olszyny wikłają się w wodzie jak rzemienie karpli. Za żadne skarby nie poszedłbym pieszo przez te błota.
- Tak, okropna przeprawa — rzekł Natanis. — Żaden abenacki myśliwy tam się nie zapuszcza. Ja znam tę drogę tylko dzięki temu, że któreś zimy, kiedy strumienie i rozlewiska pokryte były lodem, wędrowałem tamtędy na karpiach.
- No to jak ty okrążasz Megantic?
- Zamiast iść wzdłuż Siedmiomilowego Potoku — rzekł Natanis — obracam się do niego plecami i walę na północo-wschód, trzymając się grani Wysokiego Łądu i w ten sposób krocząc pasmem, niedosiężnym dla błot i wód. Po dziesięciomilowym marszu schodzę, zwracam się ku północo-zachodowi i idę prosto do brzegów jeziora Megantic. Nawet ta droga jest niebezpieczna, jeżeli się jej dobrze nie zna, bo raz po raz trafiają się strumienie spływające z Wysokiego Łądu. Człowiek ulega pokusie i dąży z ich biegiem. Po jakimś czasie znowu widzi dokoła siebie błota Stawu Klonowego i Palczastego Jeziora.
- Ten twój opis — rzekłem — nie bardzo rozjaśnił mi w głowie.

Wydostańmy się stąd i zobaczmy, może się da coś zrobić. Gdzie twój ludzie, Pawle?

Paweł wyciągnął zza pasa kwadratowy skrawek brzozy kory

83

i dał mi do przeczytania. — Przy sobie — rzekł — mam trzech ludzi. Jeden czatuje na skraju łąki. Dwaj są tutaj. Przynieśliśmy pięć czółen kanadyjskich, z których dwa zostawiliśmy na Wysokim Łądzie, w miejscu, gdzie z pewnością znajdzie je armia. Poniżej grani Wysokiego Łądu, na szlaku prowadzącym do jeziora Megantic, jest czterech. Po nocach palić będą ognie, aby zbłąkanym w błotach żołnierzom wskazać właściwy kierunek. Na pierwszym cyplu jeziora zbudowaliśmy chatę z kory i posadziliśmy w niej Natawammeta, z tym że również podtrzymywać ma nieustanny ogień i przywabiać ludzi, którzy osiągną jeziornych brzegów.

- To wiemy — powiedziałem. — Rozmawialiśmy z Natawa-mmetem. Został z nim Cap Huff.
- Wymieniłem dziewięciu — dalej ciągnął Paweł. — Następnym czterech jest przy Pierwszym Wodospadzie, na rzece Chau-diere, o piętnaście mil od jeziora Megantic; czterech przy Wielkim Wodospadzie, o piętnaście mil dalej; sześciu przebywa w Sartiganie, buduje kanadyjki i alarmuje mieszkańców dolnego biegu rzeki, aby śpieszyli do Sartiganu z żywnością. Razem dwudziestu pięciu. Po Chaudiere nieustannie pływa czterech gońców, dwóch z prądem, dwóch pod prąd, tak że grupy pilnujące poszczególnych stanowisk codziennie otrzymują wiadomość o ruchach wojska. Wymieniłem dwudziestu dziewięciu, a tyłu nas jest, jeżeli wliczyć również

Natawammeta.

- Jesteś doskonałym dowódcą, Pawle — rzekłem. — Nie można było lepiej rozstawić sił.
- Kiedy armia przejdzie tędy — powiedział — powlokę się za nią. Reszta moich wojowników zjawi się dopiero wtedy, gdy już wszyscy zbłąkani wrócą na ścieżkę i wszyscy doznają pomocy Kiedy armia znajdzie dach nad głową i żywności pod dostatkiem, pokażemy się pułkownikowi Arnoldowi. Ale nie wcześniej.

Dźwignęliśmy toboły i ruszyliśmy ku skrajowi łąki, którą przebywaliśmy poprzedniego dnia.

Była to wydłużona, wąska polana, gdzieniegdzie ozdobiona gaikami wiązów. Z jej górnych krawędzi wyrastały wierzchołki Wysokiego Łądu. W dole spleciona, bujna murawa opadała ku źródłom Siedmiomilowego Potoku. Mniej więcej pośrodku obozowali nasi żołnierze. Zostało ich zaledwie pięciuset. Siedzieli grupami i nieregularnymi szeregami, niektórzy grzali się przy ogniu, inni spali, inni wreszcie szukali robactwa w odzieży.

U dolnego krańca łąki najbliższej potoku, obozowała kompania Morgana. Poznałem tych Wirgińczyków po szarych, płóciennych

84

bluzach i siedmiu niezgrabnych łodziach, przegrodzonych śpiącymi. Ale pozostałych kompanii nie umiałem rozróżnić. Nigdzie nie widziałem Febe, chociaż, dobrze wytężyłem wzrok.

—Przywołaj tu swojego wartownika — rzekłem do Pawła. —
Może on potrafi nam coś powiedzieć.

Paweł zakrakał na podobieństwo wrony i po chwili zjawił się

wartownik. Oświadczył nam, że nikt nie poszedł na wschód, wyżynną drogą. Na łękę przybyło dziesięć kompanii. Dwie spośród nich wyruszyły pieszo wschodnim brzegiem potoku. Spodziewał się, że lada chwila powrócą, gdyż nie ma mowy, aby zdołali przebyć bagna.

- Kiedy to było? — zapytałem.
- W południe. Całą żywność zniesiono na jeden stos i podzielono na równe części. Następnie pierwsza kompania ruszyła pieszo brzegiem potoku. W ślad za nią ruszyła kompania druga pod wodzą chorego człowieka, czarnobrodego człowieka z psem. Inni szli pieszo, on płynął w jednej z kanadyjek, które zostawiliśmy na Wysokim Łądzie.

To Dearborn — powiedziałem. — Czy pierwsza kompania odznaczała się czymś szczególnym?

- Zauważyłem łódź, w której wieziono prowianty i kobietę w męskiej odzieży.
- Jak wyglądała ta kobieta?
- Zaraz wytłumaczę —' odrzekł strażnik. — W wojsku są cztery kobiety. Obok łodzi stoi Jacataqua. — Wskazał ją palcem. Stała, pochylona nad ogniem, obok niej pies. — Karabinierzy prowadzą z sobą dwie kobiety, jedną tłąstą, drugą z wystającymi kośćmi. — Wskazał panią Grier i panią Warner. — Czwarta była w pierwszej kompanii.

A więc Febe pobrnęła w błota wraz z Jamesem Dunnem, Noem Cluffem, Natanielem Lordem i resztą moich Arundelczyków. Nie mogłem c/ekać bezczynnie. Wstałem i umocowałem sobie toból na plecach. Na łące formowała się do odmarszu następna kompania, kompania karabinierów. Jej dowódca wyglądał mi z daleka na Mateusza Smitha.

Słyszałem od Burra, że to on, Mateusz Smith stał na czele ludzi którzy sprawili Indianom krwawą łaźnię pod Conestogą, to on wymordował przed dwunastu laty Indian w więzieniu lancasterskim. To on prowadził motłoch, złożony z tysiąca szubrawych łachmaniarzy, na Filadelfię i urządził tam pogrom Bogu ducha winnych kwaków. Nie był złym dowódcą, ale dla Indian i tych,

85

co sympatyzowali z Indianami, miał twardość żółwiej skorupy. Twierdził, że tylko po śmierci jakiś z nich pożytek, a i wtedy zdadzą się najwyżej na użyźnienie pól.

- Nie wiem — rzekłem — czy dotarła już do nich wieść, że jestem szpiegiem. Tak czy owak, ktoś musi ich ostrzec, a najlepiej, abym to uczynił ja.
- Tylko ty — ponuro oznajmił Paweł. — Ja nie odezwę się do nich słowem, póki nie ujrzą, że doznali ode mnie pomocy.
- Nie wzbraniam się — odrzekłem. — Ale ciekawe, jak ty im zdołasz dopomóc, nie odzywając się do nich słowem.

We dwójkę z Natanisem obeszliliśmy skraj łąki i stanęliśmy na brzegu Siedmiomilowego Potoku. Z przeciwnego brzegu dobiegały nas głosy okrzykujących się karabinierów. Niebawem i sam Smith nadjechał łodzią. Miał przy sobie dwóch wioślarzy i dwóch chorych.

Podszedłem na sam skraj wody i okrzyknąłem go. Wioślarze skierowali łódź ku mnie.

— To nie jest właściwa droga dla żołnierzy — powiedziałem. — Jeżeli pójdą brzegiem strumienia, zaplączą się w stawy i błota bez wyjścia. Radzę wrócić i obrać wyżynną drogę.

Smith zamrugał oczami. — Kto tak powiada?

—Ludzie, którzy znają ten kraj. Indianie.

Przez chwilę rozważał treść moich słów. — Czy Arnold o tym wie?

- Tak. Rozkazał iść wyżynnym szlakiem.
- Przybywacie od niego?
- Tak. Mówiłem z nim wczoraj wieczór.
- Nie dał wam pisemnych rozkazów?
- Nie. Bardzo się spieszył.
- Długo się do nas wybieraliście?
- Tak. Zbłądziłem.
- Aha! Zbłądziliście. Jakim przybyliście tu sposobem?
- Kanadyjką — odrzekłem.
- Gdzie ta wasza kanadyjka?
- Na potoku. Niedaleko stąd.
- Chyba nie sami przyjechaliście?
- Nie. Z Indianinem.
- Gdzie ten Indianin?

—Indianin — odparłem złożąc sobie w duchu, że taki nieudolny ze mnie kłamca i że dałem się wciągnąć w tę rozmowę — poszedł w lasy ustrzelić coś do jedzenia.

86

- Trudno w to uwierzyć. Nie czas teraz na polowania! Jak on mógł zbłądzić, jeżeli Indianie tak dobrze znają ten kraj?
- Nie wiem. Ale zdarza się.
- Jeżeli mnie się zdarzy coś podobnego — rzekł Smith — znajdziecie

w lasach martwego Indianina. Widzieliście się z Dear-bornem?

- Tak. To jest wiem, że popłynął tą samą drogą, ale nie miałem sposobności z nim i mówić.
- Pewno zbyt byliście zajęci. Goodricha nie widzieliście, co?
- Nie.
- Wyprzedził nas o kawałek. Prawdopodobnie wtedy właśnie błędziliście. Inaczej musielibyście go spotkać.
- Słuchajcie, szkoda próżnych słów — rzekłem. — Pamiętajcie o jednym; wasi ludzie zabrną w błota, z których nie ma wyjścia, i dopiero będziecie mieli bal! Uwierzcie mi na słowo i poprowadźcie swoją kompanię wyżynami. Zawróćcie również Goodricha i Dear-borną.

Smith wyciągnął spod bluzy arkusz papieru i rozłożył go. —

Powiadacie, że między nami a jeziorem Megantic są stawy?

- Tak, i rzeki.
- Chyba wam wiadomo, że nasza armia kieruje się w marszrucie mapą Montresora?
- Tak. Wiem o tym.
- Na mapie Montresora nie ma żadnych stawów, błot ani rzek. Proszę, spójrzcie. Rzeka, po której płyniemy, biegnie bez przeszkód do jeziora Megantic. Spójrzcie na mapę.
- Mapa jest zła.
- Dotychczas dobrze nam służyła. Jeżeli Arnold zdołał tędy się przedostać, ja też dam radę. Wiecie, co ja myślę...

Zawahał się, zmierzył mnie badawczym spojrzeniem, wepchnął mapę do kieszeni i zapiął bluzę. — Jazda, naprzód! — zawołał do wioślarzy. —

Dosyć zmarnowaliśmy czasu!

Spiesznie wróciłem do Natanisa. Poczuliśmy schodzić brzegiem potoku. — Musimy dobrze wyciągać nogi — powiedziałem. — Poszukamy kompanii Goodricha. To swojacy. Usłuchają mnie. Nie chciałbym, aby im się coś stało. Może zdążymy uprzedzić.

- Znajdziemy ich, Stefanie.
- Grunt to dopaść kanadyjki, zanim nadpłynie łódź Smitha. Zdaje się, że nie uwierzył mojemu opowiadaniu. To wariat. Możliwe, że kazał żołnierzom strzelać do nas. Tacy nieczęsto chybiają.

87

—Nie ma niebezpieczeństwa — rzekł Natanis. — Smith musi płynąć pętlami potoku, a my pójdziemy na przełaj.

O Smithie i jego ludziach nie było jeszcze ani słychu, ani dychu, kiedy dotarliśmy do cedrowej gęstwiny, kryjącej naszą kanadyjkę. Spuściliśmy ją na wodę i co sił powiosłowaliśmy w kierunku jeziora. Niebo było zachmurzone, a w powietrzu wisiała ostra woń śniegu, zapowiadając wczesny zmierzch.

—Poszli brzegiem — powiedział Natanis. — Wiem, gdzie ich znaleźć, ale niezbyt mi do nich spieszno, bo noc będzie mroźna.

Dosięgliśmy leniwego potoku, który pod prostym kątem odgałęział się od głównego nurtu. — Widzisz, jak to wygląda — rzekł Natanis.. — Na wprost przed nami, w odległości mili jest Megantic. Ten strumień, przepływający pod prostym kątem, to właśnie takie pozorne ujście. Przypuszczam, że twoi przyjaciele skręcili w tym miejscu. Aby się upewnić, poszukamy śladów. Naokoło same bagna i moczary. Jeżeli

przebrnęliśmy przez pozorne ujście, aby na przełaj bagnami dojść do jeziora Megantic, musieli skręcić na prawo, a potem posuwać się brzegiem strumienia. Po jakimś czasie zagroziło im drogę drugie pozorne ujście, bardzo głębokie. I tak oto znaleźli się w saku, z którego nie mogą ruszyć ani na lewo, ani na prawo, ani przed siebie, ale błądzą w kółko po błocie, zrozpaczeni i bezradni.

Skierował kanadyjkę na leniwe wody pozornego ujścia, ostrożnie wymijając brzeg. Widziałem połamane gałęzie, wiry błotne, skrawki tkanin nadziane na pokracczną, kolczastą olchę. Przebywszy łuk o rozpiętości jednej mili, stanęliśmy u nowego rozwidlenia. Na lewo, pod kątem prostym, uchodził inny bagienny strumień.

—Oto — rzekł Natanis wykręcając kanadyjkę — wschodni bok pułapki. Gdzieś w tych okolicach błądzą twoi przyjaciele.

Wolno spłynęliśmy tym czarnym, ponurym nurtem. Mróz dawał się dobrze we znaki. Na twarzach czuliśmy płatki śnieżne, plamy chłodnej wilgoci.

- Czy potrafimy ich stąd wywieść?
- Jeżeli to uważasz za konieczne. Ale wiesz, co się dzieje, kiedy ludzie prosto z bagna wsiadają do kanadyjki.

Miał rację. Nasze czółno pękłoby i w rezultacie wszyscy byśmy się znaleźli w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

—Przede wszystkim ich znajdziemy — powiedziałem. — Rozpalę ogień na wzgórku, zlecą się jak ćmy. Ty zostań u skraju potoku

88

w kanadyjce i pośpij trochę. Będziemy mieli pewność, że czółno nie zginie.

Natanis zatrzymał kanadyjkę. Wyteżyliśmy uszy. Bagno milczało. Nie zaśpiewał ptak. Nie zaszemrała fala. Tylko z łopatek mojego wiosła, przełożonego przez dziób, kapwały kropelki wody. Wreszcie doszło nas z oddali stłumione wołanie. Gdzieś bliżej zabrzmiało wyraźne słowo. Po chwili usłyszałem syczący, ssący chłupot, niewątpliwie sprawiony człowieczymi stopami.

Natanis usiłował wepchnąć czołno między gęste drzewa, ale widząc, że nie da rady, zaniechał. — Przed nami jest wzgórek — rzekł. — Nic ma mowy, abym tam dopłynął. Wysiadaaj.

Wrzuciłem do czapki krzemienie, stal i hubkę, wyciągnąłem toporek z za pasa, dźwignąłem toból na ramiona i z żalem rozprostowałem palce stóp w suchych, ciepłych mokasynach.

Woda od razu sięgnęła mi do łydek. Mech chrupał i trzaskał, był najeżony igłami śniegu. Mglisto dostrzegłem wzgórek, niewielki wzgórek, nastroszony paroma karłowatymi brzozaami i sosnami. W Arundel takie miejsce byłoby rajem dla kuropatw. Kiedy postąpiłem o krok w kierunku wzgóreczka, zapadło się przede mną bagniste dno i ugrzązłem po pachy w wodzie. Zimna to była woda: tak zimna, że z trudem łapałem oddech.

— Będę czekał na drugim brzegu, za krzakami — rzekł Natanis. Kanadyjka z szelestem otarła się o chaszczki i znikła.

Błoto sięgało mi raz do kolan, kiedy indziej znów po biodra. Pomiedzy spletanymi korzeniami olch trafiały się denne wyboje, u których nierozważny piechur zapadał się w wodę po pas.

Kiepska to była przeprawa. Podświadomie myślałem o Febe, jak też ona przebrnęła tędy, ile ją to kosztować musiało wysiłku, czy aby nie jest

chora. Równocześnie szumiał mi w głowie, warczał i cykał matczyne kołowrotek do taktu ruchom stóp: cyk cyk cyk tu korzenie olch; cyk cyk cyk krok! cyk cyk cyk krok! Nie miałem czasu zastanawiać się nad bólem w kolanach i kostkach.

Kiedy podszedłem do wzgóрка — wyspy suchego lądu, nie większej niż nasza świetlica w Arundel — oznaczyłem drzewa nacięciami, aby później trafić z powrotem do Natanisa. Następnie zamachnąłem się toporkiem i zacząłem rąbać na prawo i na lewo. Niezła to była rozgrzewka. Naciąwszy drzew i poskracawszy je, aby równo płonęły, roznieciłem ogień, wysoki, huczący ogień, którego blask musiał być widoczny z daleka.

Gdy pierwsi ludzie dotarli do wzgóрка, panowała już zupełna ciemność. Wynurzali się z wody niby sztywne kawałki drewna.

89

Na ich czele kroczył rzeźnik z Yorku. Jego oblicze, zazwyczaj czerwone i świecące, w blasku ognia nabrało barwy granatowej: — Gdzie łódź? — zapytał ochryłym szeptem.

—Nie wiem.

Zapatrzył się w ogień, jak odurzony blekotem. Jego towarzysz oglądał szeroką krwawą szramę na gołej nodze.

Wynurzył się trzeci. Nogi stawiał sztywno i pochrząkiwał za każdym krokiem, co wcale mnie nie zdziwiło, gdyż brnął boso. Wcisnął się pomiędzy tamtych dwóch. Rozstępując się na prawo i lewo, mało nie upadli. W krąg ogniowego blasku wstąpił Noe Cluff. Jego szarawary, rozdarte od pasa po kolana, furkotały na wietrze. Obrzucił mnie takim spojrzeniem, jakbyśmy się rozstali zaledwie przed dwiema minutami: spojrzeniem roztargnionym i niedbałym.

- Masz coś do jedzenia? — zapytał.
- Nie.
- Gdzie łódź?
- Nie wiem. Nic nie jedliście?

Potrząsnął głową, przysunął się do ognia i, podobnie jak inni, znieruchomiał, zapatrzonego w płomienie.

—Gdzie Febe? — zapytałem, gdy zjawiał się Asa Hutchins, pamiętałem bowiem, że James Dunn i Febe maszerowali obok Asy i Noego.

Noe potrząsnął głową, nie mogąc oderwać oczu od ognia. Asa Hutchins zaniósł się kaszlem tak gwałtownym, że aż rzuciło go na czworaki. Przyczołgał się do mnie.

—Skądżeś ty się tu wziął, do kroćset — zapytał. I nie czekając na odpowiedź, dodał: — Masz coś do jedzenia?

Zapewne odpowiedzi się nie spodziewał, widząc bowiem, że milczę, zauważył: — Szkoda. — Wsadził rękę pod kapelusz i wyciągnął skrawek niegarbowanej łosiej skóry. Spojrzał na swój prawy but. Cholewka była niemal zupełnie oderwana, tak że za każdym krokiem obcas się ześlizgiwał z pięty. Pokręcił głową, wydobył nóż, odkroił pasemko łosiej skóry, nawinał je na kawał patyka i przysunął do ognia.

Chwiejny szereg ludzi z wolna włókł się z bagna ku wzgórkowi. Jeden potknął się i upadł. Inni zaczęli się śmiać. Któryś pociągnął leżącego za połę szynelu. Ten potoczył się i usiadł, z lekka pokaszując.

- Gdzie Febe? — zwróciłem się do Asy.
 - Tam, za nami. — Podniósł do nosa nie dopieczoną łosią skórę, powąchał ją i znowu przysunął do płomieni. Jeszcze kilku

wspięło się na wzgórek. Podeszli do ognia i roziskrzonymi oczami wpatrzyli się w Asę.

—Gdzie za wami? — wrzasnąłem.

Odpowiedziało mi milczenie. Wreszcie muszkieter z gołymi nogami dźwignął się na łokciu. — Febe została tam, gdzie opuścił nas Goodrich.

- Co się jej stało?
- Mokro! — rzekł Asa. Dwóch czy trzech zachichotało bezdźwięcznie. Asa odjął swój specjał od płomieni i spróbował zębami, po czym dalej ją przypiekać. Niektórzy mieli ataki febrycznych dreszczów. Zadzierali wówczas głowy i trzęśli się, jak pustułki na wietrze.
- Kto ma toporek, marsz do rąbania drzew — zakomenderowałem. — Inaczej zmarzniecie tu na kość. — Wyciągnąłem Noemu Cluffowi toporek z za pasa i wetknąłem w rękę. — Przypomnij sobie, gdzie po raz ostatni widziałeś Febe. Muszę ją znaleźć.
- A gdzie teraz jesteśmy?
- Na skraju jeziora Megantic. Nie martw się. Jutro wszystkich nas stąd zabiorą.
- Mnie będą musieli podnosić na drągach — zauważył któryś z drżących.
- Co się stało z łodzią? — zapytał rzeźnik z Yorku.
- Pewno popłynęła Siedmiomilowym Potokiem do przeciwległego brzegu jeziora — odparłem. — A Goodrich gdzie?

Asa zatopił zęby w skruszonej skórcie łosiej i oderwał kawałtka. — Szukał brodu, żeby nas przeprowadzić przez tę rzekę. — Asa niepewną ręką wskazał na wschód, zrobił zakłopotaną minę i wskazał na południo-

zachód. — Szukał i szukał, brnął i brnął, po pas w wodzie, tak i wspan, aż się rozchorował. — Po paru minutach żucia Asa przełknął z trudem niewdzięczny kęs i ponownie zbliżył zaimprovizowany rożen do ognia.

- Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego — rzekł bosy.
- W łodzi była cała nasza mąka — ze smutkiem powiedział Asa. — Miało tego być półtrzecia kwarty na chłopca.
- Miało być, ale nie jest — rzekł rzeźnik.
- Daleko jeszcze do Quebecu, Stefku? — zapytał Asa. Wszystkie oczy zwróciły się ku mnie.
- Nie wiem. Niedaleko.
- Kłamiesz — powiedział Asa. — Co namniej sto mil.

91

- Wielka rzecz! — zawołał Noe. — Dziś od południa na pewno ze sto mil zrobiliśmy po tym błocie.
- Gdzie Goodrich? — nalegałem.
- Szukał brodu, aby nas wyprowadzić z bagna — dalej opowiadał Asa. — Nie znalazł, wziął więc paru ludzi, wszedł w staw i dobrnął do pierwszej kępy krzaków. Czekał, aż jakaś łódź, przynależna do innej kompanii, zjawi się i stąd nas wywiezie. Kanadyjką nadjechał Dearborn, zabrał Goodricha, a żołnierzy na razie zostawił. Są tam Whitten, Burbank, Stone, Nataniel Lord, Merrill, Walt Adams i kilku innych. Goodrich obiecał wrócić i sprowadzić łódź.
- Asa! — nalegałem. — Przypomnij sobie, gdzie widziałeś Febe. Dlaczego odłączyła się od was?
- Dunn jest chory — rzekł Noe Cluff. — Dwa czy trzy razy robiliśmy

postoje, aby zdążyć dogonić. Febe nie chciała odejść od niego, a my nie mogliśmy dłużej czekać.

- Czemuście go nie podnieśli?
- Próbowaliśmy — usprawiedliwiał się Noe. — Sił nam zabrakło. Pewno z głodu. Ledwo się wleczeni, nawet toboły wydają się zbyt ciężkie.
- Więc gdzie zostawiliście Febe? Koło jeziora czy koło wschodniego potoku? A może koło zachodniego?

Bezradnie spojrzeli po sobie. Temu, co chodził bez pończoch, przypomniałem, że przecież widział Febe i Jamesa w pobliżu miejsca, z którego wyruszył Goodrich. — Czy mieliście na myśli miejsce, w którym wszedł do wody?

- Tak, ale nie pamiętam, gdzie to było. — Niepewnym gestem wskazał kierunek przeciwny jezioru. Natomiast Noe Cluff pokazał na zachód. Inni znowu pamiętali jeszcze inaczej. Całe szczęście, że oznaczyłem drzewa, bo nie znalazłbym powrotnej drogi ku jezioru.
- Podtrzymujcie ogień — powiedziałem — a nie załujcie płuc. — Pewnym krokiem wszedłem w bagno, wiedząc, że nie zmylę kierunku, póki mi przyświeca blask ogniska.

Śnieg padał nieustannie, drobnymi płatkami, po błocie pływały grudki lodu. W powszednich okolicznościach uznałbym to za dodatkową uciążliwość, ale w tych warunkach spodziewałem się, że lód ułatwi mi powrotną drogę. Idąc sięgałem przed siebie, a natknąwszy się na młode drzewka, waliłem w nie na oślep toporkiem, aż dawały się złamać. Potem układałem je, jedno przy drugim,

tak że powstał długi szlak, wiodący ode mnie wstecz ku jezioru, a widoczny w blaskach ognia. Raz po raz oglądałem się za siebie, aby sprawdzić, czy idę prosto.

Nikomu nie zachwalam takiej nocnej przechadzki po bagnie. Ale kiedy się ma do osiągnięcia cel, a uwaga mocno jest czymś zajęta, można wytrzymać najgorsze. Nie miałem czasu na uboczne myśli, bo musiałem pilnować prostego kierunku, rąbać i łamać drzewka, stopą wymacywać twarde grunty, na którym nie grozi pogrążenie się po pas w lodowatej wodzie, i liczyć kroki dla określenia odległości.

Gdy już ogień ledwo majaczył mi przed oczami, poszukałem płytszego terenu i trafiłem na pole oblodzonego mchu, w którym noga zapadła się tylko po kostkę. Przystanąłem i zawołałem na całe gardło: — Febe! Febe! — Zachryłem od tego wołania.

Szczęśliwym zrządzeniem Opatrzności od północy doleciał mnie słaby pogłos. Nie był to dźwięk, ale raczej niesłyszalne drgnienie powietrzne. Zawołałem ponownie i przechyliłem głowę, zwracając ucho ku północy; przysiadłem i powoli zacząłem się podnosić, aby trafić na powietrzny prąd. Pogłos się powtórzył. Tym razem było to na pewno ludzkie wołanie, słabe i niewyraźne. Wyobrażnia mi pod-szepnęła, że to głos Febe.

Dalej robiłem toporkiem, za nic w świecie nie chcąc zmylić drogi. Z wolna posuwałem się w kierunku głosu, raz po raz pokrzykując i otrzymując coraz wyraźniejsze odpowiedzi.

Szedłem więc dalej, układając za sobą łańcuch zwałonych drzewek, wymacując stopą olchowe korzenie, starając się nie mrużyć oczu pod coraz gęstszą warstwą śnieżnych płatków. Wreszcie usłyszałem kaszel

Febe, a potem pociąganie nosem. Mogłem już z nią rozmawiać bez krzyku.

—Co mu się stało?

Byłem tak zdyszany, że musiałem oszczędzać słów.

—Nie wiem — odrzekła Febe głosem cienkim i drżącym na zimnie. — Chyba rozchorował się z utrudzenia.

Nie widziałem ani jej, ani Jamesa, bo ciemno było, choć oko wykol. Dalej więc łamałem i układałem drzewka, aż wreszcie dosięgłem jej ręką. Siedziała w kucki, oparta o zbutwiały pień. Przy niej leżał James z nogami na suchym gruncie, przykryty mokrą derką.

W pierwszej chwili wziąłem go za trupa. Ale był jeszcze ciepły, choć niezbyt ciepły, i serce mu biło.

Otarłem się o chustkę, związaną na głowie Febe, o płaskie

93

plecy dziewczyny, o jej nabijany pas, o sarni kaftan. Za tym dotknięciem rozluźnił mi się w sercu jakiś nabrzmiały węzeł. Była mokra aż po pierś. Przez skórę kaftana wyczuwało się żebra, wydatne niby żebra ostrzyżonego jagnięcia.

- Jak ty się czujesz? — zapytałem.
- Nieźle. Czy masz ogień? Łódź wróciła?
- Weź jego derkę — rzekłem. — Chodźmy stąd. Uważaj na zwalone drzewka: tędy nasza droga. Nie stawiaj kroku, póki ręką nie dotkniesz złamanego drzewka. Trzymaj się po lewej stronie drzewek. Do zakrętu jest dziewięćdziesiąt osiem kroków oczywiście moich kroków, a od zakrętu do ognia sto sześćdziesiąt. Ruszaj przodem, a uważaj na drzewka.

Weszła w błoto, ja za nią, z ciałem Jamesa przerzuconym przez ramię. Od razu pojąłem, że nie dam rady. Nogi uginały się pode mną, a dodatkowy ciężar pogrążał mnie w gęstą papkę bagna.

- Febe! Czy James jest przytomny?
- Nie. Wciąż śpi. Nie mogę go dobudzić. A gdy się obudzi, mówi od rzeczy i każde moje słowo go złości, nie wiadomo dlaczego.
- Nie mam innej rady. Muszę go włóczyć — powiedziałem. Położyłem Jamesa na wodzie i pociągnąłem za sobą tak, jak się ciągnie kanadyjkę. Po chwili zatrzymałem się, wepchnąłem mu ramiona pod szynel i zapiąłem na guziki, aby nie zahaczał o korzenie olchowe. Był cięższy od kanadyjki i raz po raz się wymykał mojej zgrubiałej dłoni.
- Widzę ogień — rzekła Febe.
- Idź łańcuchem drzewek. Nie ryzykuj.

Doszliśmy do zakrętu. Dopiero teraz mogłem widzieć Febe. Mała i chwiejna, na tle ogniowego blasku wyglądała jak mucha schwytna w garnek miodu. Jej ruchy wskazywały, że każdy krok kosztuje ją sporo bólu i wysiłku.

Kiedy zbliżyliśmy się do wzgórką, część ludzi była już zajęta rąbaniem drzewa. Asa Hutchins dojadał resztkę łosiej skórki. Inni zasnęli z nogami przy ogniu. Ich ciała ułożyły się dokoła ognia jak szprychy dokoła piasty, a głowy odległe były od błota o jakieś dwie stopy. Liczyłem, że mróz się utrzyma. Gdyby zelżało, śnieg przemieniłby się w deszcz, woda podniosłaby się w bagnie i musielibyśmy czekać w pozycji stojącej.

Kiedy wciągnąłem ciało Jamesa na wzgórek, ludzie opuścili siekiery i stłoczyli się kręgiem dokoła nas.

—Mówił co, czy wciąż śpi? — zapytał Noe Cluff.

94

- Ani dudu — odparłem.
- Przed trzema godzinami obudziłam go po raz ostatni — rzekła Febe.
- Zmordował się chłop — powiedział Asa. — Zaraz po południu było widać, że już za bardzo się zmordował.

Febe oczami pozbawionymi wyrazu patrzyła na leżącego. — Musimy go ratować — rzekła. — Ale jak?

- Na nic się to nie zda — oświadczył Asa. — Lepiej go wcale nie ruszać.
- Przecież trzeba go jakoś wysuszyć! Natnijcie żerdzi! Postawimy go przed ogniem i podeprzemy z przodu, z tyłu i pod pachami.
- Szkoda wysiłku, Febe — rzekł Noe Cluff. — Suchy czy mokry, co za różnica!
- Rób, jak każę! — zawołała łamiącym się, piskliwym ochrypłym głosem.

Kilku ludzi zabrało się w milczeniu do ciosania rozwidlonych żerdzi. Asa uklęknął i spojrzał Jamesowi w twarz, rozpiął mu kurtkę i dotknął piersi. Chcąc się upewnić, przyłożył mu ucho do ust, potem drugie ucho.

Wyprostował się na kolanach i podniósł głowę ku Febe. — Nie żyje! Febe zmierzyła go twardym spojrzeniem: — Żyje!

Opuściła się na kolana i spojrzała w oczy męża. Dotknęła jego piersi, i znowu, i jeszcze raz. Przywarła mu do ust twarzą, a potem dośrodkową stroną przedramienia. Wreszcie dźwignęła się na nogi i podeszła do ognia. Sama wyglądała jak na poły umarła. Pod oczami miała czarne smugi, a

wargi ściśnięte i blade.

—To prawda — rzekła suchym szeptem. — Skonał! Pod wieczór, kiedy go ciągnęłam do tego pieńka, już wtedy konał. Widziałam to, czułam.

Miałem ochotę się oddalić. Nie znajdowałem nic stosownego do powiedzenia.

Spoglądałem na nieruchomą twarz Jamesa Dunna. Była to twarz człowieka dobrego i dzielnego. Stałem więc, wpatrzony w zastygłe rysy, pytając sam siebie, dlaczego tak złego byłem o nim mniemania. Przecież nic mi nie zawinił, nie zasłużył na mój gniew, a ja tak niechętnie o nim myślałem.

Dlaczego myślałem o nim z niechęcią, nawet ze złością? Trudno było tego dociec. A gdy sobie przypominałem, na jaką zdobył się żołnierską cnotę, jak mężnie trwał aż do samego końca — gardło mi ścisnął skurcz żalu. Chciałbym, aby doszły Jamesa, gdziekolwiek

95

pośmiertne przypadło mu życie, słowa mojej skruchy, aby ujrzał, jak żałuję dawnej niechęci mojej, jak wiele bym dał za spotkanie się z nim, na tym lub tamtym świecie, z jaką radością uściskałbym jego męską dłoń.

Niebawem zorientowałem się, że stoję tu jak głupi i że nikomu nic z tego nie przyjdzie. Poszukałem oczami Febe.

Siedziała zapatrzona w płomienie. Usiadłem obok niej i trwałem tak, raz po raz pokaszując. Bo i cóż mogłem powiedzieć?

Noc wlokła się bezkresnie. Przez cały czas walił na nas śnieg, ludzie chrapali, kaszleli, mamrotali i rżęzili przez sen, spali bowiem z nogami

wysoko, a głowami zwieszonymi w dół. Ogień trzaskał i huczał, miarowo stukali drwale.

Wiedząc, że przyjdzie nam Jamesa Dunna zostawić na wzgórku, wygładziłem płytkę z sosnowego drewna i wyryłem na niej jego imię i nazwisko, a obok datę. Długo biedziłem się nad datą, wreszcie wyliczyłem sobie, że jest dopiero dwudziesty ósmy października, sobota, a może niedziela, chociaż raczej skłonny jestem przyjąć, że to była sobota.

Febe owinęła się w derkę i położyła obok Noego Cluffa. Spała niewiele. Raz po raz siadała i rozglądała się naokoło, to znowu kładła się, drząc całym ciałem. Dopiero nad ranem zasnęła.

Obudziłem ją o wschodzie słońca i oznajmiłem, że idę po przyjaciela, który postara się ich wszystkich stąd wywieść. — Zapamiętaj kierunek — rzekłem. — Jeżeli zawołam, przyślij mi Asę Hutchinsa. Może będą pstrągi.

Chciałem jej opowiedzieć o nieszczęściu, jakie mnie spotkało: że Arnold usunął mnie z armii pod zarzutem szpiegostwa. Ale jej drobna twarzyczka, powleczona smugami brudu, jej plecy prostujące się z wysiłkiem, ilekroć spojrzała na Jamesa Dunna, owiniętego w derkę i ozdobionego sosnową płytką mojego wyrobu, jej poszarpany, postrzępiony kaftan, jej wysilony uśmiech, kiedy ujrzała, że zbieram się do odejścia — wszystko to mnie tak wzruszyło, że nie miałem serca obciążać jej nowymi troskami. Przetrzyzymałem w ręku jej szczupłe ramię i ruszyłem w błota.

Przebrnąwszy na skraj potoku, ujrzałem Natanisa zajętego łowieniem ryb. Podszedł do mnie dziwacznie przystrojony olchowymi prętami, na których tkwiło ze sto drobnych pstrągów. Idąc, nie przestawał łowić. Raz

po raz zarzucał sznur, zakończony haczykiem, i natychmiast wyciągał pstrąga. Zakrzyknąłem na Asę i wyszedłem naprzeciw. Kiedy podałem mu pręty z nanizanymi

96

pstrągami, zrobił wielkie oczy i ruszył z powrotem do wzgórka, triumfalnie niosąc zdobycz. Chociaż oszołomiony tym niespodziewanym darem, zachował jednak dosyć przytomności, aby zerwać jednego pstrąga, wycisnąć mu wąpzia i pożreć go na surowo.

Wy płynąwszy na jezioro, ujrzeliśmy kanadyjkę zmierzającą ku nam od strony owej chaty, w której zostawiliśmy Capa Huffa. Tak, to musieli być Goodrich i Dearbon. Zaczęliśmy im dawać znaki. Kiedy nas dostrzegli, skrzyknęliśmy z powrotem w ujście potoku. Popłynęli za nami.

Przystanęliśmy na wprost wzgórka i zawołaliśmy. Po chwili rozległo się chlupotanie stóp po błocie.

— Goodrich wrócił! — zawołałem. — Zejdźcie wszyscy do potoku!

Żołnierze podnieśli dziki wrzask radości. Od wzgórka zabrzmiały chóralne okrzyki. Pierwsza część naszego dzieła była dokonana.

Mogliśmy się zabrać z kolei do innych prac.

VII

Stłoczeni w siedmiu ocalonych łodziach, hałaśliwi i zaczepni po dobrym całonocnym wypoczynku na łące przejeżdżali Siedmio-milowym Potokiem karabinierzy Morgana. Na wszelki wypadek wprowadziliśmy naszą kanadyjkę w gęstwinę cedrowych zarośli i zaczekaliśmy tam, póki buńczuczna kompania nas nie wyminęła.

Patrzyłem przez szpary między liśćmi, jak płynęli, obdarzając się

wzajem szturchańcami i wyzwiskami. Ciekawe, pomyślałem, czy uczciwie podzielili się żywnością z innymi kompaniami, czy też część zataili i ukryli w baryłkach na proch? Ci Wirgińczycy Morgana — powtarzam — to byli żołnierze, jakich mało. Ale przyznam się, że mnie ich ochoczość i czupurność czasami napełniała niesmakiem, zwłaszcza gdy dla urozmaicenia sobie wojennych znojów obcinali kolegom guziki od szarawarów albo kradli im głodowe racje z tobołów. W jednej z siedmiu łodzi zauważyłem Burra. Ten chłopiec miał dobry nos! Wywąchał zapewne, że ludzie Morgana są lepiej zaopatrzeni od innych, i wobec tego rozstał się z Jacataquą. Okazuje się, że dla głodnego dobrych parę kęsów nieraz więcej znaczy od najbardziej pociągającej kobiety.

Kiedy dopłynęliśmy do łąki, po armii nie było już śladu, tylko na dolnym krańcu, gdzie obozowali karabinierzy Morgana, zauważyłem odciski nóg. Reszta polany była do czysta wymieciona

97

świeżym śniegiem. Z górnego końca wznosił się w niebo cieniutki słupek dymu. Któż tu mógł palić ogień? Nagle z gęstwiny drzew wyłonił się Hobomok, dając nam znaki. Miał dla nas dwie kuropatwy i gruzełek niedźwiedziego tłuszczu, zostawiony przez Pawła Higginsa. Natychmiast rzuciliśmy się na jedzenie chcąc uniknąć losu Jamesa Dunna.

Nieraz w późniejszych czasach byłem świadkiem ożywionych dysput na temat głodu. Osobom, uczestniczącym w tych dysputach, nigdy nie trafiło się maszerować o pustym żołądku. Zadziwiające, jak mało znaną sprawą jest głód! A może się mylę, przypisując ludziom szczególną niewiedzę w odniesieniu do głodu, może ich ignorancja w równej mierze rozciąga się na wszystkie inne sprawy świata! Co do mnie, to

doświadczyłem głodu aż nazbyt dotkliwie i chętnie dzielę się tym, co wiem, z innymi, w błogiej nadziei, że mnie te wiadomości na przyszłość będą niepotrzebne.

W przeciwieństwie do pragnienia, które sprawia piekielną udrękę, głód jest tylko przykrym uczuciem pustki we wnętrzu, pustki, którą łatwo zapełnić korzonkami lub rybim mięsem. Gorzej, że towarzyszy mu nieodmiennie pewna szczególna słabość — zradliwa słabość, która niespodziewanie płacze człowiekowi nogi, czyni go nieodpornym na mróz i upał, niezdolnym do gwałtownych jednorazowych wysiłków, od których często zależy życie. Podejmuję się znosić głód z zupełną obojętnością przez wiele, wiele dni, o ile będzie mi wolno siedzieć wygodnie w fotelu i nic nie robić. Ale gdy czeka mnie praca, marsz, bitwa, muszę się najęść do syta, muszę mieć pod dostatkiem wieprzowiny, mąki, tłustego mięsa. Brak tłuszczu przyprawia mnie o skurcze głodowe, choćbym trzy razy dziennie jadał pstrągi lub chude łosie mięso.

Jedliśmy, a Hobomok opowiadał nam nowiny. Poprzedniego dnia, w dwie godziny po naszym odejściu z polany, przybył znad jeziora goniec. Gońcem tym był przewodnik Hull, jeden z tych, których zastałem niegdyś przed chatą tego pijaka Conkeya, gdym pojechał do niego, aby wywiedzieć się o Natanisie.

Prawdopodobnie Hull przywiózł od Arnolda pomyślne wieści, bo wysłuchawszy listu ludzie na polanie zaczęli skakać z uciechy i strzelać w powietrze. Następnie napiękli placków z mąki, a niedużo tych placków było, bo każdy miał mąki akurat tyle, ile zmieści się w związanej chustce do nosa. Niektórzy zapas swój zjedli natychmiast. Pomimo że dziennego światła została zaledwie godzina, wszyscy, ilu ich było na polanie, z

wyłączeniem dywizji Morgana, czyli trzystu do trzystu pięćdziesięciu ludzi, zwinęli derki i ruszyli

98

na północo-wschód, wzdłuż grani Wysokiego Łądu. Na czele szli pułkownik Greene i Hull, jasne więc było, że Arnold dał im Hulla na przewodnika.

—Obrali właściwą drogę do jeziora Megantic — rzekł Natanis, kiedy Hobomok skończył opowiadać — ale boję się, że przewodnik za wcześnie zejdzie z wyżynnego szlaku i wprowadzi żołnierzy w bagna, otaczające Staw Klonowy i Jezioro Palczaste, a są to bagna rozleglejsze i bardziej grząskie niż błoto, z którym miałeś przyjemność zapoznać się tej nocy.

Hobomok oznajmił, że Paweł Higgins z trzema swoimi wojownikami ruszył za tylną strażą wojsk, ustanowiwszy wprzód, aby znaczoną szlakiem, wiodącym wzdłuż grani Wysokiego Łądu do jeziora Megantic, nieustannie chodził przynajmniej jeden abenacki goniec.

W milczeniu przeszliśmy przez polanę i odnaleźliśmy ślad, który nas z kolei poprowadził splątany labiryntem mokrych wąwozów i nadprzepastnych przełęczy.

Po godzinie dotarliśmy do miejsca, gdzie poprzedniego wieczora armia biwakowała. Była to błotnista, rozszarpana stopami płaszczyzna. Toporki sześciu kompanii posępne uczyniły widowisko z do-okolnych drzew. Trzydzieści zwęglonych kręgów zdradzało miejsca, w których palono ognie obozowe. Stąd już nawet ślepy potrafiłby iść po śladach. Kiedy ruszyliśmy w dalszą drogę, Natanis wskazał nam ślady w kształcie łódek: były to odciski napchanych liśćmi mokasynów Pawła Higginsa.

Po drugiej godzinie marszu natknęliśmy się na strumień wypływający z dolinki, obstawionej urwistymi ścianami. Błotnisty trop żołnierzy zakręcał przy strumieniu i prowadził brzegiem w dół, na północ. Natanis wskazał palcem pokręconą, koślawą sosnę, rosnącą na przeciwległym brzegu. Zmrużywszy oczy, zauważyłem pod jedną z gałęzi trzy drobne, prostopadłe nacięcia.

- Szlak prowadzi prosto — rzekł Natanis. — Ten niezrównany przewodnik przeoczył znak i poszedł brzegiem strumienia. Strumień wlewa się do bagien otaczających Staw Klonowy. A tam już nie ma szlaków.
- Jakież wyjście chyba istnieje?
- Myślę, że nie. Kto tam zabrnął, temu na każdym kroku roi się inna rzeka. Trudno odróżnić bajora od ramion stawu, a ramiona stawu od rzek. Twoi przyjaciele skierują się na wschód, aby wyminąć błota i okólnie dotrzeć do jeziora Megantic. Ale w drodze natkną się na Jezioro Palczaste. Jego ramiona, roz-

99

pierzchłe niby nogi pająka, dwoją się i troją, i dziesięciokrotnią. Okrążanie tego jeziora przypomina wędrówkę po piaście koła: ze szprychy na piastę, z piasty znowu na szprychę i z powrotem. I tak bez końca.

- Więc nie ma w tych bagnach szlaku? — powtórzyłem pytanie. — Musimy przed zapadnięciem nocy wyprowadzić stamtąd armię!
- O tej porze dnia daremnie byłoby cokolwiek przedsiębrać — rzekł Natanis. — Aby ich znaleźć, musimy dążyć po tropach, a to potrwa. Paweł Higgins i jego ludzie poszli za wojskiem, w dół strumienia. Widzę też pojedynczy ślad, wiodący szlakiem właściwym. Jest to z

pewnością ślad owego gońca, o którym mówił Paweł.

- Chodźmy więc szlakiem właściwym — zaproponowałem — i dogońmy tego gońca. Może jednak Paweł zdoła wyprowadzić żołnierzy?

Ruszyliśmy dalej, raz po raz poślizgując się, padając, grzęznąc w śniegu. Warunki terenowe nie pogarszały się, bo i trudno sobie wyobrazić coś gorszego. Aż wierzyć się nie chciało, że to taki ogromny szmat opoki, a wciąż drzazgi skalne, szczyrby, obłamy, zwaliska. Wydawało się, że jakiś gniewny bóg ciosem olbrzymiego młota zdruzgotał te góry, a potem cisnął je z pogardą gdzieś w najdalszy zakątek świata.

Przy drugim strumieniu, do którego dotarliśmy chyba o drugiej po południu, znaleźliśmy pod nawisłą skałą dogasający ogień, a obok na śniegu wizerunek dwóch Indian strzelających do królika, dwakroć większego niż oni. Stąd zrozumieliśmy, że goniec Pawła zszedł się z innym gońcem, wysłanym uprzednio, i że obaj udali się na polowanie.

Natanis oświadczył, że musimy zaobozować, strumień bowiem spływa do Jeziora Palczastego, a wielce prawdopodobne, że Paweł Higgins kazał tu swojemu gońcowi zatrzymać się i zapolować.

—Z pewnością panuje wielki głód — rzekł poważnie. — Jeżeli ktoś rysuje królika dwakroć większego od siebie, znaczy to, że królik jest bardzo pożądanym łupem. Musimy więc wszyscy, ilu nas tu jest, wybrać się na polowanie.

Hobomoka posłał na niższe tereny i przykazał mu rozejrzeć się za szopami i królikami. — Jeżeli nie znajdziesz większej zwierzyny, ustrzel w powrotnej drodze, co popadnie, strzelaj nawet do wron. Lepsza wrona niż nic.

Ty i ja, bracie — zwrócił się do mnie — wrócimy tą samą drogą, którą przyszedliśmy. Kiedy mijaliśmy pierwszy strumień, zauważyłem

100

na wyżynie martwe drzewo. To drzewo to nie jest zwyczajne drzewo.

Zawróciliśmy. Czołgając się, pełznąć, potykając się o głazy, przysięgałem sobie, że jeżeli wydostanę się z tego przeklętego kraju, pełnego bajor i uschłych krzaków, z osobliwą zajadłością mierzących człowiekowi w oczy, to resztę żywota spędzę wśród nizinnych piasków ojczystego Arundel i najwyższym szczytem, na jakim postanie moja noga, będzie szczyt diuny, pod którą jedliśmy z Mary Mallison homary i łączyliśmy usta w pocałunku.

Myśl o homarach na dobre utkwiała mi w głowie. Czołgając się po zbutwiałych pniach, czepiając się półek skalnych, nieustannie myślałem o homarach. Miałem w nozdrzach ich słony zapach, pokrewny zapachowi trawy morskiej, palcami miażdżyłem ich delikatne, chrupkie pancerze. Tak, mógłbym w tej chwili zjeść tuzin dużych homarów, a co najmniej dwadzieścia pięć małych. Chociaż, gdy sprawę tę rozważyłem gruntowniej, wydało mi się, że mógłbym zjeść i trzydzieści sztuk, a nawet okrągłe trzy tuziny, pod następującymi warunkami: żeby mnie zbytnio nie naglono, żeby każdą szyjkę wolno mi było umoczyć w półmisku domowego, świeżo roztopionego masła, prosto z pieca, żeby od czasu do czasu mógł pogryzać domowy biały chleb z drobno mielonej żytniej mąki i żeby mi do tego postawiono na stole galon cienkiego piwa uwarzonego przez moją matkę.

Drzewo, spostrzeżone przez Natanisa, był to sędziwy dąb, samotny

obywatel kolistej wyrwy, powstałej przed wiekami w stromej skalnej ścianie, król i niepodzielny władca okolicy. Piorun zdarł mu zieloną głowę, więc umarł olbrzym, a przed skonem dwa sękaty ramiona wyciągnął ku szczytom, jak gdyby zebrząc litości. Młode drzewka, nieświadome jego dawnej krasy, czupurne i zadufane w sobie, wyrosły nie opodal, chude, słabowite stwory, tyle tylko warte, że młode.

Przedtem nie zwróciłem na ten dąb uwagi. Teraz spostrzegłem na pniu ślady wielu zadrapań. Po stronie przyskalnej piorun oderwał wielki konar, wewnątrz wygniło i w ten sposób powstała dziupla. Brzegi tej dziupli poznaczone były pazurami, nie ulegało więc wątpliwości, że znaleźliśmy barłóg niedźwiedzia. Niestety, dziupla była położona o czterdzieści stóp nad powierzchnią, o wspięciu się na tak gruby pień nie śmieliśmy nawet marzyć. Ani jedno z drobniejszych drzew nie przytykało do dziupli, ani jedno nie nadawało się na drabinę. Stanęliśmy więc pod dębem rozmyślając, jak by tu się dostać do niedźwiedzia.

101

Po stokroć przysięgałem sobie, że nigdy nie zabiję małego niedźwiedzia, bo jak tu mordować takie rozkoszne, tłuste, psotne dziecko? Nie znajdowałem żadnej przyjemności w polowaniu na niedźwiedzie — raz, że ich mięso ma smak solonej wołowiny w poślednim gatunku, dwa, że z wyglądu przypominają dobrotliwe psiaki, a nawet mają w sobie coś ludzkiego! Myślę, że mają w sobie znacznie więcej ludzkich cech, niż pewni moi rodacy, których życie jest jednym pasmem łajdactw i podstępów.

Przykro słuchać, jak nieraz ludzie chełpią się morderczymi napadami na naszego wschodniego, czarnego niedźwiedzia. Można by pomyśleć, że

dokonali jakiegoś bohaterskiego czynu. Niedźwiedź należy do najłagodniejszych zwierząt na świecie, do tego jest pocieszny jak mała, a trwożliwy jak mysz. W naszej prowincji Abenakowie idą na niedźwiedzia z samym tylko nożem w ręku.

Ale na tego niedźwiedzia patrzyłem innymi oczami. Musiałem go zdobyć. Byliśmy głodni, a wiedzieliśmy, że pod jego futerkiem znajdziemy grubą warstwę tłuszczu, pięknego, słodkawego tłuszczu.

O dwanaście stóp od dębu stał cienki klon. Odchyłał się w przeciwną stronę, tak że nawet z jego szczytowych gałęzi niepodobieństwem było dostać się do dziupli. Nie zrażeni tym, dalej myszkowaliśmy po zaroślach. Wreszcie znaleźliśmy kępę brzezin, stłoczonych tak gęsto, że jedna drugiej zawadzała w rozroście, były więc szczupłe, wąskie, wysokie. Z tych brzóz wycięliśmy jedną — trzykroć wyższą ode mnie — i ostrugaliśmy ją z gałęzi. Z innej, obalonej przez wiatr, braliśmy garście próchna i obwijaliśmy je w brzozową korę, aż powstało dwanaście zapalnych ładunków, każdy duży jak moja pięść.

Roznieciliśmy ogień, po czym Natanis przytwierdził sobie ładunek z tyłu do pasa i wspinał się na klon. Kiedy był już dobrze nad moją głową, zapaliłem taką samą wiązkę zbutwiałego drewna, wetknąłem w nią naszą tykę brzozową i podałem ogień Natanisowi.

Wyciągnął zza pasa nowy ładunek i zapalił go od gorejącej na tyce wiązki, po czym wziął ode mnie tykę, przesunął w ręku, wyciągnął przed siebie jak wędkę i płonąca wiązkę próchna wrzucił do dziupli. Uczyniwszy to, uwiesił na końcu tyki drugi ładunek, od niego zapalił trzeci i nową garść płonącego próchna wrzucił do dziupli. Raz po raz powtarzał ten zabieg, aż z dziupli kłębammi zaczął walić dym.

Po chwili usłyszeliśmy chrapanie i parskanie. Niedźwiadek, ze trzy razy większy od mojego Łowcy sennie wygramolił się

102

z dziupli i zawisł na jej skraju, pokaszując i krzywiąc się w przystępie trwogi. Postrzeliłem go pod lewą łopatkę. Spadł bez oznak życia.

Polowanie na niedźwiedzia ma jedną dobrą stronę: trafiony w głowę lub okolicę serca natychmiast kona, w przeciwieństwie do łosia lub jelenia, które potrafią przez pół dnia galopować z dziurą w plecach, od której skonałoby dziesięć niedźwiedzi. Czasami odnosiłem wrażenie, że niedźwiedź, lekko tylko draśnięty kulą, umiera z samego strachu.

Tak czy owak, łup ten był dla nas prawdziwym darem niebios. Z pomocą sznura bagażowego, który Natanis zawsze miał przy sobie, zawlekliśmy niedźwiedzia pod upłaz skalny, sterczący nad drugim strumieniem. Znaleźliśmy tam Hobomoka i gońców, wysłanych przez Pawła Higginsa. Właśnie obdzierali ze skóry dwa upolowane szopy. Na widok niedźwiedzia rzucili się ku nam w podskokach, wydarli nam zdobycz i z radosnym wyciem ponieśli ją pod skałę. Wyjęli wątrobę i obłożywszy ją tłustym, delikatnym niedźwiedzim sadłem, zatknęli na wystrugany z drewna rożen. Ściekający tłuszcz chwytały w korytko z kory brzozonej. Niezbyt obfity był to posiłek, ale jakoś ułagodził skurcze żołądka i dał nam moc, bez której nie zdołalibyśmy niedźwiedzia odrzeć ze skóry i poćwiartować.

O zmroku zeszli się z nami dwaj Abenakowie Pawła Higginsa. Jeden ciągnął żołnierza na sznurze bagażowym, drugi podtrzymywał innego żołnierza, który raz po raz tracił równowagę i padał na śnieg jak pijany.

Kiedyśmy tych żołnierzy ułożyli przy ogniu, robili wrażenie martwych. Przez chwilę myśleliśmy, że już nie oddychają.

Niebawem z mroków wynurzył się sam Paweł. Miał przy sobie derki i dwa zapasowe muszkiety. Bez słowa sięgnął po kawał surowego niedźwiedziego tłuszczu. Dopiero potem spojrzał na półmartwych żołnierzy.

— Żle — rzucił przez zęby. — Trzystu ludzi, a może trzystu pięćdziesięciu, wkroczyło na bagna dzisiaj wczesnym rankiem. Przez cały dzień brnęli po trzęsawiskach, otaczających Staw Klonowy i Jezioro Palczaste, wędrowali wzdłuż ramion i zatok wodnych, snuli się tam i z powrotem, po kolana w wodzie, a często po pas. Szedłem za nimi, ale w końcu musiałem zawrócić, bo sam omal nie zbłądziłem. Bałem się, że już nie wybrnę.

Czekaliśmy na dalsze wyjaśnienia Pawła, dobrze wiedząc, że jeżeli zawrócił, to nie ze strachu.

103

- Ich przewodnik — mówił dalej, zatknąwszy na rożen porządną sztukę niedźwiedziego mięsa i przystawiwszy do ognia — to bardzo zły przewodnik. Uległ popłochowi. Nie śmie oddalić się od wody, a dokąd ta woda prowadzi, jest mu obojętne.
- Będzie więc szedł skrajem wody przez resztę swego krótkiego żywota — wtrącił Natanis.

Paweł obdarzył nieobecnego przewodnika soczystym angielskim wyzwiskiem, po czym odgryzł taki kawał niedźwiedziej pieczeni, że mojej siostrze Cyntii wystarczyłoby na całe trzy posiłki.

—Musiałem jakoś temu zapobiec — rzekł. — Nie wiem,

czy postąpiłem słusznie, ale innej rady nie miałem, chyba że przebiegłbym obok kolumny, aby się dostać do pułkownika Greene'a, a tymczasem wzięto by mnie za szpiega i zastrzelono. Nie mogłem w żaden sposób zejść ich od czoła, bo żołnierzom spieszo było do celu, jakby ich poganiał sam diabeł. — Znowu zaklął po angielsku. — Przez te bagna i zarośla, po najgorszym terenie, jaki widziałem w życiu, zrobili w ciągu dnia piętnaście mil! Pomyślcie! Gdyby im kazano, zrobiliby i dwadzieścia! — syknął z podziwu. — Dwadzieścia mil! Słaniają się z głodu i wyczerpania, raz po raz potykają się o korzenie, ale idą naprzód!

W zamyśleniu żuł mięso. — Po trzech godzinach marszu przestali zważać na przeszkody, przestali liczyć się z własnym i cudzym utrudzeniem, tylko szli naprzód, wciąż naprzód! Gdy któryś tonął w strumieniu lub padał z osłabienia, zostawiali go, a sami parli naprzód, dołączali, zwierali się!

Dźwignął się i ponownie spojrzął na dwóch leżących żołnierzy, dotknął ich piersi i kiwnął głową z wyrazem zadowolenia. — Natknęliśmy się na czterech takich, którzy wypadli z szeregu. Jeden ugrzązł podczas przeprawy przez strumień. Kiedy go znaleźliśmy, już nie żył. Inny usiadł, aby odpocząć. Zaniósłem go na suche wzniesienie, pomimo to umarł. Ci dwaj — wskazał przyprowadzonych żołnierzy — nie mogli już posuwać się dalej. Jeden leżał tak, jak teraz leży. Drugi chodził, ale raz po raz padał, potem znowu dźwigał się i znowu padał. Wydało mi się, że jak prześpią się i dostaną jeść, będą żyli.

—Jutro po południu ruszą w drogę — rzekł Natanis — jeżeli tylko nie pozwolimy im się przejeść.

—Widząc, że oddział uparcie dąży linią brzegową Jeziora Palczastego — dalej mówił Paweł — wyszedłem z błot i posuwając się na wschód, dotarłem do dolnego nurtu tego strumienia, przy którym siedzimy. Tam znowu wszedłem w błota, wreszcie znalazłem

104

dość obszerne suche wzniesienie. Na wzniesieniu tym ułożyłem stos gałęzi obok wysokiej sosny, tak że po jakimś czasie sosna powinna zająć się płomieniem. Wyżłobiłem linie w śniegu, aby wskazać właściwy kierunek, i oznaczyłem drzewa nacięciami. Przed zmrokiem podpaliłem gałęzie i ukryłem się czatując.

Niebawem usłyszałem okrzyki i chlupotanie w błocie. Kilku żołnierzy pod dowództwem oficera o wysokim czole wydzwignęło się z błota i z oznakami radości podeszło ku ognisku. Oficer był bardzo szczupły, miał dziwne wargi, skrzywione jakby mimowolnym uśmiechem.

—Major Meigs — wtrąciłem.

Paweł kiwnął głową. — Przypuszczam, że ci ludzie, znalazłszy ogień, linie w śniegu i nacięcia, potrafią iść moim śladem. Wówczas Natanis ich poprowadzi wschodnim brzegiem Jeziora Palczastego i staną przy-jeziorze Megantic, zanim jutrzejsze słońce przygrzeje ciemiona głów. Jeżeli natomiast nie poznają się na znakach i jeszcze przez dwa dni brnąć będą po błocie, nie chciałbym być w ich skórze.

Spojrzał w niebo i pociągnął nosem. — W nocy będzie mróz. Bagna zamarzną na grubość ludzkiego języka...

—Po takiej powłoce można chodzić — zauważył Natanis.

Paweł obdarzył go ponurym spojrzeniem. — Biali ludzie nie przejdą. Po takiej powłoce możemy chodzić tylko my, pustogłowi

Abenakowie. Bagna zamarzną. Po dwóch dniach takiej wędrówki wojsko będzie już tylko armią trupów.

- Jutro wyciągniemy ich z błota — rzekł Natanis — choćby to miało kosztować nie wiem ile. Nie jest wykluczone, że z rana sami ruszą w górę strumienia, dążąc po śladach Pawła. Paweł postąpił dobrze i postępowaniem swoim przyniósł zaszczyt wielkiemu narodowi abenackiemu.
- Ha — odparł Paweł — zobaczymy, czy jutro wieczorem, pokrwawiony ostrą krą bagienną, będziesz tak samo skłonny do żartów i nieprzystojnego śmiechu.

Wstaliśmy o świcie ożywieni nadzieją, że wkrótce spotkamy ludzi Greene'a. Naszych dwóch żołnierzy trzęśliśmy, póki nie wrócili do przytomności, daliśmy im po małym skrawku niedźwiedziego mięsa i pozwoliliśmy dalej spać. Żałosny przedstawiali widok. Mieli ogromne, zmierzwione brody, odzież i obuwie w strzępach, a przesiąknięci byli na wskroś odorem bagienną zgnilizny.

105

Czekaliśmy godzinę, ale nadaremno. Jasne więc było, że wojsko nie znalazło śladów Pawła.

- Pójdę w bagna — rzekł Natanis — i zobaczę, co się tam dzieje. — Poszedł bez derki i tobołu. Przed upływem dwóch godzin wrócił.
- Dobrze jest — powiedział biorąc na ramiona toból i gestem przykazując nam uczynić to samo. — Tylko jedna kompania zaobozowała przy ognisku Pawła. Inni rozpalili ogień na suchych wyżach w bezpośredniej bliskości Jeziora Palczastego. Wobec tego

kompania zawróciła i przyłączyła się do tamtych. Przewodnik wciąż ich prowadzi skrajem jeziora w przeświadczeniu, że wreszcie je okrąży. Znam miejsce, w którym powinien być za jakieś trzy, cztery godziny.

Zbudziliśmy naszych żołnierzy, nakarmiliśmy ich znowu i nakazaliśmy, aby szli po naszych tropach, kiedy nabiorą sił. Zapowiedzieliśmy, że w odległości dwóch mil stąd znajdą uwiązany do gałęzi obiad. Zostawiliśmy im derki i muszkiety.

Po jakimś czasie doszliśmy do burzliwego potoku.

—Ten potok — rzekł Natanis — wpada do wschodniej części Jeziora Palczastego. Prędzej czy później wojsko musi przebrnąć jego dolnym biegiem. My przebrniemy tu, bo tu jest płytko, pójdziemy brzegiem i u brodu zaczekamy na armię.

Potok wypływał spomiędzy skalnych iglic Wysokiego Łądu i spadał w błotnistą równinę splątanych olch i dzikich chaszczów. Szeroki był na jakieś cztery pręty. Brzegi miał oblodzone, ale woda płynęła gładko, żadnych nie tając w sobie niebezpieczeństw.

Kiedy stanęliśmy u miejsca, które Natanis nazwał pierwszym brodem, i kiedy spojrzeliśmy w kierunku Palczastego Jeziora, osłoniętego przed oczami naszymi gęstwą krzaków, po lewej stronie mieliśmy przeraźliwie bezkresne błota, wśród których błądzili zapewne ludzie Greene'a, po prawej — nieforemne, po-druzgotane iglice Wysokiego Łądu.

Odbyliśmy naradę i powzięliśmy taki oto plan: przeszedłszy przez potok, armia podąży skalnymi przełęczami Wysokiego Łądu, gdyż innej drogi nie ma. Natanis przeto oddali się i przysiadzie na stoku za drugą przełęczą, czekając na Greene'a i przewodnika. Ja i Higgins udamy się z

Natanisem. Przyczaimy się za skałami, aby pośpieszyć z pomocą, gdyby przewodnik, który zna Natanisa, chciał go zastrzelić. Hobomok wraz z resztą Abenaków zostanie przy potoku i będzie czekał na Jacataquę. Podejdzie do niej, każe jej przyspieszyć kroku i powie Greene'owi, że widziała India-

106

nina, który szybko i najprostszą drogą zaprowadzi armię nad jezioro Megantic. Wówczas ukaże się Natanis. Jeśli dla tej lub innej przyczyny Jacataqua nie zdąży uprzedzić Greene'a, Natanis mimo to podejmie się wypełnić swój obowiązek.

Dziś, gdy do owych czasów wracam wspomnieniem, dziwi mnie, że aż takich imaliśmy się podstępów, mając do czynienia z ludźmi zbłąkanymi, osłabionymi biegunką. Ale powinienem pamiętać, że człowiek, którego, jak Natanis, oskarżono o szpiegostwo i rozkazano zastrzelić, jest podwójnie czujny i ostrożny. Nie ufaliśmy też Hullovi, który był złym przewodnikiem, pozbawionym inicjatywy i niewiarogodnym. A tacy ludzie łatwo poddają się nagłym, trwogom i bez zastanowienia robią użytek z broni palnej.

Wspięliśmy się więc na jedną przełęcz i drugą. Trudne to były przełęcze, usiane ostrymi głazami, śliskie od śniegu. Na drugiej znaleźliśmy gniazdo skalne, dające dobry widok na wąwóz między przełęczami, wąwóz, na którego dnie śnieg stajał, zżarty wilgotnością gruntu.

— Przed upływem dwóch godzin — powiedział Natanis — mogę tych ludzi poprowadzić najpierw na północo-zachód, potem na południo-zachód, i skierować ich na ścieżkę, która dotyka brzegów jeziora

Megantic. Tam już trafią na ślad oddziałów, które przeszły wcześniej.

Po pewnym czasie doszedł nas z oddali słaby, cieniutki pogwizd, cichutki pogłos, jaki późnym latem słyszy się w Arundel, leżąc w bujnej trawie, która porasta piaszczyste diuny, i wsłuchując się w skrzętną pracę owadów. — Armia przechodzi przez, wodę — szepnął Paweł.

Przyjdzie na mnie taki czas, że będę starcem, siwym, siwiutkim starcem. Może wtedy pamięć zacznie mnie zawodzić, jak to się zdarza w podeszłym wieku. Ale niektóre wspomnienia zachowam na zawsze. Nigdy nie zapomnę widoku tych ludzi, którzy s/li ku nam po przeciwległej przełęczy. Wrażenie wywarli na mnie nie tyle przywódcy — pułkownik Greene, lekarz wojskowy, młody Senter, przewodnik Izaak Hull — chociaż i ci, Bóg świadkiem, ledwo się poruszali, rozglądali się bezradnie naokoło, dzielili się z sobą posępnymi uwagami, daremnie usiłując przejrzeć dookolną gęstwę krzaków i drzew. Wstrząsnął mną przede wszystkim widok żołnierzy: wychudli, brudni, obdarci, potykali się na najrówniejszych miejscach, boleśnie, z najwyższym wysiłkiem podnosili stopy, jakby przykuci kajdanami do ziemi, czołgali się omackiem,

107

schodzili mozolnie po zboczu jak bezradne owady, oślepięte niespodziewanym blaskiem.

Ujrzełmy Jacatakę i jej żółtomordego psa. Raz po raz osuwając się w śnieg, zbiegła po zboczu i dogoniła Greene'a. Hull usiadł, oburącz trzymając się za głowę. Greene, słuchając słów Jacataqui, spoglądał w górę, ku żołnierzom, podobnie jak najbliżsi jego towarzysze. Dochodził nas stłumiony szmer rozmowy, podobny do niemowlęcego gaworzenia.

Natanis wynurzył się z kryjówki i lekkim, swobodnym krokiem zszedł ku Greene'owi, który wyglądał go z przeciwnej strony. Patrzyliśmy uważnie. Natanis uśmiechnął się i wskazał ręką przed siebie. Greene kiwnął głową. Stał oparty o Sentera, Senter zaś opierał się o niego. Za nimi siedział Hull z twarzą ukrytą w dłoniach.

Pod przewodnictwem Natanisa kolumna obszarpańców ruszyła chwiejnie naprzód. Aż w sercach kłuło nas z żalości, kiedyśmy patrzyli na tę wynędzniałą watahę, okrążającą głazy na przełęczy, brnącą przez mokry wąwóz; na tych żołnierzy, mozolnie wciągających się na wierzchołek i przy pierwszej próbie zejścia padających plackiem; na żołnierzy, którzy nagle stawali w miejscu i chwiejąc się na nogach spoglądali w wąwóz, jakby obliczając, czy starczy im na zejście sił, wreszcie ruszali przed siebie, po zboczu, potykali się, poślizgiwali, padali głową w śnieg, wypuszczali z rąk muszkiety; na żołnierzy, którzy śpieszyli kolegom z pomocą i sami zwalali się na nich; na żołnierzy, którzy chwyтали się krzaków i w ten sposób szli pod górę; na żołnierzy, którzy tracili grunt pod nogami, staczali się z powrotem w dół i leżeli bez ruchu, póki im nie wróciła odrobina mocy; na żołnierzy, którzy nie myśląc o padłych, bezsilnych kolegach, szli naprzód, potykając się, utykając, mechanicznie, automatycznie, z oczami wlepionymi w palce stóp, z myślą szybującą Bóg jeden wie gdzie; na żołnierzy z odsłoniętymi głowami; na żołnierzy, których odzież powiewała jak podarta chorągiew; na żołnierzy patrzyliśmy, którzy szli boso i zostawiali na śniegu krwawe ślady.

Na końcu wlekli się żołnierze, którzy wypadli z szeregu, ale zdołali zebrać w sobie ostatni łut energii, kiedy ich otoczyła przejmująca cisza boru — cienkie, niemal przejrzyste upiory, ciągnące wydeptanym

szlakiem, padające, czołgające się na czworakach i znowu wstające, znowu zmartwychwstające: niemi żołnierze; straszliwi żołnierze; ale żołnierze, których twarze nie wyrażały trwogi i cierpienia, tylko obojętność, spokojną i nieczułą obojętność ludzi, walczących i trudzących się ponad granice ludzkiej wytrzymałości.

108

Kiedy wąż między przełęczami opustoszał, zeszliśmy we dwójkę z Pawłem Higginsem i podnieśliśmy dwóch żołnierzy, którzy leżeli tam jak martwi. Roznieciliśmy ognisko i ułożyliśmy ich w ciepłe, po czym zawróciliśmy po śladach armii, aby zbadać, dlaczego Hobomok wraz z resztą Abenaków pozostał w tyle.

W pobliżu potoku na wyniosłym wyżu płonął ogień, a przy ogniu siedziała Jacataqua, piekąc ostatki naszego niedźwiedzia i szopa. Obok niej kulił się żółtomordy czarny pies ogryzając kość i rozkosznie mlaszcząc językiem. Przy ogniu leżało siedmiu żołnierzy bez oznak życia.

- Nie jedz tego za dużo — powiedziałem.
 - Za co ty mnie uważasz? Za świnię? — odparła, nie racząc nawet spojrzeć na mnie.
- Co się stało?
 - Stefanie! — rzekła, gestem witając Pawła Higginsa, który posepnie się w nią wpatrywał. — Stały się wszystkie możliwe nieszczęścia.

Paweł i ja zapukaliśmy w drzewo. Nie jestem przesądny i nie biorę tego głupiego zwyczaju poważnie. Jeżeli sądzone nam było niejednej doznać jeszcze złej przygody, pukanie w drzewo z pewnością nie mogło tego odwrócić. W owej jednak chwili wydawało mi się, że nie wolno zaniedbać żadnej, choćby najbardziej idiotycznej ostrożności.

- Gdzie inni? — zapytałem.
 - Poszli ratować chorych. O milę stąd dwóch żołnierzy wpadło w bajoro. Chyba nie żyją. Jeden usiadł nad jeziorem i nie mógł już się dźwignąć.
- A ci? — oczami wskazałem siedmiu leżących przy ogniu.
 - Stracili przytomność podczas przeprawy przez potok — odrzekła Jacataqua. — Straszna to była przeprawa! Niektórzy, chcąc uchronić mokrą odzież przed większym jeszcze przemoczeniem, rozebrali się. Woda była tak zimna, że kiedy upadli, nie mogli już wstać. Czterech martwych — dodała — leży jeszcze na dnie potoku. Szkoda sił na zajmowanie się trupami.

Była chłodna i jakby zła. Zapytałem więc, jak to się stało, że Burr ją opuścił i przyłączył się do dywizji Morgana.

Wzruszyła ramionami. — Może on wśród ludzi białych uchodzi za człowieka bardzo wytwornego, ale jego poglądy na sprawę żywności nie odpowiadają mi, Stefanie.

—Co chcesz przez to powiedzieć?

109

— Wiesz, co robimy z Abenakiem, który sam ma co jeść, a nie chce się podzielić żywnością z głodnym?

Paweł i ja kiwnęliśmy głowami.

— Tak — mówiła Jacataqua. — Od dzieciństwa wpaja się nam tę zasadę. Aaron ma widać inne zasady. Dzieli się żywnością tylko wtedy, kiedy go do tego zmuszają.

Paweł chrząknął. — Tak czyni wielu białych. Biali ludzie mają dzikie i niepojęte obyczaje. — Mówił tak, jak gdyby jego rodzice byli Abenakami,

a nie kolonistami z Devonshire.

- Sądzę — rzekła Jacataqua — że gdyby Aaronowi dano wybierać między mną a półgarncem mąki, wybrałby mąkę.
- Mogę ci powiedzieć tylko tyle — wtrąciłem — że mężczyźni to dziwaczne istoty. Nie rozumiem, jak kobieta może z jednym i tym samym mężczyzną wytrzymać dłużej niż tydzień. Nie wiem też, czy taką gadaniną potrafimy nakarmić tych nieprzytomnych ludzi, leżących przy ognisku. Pójdźmy przełęczą i spróbujmy coś upolować.
- Chętnie — rzekła Jacataqua. — Tarso nam pomoże.
- Tarso?
- Anatarso — wyjaśniła. — Koliber.
 - Anatarso! — jęknął Paweł tak boleśnie, jak gdyby wolał skonać głodową śmiercią, niż polować z psem, który nazywa się Koliber.

Ten Koliber, bądź co bądź, wypłoszył z gęstwiny królika, pokazał nam dwa cietrzewie i tak długo oszczekiwał szczelinę skalną, aż wspięliśmy się i znaleźliśmy w niej dwa jeżozwierze. Znam potrawy smakowitsze od pieczonego jeżozwierza, ale jego wątroba jest wcale niezła, a i reszta mięsa jakoś daje się zjeść. Przebiliśmy ubite zwierzęta drewnianymi szpikulcami i trzymaliśmy je na prędkim ogniu, póki kolce nie zgorzały, a mięso nie stało się miększe i soczystsze od mięsa bobrowego, że już nie wspomnę o pieczeniu z foki.

Wkrótce wrócił Hobomok wraz z resztą Abenaków. Prowadził trzech żołnierzy, nieprzytomnych z wyczerpania.

Nazajutrz, ostatniego dnia października, ruszyliśmy dalej, zostawiając w Obozie Trupów dziesięciu żywych żołnierzy, a przy nich dwóch

wojowników, Pawła i Higginsa, z którymi mieli, gdy odzyskają siły, powędrować ku jeziorze Megantic.

Obozem Trupów nazwał to miejsce Paweł, bo obozujący tam żołnierze byliby trupami, gdyby nie łaska Boża i dobroć, i dzielność Abenaków.

110

VIII

Z gęstwiny leśnej wynurzyliśmy się na otwartą wyżynę wschodnich brzegów jeziora Megantic. Zastaliśmy tam Natanisa, a z nim jednego z gońców, których Paweł porozstawiał nad dolnym brzegiem rzeki Chaudiere. Wygrzewali się w słońcu i patrzyli na drugi brzeg jeziornej zatoki, gdzie w blaskach poranka lśniła i migotała wielka bariera Wysokiego Łądu.

Widać stąd było bagna, okalające ujście Siedmiomilowego Potoku, bagna przyładkiem wrzynające się w błękit jeziora, na pozór tak suche i urodzajne jak najlepsze pastwiska. A w górze, przy ujściu potoku, na skłonach Łądu, niby koronkowa ozdoba na piersi kobiecej, świeciła jasna plama Pięknej Łąki. Nad nią piętrzyły się iglice gór. Teraz, na tle bladego błękitu jesiennych niebios, wyglądały spokojnie i niewinnie. Ale nie mogłem zapomnieć krwawych śladów na śniegu i sztywnego ciała Jamesa Dunna na śródbagiennym wzgórku. Dla mnie te góry miały ohydę i grozę jakiegoś zazdrosnego potwora, który warczy i kłapie zębatą paszczką na wędrowców, ośmielających się przestąpić zaklęte progi Północy.

- Skończyło się — rzekł Natanis, jakby zgadując moje myśli. — Wielki Duch czuwał nad twymi braćmi. Wybrnęli z bagien i popłynęli w dół Chaudiere.

- Wszyscy?
 - Wszyscy oprócz zbłąkanych i chorych. Pierwszy popłynął Arnold z garstką żołnierzy. Następnie Morgan na siedmiu łodziach. Twoich przyjaciół wczoraj wyprowadzili z błot Goodrich i Dearborn. Dziś rano odpłynęli ci, których uratowaliśmy wczoraj wieczorem. Nikt już nie zbłądzi, bo Chaudiere biegnie prosto do Rzeki Świętego Wawrzyńca. Mogą być za to inne przykrości i, prawdę powiedziawszy, już się zaczęły!

Dał znak gońcowi Pawła. Ten wydobył z kapciucha zwój węzlastych sznurów i począł je rozwijać od lewej ręki do prawej, dotykając węzłów palcami i odczytując ich znaczenie.

—Biały wódz — rzekł goniec — doznał nieszczęścia przy Talons du Diable, o trzy niemieckie mile w dół rzeki. Jego łódzie rozbiły się na szczęty. Przy Wielkim Wodospadzie nasi ludzie przenieśli wszystko, co dało się uratować.

Później wysoki, głośno mówiący kapitan, którego żołnierze mają karabiny, odpłynął z siedmiu łodziami. Cała siódemka została zdruzgotana na miazgę. Jeden żołnierz utonął. Utonęłoby

111

wielu, gdyby nie pomoc naszych ludzi. Żołnierze nie mają żywności. Polujemy, aby ich nakarmić, ale zwierzyny jest mało.

Kapitan, który ma czarnego psa, jest bardzo chory. Jeżeli go nie nakarmimy, umrze.

Jedna z kompanii wiozła całą żywność na jednej łodzi. Łódź uległa strzaskaniu, zanim kompania zdołała ją dogonić. Cała żywność utonąła. Kompania jest bardzo głodna.

Goniec zwinął sznury i schował je do kapciucha.

- Czy w Sartiganie jest żywności pod dostatkiem? — zapytał Paweł Higgins.
- Dużo.
- Jak daleko do Sartiganu? — zapytałem.
 - Od nas siedemdziesiąt mil angielskich. Pięć mil od miejsca, gdzie Rwiere du Loup wpada do Chaudiere, na drugim brzegu Riviere la Famine. Od źródeł Chaudiere sześćdziesiąt pięć mil.
- Czy nigdzie bliżej nie znajdziemy żywności?
- Sartigan jest pierwszą osadą — odparł Natanis.

Jeżeli dobrze zrozumiałem słowa gońca, kompanią, która straciła całą żywność, była kompania Goodricha. Od dwóch dni podróżowali o pustych brzuchach. Jeżeli Febe, pomyślałem sobie, przebędzie jeszcze sześćdziesiąt pięć mil bez kęsa stawy, upodobni się do nocnej czapli, w której nie ma nic prócz kości i pierza.

Czułem niemal w dłoniach ostre kanty jej żeber, tak jak czułem je niedawno wśród błot i mroków, jej szczupłe, drobne ciało, luźno tkwiące w nabijanym pasie. Nie wiem dlaczego, ale dziwnie przerażała mnie myśl, że Fabe nigdy już nie wyzbędzie się tej chudości, że nie zaokrągli się, nie odzyska złocistej cery, że nigdy się nie wdrapie na rufę szalupy, niby złocista wydra na rzeczny brzeg.

- Ktoś — powiedziałem — musi sprowadzić Capa i Natawa-mmeta. Ale piorunem. Nie ma czasu na łowienie ryb i zrywanie kwiatków.
- Ja pójdę po nich — rzekł Natanis. — Ty ruszaj z prądem Chaudiere i goń swoich przyjaciół.

Dźwignąłem toból i muszkiet i spieszenie ruszyłem brzegiem jeziora

Megantic ku północy, za mną Hobomok, Jacataqua i pies Anatarso.

Ze wszystkich znanych mi rzek Chaudiere chyba nazwana została najwłaściwiej. Martwa Rzeka jest niestety aż nazbyt żywa. W Piaszczystej Rzece miejscami nie ma tyle piasku, ile trzeba dla

112

wypolerowania szylinga. A chociaż Cobosseecontee znaczy „rzeka łososi”, tylko przy ujściu i tylko wiosną znaleźć można łososie. Ale słowo „Chaudiere” oznacza kocioł, a rzeka Chaudiere jest do źródeł aż po ujście jednym wrzącym, syczącym kotłem wody. Jej koryto to łańcuch zębatach głazów i upłazów, który raz po raz przerywa niespodzianie katarakta, między skalistymi brzegami w tak ostrym osadzona zakręcie, że wirująca woda zdaje się dymić.

W innych wartkich rzekach pasma bystrzyn idą na zmianę z pasmami spokojnej wody. Dzięki temu kanadyjka, przez wytrawnych sterowana żeglarzy, pokonuje jedno niebezpieczeństwo po drugim, a w tym czasie myśl się uspokaja, zaś uwaga zdąży odpocząć. W Chaudiere woda pieni się na przestrzeni całych mil, rozhukane fale przelewają się od brzegu do brzegu, a z tej bieli sterczą czarne grzbiety skał, niby w rzece podległej przypluwom i odpływom grzbiety łososi wypływających z morza na złożenie ikry i śmierć.

Muszą więc wioślarze płynąć i płynąć wśród tego piekielnego rozpasania, aż w końcu tępieją i stają się niewrażliwi na niebezpieczeństwo. Ich czujność rozluźnia się, czółno wpada na ostre zęby raf lub leci na łeb na szyję w lawinie piany. Cud, jeśli wioślarze wraz z dobytkiem swoim nie uwarzą się w tym kotle na krwawą papkę.

A gdy kończy się skaliste dno i rzeka umniejsza pędu, nie koniec jeszcze troskom. Po obu stronach koryta sterczą wysokie urwiska. Niekiedy rzeka od tych urwisk się oddala, kiedy indziej znów warczy i szaleje u ich podstawy, tak że za skarby nie znajdziesz oparcia dla stóp, gdyby ci przyszło lądować. Kto więc pieszo wędruje brzegami rzeki Chaudiere, ten krążyć musi po cedrowych i jodłowych bagiennych nizinach, brnąć przez strumienie, wdrapywać się na zwały martwych drzew, osadzonych przez minione powodzie. Czasami pnie się po zdradliwych skarpach, czepia się korzeni lub ciernistych krzaków, leci w przepaście, grzęźnie w splątanych chaszczach.

W późniejszych czasach podróżowałem tędy o pełnym żołądku, w ciepłej odzieży — i przeklinałem swój los. Głodnego, zmęczonego, źle odzianego człowieka, który odbędzie tę drogę, nie przerażą już żadne męki piekła.

U krańca jeziora Megantic, gdzie Chaudiere rusza do obłądnego galopu, rozpaliliśmy tuż przy ścieżce ogień i udaliśmy się w las na polowanie.

Możliwe, że to nie był przypadek. Możliwe, że przemarsz

113

żołnierzy, którzy nieustannie walili w puste kotły i strzelali z muszkietów, ot, dla samego huku — możliwe, że to przemarsz żołnierzy wypłoszył zwierzynę. Tak czy owak, znaleźliśmy tylko dwa puchacze — a w puchaczu, oprócz serca i wątroby, nie ma nic jadalnego — cztery cietrzewie, jeżozwierza i trzy wrony. Nie warto było tego chować dla żołnierzy, oczyściliśmy więc, co się dało, i zatknęliśmy na rożny. Podczas gdy zdobycz się piekła, ujrzeliliśmy na ścieżce biegnącego Natawammeta, a

za nim Capa Huffa, który dysząc i parszając sadył w podskokach o pół kroku przed Na-tansem.

Cap odznaczał się bolesną wprost gładkością i schludnością. Od czasu gdy go widziałem ostatnio, zyskał na wadze. Brodę zgolił, odzież miał pozszywaną i połataną, a na nogach nową parę mokasynów z szopowej skóry futrem do wewnątrz, o podszwach wzmocnionych kawałkami starego, zdatnego obuwia. Krótko mówiąc, wyglądał naprawdę po żołniersku.

Kiedy mu powinszowałem tak wspaniałej prezencji, oświadczył, że wszystko zawdzięcza Natawammetowi. Mówił o nim krótko „Nat”, a zwracając się do niego, ryczał ogłuszająco, dziecinnie sylabizował i gestykulował szeroko. Zdawało mu się zapewne, że jeśli bardzo podniesie głos, Natawammet go zrozumie.

—Mam coś dla ciebie, Stefku — rzekł wciskając się między mnie i Jacataquę i siadając przy ogniu. Obrócił się do Natawammeta i wrzasnął: — Tłuszcz — Stefkowi — Ty — Mnie — Daj — Dobrze — Prędko!

Natawammet posłusznie wydobyl zawiniątko z kory brzozonej. Wewnątrz znalazłem kawał szopowego tłuszczu.

- Ten Indianin Nat — oznajmił Cap — wcale nie jest taki zły.
- Jeden z najlepszych na świecie!
- Czy ty wiesz — zapytał Cap — że mrówki zabijają robactwo?
- Każdy Indianin ci to powie.
- Słuchaj, kiedym to zobaczył, mogłeś mnie zwalić z nóg końskim włoskiem! — Zamyślił się. — Ci Wirgińczycy to banda wszarzy! Wiesz, co oni zrobili? Przedwczoraj zaobozowali w pobliżu naszej

chaty. Dearborn i Goodrich wypłynęli z błot w kanadyjce i zatrzymali się u nas na noc. Wczesnym rankiem zostawili bagaż w chałupie i wrócili w błota, żeby wyprowadzić swoich żołnierzy. Zostawili parę połci wieprzowiny i mąki tyle, ile zmieści się w dwóch kapeluszach. Kiedy odpłynęli, zjawilo się to tałatajstwo Morgana.

Mówiąc to, tarmosił ramię Jacataqui. — Wiesz, Stefku, że

114

nie mam nic przeciwko temu, żeby facet tu i ówdzie zwędził coś niecoś do jedzenia, czy parę szarawarów, czy inny jakiś drobiazg. Ale myślę, że okradać człowieka z ostatnich paru kęsów, to tak jak zabierać mu ostatnie kalesony. Krótko mówiąc, draństwo! Chyba że masz do gościa złość.

- Ty! — zawołałem wręczając mu pieczoną wronę. — Wepchnij to do bandziocha i jazda w drogę! Na rzece ludzie umierają z głodu!
- Pewno, że umierają! — Zatopił zęby we wroniej piersi, dwukrotnie zmiażdżył kęs szczękami i przełknął boleśnie. — Umierają, a tak! Ci wszawi Wirgińczycy ukradli całą żywność Dearborna i Goodricha. Wzięli, wyszli i ani mru-mru. Tylko jak wsiadali na łodzie, to śmiali się, że pomyślałbyś skonają.
- Wszystkie ich łodzie rozbite!
- Dobrze tak draniom! Dobrze złodziejom!
- Chodź! — przynaglałem go.
- Rozumiesz więc, Stefku — mówił dalej wstając od ognia — kiedy sobie poszli, czuję ja — co tu, u diabła? — swędzi! I wiesz, co zrobił Nat?

Dźwignąłem toból na ramię. — Podpalił mrowisko.

- A żebyś wiedział! Otoczył mrowisko ogniem, a kiedy mrówki wyszły na wierzch, zjadłe i rozwścieczone, położyłem na mrowisku swoje szmaty. Zdjąłem je po godzinie i odtąd ani razu w nosie mi nawet nie zaświerzyło! — Klepnął Natawammeta po plecach, kiwając głową i uśmiechając się od ucha do ucha. — Dobra nasza, Nat! — ryknął tak potężnie, że aż zabolowały mnie bębenki. — Dobry chłop Nat — noś sobie, noś —jeszcze nie trzeba zdjąć!
- *Co ty pleciesz?*
 - Ach — przypomniał sobie Cap — nauczył mnie grać w indiańskie kości. Przegrał do mnie. Nic już. nie ma, mówię ci, nic!
 - Nie ma żywności?
 - Nie rozumiesz? Nic! Widzisz ten jego muszkiet?
 - Widzę — odrzekłem, nic nie rozumiejąc.
 - To mój muszkiet. Wygrałem. Widzisz jego bluzę i nogawki?
 - Też twoje?

Kiwnął głową wielce z siebie zadowolony. — Na razie pozwalam mu w tym chodzić i strzelać z muszkietu. Niech zna moją wspaniałomyślność.

Ruszyliśmy w dół rzeki, brzegiem, tak spieszenie, jak tylko pozwalały zwały skalne i błota. Mniej więcej po południu wypa-

115

trzyliśmy łódź z zapadniętą burtą, dalej dwie łodzie bez dna. Potem natknęliśmy się na sześć zdruzgotanych łodzi. Na skarpie płonęło ognisko, a dokoła ogniska tłoczyli się ludzie.

Słyszałem huczący bas Daniela Morgana, widziałem go, jak wysoki, szeroki w barach snuł się pośród żołnierzy. A więc tu była tylna straż

armii! Postanowiliśmy, że ktoś musi stale posuwać się za tylną strażą, podnosić wyczerpanych żołnierzy, ogrzewać ich przy ogniu i łowić dla nich ryby. W tym celu zostawiliśmy Pawła Higginsa, Hobomoka i pięciu abenackich wojowników.

Co do mnie, to zdawałem sobie dobrze sprawę, że chcąc odszukać moich przyjaciół, będę musiał przejść przez szeregi wojska. Postanowiliśmy we troje — Cap, Jacataqua i ja — spróbować szczęścia u Morgana i jego żołnierzy. A nuż nie potraktują mnie jak szpiega! Wówczas będę mógł pokazywać się wszędzie. Natanis okrążył obóz, a my śmiało weszliśmy między żołnierzy. Okazało się, że niepotrzebnie psuliśmy sobie krew, bo ludzie tak byli znużeni i zgłodniali, że myśleli tylko o własnych sprawach i o niczym więcej.

W obozie znajdowali się wioślarze z siedmiu rozbitych łodzi Morgana i z trzech łodzi, porzuconych przed Wysokim Łądem, a także pasażerowie. Wśród pasażerów dostrzegliśmy Burra. Wesóło nas przywitał, ale jego śniada, ładna twarz poorana była bruzdami i zapadnięta.

- Ho, ho! — zawołał wyciągając Jacataquę spomiędzy nas i biorąc ją za ramiona. — A jednak życie nie składa się z samych smutków!
- Czy wywróciliście się? — zapytałem i sprężyłem mięśnie w oczekiwaniu tego, co nastąpi. Bo mogła nastąpić odpowiedź czynna.

Rzucił mi zdumione spojrzenie. — A wy tu skąd? Czy to nie w ubiegłym roku pułkownik Enos dał drapakę, a wy zostawiliście mi mąkę? A może w pierwszym roku moich studiów w Princeton? Nie pamiętam! Słowo daję, nie pamiętam! Zaraz, przepraszam. Powinniście być przed nami, prawda? A możeście odkryli Szlak Północno-Zachodni, okrążyliście armię i teraz zaskakujecie nas od tyłu?

Jego oczy pobiegły za psem Jacataqui, który wetknął nos do kieszeni moich szarawarów, wężąc zawiniątko z szopowym tłuszczem.

- Czy wywróciliście się? — powtórzyłem.
- Po tysiękroć przepraszam! Pamięć mnie zawodzi. To

116

zapewne skutek opływania w dostatki. Ho, ho! Ależ oczywiście! O co pytacie: czyśmy się wywrócili? Dobrze sobie! Człowieku! To była największa katastrofa, odkąd góra Pelion zwała się na Ossę! Rzekłbyś, Czerwone Morze pochłania armię faraona. Chociaż przyznam, że w naszym wypadku kąpiel była solidniejsza.

Spoważniał nagle. — Macie coś do jedzenia? Mówcie szczerze! Obrzucił psa Anatarso ponownym ukradkowym spojrzeniem i oczy mu zabłyśły.

- Nie — skłamałem chcąc zachować skrawek szopowego tłuszczu na ważniejszą chwilę. — Z głodowych przybywam okolic. Podobno w łodziach mieliście wcale pokaźne zapasy.
- Nic o tym nie wiem. A jeżeli nawet coś było, spłynęło z falą. — Wypuścił Jacataquę z ramion i wyciągnął rękę do Anatarsa, który zbliżył się, przyjaźnie kołysząc zadem i kładąc uszy po sobie, wielce kontent, że zwrócono na niego uwagę. Jacataqua złapała psa za ogon i odciągnęła na bok.
- Precz z łapami od mojego psa! — zawołała. — Nic z tego, Aaronie! Burr chwycił ją w ramiona. — Nic złego mu nie zrobię!
- Zabiłbyś go, gdybyś tylko mógł — rzekła wrywając się. — Ale nic z tego, bo ja psa dobrze pilnuję! Nad Kennebekiem chodził ze mną

na polowania, wyszukiwał dla ciebie zwierzynę, a ty go chcesz zjeść!

- Ależ nie, nie! Ty złośnico! Ty naboju muszkietowy! — zawołał Burr starając się ją złapać, ale prędko zrezygnował. Uciążliwa przeprawa odbiła się na urodzie Jacataqui. Dziewczyna schudła, zmizerniała, jej zmierzwione włosy były przewiązane kawałkiem zwiniętej skóry wiewiórczej, a nie, jak dawniej, paciorkową opaską, jej plecy przygięły się pod ciężarem tobołu i muszkietu, aksamitny brąz twarzy nosił ślady zadrapań, a jelonkowy kaftan zdarł się i splamił.

Cap Huff pogroził Jacataqui serdelkowatym palcem: — Nicpoń jesteś! — rzekł tkliwie. — Czemuś mi nic nie mówiła? Gdybym wiedział, zostawiłbym parę kostek dla tego przyjaciela!

Położył ciężką łapę na jej barku i poprowadził dziewczynę przez obóz. Burr patrzył za nimi, a jego ładną twarz wykrzywił grymas. — Mieliliśmy przecież sześć szopów — głośno mówił Cap — osiemnaście kuropatw, piękne białe sumy, że palce lizać, i jelonka tłustego jak baran! Dlaczegośmy to wszystko zjedli? Gdybym wiedział, że chłopiszczce jest głodne, dałbym mu coś na zgryz!

—Cap żartuje — rzekłem, nie mając serca dręczyć wygłodnia-

117

łego człowieka, choć nie miałem do niego nabożeństwa. — Ma taką samą dziurę w żołądku, jak ja i wy. Czemu jesteście na szarym końcu i gdzie wasi przyjaciele?

Burr syknął boleśnie. — Straszna, straszna katastrofa! Małośmy się nie potopili! Fale nas niosły na przestrzeni dobrej mili, koziołkowaliśmy, waliliśmy o skały, chwytałyśmy powietrze jak szczenięta, piliśmy wodę jak deszczowe kadzie!

Pokręcił głową. — Przysięgłbym, że już byłem utopiony! Jakim cudem się wydostałem, nie wiem. Nikt tu nie wie, jakim cudem się ocalił. Wiemy tylko, że ocknęliśmy się na brzegu małej zatoczki. Morgan nas znalazł. Leżeliśmy tak, jak gdyby nas kto powyciągał na brzeg. Przez cały dzień nie mogliśmy ruszyć ręką ani nogą. W płucach mieliśmy żywy ogień. Wszystko nas bolało, jakby kowal jakiś obrobił nas na kowadle.

Ostrożnie podniósł ramię i dotknął palcami karku. — Udało nam się uratować odrobinę mąki. Garstkę przemokłej mąki. Piechurzy ruszyli już w drogę. Czują się nieźle. Wszyscy przebrniemy jakoś. Z innymi gorsza sprawa.

- Z jakimi innymi?
 - Mówię o żołnierzach Goodricha. Stracili łączność i maszerują w rozsypkę, spieszo im do żarcia. Padają, wstają znowu, ale idą. To długo nie potrwa. Kiepska sprawa.
- Gdzie ich znajdę?
 - Jutro dogonicie najsilniejszych. Słabsi są o parę kroków stąd. Kapitan Dearborn chory. Wygląda jak brodaty kościotrup.
- Jakiś plugawy szczur okradł go z żywności — powiedziałem.
 - Nic o tym nie wiem — zaperzył się Burr. — Chłop niepotrzebnie się głodzi. Ma przecież psa. Dużego, czarnego psa, żeby go pokręciło! Tłusta sztuka!
- Skąd wiecie, że tłusty?
- Macałem.

Wziąłem toból na ramię. — Kiedy ruszacie?

 - Dzisiaj. Zaraz. Niektórzy już mają siłę wstać. Złowiliśmy trochę ryb, ale mało. Rzeka jest tak wartka, że trudno łowić. Sznur pęka lub

plącze się o skały. Kiepsko.

- Życzę wam pomyślności — rzekłem.
- Jeżeli chcecie się pożegnać z McClellanem — rzucił Burr — to znajdziecie go w szałasie. Chłop już tu zostanie.
- Co? Porucznik od Hendricksa?

Burr kiwnął głową. — Nic nie wiecie? Dostał gorączki płucnej. Kapitan Hendricks z pomocą jednego z karabinierów przeniósł

118

go na noszach przez Wysoki Łąd. Myśleliśmy, że wróci do zdrowia. Ale McClellan był w łodzi Hendricksa. Łódź się rozbiła, McClellan wziął zimną kąpiel i koniec, umiera.

Świetny to był oficer, młody jak major Bigelow i równie wesoły. Wszedłem do szałasu. Szepnął coś, ale jego słowa zagłuszył ryk rzeki Chaudiere. Chcąc sprawić mu jakąś przyjemność, wydobyłem z kieszeni kawałek szopowego tłuszczu.

—Dajcie i mnie kawałek — rzekł Burr.

Dałem mu kawałek wielkości włoskiego orzecha.

Jacataqua i Cap Huff pomaszerowali za mną, a poniżej obozu przyłączył się do nas Natanis. Tego dnia zrobiliśmy trzydzieści mil. Pod wieczór szlak zaroił się od żołnierzy, którzy siedzieli przy ścieżce śpiąc lub oparci o pnie drzewa patrzyli na nas szklistymi oczyma. Niektórzy szli, zataczając się pijacko, zygzakowato przecinając szlak, podnosząc kolana wyżej, niż trzeba, jakby w oczekiwaniu, że trafią na stopień skalny. Inni mówili do siebie, raz po raz wybuchając cienkim, dziecinnym, głuptackim chichotem.

—Nie traćmy czasu — rzekł Natanis kręcąc głową na widok

tylu zbłąkanych. — Musimy czym prędzej dotrzeć do Sartiganu i wysłać pomoc Pawłowi Higginsowi. Jeżeli pogoda odmieni się na gorsze, ci ludzie powymierają jak muchy.

O zmroku zrównaliśmy się z garstką żołnierzy Goodricha. Były to kompanijne ofermy, najniechlujniejsi z niechlujnych, ludzie nie umiejący patrzeć dalej nosa. W czasach głodu od razu zjadali całe swoje wielodniowe racje, nie dbając o dzień jutrzejszy. Tacy ludzie, przekonałem się, zawsze są najlepszymi kandydatami na maruderów i kłopotu z nimi prawie tyle, co z chorymi.

Wesoły panował wśród nich nastrój. Dlaczego tak było, próżno tłumaczyć. Kto całe życie przemieszkał w czterech ciepłych ścianach, ten nigdy nie zrozumie, że dopusty Boże, o ile, rzecz jasna, nie sprawiają bezpośredniego ostrego bólu, wszystkie są jednakie i niczym się jeden od drugiego nie różnią; że największą sumę nieszczęść, rozłożonych na wiele dni i tygodni, człowiek jakoś zniesie, o ile krzepi go myśl o bliskim końcu udręki. Niestety, większość ludzi nie podziela mojego zdania. Zdaje im się, że wszelkim cierpieniom musi towarzyszyć nieustanny płacz i zgrzytanie zębów.

Ci żołnierze zgrupowali się dokoła kociołka, zawieszzonego nad ogniem, i rozprawiali o jedzeniu. Chodziło o to, czy gotowana skóra jest pożywna. Chciałem ich wypytać o kompanię, ale nie dali mi dojść do słowa, póki nie wypowiedziałem swojego poglądu

119

na odżywczą wartość skóry. Każdy odciął sobie od mokasynów skrawek skóry, szeroki na trzy cale i długi na osiem, wypłukał ten skrawek w rzece, wypłukał również skórzany kapciuch na naboje i zastanawiał się teraz, jak

te specjały przyrządzić. Jedni twierdzili, że skóra dobrze wypieczona będzie się kruszyć w ustach i można ją jeść z pożytkiem dla zdrowia. Zdaniem innych strawniejsza byłaby skóra dobrze rozgotowana i napęczniała wodą.

Sądząc, że taka zabawa, jeżeli nie doda im sił cielesnych, to w każdym razie podniesie żołnierzy na duchu, wypowiedziałem się za gotowaniem skóry. O ile nie zmięknie, będzie można ją wyjąć z kotła i upiec, a skóra najpierw upieczona nie nadaje się już do gotowania.

Poznaczyli swoje porcje, tak żeby każdy mógł poznać, która należy do niego, i powrzucaли do kotła. Jeden wydobył z tobołu puszkę pomady do włosów, oświadczając, że lepsza taka omasta niż żadna. Ze skruchą pomyślałem o kawałku szopowego tłuszczu, tkwiącego w kieszeni moich szarawarów. Ale niewielką mieliby z niego korzyść, a mnie przede wszystkim zależało na nakarmieniu Febe.

Woda w kotle kipiała. Wreszcie jeden z tych głodomorów raczył odpowiedzieć na moje natrętne pytania, dotyczące Noego Cluffa. Inni na nowo podjęli kulinarną dysputę, przerwana moim przybyciem.

- Noe maszeruje tuż za Goodrichem — odpowiedział żołnierz. Był obdarty. Szarawary miał z tyłu załatane plastrem brzozonej kory.
- Jak daleko stąd?

Żołnierz przyłączył się do dysputy. — Bób jest dopiero wtedy dobry, kiedy go przed prażeniem sparzyć ze trzy razy!

- Nic podobnego! Lepiej wymoczyć przez noc — zaprzeczył inny.
- Kto tak powiedział? Mocz sobie aż do u...nej śmierci, jeżeli nie sparzysz, bób będzie twardy jak róg!
- Na święte bliźniętka! — zaklął trzeci. — Sparzony czy nie sparzony,

zjadłbym pełny kocioł takiego bobu!

- Kocioł! — mówiący te słowa miał włosy rozwichrzone, jak sterczące z wozu wiechcie słomy. — Ja bym zjadł beczkę!
- Do tego gorący chleb! — dodał jakiś mikrus o bezzębnej górnej szczęce.
- I kwaśny ser! — dorzucił inny.

Na to inny, w kurtce bez prawego rękawa, wrzasnął gniewnie: —

120

Po cholere mieszać prażony bób z kwaśnym serem! Do gorącego chleba i dobrego, soczystego bobu nic nie trzeba dodawać! Kwaśny ser, na miłość Boską! Co za bzdura! — Chrapnął wzgardliwie.

- Wierście lub nie — wtrącił żołnierz z brzozową łata — Jeżeli nie sparzyć bobu trzy razy parującym ukropem, człowiek dostaje takiego wzdęcia, że mu wiatr aż przypiera serce do kręgosłupa.
- Ognie piekielne! — zawołał ten z rozczapierzonymi włosami. — Parzenie nic nie pomoże na wiatry. Grunt to włożyć do bobu trochę gorczycy, zanim dojdzie. Wrzuć dwie-trzy szczypty gorczycy, a w beczce bobu będziesz miał w sam raz tyle wiatru, ile komar ma w skrzydłach!
- Jak mi życie miłe! — odparł ten z brzozową łata. — Za skarby nie tknę bobu nie sparzonego trzykroć!
- Pewno! — kpił rozczapierzony. — Gdyby ktoś zaszedł cię tak od tyłu i podał ci wielki półmisek z brązowym, soczystym bobem, dobrze zaprawionym wieprzowiną, ty byś powiedział: „Człowieku! Jeżeliś tego bobu nie sparzył trzykrotnie, zabierz go! Nie tknę, nie

przyjmę!" Pewno tak byś powiedział!

Żołnierz w załatanych korą szarawarach obejrzał się szybko, jakby w nadziei, że ujrzy półmisek prażonego bobu. Ale ujrzął tylko mnie.

Pochwyciłem okazję za rogi. — O ile wyprzedził nas Noe CluT? Czy Febe Dunn jest razem z nim?

- Nie wiem. Byłem bardzo zmęczony, więc położyłem się spać. Jeżeli nie spali w drodze, powinniście ich dogonić po sześciu godzinach marszu.
- Radzę wam nie tracić czasu — powiedziałem. — Jutro, najwyżej pojutrze będzie żywność.

Rozczapierzony okrzyknął mnie, gdy odchodziłem: — Każcie tę żywność trzykrotnie sparzyć ukropem, inaczej nie będziemy jedli!

Natanisowi została ze śniadania jedna sowa, a Cap miał kawałek szopowego tłuszczu, nie większy niż pięść Jacataqui. Podzieliliśmy te skarby na cztery równe części, zadowoleni, że jest co wepchnąć do ust. Przekonałem się poniekąd do sowego mięsa: można je żuć całymi godzinami. Chociaż Natanis twierdził, że mięso z karku żbika, jeśli żuć powoli, starczy na cały dzień, a wieczorem można je wyjąć z ust i rzucić psu.

Następny dzień mgliście rysuje mi się w pamięci. Kiedyśmy wyruszyli o świcie, miałem zawrót głowy i długo jeszcze nie mogłem pojąć, na którym jestem świecie. Niekiedy czułem w sobie jakąś

121

przedziwną, nierealną lekkość, wydawało mi się, że stopami ledwo dotykam ziemi. Kiedy indziej znów było mi Ciężko, jakbym do podeszew

miał uwiązane żelazne kowadła. Wściekałem się na Capa, który często potykał się i wybuchał głupim, piskliwym chichotem, tak że ja, w oczekiwaniu na następne jego potknięcie i następny wybuch śmiechu, również traciłem równowagę. A przecież lepiej się nam działo niż wszystkim innym. Mieliśmy w żołądkach odrobinę mięsa i tłuszczu, a tamci nic nie jedli od trzech dni.

Roilo się nam, że spotykamy po drodze tysiące i dziesiątki tysięcy ludzi. W gruncie rzeczy cała armia liczyła nie więcej niż sześciuset. Widząc, jak ślimaczym wloką się krokiem, jak często potykają się i poślizgują, dziękowałem Bogu za piękną pogodę listopadową. Gdyby walił śnieg i ostry wiatr chłostał nam twarze płatkami, padlibyśmy na ziemię i tak już byśmy zostali.

Tego dnia zrobiliśmy trzydzieści mil, z czego ostatnią po nadrzecznych urwiskach. Zszedłszy na skraj rzeki, ujrzelśmy ludzi Goodricha. Rozgrzebywali mokry żwir, szukając korzeni wodorostów. Noe Cluff leżał przy ogniu, którego pilnowała Febe, a Natanie! Lord i Asa Hutchins niezdarnie przebierali palcami w błocie i żwirze. Smutne przedstawiali widowisko. Oczy im zapadły w czaszkę, ruchy były nienaturalnie powolne.

Kiedyśmy stali, patrząc na przyjaciół, po spienionych falach przemknęła nadwerężona kanadyjka. Pośrodku siedział kapitan Dearbon, chudy, brodaty. W jego objęciach czarne, kudłate psisko. Sternikiem kanadyjki był jeden z tych drwali, którzy trzebili nam drzewa na lądowych szlakach, niejaki Ayres, chłop mocny i wytrwały. Na jego widok Natanis pokręcił głową i oznajmił, że oto człowiek, który pokazał dwie wielkie rzeczy: po pierwsze odważył się popłynąć kanadyjką od jeziora Megantic

aż do tego miejsca, po drugie dokonał tego. Nawet dobre czółno nie może się tu zapuszczać bezkarnie, a to czółno ledwo się trzymało kupy i lada chwila mogło pęknąć na dwie połowy. Na dziobie okrakiem siedział żołnierz. Gdy dziób pruł białe*-fale, woda przelewała się nad kolanami żołnierza, dopadała jego piersi i obfitymi strugami spływała na boki. Dzięki temu nie zalewała czółna. Załoga podpłynęła do brzegu, wyciągnęła krypę i położyła ją przy ogniu.

Natanis szybko przemówił do Jacataqui. Ta pochwyciła swego psa za skórę na karku i nie puszczała. Natanis zwrócił się do mnie: — Jest jeszcze dość widno. Spróbujemy dojść tej nocy do Sartiganu i resztę wojowników Pawła Higginsa przyślemy tym ludziom na pomoc. Powiedz im, że jutro dobrną do osady, a choremu

122

kapitanowi powiedz, że przy Wielkim Wodospadzie czeka na niego nowe czółno.

Wraz z Jacataquą oddalił się w mrok. Ja i Cap Huff podeszliśmy do ognia.

- Hola! — zawołał Noe Cluff. — To ty?
- A za kogo tyś mnie wziął?
- Niczego dzisiaj człowiek nie jest pewny! Mnie się przez cały czas wydawało, że w rzece nie ma skał, tylko same piaszczyste ławice. Zdawało mi się, że widzę nory, w których mieszkają szczezuje. Ta woda, co bije w górę, to, zdawało mi się, wypryski małżów.

Febe położyła się na wznak i spojrzała mi w oczy. Dobrze, pomyślałem, że nie ma tu mojej matki, bo dostałbym ja kazanie! Nie znaczy to, aby mnie matka miała winić za to, co się stało, ale niewątpliwie widok

wymęczonej Febe wzbudziłyby w niej złość do całego świata, a że ja jeden zniósłbym gniewne wyrzuty matki bez słowa protestu, przeto złość musiałaby się wyładować na mnie.

Febe znalazła gdzieś przygarść suchej trawy i napchała sobie badyli do kaftana, aby chronić się od mrozu. Z tego napchanego kaftana szczupła jej twarzyczka na cieniutkiej szyi wyzierała niby głowa lalki przytwierdzona do zbyt masywnego korpusu.

- Noe chciał wejść w rzekę i szukać małżów — rzekła uśmiechając się do mnie. Przejmujący, wysilony był to uśmiech. Spojrzałem na Capa. Dryblas w zamyśleniu zwierzał i rozwierał palce dłoni, jak zwykł był czynić, ilekroć zamierzał zdzielić kogoś pięścią. Tak, ta sama myśl świdrowała go w głowie, co mnie: że ktoś musi za to wszystko zapłacić.
- Czy wytrzymasz, Febe? — zapytałem. — Jeszcze tylko do jutra!
. — Do jutra! — szepnął Nataniel Lord. — Moje marzenie to cztery wieprzowe kotlety, kurczę pieczone i ze trzydzieści kłosek zielonego żyta!
- Żyto! — skrzywiła się Febe. — Nawet nie pamiętam, że coś takiego jest na świecie! Ja mam chęć na spory pieróg z dynią.
- Niech mnie kule biją! — ryknął Cap. — Do dziś dnia nie wiem, kto mi skradł tamten pieróg z dynią!
- Słuchaj, Stefku — rzekł Noe. — O to, że ona nie wytrzyma, możesz się nie bać. Przecież to ona mnie przytrzymała, kiedy chciałem wejść w rzekę i szukać małżów!
- Miałeś się ze mną podzielić, o ile pamiętam! — uśmiechnęła się Febe.

- Tak — przyznał Noe.
- Otóż nie miałam apetytu na małże. Dlatego cię przytrzymałam.
- A niechże cię, Febe! — bezradnie zaklął Noe. — Nie wiem, o czym mówisz.

Przysunęła się i ujęła go za ramię. — Trzymaj się, bracie! —
Uśmiechnęła się do mnie, tak jak przedtem, boleśnie, z wysiłkiem. —
Bryg nazwiemy „Łowcą”, dobrze? I Noe będzie marynarzem.

— Ależ tak, Febe. Naturalnie. Wszystko, co chcesz. Ty rządysz
na morzu.

Wyjąłem z kieszeni szarawarów tłuszcz szopowy i rękę ukryłem za
plecami. Przykląknęłam na jedno kolano i wyrecytowałem wierszyk, który
często mówiła mi matka, gdy byłem mały: — Otwórz usta, zamknij oczy,
a ptaszek do buzi wskoczy. — Gdy Febe usłuchała, wsunąłem jej do ust
tyle tłuszczu, ile mogłem zmieścić na palcu wskazującym, wiedziałem
bowiem, że jeżeli jej dam do rąk, podzieli między przyjaciół i dla siebie
nic nie zostawi. Trzymałem ją za ramiona, póki nie połknęła. Dopiero
wtedy wręczyłem jej zawiniątko. Ledwo puściłem rękę, ona już się dzieliła
z Noem Cluffem.

— Teraz ty, Stetanie — rzekła zamierzając z kolei poczęstować
Nataniela Lorda.

Odpowiedziałem, że Cap i ja niedawno jedliśmy. Spodziewałem się, że
Cap zaprotestuje, ale on był pochłonięty obserwowaniem Asy Hutchinsa i
jego kamrata, nazwiskiem Flood, łotra i świszczypały z Wellsu czy też
Yorku. Ci dwaj stali razem, przyglądając się spode łba biednemu
kapitanowi Dearbornowi, który mozolnie gramolił się z kanadyjki. Wielkie

czarne psisko, zadowolone z suchego gruntu pod stopami, łąsiło się przed swoim chorym panem.

Nie wiem, co dolegało Dearbornowi. Wiem tylko, że bliski był skonania. Od dwóch przeszło tygodni uważaliśmy go za straconego i niemal pogrzebanego. Rzeczywiście wyglądał jak kandydat do mogiły, biały jak płótno, z zapadniętymi policzkami i oczodołami, z czarną splątaną brodą, która podkreślała jeszcze bardziej śmiertelną błądź twarży.

Ayres podtrzymał go, bo Dearborn omal nie runął na twarz. Choć silnym podparty ramieniem, stawiał stopy w ten sposób, jakby spodziewał się trafić w próżnię.

Asa i Flood zbliżyli się do Dearborna, cichym, niepewnym krokiem, jakby podchodzili w bagnie stado gęsi. Pomny zlecenia, danego mi przez Natanisa, poszedłem za nimi.

124

Okrążyli Dearborna i stanęli przed nim twarzą w twarz. Asa przemawiał, a Dearborn zwyczajem swoim słuchał uważnie i dobrotliwie.

- Kapitanie, nasza łódź się rozbiła. Odkąd zbłądziliśmy wśród bagien, nie mieliśmy w ustach kęsa strawy. Jesteśmy bardzo głodni, kapitanie.
- Wiem o tym, chłopcze! Niestety, wiem! I to nie tylko wy jesteście głodni: ,wszyscy! Ufajmy w Bogu, że wkrótce wyzwoli nas z tych obieży!
- Kapitanie, wielu z nas jest o włos od śmierci głodowej. Pomóżcie nam!
- Chętnie bym pomógł, ale cóż ja mogę zrobić, chłopcze? Jutro, kto

wie...

- Kapitanie, macie ładnego psa. Dajcie go nam!

Pies, niezgrabne, miłe stworzenie, podbiegł do nas z wywieszonym językiem, głośno dysząc z ukontentowania. Pomerdał ogonem przed panem swoim, po czym obrócił się do Asy i Flooda, szczerząc przyjaźnie zęby.

- Jak to? — zapytał Dearbon. — Nie rozumiem... Chcecie go zjeść?
- Precz stąd, kanalie! — zawołał Ayres. — Jutro będziecie mieli żarcia po dziurki w nosie! Nie widzicie, że kapitan chory?
- Kapitanie — rzekł Asa, uważnie obserwując Ayresa. — Wielu z nas pomrze jeszcze tej nocy, o ile nie dostaniemy czegoś na zgryz. Wasz pies mógłby nakarmić trzydziestu ludzi. A może i pięćdziesięciu. Dajcie go nam.
- Boże! Boże! — jęknął Dearborn. — Mój Boże! Towarzyszył nam przez całą drogę! Zjeść takiego psa to jak zjeść człowieka! Co ty powiadasz, chłopcze? Chcesz zjeść... mojego psa?
- Kapitanie, zjedlibyśmy i piekielną zmorę, gdyby była jadalna! Próbowaliśmy łośiej skóry i mokasynów, ale nic z tego!
- Gdybyście zechcieli zaczekać do jutra...
- Teraz już musimy jeść! Dajcie nam psa, kapitanie!

Zdaje się, że Ayres zamierzył się na Asę, bo Dearborn go powstrzymał. — Nie nam tu sądzić — rzekł do Ayresa. — Jeżeli my jakoś się trzymamy, to nie dowód, że inni mogą tak samo. Uczyńmy, co w naszej mocy. — Palcami dłoni otoczył nos zwierzęcia, które spojrzało na niego oczami zwilgotniałymi z wdzięczności i miłości. — Weź go, chłopcze — zwrócił się do Asy — ale odprowadź daleko i... i oszczędź mu bólu.

Asa przykucnął i prztyknął palcami. Pies natychmiast przybiegł,

125

dumny z nowo zawartej przyjaźni. Asa wziął go za kudły i odprowadził.

— Asa! — okrzyknął go Cap. — Mogłeś poczekać do jutra, kozi synu! Poczekaj, dam ci dwa tygodnie na nabranie tłuszczu, a potem wyszarpnę ci kichę przez uszy! Jesteś plugawy szczur, Asa! Gdybym był głodny, jak ty udajesz głodnego, zabiłbym cię, a oszczędziłbym psa!

Pomyślałem, że nie sposób dociec, jaka jest wrażliwość Asy i Flooda na głód, i że Cap nie ma żadnego prawa obrzucać ich wyzwiskami. Na wszelki wypadek postanowiłem sobie, że kiedy Cap „wyszarpnie kichę” z Asy, ja się postaram, aby ten sam los spotkał Flooda.

IX

Nazajutrz we dwójkę z Capem poprowadziliśmy Dearborna szlakiem lądowym, nie chcąc, aby płynął kanadyjką, która przemokła pośrodku i lada chwila mogła się rozwalić. Chociaż Ayres podejmował się dopłynąć bez szwanku aż do Wielkiego Wodospadu. Dearborn czuł się bardzo źle, nogi miał sztywne i chwilami wcale ich nie czuł. A i stan naszych nóg pozostawiał wiele do życzenia.

Noe Cluff, Febe, Asa i inni wyprzedzili nas nieco. Po godzinie usłyszeliśmy piskliwe wrzaski i wystrzały muszkietowe. Sądząc, że to nareszcie bitwa, ułożyliśmy Dearborna za drzewem, a sami ruszyliśmy naprzód z muszkietami w rękach.

Nagle Cap zaklął. Zaklął drugi raz i trzeci. Były to bujne, obrazowe przekleństwa nie wściekłości, lecz ulgi. Cztery wypukłookie woły przebiegły obok nas, małe woły, ale przecież woły! Obok dwaj konni

Francuzi, również niewielkiego wzrostu, przyodziani w brudne szynele i wiązane czapki, spod których zwieszały się długie harcapy. W łękach siopeł leżały worki z mąką.

Za bydłem szło jeszcze kilku Francuzów, wszyscy w szynelach i perukach z harcapami na łokieć, oraz Abenakowie z watahy Pawła Higginsa. W ten sposób o mały włos uniknęliśmy głodowej śmierci.

Przyśpieszyliśmy kroku, aby zrównać się z czołem. Trafiliśmy na grupę, złożoną z pięćdziesięciu żołnierzy. Zostawiono im wołu. Zastrzelili go, skórę zdarli na mokasyny i tuszę porąbali na sztuki toporkami. Miałem wrażenie, że jestem w jatce. Ludzie siedzieli w kuchni przy ogniach, trzymając nad żarem kawały mięsa, zatknięte na ostrych kijach. Resztki wołu dymiły jeszcze obok

126

ścieżki. Pomiędzy żołnierzami snuli się oficerowie ostrzegając przed przejeźdzeniem. Wielu nie zważało na ich słowa, lecz szarpało zębami mięso, jak psy chrząstkę przy kości.

Kiedy podaliśmy kawałek mięsa Dearbornowi, nie mógł przełknąć. Przygnębiony chorobą, a zapewne i myślą o rozkoszy, jakiej zażyłby tu jego czarny pies, rozplakał się jak dziecko, powtarzając raz po raz: — Biedni ludzie! Biedni ludzie!

Mnie by może uszło na sucho, gdyby nie to, że Cap na widok łez Dearborna zaczął sam z cicha popłakiwać, a Febe podbiegła ze swoją porcją mięsa i podzieliła się z nami. Tak czy owak, poczułem w oczach nieznośne palenie. Chcąc ratować swój honor, wrzasnąłem ostro na Capa, zwymyślałem go od ostatnich osłów i zapytałem, czy zamierza cały dzień tu przebałaganić, czy zapomniał, że czeka nas jeszcze robota?

Powlekliśmy się dalej ku Wielkiemu Wodospadowi, od którego już tylko dziesięć mil do Sartiganu. A Sartigan oznacza koniec puszczy i początek osiedli ludzkich i porządných dróg. Przy wodospadzie znaleźliśmy abenackiego strażnika, który mi wskazał gdzie ukryte jest czółno Natanisa. Dearborna okoliczność ta wprawiła w zdumienie, że nie wspomnę już o Ayresie, który wcześniej od nas dotarł do wodospadu.

Ayres oświadczył, że, jak mu wiadomo, wędrujemy przez dziką puszcę kanadyjską, a przecież, dziwna rzecz, ilekroć jemu i kapitanowi Dearbornowi potrzebne było czółno, czółno to zjawiało się jak na zawołanie, wyrastało pod najbliższym krzakiem.

Okrążywszy wodospad, natknęliśmy się na jeszcze dwóch Abe-naków, wysiadających z kanadyjki naładowanej żywnością.

Zapytali, czy Dearborn jest tym chorym kapitanem, o którym wspominał Natanis, tym, który jechał kanadyjką od samego jeziora Megantic. Gdy przytwierdziłem, jeden z nich zacytował abenaekie przysłowie: „Najłatwiej potknąć się u samego końca drogi”. Wyładowali żywność, ukryli ją w pobliżu ścieżki i na dwóch kanadyjkach przewieźli nas do Sartiganu.

Sartigan była to zwykła sobie osada, niczym szczególnym się nie wyróżniająca, ale nam wydawała się rajską oazą. Cztery małe, bielone domy, kryte słomianą strzechą, parę szop dla bydła i koni, wszystko przesiąknięte gryzącym odorem gnoju. W każdym domu mieszkał lilipuci Francuzik z harcapem aż do tyłka i gębą śniadą jak podbrzusze czarnej kaczki.

Te domki, choć tak niepozorne, nam widziały się pałacami. Przez trzydzieści dni nie wiedzieliśmy, co to znaczy po ludzku

pomieszkać. Powie mi ktoś, że znowu nie tak długo. Prawda, ale tych trzydzieści dni ciążyło nam bardziej, niż wszystkie pozostałe lata życia, a często-gęsto mieliśmy powody się obawiać, że już nigdy nie zobaczymy domu.

Skraj pola, rozciągającego się za osadą, był usiany wigwamami. Abenakowie powiedzieli nam, że tam znajdziemy Natanisa. Tuż przy domach stała sklecona z desek buda, w której młody Francuzik sprzedawał jado: ryż, kartofle, mleko, chleb i kurczęta. Francuzik wyglądał przyjemnie, pomyślałem więc, że warto by z nim zawrzeć znajomość. Głód dawał nam się mocno we znaki, a nie mieliśmy fioletowego pojęcia o zaopatrzeniu Natanisa.

Francuzik powitał nas radośnie. Uznałem to powitanie za dobrą wróżbę. Oświadczył, że przyjmuje zapłatę tylko w bitej monecie. Za kwartę mleka żądał szylinga, za pół kwarty ryżu — szylinga, za bochenek chleba — szylinga, za kurczę — dwa szylingi. Cap słusznie zauważył, że radość, z jaką wita nas przekupień, jest zrozumiała. Przy takich cenach będzie mógł sobie wkrótce kupić majątek ziemski, o ile starczy mu, rzecz prosta, kurcząt. I niestety, powiedział Cap, ludzie zdychający z głodu muszą się na te ceny godzić, chociaż on osobiście dopatruje się tu bezczelnego nadużycia.

Sięgnął do szarawarów, zadarł koszulę, od pancerza monet, co okrywał mu zad, odciął trzy talary i wziął z półki cztery kurczęta, dwa bochenki chleba, pół kwarty ryżu i kwartę mleka. Gdy Francuzik wpychał sobie monety do kieszeni, Cap bacznie go obserwował — tak bacznie, że rychły powrót tych trzech talarów pod koszulę Capa nie ulegał dla mnie

najmniejszej wątpliwości.

Natanis i Jacataqua czekali przy wigwamach. Jacataqua oskubała kurczęta i wraz z ryżem wrzuciła je do garnka, tymczasem Natanis opowiadał nam nowiny. Podobno pułkownik Arnold popłynął już w dół rzeki i stanął kwaterą o pięć mil stąd. Podobno wszyscy Abenakowie udali się na Chaudicre, aby nieść pomoc żołnierzom. Paweł Higgins przed upływem dwóch dni zgłosił się do pułkownika Arnolda i odbędzie z nim naradę. My już odegraliśmy swoją rolę, twierdził Natanis, możemy teraz jeść do syta i spać, póki nam nie wrócą siły.

— Mnie sił nie, brak — odparłem. — Jutro będę zupełnie zdrow. Cap schudł i osłabł, ale ja się czuję jak nowo narodzony. Wrócę na rzekę i pomogę moim Arundelczykom.

Natanis zaśmiał się i podstawił mi lusterko. Na widok odbitej w nim twarzy machinalnie sięgnąłem po muszkiet.

128

Byłem bez kapelusza. Włosy miałem zmierzwione, niczym zeszłoroczne gniazdo raszki. Czoło mi pocięły zmarszczki, bruzdy miałem pod oczami, białka oczu były czerwone, a oczodoły podbite czarno — rzekłbyś, roztarte rękami brudnymi od czyszczenia kominów. Kości policzkowe sterczały ostro nad miotłą rudego zarostu, pozlepianego żywicą i strupami. Wargi były spękane i czarne, przypominały wargi człowieka, który jada gorący popiół. Jelonkowa bluza składała się z dwudziestu luźnych strzępów, a nikt by nie dociekał, gdzie zaczynają się, gdzie się kończą szarawary. Z moich pończoch zostało tylko parę skrawków, uwieszonych nad mokasynami, które dostałem od Pawła Higginsa. Krótko mówiąc, wyglądałem tak, że na mój widok dziecko

rzuciłoby się do ucieczki wołając, że spotkało upiora.

- Będziesz potrzebny na naradzie — rzekł Natanis, a przy wojsku doskonale cię zastąpią moi bracia. Winienes doprowadzić odzież swoją do porządku, wyspać się i nabrać tłuszczu.
- Co on powiedział? — zapytał Cap.

Jacataqua podniosła głowę znad kotła. — Powiedział, że musisz biegiem przebyć dwadzieścia mil w górę rzeki i zanieść żywność głodnym żołnierzom.

Cap pochylił się i złapał ją za kostkę. Manewrując ręką, doprowadził do tego, że zachwiała się i usiadła mu na kolanach. — Zmęczyłem się i opadłem z sił — rzekł trzymając ją za ramiona, tak że nie mogła go uderzyć. — Teraz dla odmiany proszę mnie podawać jedzenie. — Obnażył zęby i warknął przeraźliwie, udając, że chce jej odgryźć ucho.

— Czy jest w co ubrać Febe? — zapytałem.

Jacataqua potrząsnęła głową. — Nie. Ci Francuzi chodzą w szynelach z derki, ale derki są drogie.

Cap dźwignął się, zrzucił ją z kolan, i wyciągnął z szarawarów pancerny tył koszuli. — Masz, bierz, ile trzeba.

Jacataqua spojrzała i rzekła z namysłem: — Nie. Z takiego małego kawałka nie wykroi się sukienki!

— A żeby cię! — zawołał Cap. — I pomyśleć, że obracasz się w towarzystwie ludzi ogładzonych! Prędko bierz monety, bo przełożę cię przez kolano i wsypię dziesięć siarczystych!

Dostaliśmy po kurczęcej nóżce i po kubeczku rosołu, po czym zasnęliśmy. Wkrótce zbudziła nas Jacataqua i znowu dała nam jeść. Podniosła skórę, osłaniającą wejście do wigwamu. Ujrzeliśmy

karabinierów Smitha, którzy właśnie przechodzili w bród Riviere la Famine i zbliżali się do pierwszego domu osady: ludzie-nie

129

ludzie, skóra tylko i kości, zasmolone szkielety, drepczące w rozsypkę, byle jak. Ale pokrzykiwaniom i śmiechom nie było końca: cieszyli się, że żyją.

Jacataqua dała nam spać aż do następnego popołudnia. Kiedy otworzyliśmy oczy, na dworze padał śnieg. U wejścia wigwamu siedziała Febe, dłubiąc igłą w sztuce szarego derkowego sukna. Włosy miała związane niebieską chustką bawełnianą, na szyi jej lśniły kocie oczy, znowu wyglądała jak dawniej znana Febe. Tylko wargi jej zwierzał wyraz jakiejś ponurej zawziętości, wyraz którego nie miała przed tą piekielną wyprawą, a który mógł jej pozostać na długie lata.

- Wyglądasz strasznie — powiedziała, jak gdyby widząc mnie uszami. — Żeby naprawić twoją bluzę i szarawary, trzeba by szyć przez dwa tygodnie, a Bóg jeden wie, jak wyglądasz pod spodem!
- Nieszczególnie — odparłem, dźwigając się do pozycji siedzącej i biorąc z rąk Jacataqui ryż i porcję kurczęcia. Tym razem porcja była trochę większa, chociaż trudno by ją nazwać przyzwoitym posiłkiem. Kiedy skończyłem jeść, Febe wzięła mój kubek i nalała sobie rosołu.
- Wy, mężczyźni, jesteście okropni — rzekła. — Czy nigdy nie golicie się dla samej przyjemności? Ot, żeby ładnie wyglądać?
- Co by powiedziała Mary — wtrąciła Jacataqua i, dziwna rzecz, nie raziło mnie jej wścibstwo — widząc cię z taką brodą?
- A skąd ja wiem? — odparłem przewracając się na drugi bok i zabierając się do snu.

Febe nachyliła głowę do Jacataqui i poczęła mówić z nią półgłosem, kojącym półgłosem, który brzmiał niemal wesoło. A może wrażenie wesołości narzucało się przez kontrast ze złowrogim tematem jej zwierzeń. Opowiadała o tym, jak żołnierze druzgotali kości wołów i wyjadali szpik, jak pożerali jelita. Opowiadała o żołnierzach, którzy, nie bacząc na przestrogi oficerów, przejedli się i umarli.

Fale tej rozmowy ukołysały mnie do snu. Wieczorem dostaliśmy po kawałku chleba umoczonego w zupie, po kubku mleka, po dobrej porcji kurczęcia i połówce kuropatwy.

Febe wciąż dłubała igłą w szarym suknie derkowym, a my leżeliśmy, rozważając sposoby natarcia na Quebec, jakby miasto to było odległe zaledwie o osiem mil i którejs nocy można było podejść spacerkiem do murów. Kiedy nam powiedziano, że czeka nas jeszcze siedemdziesiąt mil żeglugi po kotle rzeki Chaudiere,

130

a potem przeprawa przez Rzekę Świętego Wawrzyńca, straciliśmy ochotę do rozmów i tylko wsłuchiwalismy się w skowyty i wrzaski wysiadających na brzeg abenackich wojowników.

Kiedy się zbudziliśmy, wigwam był napęczniony jasnością. W odbłasku świeżo spadłego śniegu siedział Natanis, spoglądając w małe lusterko kieszonkowe i nakładając na twarz farby: cynobrową, czarną i białą.

- Wrócili dwaj twoi znajomi — rzekł.
- Chyba nie Hook?
- Nie — odparł Natanis zdobiąc grzbiet nosa piękną, pionową, białą kreską. — Dawniejsi znajomi: Eneasz i Sabatis.

- Nie liczyłem, że ich jeszcze zobaczę. Jakie wiadomości przynieśli Arnoldowi?
- To dziwna sprawa — rzekł rozcierając sobie cynober na wargach i podbródku. — Powiadają, że schwytano ich, gdy wchodzili do Quebecu, i odebrano im listy.
- A więc w Quebecu spodziewają się naszego przybycia!
- Nie !o jest najważniejsze — powiedział Natanis. — Zważ tylko: nasi ludzie od niepamiętnych czasów mieli wolny wstęp do Quebecu. Francuzi cenili pomoc Indian, cenią ją również Anglicy. Wiedzą, że aresztami i rewizjami mogą nas tylko rozgniewać. Poza tym, kto chce przedostać się do miasta niepostrzeżenie, ma na to tysiące dróg i sposobów. Rozumiesz? Nie wierzę, że Eneasza i Sabatis zostali schwytani.

Pociągając brzytwę na pasku, rozważałem słowa Natanisa. Jeżeli ci dwaj nie zostali schwytani, znaczy to, że dobrowolnie oddali listy Arnolda do rąk jakiejś wysoko postawionej osobistości. Musimy obchodzić się z nimi ostrożnie, nie dać im do zrozumienia, że coś podejrzewamy, musimy ich obsypywać dowodami zaufania, wówczas sami się wygadają, z kim rozmawiali w Quebecu. Może poprzez nich jakoś dobierzemy się Hookowi do skóry! Dla Hooka gotów byłbym jeszcze tydzień maszerować o głodzie i chłdzie.

Na myśl o głodzie poczułem straszliwy apetyt. Zjadłem pół bochenka chleba maczanego w rosole, marząc o dniu, gdy mój żołądek odzyska dawną przestronność i moc, gdy będę mógł przetrącić na śniadanie kawał tłustej wołowiny i porządny pieróg, najchętniej z dynią.

Natanis z kolei pomalował sobie policzki i czoło żółtą farbą, a nie była

to praca łatwa, gdyż żółta farba, łącząc się z czarnymi

131

włosami, nadaje im przykry odcień zielonkawy. — Pamiętaj o jednym — odezwał się stłumionym głosem człowieka, zajętego delikatną pracą ręczną. — Lepiej, aby Arnold nie okazywał im gniewu. Jeżeli otwarcie zarzuci im zdradę, dostaną furii i opuszczą nas właśnie teraz, gdy są najbardziej potrzebni.

- Arnold wie o tym — rzekłem opierając brzytwę na podbródku i przystępując do zabiegu, który miał ze mnie uczynić Apollina, co nie było wcale takie łatwe, zważywszy opłakany stan moich szarawarów. — Arnold jest mądry.
- Raczej powiedziałbym odważny. Lubi otwarcie wypowiadać swoje myśli. Niby mądry, a uwierzył, że jesteśmy szpiegami.
- To nie jego wina! Był ohydnie oszukany przez wielu ludzi, których uznawał za swoich przyjaciół. Nic dziwnego, że dziś ma się na -baczości. Podejrzewał nas o szpiegostwo, ponieważ takie dostał informacje.

Natanis wzruszył ramionami i namalował sobie małego, czarnego żółwia pośrodku czoła. Jego twarz była tak zasmarowana, że nie dociekłbyś, jaki naprawdę ma wyraz. — Tak czy owak, trzeba mu powiedzieć, aby nie okazywał gniewu. Widzisz, chciałbym wybadać, co to za ptaszek zrobił ze mnie szpiega.

- Ja chcę wiedzieć, gdzie jest Hook.
- Więc ostrzeż Arnolda — rzekł. — Powiedz mu, że Eneas i Sabatis są naszymi braćmi. Wykrzywił się do mnie tak okropnie, że aż skaleczyłem sobie ucho brzytwą. Natanis wielce się ucieszył, widząc

w tym dowód skuteczności swoich zabiegów kosmetycznych.

Kiedy tak siedziałem, z rozpaczą patrząc na moją bluzę myśliwską, nie wiedząc, w które miejsce najpierw wetknąć igłę, u wejścia stanęła Febe z zawiniątkiem w ręku. W nowej odzieży wyglądała tak zgrabnie i wytwornie, że zapomniałem o swojej nagości, zapomniałem o bluzie. Febe oświadczyła, że chętnie mi tę bluzę naprawi, o ile nie zamierzam wystrzępionych resztek ugotować i zjeść.

Do twarzy jej było w szarym szynelu przepasanym czerwoną włóczkową szarfą, w długich, szarych szarawarach, wpuszczonych w cholewki mokasynów, w olśniewającym naszyjniku z kocich oczu. Cap na jej widok aż usiadł. Gdyby miała jeszcze harcap do pasa, oświadczył, fajkę w ustach i zalatywała czosnkiem na sto mil, można by ją z powodzeniem wziąć za Francuza.

Podawała mi zawiniątko: szarawary sukienne i włóczkowe pończochy dla mnie i dla Capa. Cap wielce się zasmucił tym darem, gdyż zamierzał pożyczyć sobie parę szarawarów od tego Fran-cuzika, który tak zdarł z nas skórę. Chętnie by ściągnął mu je bez-

132

pośrednio z tyłka, gdyby los nastreczył spotkanie w ciemnym zakątku leśnym.

Febe ostrzygła mnie. Oboje wsiedliśmy energicznie na Capa, zakazując mu wszelkich sprzeczek z Francuzami, są to bowiem nasi przyjaciele i nie raz jeszcze przyjdzie nam korzystać z ich pomocy. Przypomniałem mu przy sposobności, jak to przed kilku laty skarcił mnie za lżenie Francuzów.

- Stefku — rzekł Cap — w dyspucie jesteś bardziej szczywany ode

mnie, ale ci Francuzi to, prawdę powiedziawszy, żadni Francuzi.

Wydaje im się tylko, że są Francuzami. Prawdziwemu Francuzowi nie wystarczy jakiś mysi ogonek. Prawdziwy Francuz podobny jest do Chińczyka, a harcap ma na długość pręta.

- Cóż z. tego? Z warkoczami czy bez warkoczy, ci ludzie są naszymi przyjaciółmi i basta. Będziesz łaskawy ich zostawić w spokoju.

Cap bronił się płacząco, że chce tylko przynieść do domu jeden warkocz jako trofeum i o nic więcej mu nie chodzi, że i ja inaczej zaśpiewam, gdy dostanę do rąk mojego pupila, Guerlaca; że ci Francuzi to skończeni rabusie, spekulanci, podwójnie zarabiający na artykułach pierwszej potrzeby. Mając już po dziurki w nosie jego częściej gadaniny, wypchnąłem Febe z wigwamu, wlałem w nowe szarawary i bluzę i sam uciekłem, krzyknąwszy Capowi na pożegnanie, że jeżeli już mowa o spekulacji, to nasi poczciwi rodacy sprzedawali nam na Kennebecu skwaśniałą wołowinę z czterystoprocentowym zarobkiem. On jednak pokonał mnie ostatecznym argumentem, że kto przybywa do Maine, ten przynajmniej wie, że przybył do kraju złodziei, natomiast inne okolice nie mają tej zaszczytnej sławy.

Na brzegu rzeki stała flota, złożona z. dwudziestu kanadyjek. Przyniosło je czterdziestu wojowników, strojnych w paciorkowe naszyjniki i naramienniki, srebrne bransolety i futrzane peleryny. Głowy mieli wygolone. Kilku tylko nosiło włosy przewiązane wstążkami paciorków.

Wszyscy byli pomalowani, nie wyłączając Pawła Higginsa, tak że nie odróżniłbyś jednego od drugiego. Natanis mi wytłumaczył, że właśnie dlatego Indianie malują się przed każdą wyprawą wojenną. Jeśli któryś z

nich w walce wręcz ugodzi wroga, ugodzony nie umie go rozróżnić w tłumie pomalowanych Indian i nie może później wziąć odwetu. Może to i prawda, ale moim zdaniem Indianie malują sobie twarze, ponieważ sprawia im to przyjemność.

133

Spędzają na tej czynności całe godziny i wpadają w szal, gdy niezręczna dłoń osunie się i zepsuje symetrię rysunku.

Natanis po raz pierwszy, odkąd go znałem, miał na twarzy farbę i nigdy później już mu się to nie zdarzyło. A przecież malował się z taką satysfakcją, z jaką kobieta nakłada na siebie dziesięć halek i suknię, tak wydatną z tyłu, że para puchaczy miałyby gdzie usłać sobie gniazdo. Są to dwie postacie jednej i tej samej choroby. Znam wielu Indian, którzy urodą dorównują najpiękniejszym białym mężczyznom, a jednak wolą się malować i wyglądają wtedy jak upiory ze snów człowieka, który objadł się pasztetem i opił gorącym rumem z masłem. Kubek w kubek kobieta z tiurniurą!

Przy czólnach zastaliśmy Hobomoka, Natawammeta i wojowników, którzy szli z nami przez bagna, okalające Jezioro Palczaste. Paweł Higgins umalował się na żółto, a czoło mu przecinała czarna, zygzakowata linia, przypominająca kontury sosen na tle nieba.

- U źródeł Chaudière zostawiliśmy całe obozowisko żołnierzy — rzekł. — Z żywnością było kiepsko, więc ukradliśmy Francuzom konia. Jak ty uważasz? Czy powinniśmy byli kraść?
- Sami by wam dali, gdybyście poprosili — odpowiedziałem.
—To nie znasz Francuzów! — zaśmiał się Paweł.
Pomyślałem sobie, że jeśli ci dwaj, Paweł i Cap, zejdą się razem,

zabraknie nam harcapów w drodze do Quebecu.

Sartigan był północną granicą puszczy. Odtąd już rzeka płynęła środkiem nizinnych pól, pokrytych śniegiem i usianych schludnymi, bielonymi farmami. Tu ujrzeliśmy pierwszą kaplicę. Na jej dachu widniał katolicki krzyż. Te farmy i kaplice wprowadziły mnie w zdumienie, sądziłem bowiem, że papistowska Kanada jest krajem zupełnie dzikim. Okazało się, że nie gorzej wygląda od prowincji Maine, a równie zgrabnych, przytulnych domków nie znajdziesz u nas w Arundel.

Szybko przebyliśmy sześciomilowe bystrzyny, oddzielające Sartigan od głównej kwatery Arnolda. Przybiliśmy do przylądka, na którym stały dwie tynkowe farmy.

U wrót jednego z domków pojawili się żołnierze i oficerowie, wśród nich porucznik Church, porucznik Stetie i kapitan Ogden. Nie odrywali ode mnie oczu. Church zapytał bez wstępów: — Gdzie Cap Huff? — To było całe przywitanie.

—Zabłądził — odrzekłem. — Przygarnęliśmy go. Otoczyliśmy go opieką. Będzie tu jutro.

Church kiwnął głową i spojrzał w niebo, jakby wypatrywał

134

śniegu. — Kombinuję — rzekł. Jako prawdziwy Arundelczyk, nie wyjaśnił, co mianowicie kombinuje. Ja dopatrzyłem się w tym słowie radosnego przytwierdzenia i uznałem, że Church nigdy nie miał poważnyda wątpliwości ani co do Capa, ani co do mnie.

Izbę Arnolda ogrzewał żelazny piecyk. Po raz pierwszy od miesiąca poczułem prawdziwe ciepło — ciepło tak przejmujące, że zalała mnie fala słabości i musiałem oprzeć się o ścianę.

Kiedy weszliśmy, Arnold właśnie rozmawiał z intendentem. Twarz miał kwitnącą jak zawsze, bary szerokie, włosy czarne i kędzierzawe. Tylko jego mundur był poplamiony i pomarszczony od kąpieli w falach rzecznych.

Spojrzał na mnie jasnymi, okrągłymi oczami. Zbliżyłem się do stołu, skleconego z luźnych desek, i położyłem przed Arnoldem kawałek brzozonej kory. Na tym skrawku napisałem uprzednio: „Nie karcie Eneasza i Sabatisa”. Spojrzał na moje pismo, skrzywił się, a twarz mu ściemniała i nabiegła krwią. Po czym podszedł do Indian i po kolei ścisnął im dłonie. Ze mną przywitał się na końcu.

- Co wy tu robicie wśród tych... obywateli?
- Pułkowniku — odrzekłem. — mój przyjaciel Natanis prosił mnie, abym był tłumaczem.

Arnold kiwnął głową. — Który jest Natanis?

Natanis wystąpił, prosty i mocny jak maszt szalupy. Żałowałem, że twarz ma okrytą cynobrem i ochrą, że pułkownik nie może widzieć malującej się w niej mądrości i dobroci.

Spoglądali po sobie. Abenakowie, stłoczeni za nami, milczeli. — Zaiste — rzekł Natanis — jestem twoim przyjacielem.

Kiedy przetłumaczyłem, Arnold uśmiechnął się. Był to uśmiech szczery i nieprzeparcie pociągający.

- Obawiam się, że zostałem źle poinformowany. Jestem również jego przyjacielem i przyjacielem wszystkich tych dzielnych ludzi.
- To bardzo dobrze — rzekł Natanis. — Musimy pewne sprawy omówić z białym wodzem, sprawy, które powinny zostać między nim a nami. Wolimy rozmawiać bez świadków. — Spojrzał na intendenta.

Był to oficer karabinierów z dywizji Mateusza Smitha, zawzięty wróg Indian. Nienawiść malowała mu się w oczach, gdy spoglądał na stłoczonych za mną wojowników.

Intendent wyszedł, czerwony jak sierpniowy zachód słońca.

Pomyślałem sobie, że trzeba mu dobrze patrzeć na ręce, jeżeli przy biciu wołów chcemy dostać coś poza mostkiem i drugą krzyżową.

135

Pierwszy przemówił Paweł Higgins, posepny i wspaniały, z czarną błyskawicą przesywającą żółte czoło. Ustalono, że on, jako sachem Assaguntikuków, będzie generalnym mówcą.

—Bracie — rzekł Paweł — wyruszyliście, aby walczyć o wolność kraju, który zamieszkujecie. To przedsięwzięcie napędza was dumą. I my bylibyśmy dumni z udziału w wyprawie, bo i nasza ojczyzna jest ten kraj. Ale gdy zgłosiliśmy się do wielkiego wodza w Cambridge proponując, że wstąpimy do jego armii, wielki wódz podziękował i odprawił nas z kwitkiem. Nie chciał naszej pomocy.

Cóż na to mógł powiedzieć Arnold? Nic. Milczał więc, wybałuszając tylko oczy jak kulki szrapnela.

—Bracie — dalej mówił Paweł — niepotrzebne tu długie przemowy. Nie jesteśmy gadułami. Wolimy przy okazji pomóc, czy to w marszu, czy to w bitwie. Chcemy więc opowiedzieć białemu wodzowi o tym, co się stało, iżby wiedział, że doznał od nas pomocy, pomimo że w Cambridge pogardził nami.

Bracie, lud abenacki jest dumny i nie przywykł, aby okazywano mu wzgardę. Powróciliśmy z Cambridge, obrażeni i oburzeni. Chcieliśmy

udać się czym prędzej w lasy, na połów bobrów i jeleni. Ale wasz przyjaciel Stefan przybył do nas, wygłosił mowę i powiedział, że musimy polować nad Wysokim Łądem, w przeciwnym razie okaże się, że nasze słowa o chęci dopomożenia białym braciom były kłamliwe, że głównym naszym celem był pieniądz i pusta sława.

Gdy to przetłumaczyłem, Arnold spojrział na mnie krzywo. — Nic nie opuszczajcie — rzekł.

—Bracie — dalej mówił Paweł. — Rozpuszczono wieść, że jeden z naszych braci jest szpiegiem, nasz ukochany brat Natanis. Wysłano przeciwko niemu żołnierzy. Ale los sprawił, że wasz przyjaciel Stefan zdołał go ostrzec w porę. Dzięki temu Natanis uniknął śmierci ku wspólnej naszej radości i korzyści.

Paweł wyciągnął z za pasa zwitek kory brzozonej. — Przybyliśmy polować na Wysokim Łądzie, zgodnie z daną Stefanowi obietnicą. Polowanie było marne, ale nasz brat Natanis napędził dwa łosie ludziom, którzy mieli go zabić. Bez tych łosi zagłodziliby się na śmierć.

Sześciu naszych wojowników — tu odczytał imiona ze zwitka — udało się do Sartiganu, aby zwołać z całej rzeki ludzi z żywnością. Dzięki temu mój brat znalazł w Sartiganie tyle żywności, ile trzeba było białym żołnierzom. Wezwawszy ludzi do przybywania z żywnością, wojownicy zbudowali czółna, na których wasza armia

136

przeprowadzi się przez Rzekę Świętego Wawrzyńca. Zbudowali osiemnaście kanadyjek, mocno szytych i dobrze uszczelnionych żywicą. Kanadyjki te są ukryte na zachodnim brzegu rzeki Chaudiere, tam gdzie woda zaczyna płynąć gładko.

Niektórzy nasi kursowali, jako łącznicy, pomiędzy Sartaginem a jeziorem Megantic. Inni byli rozstawieni na szlaku, który zaczyna się u źródeł Siedmiomilowego Potoku i prowadzi okólną drogą do jeziora.

Paweł odczytał imiona pozostałych swoich ludzi.

— Nie wiedzieliśmy, czy możemy zaufać twojej armii, bracie. Dybano na życie naszego brata Natanisa. Słyszeliśmy, że są wśród was tacy, którzy bez powodu mordowali Indian. Może to i nieprawda. Oby to była nieprawda! Tak czy owak, za dużo słyszeliśmy, aby zbliżyć się i otwarcie zaoferować pomoc.

A przecież doznaliście od nas pomocy. — Tu spojrzął ponownie na zwitek kory brzozonej. — Nasz brat Natanis zostawił mapę Martwej Rzeki i Łańcucha Stawów w chacie swojej, gdzie znaleźli ją żołnierze. Na brzegu jeziora Megantic zbudowaliśmy dom z kory dla ludzi, którzy maszerowali brzegiem Siedmiomilowego Potoku. Tyś w tym domu stał kwaterą, bracie. Znalazłeś zostawioną przez nas umyślnie kanadyjkę i wygodnie w niej podróżowałeś. Kiedy opuściłeś dom, każdej nocy paliliśmy przed nim ognisko, widoczne w promieniu kilku mil.

Gdy żołnierze twoi zbłądzili w błotach, twój przyjaciel Stefan i nasz brat Natanis rozniecili ogniska na śniegu i ogrzali zbłąkanych. Twój przewodnik Hull miał poprowadzić żołnierzy naokoło błot i doprowadzić ich bezpiecznie do jeziora Megantic, ale zabrnął w błota. Myśmy go nie tracili z oka, zbieraliśmy ludzi, których na ziemię powaliło zmęczenie, ogrzewaliśmy, karmiliśmy, przywracaliśmy ich do życia. A gdy już wydawało się, że wielu utkwi w błotach i znajdzie tam niesławną śmierć, nasz brat Natanis wyprowadził ich na suchy ląd.

Z bagien wyłowiliśmy dwudziestu dwóch ludzi, bracie, ludzi tak

słabych, że już nie mogli chodzić. Przywlekliśmy ich do ognisk płonących na szlaku. Na Chaudiere, po strzaskaniu się łodzi, wyratowaliśmy dziesięciu. Ci ludzie również by umarli, gdyby nie pomoc naszych wojowników. Podjęliśmy i ogrzaliśmy trzydziestu siedmiu, którzy padli na brzegu rzeki Chaudiere, zmożeni chłodem głodem, bliscy skonania.

Ustawiliśmy czaty na długim szlaku okrążającym Wielki Wodospad. Mój brat doznał od wartowników naszych pomocy, jak

137

również ci, którzy przyszli po nim. Przez cały czas dbaliśmy, aby chory kapitan z czarną brodą miał czółno. Dwóch naszych braci przewiozło go od Wielkiego Wodospadu do Sartiganu, aby nie rozbił się i nie utonął.

Mógłbym wspomnieć również o innych drobiazgach: przynosiliśmy żywność żołnierzom, kradliśmy, aby oni mieli co jeść. Ale nie będę wchodził w szczegóły. Zapewne mojemu bratu wiadomo, że Anglicy zniszczyli wszystkie czółna i łodzie przed Rzeką Świętego Wawrzyńca, aby uniemożliwić wojsku przeprawę. Ale my tu mamy własne czółna oprócz tych osiemnastu nowych czółen, o których już wspomniałem. Jeśli mój brat sądzi, że tak będzie dobrze, zabierzemy te wszystkie łodzie na Rzekę Świętego Wawrzyńca i przewieziemy w nich armię. A jeśli mój brat zgodzi się na to, chętnie weźmiemy udział w bitwie o Quebec. Bracie, skończyłem.

Paweł cofnął się między Abenaków. Pułkownik Arnold patrzył na swoje splecione ręce. Widać było, że przemówienie Pawła, choć wolne od krasomówczych ozdób, wywarło na nim głębokie wrażenie. Arnold również zaniechał wszelkiego krasomówstwa i po prostu powiedział, co

myśli.

— Bracia i przyjaciele! — rzekł. — Słusznie przypadają wam te miana, ujawniliśmy bowiem wspaniałomyślność, godną prawdziwych braci i przyjaciół. Raporty, na podstawie których organizowałem tę wyprawę, okazały się fałszywe. Pomimo to szczęśliwie jakoś dobrnęliśmy do tego miejsca, a to dzięki pomocy moich braci i przyjaciół. Proszę moich braci i przyjaciół, aby nadal zechcieli nam pomagać. Jeżeli spełnią moją prośbę, wdzięczność moja nie będzie miała granic. Podejmuję się płacić im po dziesięć talarów miesięcznie oraz dwa talary premii i żywić ich przez czas wyprawy. Dowódców wybiorą sobie sami.

Była to propozycja naprawdę wspaniała. Z twarzy Pawła wyczytałem, że przyjmuje ją ze szczerym zadowoleniem. Wiedział, że Natanis zostanie przy mnie, jego przeto, Pawła, Abenakowie obwołają kapitanem. A dopiero to była radość, kiedy Arnold wezwał Oswalda, przedstawił Abenaków jako swoich braci i oświadczył, że mają pobierać żołąd i żywność na równi z innymi żołnierzami, ponadto z góry otrzymają po dwa talary tytułem premii.

Gdy Oswald zapytał, czy ja również mam dostać dwa talary, Arnold powątpiewająco pokręcił głową i oznajmił, że ze mną i z Na-tanisé musi tę sprawę omówić na osobności — że spróbuje

138

nas skłonić, abyśmy podzielili między sobą jednorazową kwotę trzech talarów.

Zostaliśmy z nim we troje. Usiadł ciężko, łokcie wsparł na stole i rzucił mi spojrzenie pełne goryczy. Zapytał, czy teraz, kiedy zrobiłem z niego durnia, jestem nareszcie zadowolony? Rozejrzał się po izbie; wydawało

się, że za chwilę dopadnie ramy. podciągnie się i będzie się śmiał do nas spod pułapu, na poły ze złością, na poły radośnie.

Oświadczyłem, że wszystkim naszym nieporozumieniom winien jest Treeworgy, człowiek znany mi pod nazwiskiem Hook; ten Hook — powiedziałem — przyczynił się do śmierci mojego ojca i byłby go zamordował własnymi rękoma, gdyby nie surowa litera Dziesięciorga Przykazań, a i mnie rad by widzieć na tamtym świecie.

- Powiedźcie mi — rzekłem — skąd znacie Treeworgy'ego? Kto was namówił do użycia płaskodennych łodzi w wyprawie? Kto oczernił przed wami Natanisa?
- Rozumiem — odrzekł Arnold patrząc mi w twarz szeroko rozwartymi oczami. — Sądzicie, że te sprawy wzajemnie wiążą się z sobą. Ale tak nie jest. Rzecz przedstawia się całkiem prosto. Kiedy byłem w Ticonderodze i darłem koty z tym chamem, Etha-nem Allenem, którego niedawno wysłano w kajdanach do Anglii, co oby mu wyszło na zdrowie, nawiązałem korespondencję z przyjaciółmi z Quebecu i Montrealu, chcąc poznać panujące w tych miastach nastroje, już wtedy bowiem na względzie miałem tę wyprawę.

Treeworgy w kanadyjce płynął przez jezioro, wioząc listy od dwóch torysów z Plymouth Company, zamierzających dać drapaka do Anglii. Moi ludzie go capnęli. Przeczytawszy listy i dowiedziawszy się, że chłop był w swoim czasie kapłanem, zapytałem go, czy nie zechce służyć mi za pocztyliona. Zgodził się, prosząc tylko, abym nie powierzał mu listów, których treść byłaby sprzeczna z interesami jego chlebodawców, i abym zataił jego dawne powołanie. Wstyd mu było, że zrzucił duchowną sukienkę.

- Ten człowiek nie zna wstydu — wtrąciłem. — -lego powszednim chlebem jest nienawiść. Gdy nienawidzi człowieka, żadna droga do piekła nie jest mu dość krótka. Paweł Higgins powiada, że Hook porzucił zawód kapłański, ponieważ Bóg zbyt opieszale karał grzeszników.
- To niemożliwe. Tak czy owak, uznałem go za zesłańca Niebios i obdarzyłem zaufaniem. Co osobliwsze, przywiózł odpowiedzi na moje listy.

139

- Do kogo pisaliście?
 - Do ludzi, z którymi pokumałem się jeszcze w czasach, gdy byłem handlarzem. Świetne chłopcy. Halsted, Maynard, Mercier, Manir, wasz przyjaciel Guerlac...
 - Proszę! — zawołałem triumfalnie. — Byłem tego pewien! Guerlac!
 - Nie, nie! Guerlac nic nam nie zawinił. Pytałem go tylko o stosunek Francuzów do nas. Odpowiedział szczerze i po prostu.
- Kto wam zalecił łodzie? Kto oskarżył Natanisa?
 - Proszę was — odparł, jeszcze szerzej otwierając oczy — właściwie nie powinienem wam o tym mówić. I Bóg mi świadkiem, nie powiedziałbym, gdyby nie despekt, jakiegoście ode mnie doznali. W przedmiocie Kennebecu i Chaudiere skierowałem zapytanie do kapitana Williama Gregory'ego. Gdy przyszła odpowiedź, pod opłatkiem znalazłem sekretny dopisek, że w tych sprawach najlepiej się orientuje John Woodward, mający dostęp do rządowego archiwum, i że listy do niego należy adresować na oberżę Le Chat Qui Peche, Pod

Kotem Rybołówcą.

- A Eneasz? Kto go wam polecił jako gońca?
- Kiedy Treeworgy wrócił z odpowiedziami na moje listy, miał przy sobie wioślarza. Wioślarzem tym był Eneasz. Co wy myślicie? Że Eneasz zdradził? Czy też naprawdę został pojmany?
- Nie wiem, ale postaram się dociec. A któż to jest ten Woodward? Znacie go?
- Tylko z listów — odparł Arnold. — Gregory pisał mi o nim, ręczył za niego, a Gregory"ego znam. Świetny chłop. Można na niego liczyć jak na wschód i zachód słońca.
- A przecież to Woodward, człowiek, którego nie znacie, oskarżył Natanisa o szpiegostwo?

Arnold zwęził powieki. — Tak. Woodward mi napisał, że w bystrzach górnego Kennebecu i Chaudiere ostać się może tylko płaskodenna łódź. Woodward mi zakomunikował, że pułkownik McLean otrzymuje od Natanisa raporty o osobach wędrujących po Martwej Rzece, pisane po francusku i podpisane.

- Ale nie znacie Woodwarda! Jak mogliście uwierzyć jego słowom?
- Przesłał mi dowód! — niecierpliwie odrzekł Arnold. — Przesłał mi odpis jednego z tych raportów i odpis pokwitowania, w którym Natanis potwierdził odbiór miesięcznej zapłaty.
- Ile otrzymywał miesięcznie?
- Dwa szylingi — śmiejąc się rzekł pułkownik.

140

Natanis, gdy mu o tym powiedziałem, wzruszył ramionami. — Ci

panowie stanowczo przepłacali!

Surowo go skarciłem. Czyżby zapomniał, jak zemściła się na nim ta skłonność do żartów?

- Masz rację, Stefanie — odrzekł. — Powiedz pułkownikowi, że coś tu musi być nie w porządku, bo ja nie umiem pisać.
- Natanis mówi, że to jest kłamstwo — przetłumaczyłem. — On nie umie pisać ani po francusku, ani po angielsku.

Pułkownik zaczął ogryzać paznokcie, ponurym mierząc mnie spojrzeniem, a twarz nabiegła mu krwią. — Na Boga! — zawołał waląc w stół płazem dłoni. — Nabrano mnie! Przyznaję ze skruchą. Ale ten, co chciał nas zgubić, srodze się zawiódł! Jesteśmy prawie u wrót Quebecu. Szkoda czasu na cczą gadaninę! Sami dociekajcie źródła tych łgarstw, jeżeli wola. Kiedy spotkacie Treeworgy'ego, wyślijcie go na łono Abrahama z moim błogosławieństwem. A niech mi się tylko napatoczy John Woodward, już ja mu dogodzę!

Ruszyłem do drzwi, za mną Natanis. A więc nie dotarłem do jądra prawdy! Od drzwi odwołał mnie pułkownik.

- Hejże! Co wy? Oszaleliście? Omal was nie zniszczyłem, splugawiłem wasz honor, a wy nie stawiacie mi żadnych żądań?
- Za wszystko zapłaci Treeworgy. A przyjaciele nigdy nie wątpili o mojej lojalności: ani Natanis, ani Febe, ani...
- Zastanowiłem się. — Ach tak, mam prośbę! Febe... Pamiętacie Febe? Arnold zaśmiał się wesoło. — Pewno, że pamiętam! To herod-baba!
- Nie — odparłem. — Nie herod-baba. Ot, małe nicpotem, ale dobra dziewczyna. Jej mąż zmarł wśród bagien otaczających Staw Klonowy. Zdaje się, że nie wszystkie klepki miał w porządku.

- To smutne — rzekł Arnold wpatrując się we mnie z jakimś osobliwym zdziwieniem. — Smutne. Co się z nią stanie?
- Właśnie o tym chciałem mówić. Weźcie ją do swojej kwatery. Będzie wam gotowała. Nasi żołnierze, wiecie, lubią sobie obcesowo poczynać z kobietami.
- Z chęcią. Ja na tym skorzystam najwięcej.
- Jeszcze jedna prośba. Póki jesteśmy w marszu, pozwólcie mi się oddalić i poszukać Treeworgy'ego. Kiedy dojdzie do bitwy, chciałbym wraz z Natanisem walczyć pod waszymi rozkazami lub w dywizji Morgana.
- Dobrze już! Dobrze'. — zniecierpliwiał się nagle. — Wynoście się! Mam robotę!

141

Wychodząc, natknęliśmy się na porucznika Churcha, porucznika Steele'a i majora Bigelowa. Bigelow nas zagadnął: — Hola! Niewinnie coś wyglądają mi ci szpiedzy! — Obrócił się cło Steele'a.

— Jak bliźnięta, tylko że gęby w różnych kolorach. Patrz, Archibaldzie, jeden brunatny, drugi biały. — Spojrzał na mnie badawczo przez ramię. — Tak jest, prawie biały — rzekł z humorem.

Mrugnął okiem na Natanisa i serdecznie uścisnął mu rękę. Mnie wziął za kołnierz bluzy i porządnie wytrząsnął. — Klawo, że skończyła się ta zabawa w szpiegów, bo nareszcie Steele będzie mógł odetchnąć. Miał prawie pewność, że zarzuty są słuszne, bo takeście wyglądali, jakbyście wciąż o czymś myśleli. Steele nie jest przyzwyczajony do ludzi, którzy myślą.

Steele podszedł, z lekka zawstydzony, i starannie splunął na

odwietrzną. — Cieszę się, że wszystko w porządku. — Uśmiechnął się szeroko do Natanisa i wyciągnął rękę.

- Porucznik Steele — przedstawiłem. — Pamiętasz go.
- Pyta — przetłumaczyłem słowa Natanisa — czy smakowały wam te dwa łosie, które wam przysłał.
- Steele miał mu za złe — wtrącił Bigelow — że nie postarał się o dwa tęgie woły. — Rzekłszy to, wybuchnął tym swoim opętańczym, sztucznym śmiechem, a my śmieliśmy się do wtóru. Było nam weselej, niż gdyby Arnold wezwał doboszów i wszem wobec ogłosił naszą rehabilitację.

Natanis nagle stał się beniaminkiem całej armii. Słyszając, jak do innych Indian zwraca się per „bracie” lub „kuzynie”, żołnierze puścili plotkę, że Eneas, Sabatis, Hobomok, Natawammet i inni nasi czerwonoskórzy towarzysze są wszyscy braćmi lub kuzynami Natanisa. Oto przykład, jak mało biali wiedzą o Abenakach.

Posuwając się brzegiem Chaudiere, dotarliśmy do osady St. Mary. Nazwa tej osady mocno utkwiała mi w głowie, tam bowiem rozegrała się tajemnicza scena, świadcząca o tym, że ludzi podłych często spotyka surowa i zasłużona kara.

W osadzie St. Mary była oberża, drewniana, bielona oberża o szparach zalepionych gliną, a w oberży tej Francuzi sprzedawali żywność: indyki, kiepski koniak i hiszpańskie wino. Weszliśmy, aby zapytać o ceny. Zastaliśmy tam Burra, sączącego wino i wesoło rozprawiającego z młodą Francuzką. Pomimo podartych szarawarów, umiał się zdobyć na dworność i wytworne zachowanie. Mrugnął na mnie znacząco, jakby dając do zrozumienia, że idzie mu z tą panią jak po maśle, o czym zresztą nic

wątpilem. Był to

142

człowiek, któremu na widok kobiety usta same przez się składały się do czułych słów. Zaloty mogło mu przerwać tylko zjawienie się jeszcze ładniejszej kobiety.

Rozpytawszy się o ceny, zostawiłem Burra z Francuzką, gdyż pilno mi było zasiać do wołowiny z kartoflami, zakupionej dla nas hurtem przez Arnolda. Ale Cap Huff dziwnie jakoś był zamyślony.

Kiedy jedliśmy, do oberży podjechali konno major Bigelow i kapitan Dearborn. Major jechał tuż przy Dearbornie i prawą ręką podtrzymywał go w siodle. Dearborn, złamany chorobą, pochylał się nad szyją konia, jego twarz na tle czarnej brody wyglądała tak białą, jak skóra wojskowego bębna.

Rzuciliśmy się Dearbornowi na pomoc, a wraz z nami Cap i ten szczerowaty Flood, który do spółki z Asą Hutchinsem wyłudził psa od chorego kapitana. Zdjęliśmy Dearborna z konia, ułożyliśmy go na ziemi i stłoczyliśmy się wkoło, gotowi do dalszych posług. Nagle Cap ryknął wściekle, pochwycił Flooda za gardło i cisnął go o ziemię.

Zakotłowało się. Postawiono Flooda na nogi. Jeden z obecnych wsadził mu rękę do kieszeni szarawarów i wyciągnął sakiewkę. Bigelow wręczył tę sakiewkę Dearbornowi. Wówczas Cap wrzasnął: — Wychłostać go! Wychłostać! — Ludzie wyroili się z oberży. Daremnie Flood się bronił: — Słowo honoru, że to nie ja! — W mgnieniu oka przywiązano go do słupa i dwóch żołnierzy jęło go sprawnie okładać wierzbowymi różgami.

Obejrzałem się za Capem, ale nigdzie go nie było. Zapewne nie mógł patrzeć na niedolę bliźniego, mimo że sam najgłośniej domagał się dla

niego chłosty.

Przy osadzie St. Mary wojsko znowu uformowano w kompanie, oddaliśmy się od rzeki Chaudiere i ruszyliśmy na przełaj równinami Kanady. Co pewien czas Arnold zatrzymywał się, aby spojrzeć na kolumny, a major Bigelow, kapitan Thayer, kapitan Topham i kapitan Morgan nieustannie obchodzili szeregi nawołując: — Prędko, chłopcy! Już niedaleko! Nie traćcie czasu! Prędko, prędko!

Po drodze spotkaliśmy Capa. Siedział na małej przypląszczonej baryłce. Kiedy go zapytałem, co baryłka zawiera, odparł, że nie wie, ale znalazł ją i sam jest ciekaw. Po wybiciu dna okazało się, że baryłka zawiera hiszpańskie wino. Dzięki temu zachowaliśmy dobry humor, kiedy przyszło bezkresnie brnąć przez, śnieżne zaspy, przez błotniste zakłęśnięcia, w których nogi więzły po łydkę, przez kamieniste grudy.

143

Opisując zdarzenie, które miało miejsce w St. Mary, określiłem je jako tajemnicze. Rzeczywiście, dla Flooda, który największy poniósł uszczerbek, sprawa była tajemnicza i niepojęta, ale dla mnie nie. Cap Huff przyznał mi się, że to on wsunął sakiewkę Floodowi do kieszeni, a potem, korzystając z powszechnego zamieszania, wyniósł z oberży baryłkę.

Niebo zdarzyło ciepłą, słoneczną pogodę. Tylko tej okoliczności mamy do zawdzięczenia, że w marszu nie poodpadały nam stopy. Jadła było w bród, a co dziesięć mil spotykaliśmy gromadki bielonych domów, skupionych dokoła kościółka z katolickim krzyżem, Nocowaliśmy więc pod dachem. Przed domami stali lub siedzieli Francuzi w szynelach, szkarłatnych szarfach i wiązanych czapkach frygijskich. Każdy miał

harcap do tyłka i krótką fajkę w gębie. Dym szedł od tych fajek wonny, jak od sobótki, którą na wiosnę rozniecamy w Arundel, aby spalić śmiecie wygarnięte z domów i zbutwiałe w roztopach plugastwo.

Nie wiem, czym to się tłumaczy, że wszyscy ci Francuzi mają gęby koloru nie czyszczonej kolby muszkietowej, szarobrązowe gęby, jakby pokryte gęstym kurzem. Ciekawa jednak rzecz: cała pleć męska u nich pali, nawet trzy- i czteroletni chłopcy chodzą po domu z krótkimi fajeczkami i wiecznie ssą cybuch. Możliwe więc, że twarze Francuzów wędzą się jak połcie boczku wieprzowego.

Dnia ósmego listopada strząsnęliśmy z siebie świeży nalot śnieżny i weszliśmy na niewielkie wzgórze, na którym stali Arnold, Bigelow, Steele, Church i jeszcze ze dwudziestu innych, wszyscy obróceni ku północy. Poniżej srebrzyła się pod uderzeniami wiatru rzeka tak szeroka, że na środku jej stojące dwie fregaty wyglądały niby dwa strączki fasoli. Przeciwny brzeg wrzynał się w fale olbrzymim przyładkiem, z kształtu podobnym do warującego psa nieziemskich wymiarów, olśniewająco białego psa, bowiem śnieg spadł obficie.

Nogi i brzuch tego gigantycznego psa obsiadły gęsto małe, niepozorne domki, a boki były pokryte labiryntem wieżyc i szarych kamiennych gmachów. Głowę zajmowały przysadziste kwadratowe budynki, nad którymi powiewała krwawoczerwona chorągiew.

Staliśmy tak bez słowa. Żołnierze wchodzili na wzgórek, skrzypiąc rzemieniami muszkietów, zgrzytając mokasynami z surowej skóry, i również stawali jak wryci. Nie wiem, jakie w tym momencie były myśli moich towarzyszy, ale ja pomyślałem sobie, że w jednym z tych szarych gmachów mieszka Mary Mallinson, smukła, wiotka,

złotymi przyprószona piegami. Przerażeniem napełniła mnie myśl, że między mną a nią może wyrosnąć jakaś niespodziewana przeszkoda, że po tylu latach wyczekiwania, po tylu dniach straszliwej wędrówki może przyjść klęska.

Znalazłoby się pewno miejsce i na inne, wznioślejsze myśli, ale nagle żołnierz z kompanii Thayera, bosy, stanął za nami przestę-pując z nogi na nogę, aby uchronić palce od zdrętwienia. Długo patrzył na przeciwny brzeg rzeki, dzielając nasze milczenie. Wreszcie przerwał ciszę:

— Rany Boskie! Więc to jest Quebec?

księga druga

śnieżna dama

X

Kanadyjska stolica, chłodna i wyniosła w białym płaszczu swoim, przypominała piękną kobietę: na pozór obojętna na zjawienie się tych brudnych, chromych, obdartych, kudłatych mężczyzn, którzy dokonali rzeczy niemożliwej i przewędrowali najdziksze szlaki, aby wrazić w nią gorejące, zgłodniałe ślepia; na pozór nieprzystępna, a przecież baczenie śledząca każdy ich ruch, zgadująca tajone zamiary i zatrwożona, że wbrew własnej woli ulegnie, nieobca nawet chwilom słabości, w których łatwo mogłaby się stać naszym łupem, gdybyśmy tylko, głupcy, wiedzieli.

Nie twierdzą wszelako, że w owych pierwszych dniach, kiedyśmy długim, rozwleczonym obozem leżeli na skarpie brzegowej Przylądka Levis, wyglądaliśmy bardzo niebezpiecznie. Wiem tylko, że z oczu patrzyło nam rozbojem i morderstwem. Gdy dołączyli się zbłąkani, było nas razem sześć setek, a cały nasz dobytek stanowiły plugawe strzepy, w które byliśmy przyodziani, podarte derki, obtluczone toboły i muszkiety

czerwone od rdzy. Niektórzy nawet tego nie mieli, bo sporo derek zabrały rzeki, przez które wypadło nam płynąć, a niejeden, zdarłszy odzież do cna, z derki przykrawał sobie bluzę i szarawary.

Nocami wiał diabelski wiatr, podnosił na rzece falę, w której najpotężniejsze czółno musiałoby zatonać. Nie było rady, biwakowaliśmy czekając, aż wiatr się uspokoi.

Niebawem przyszła wieść, że generał Schuyler, dowódca armii, która miała spłynąć z biegiem Rzeki Świętego Wawrzyńca, wziąć Montreal i przed Quebeciem połączyć się z brygadą pułkownika Arnolda, został odwołany na inną wyprawę, a naczelne dowództwo swoich pułków złożył w dłoniach generała Ryszarda Montgomery. Żołnierze opowiadali sobie przy ogniach o Montgomerym. Był to świetny oficer, z pochodzenia Brytyjczyk, ale przeszedł na naszą stronę i walczył przeciwko własnym rodakom. Podobno przyczyną tego nagłego zwrotu było małżeństwo z Amerykanką. Przyczyny

148

zresztą były nam obojętne, grunt że walczył po naszej stronie. Wydaje mi się, że w takich wypadkach ludzie skłonni są każdy motyw uznać za dostateczny, podobnie jak potępia każdy wzgląd, który przemawia na korzyść ich wroga.

Podczas tego przymusowego postoju kompanie przeszły krótką musztrę i pułkownik Arnold dokonał przeglądu broni. Człowiek nieświadomy przeciwnostw, jakie pokonaliśmy w drodze, złapałby się za brzuch ze śmiechu na widok tego wojska obdartusów.

Wycieńczeni głodem, biegunką i reumatyzmem, ludzie ślaniali się w marszu, chromali, utykali, bardziej podobni do hufca kalek niż do brygady

żołnierzy. Połowa kroczyła po śniegu boso, pomimo że skóry zjedzonych przez nas wołów poszły na mokasyny. Obnażone głowy ziębił ostry kanadyjski wiatr, bo czapki i kapelusze poginęły wśród bagien otaczających jezioro Megantic.

Szarawary były kupami łachmanów powiązanych okrawkami derek lub niczym nie powiązanych. Pończochy tam nie uświadczyłeś, a nie zliczyłyś tych szram i blizn na nogach, znaków zostawionych przez korzenie i ciernie, przez krzewy i głązy.

Niejednego zdarzyło mi się klecić w Arundel stracha na wrony, amatorki mojego młodego żyta. I stwierdzam, że wszystkie te strachy były cieplej i przyzwoiciej odziane od żołnierzy, którzy defilowali przed dumnym Quebeciem, przed majestatyczną stolicą, białym spowitą płaszczem, wyniosłą i niedostępną.

Trzynastego listopada wiatr zelżał. Ludzie, którzy obawiają się trzynastki jako liczby feralnej, grają mi na nerwach, ale przyznam, że wolałbym się przeprawiać przez rzekę dwunastego albo czternastego. Poglądy moje podzielał pułkownik Arnold. Już od ósmego listopada, to jest od dnia, w którym dotarliśmy do Przylądka Levis, niecierpliwie gryzł paznokcie, tak mu pilno było dostać się na drugi brzeg i dopaść miasta.

Mieliśmy trzydzieści pięć kanadyjek, a każda kanadyjka mogła udźwignąć czterech pasażerów. Na rzece stały dwie brytyjskie fregaty z narządzonymi do strzału działami. Musieliśmy przemknąć się pomiędzy nimi, przemknąć się cicho i prędko, gdyż wykrycie jednej kanadyjki pociągnęłoby za sobą śmiertelne niebezpieczeństwo dla całej naszej floty, rozciągniętej między brzegami na długość mili.

O zmroku wyciągnęliśmy czołna z kryjówki i uszykowaliśmy je przy

młynie Caldwell, kamiennym budynku wzniesionym tuż nad brzegiem, tam gdzie do rzeki wpada niewielki strumień. Obdar-

149

ta armia stała w pogotowiu. Panował przejmujący ziąb, a ciemność była taka, jak w sosnowym lesie o północy. Staliśmy drżąc z zimna i prawie nie widząc jeden drugiego. Zjawił się Arnold i przemówił. Miał w głosie pewną ostrą nutę, która przeszywała bębunki, gdy wybuchał gniewem, ale działała pobudzająco i ożywczo, kiedy było coś wielkiego do spełnienia. Myślę, że drżeliśmy nie tylko z zimna, ale i z przejęcia.

— Uważajcie — rzekł — nie psujcie roboty zbędnymi okrzykami i wystrzałami. Zachowujcie się jak najciszej. Co godzina krążą między fregatami łodzie patrolowe. Jeżeli jedno czółno zostanie spostrzeżone, wszyscy zginęliśmy. A jeżeli bezpiecznie przeprawimy się przez rzekę, tej jeszcze nocy możemy wziąć Quebec. Ufam w Bogu, że tak będzie. O ile szturm okaże się niemożliwy, osaczymy wszystkie drogi, obiegniemy miasto, wygłodzimy je i zmusimy do zaniechania oporu. Zaszczytne miano zdobywców Quebecu wam się należy i nikomu innemu! Nikt inny nie pokonałby tylu trudów, ile wyście pokonali, nikt inny po tylu trudach nie stanąłby tu, jak wy, w pełni bojowego zapału!

Wsiadł do kanadyjki, za nim porucznicy Church i Steele, Daniel Morgan i niejaki Halsted, który wykradł się z Quebecu, aby nas poprowadzić ku dogodnemu lądowisku w Zatoce Wolffa, skąd prosta była droga na Płaskowyż. Abrahama. Karabinierzy i muszkietierzy ładowali się do czółen, jeden przez drugiego, na przemieszkę. Oprócz czterech pasażerów każde czółno wiozło dwóch wioślarzy.

Odbiliśmy zaraz po Arnoldzie. Wiosłując na dziobie, trzymałem się

jednego tylko drogowskazu: białego trójkąta na plecach Steele'a, białej skóry, przeświecającej przez rozdartą bluzę. Słyszeliśmy tylko bulgot wody wgrzyzającej się w ścianki czołna i nieustanny, miarowy poszum fal, widzieliśmy tylko punkciki światła, rozsiane na przeciwległym brzegu.

Byłem pochłonięty, urzeczony tą nagłą łopatką Steele'a. Serce mi aż podskoczyło do gardła, gdy czołno Arnolda ostro skrzyło w dół rzeki, a po lewej stronie zarysował się w mroku czarny kadłub fregaty, zakotwiczonej tak blisko, że stojący u falszburty marynarz mógłby nas opluć.

Ogólnie biorąc, przeprawa odbyłaby się zupełnie gładko i nic nie przeszkadzałoby mi rozmyślać o Mary i o przemówieniu, z jakim ja, zdobywca Quebecu, zwrócę się do niej, gdyby nie ławice szarych delfinów, nieustannie — jak wyjaśnił Natanis — snujące się po tej olbrzymiej rzece.

Delfiny nie żeglowały powoli i dostojnie, jak latem na rze-

150

ce Arundel, lecz grupami po dwa, po pięć, po dwadzieścia pędziły tam i sam, jakby je kto gonił.

Każdego delfina otaczała blada aureola, niby pasmo piany wodnej, oświetlonej księżycem, pasmo zimnego, chwiejnego, nie-bieskobiełego ognia. W późniejszych dniach podróżni opowiadali mi o pociesznych zwyczajach tych zwierząt, ale wówczas, gdy przeprawialiśmy się przez Rzekę Świętego Wawrzyńca, było mi nie do śmiechu. Kiedy pomiędzy czołnem Steele'a a moim przemykała się grupa rozszalałych delfinów, życzyłem im rychłego skonania w jakimś śmierdzącym bajorze.

Nie wiem, jak to się stało, że złośliwe natręctwo tych potworów

nasunęło mi myśl o Febe. Coś będę musiał zrobić, pomyślałem, bo jeżeli nie zatroszczę się o nią, dziewczyna zostanie na Przylądku Levis i posądzają w bielonej farmie, gdzie, otoczona warkoczastymi Francuzami, uwędzi się na brąz w dymie ich fajek.

Wpłynęliśmy w strefę gładkiej wody. Delfiny znikły. Wyczułem raczej nad głową, niż ujrzałem nawisający masyw skalny. Wiosła szczęknęły o dulki. Kroki. Byliśmy u brzegu.

Kiedy zatrzymaliśmy się obok pierwszej kanadyjki, Steele szepnął ochryple: — Zatoka Wolfe'a! — Ożyło we mnie wspomnienie dnia, gdy mój ojciec wznosił toast za zdrowie rudego Jamesa Wolfe'a, który z tej samej zatoki wspiał się na tę samą skałę i wziął Quebec.

Pomyślałem sobie, że powinienem głęboko odczuwać całą dziwność tego powtórzenia. Przecież w mroku nocnym przybijam do brzegu, do którego niegdyś przybijał Wolfe, idę śladami Wolfe'a. Jednakże, o ile pamiętam, nie doznawałem żadnych osobliwych dreszczów. Ot, codzienne sobie zdarzenie, nic więcej, niż kiedym w płaskodennej łódeczce podchodził gęsi w bajorku przy Wyspie Łabędziej.

Zewsząd dochodziły nas odgłosy wiosła. Przeprowa miała się odbyć w trzech partiach, przeto niezwłocznie ruszyliśmy z powrotem. Bez pasażerów czółno mknęło jak jaskółka. Cap Huff czekał cierpliwie, pilnując Febe i Jacataqui. Przykazałem mu, aby przygotował dziewczyny do wyjazdu w trzeciej partii i aby w wypadku, gdyby robiono trudności, oświadczył, że obie muszą się natychmiast zameldować w kwaterze Arnolda.

Cap zapytał, czy widziałem fregaty. Gdym odpowiedział potakująco, zapytał ochryplym, ściszoneg głosem, czy nie mogłoby kilku naszych

dostać się na taką fregatę. Pociągnąłem nosem sądząc, że znalazł gdzieś baryłkę hiszpańskiego wina i wypił ją do lustra,

151

a teraz bredzi. Później nieco przyszło mi na myśl, że przecież Cap chętnie by sprzedał cudzą fregatę, gdyby tylko trafił się nabywca z brzęczącą gotówką.

Było już po północy, gdy drugą partię żołnierzy wysadziliśmy na ląd w Zatoce Wolfe'a. Wiatr jęczał w gałęziach drzew, a chmury? zasłaniające księżyc, prześwietlały się pośrodku. Ani jedno, ani drugie nie było dobrą wróżbą, bo ani mi się nie chciało brać chłodnej kąpieli w bezdennej rzece, ani dostać kulą w łeb od załogi fregaty. Tym prędzej więc płynęliśmy po trzeci i ostatni ładunek.

Cap czekał na nas wraz z dziewczynami, Wzięliśmy całą trójkę do czółna. Febe usiadła tuż za mną, aby się ogrzać. Kiedy opasała mnie ramionami, na przegubie jej prawej ręki poczułem cztery oplecione skórą kule muszkietowe, Zapytałem, czy musiała się przed kimś bronić, ale ona tylko przycisnęła głowę do moich pleców i zadrżała. Na burcie zazgrzytały pazury żółtomordego psa Jacataqui, po czym wsiadła sama Jacataqua, Jethro i Noe. W mroku zabrzmiał głos Burra, dopraszający się miejsca w naszym czólnie.

Mając i tak przeładowaną kanadyjkę, krzyknąłem mu ostro, aby się odczepił, a zarazem przykazałem Natanisowi odbijać. Burr coraz bardziej działał mi na nerwy, zwłaszcza w chwilach, gdy towarzyszami naszymi był głód i chłód.

Obłoki, pędzone coraz mocniejszym wiatrem od północo-za-chodu, rozchodziły się stopniowo, ukryty księżyc zaczął świecić i dawał w sam

raz tyle blasku, że mogliśmy już widzieć inne kanadyjki. Złośliwa, ostra fala biła o burty, ochlapywała nam twarze. Starąłem się nie tracić z oczu kanadyjki Steele'a wiedząc, że chłop ma dar wychodzenia bez szwanku z najgorszych opresji.

Ta ostatnia przeprawa dobrze nam się dała we znaki. Wiedząc, że tej nocy nie będziemy już mogli wrócić, wzięliśmy nadmierne ładunki. Natanis pochrząkiwał za każdym zamachem wiosła, tak trudno było sterować pod wiatr.

Pomiędzy fregatami przemknęliśmy się niepostrzeżenie. Myśleliśmy już, że najgorsze minęło, gdy natarła na nas ławica szarych delfinów, pojękliwie wydmuchujących fontanny kropel wodnych, jakby dla okazania nam pogardy. Szaleńczo pruły fale, przyświecając sobie pasmami niebieskawego ognia.

Zakląłem i jąłem je okładać łopatką wiosła. Nagle z kanadyjki Steele'a rozległ się zdławiony okrzyk. Spojrzałem przed siebie: końce kanadyjki nienaturalnie uniosły się w powietrze. Zachrobotąło, zaszurgotało i po chwili żołnierze Steele'a znaleźli

152

się w wodzie. Czółno, przełamane uderzeniem wodnego potwora, tłuło się po fali, na wpół zatopione, bezużyteczne.

Szybciej poczęliśmy robić wiosłami. Jacataqua pochyliła się i jednego z pływaków chwyciła oburącz za szyję. Był to wysoki Wirginczyk, Jerzy Merchant, karabinier z kompanii Morgana, straszny zawadiaka.

Inni chwyтали się poprzeczek lub wyciągniętych rąk. Rozdarta bluza Steele'a nadal świeciła nam jak drogowskaz, bo dzielny chłop oparł

ramiona na rufie jednego z czółen i kazał wiosłarzowi mocno na nich usiąść: w ten sposób nie utonąłby, nawet gdyby zimna woda odebrała mu władzę w rękach.

Nie można było tych ludzi wciągać do czółen pośrodku rzeki, wlekliśmy ich więc za sobą.

Jeszcze nie przebyliśmy połowy szerokości koryta. Pomimo największych wysiłków płynęliśmy wolno, bo i wiatr dał coraz ostrzej i ładunek mieliśmy nie byle jaki. Febe przysunęła się do lewej burty i pochyliła nad wodą, aby zrównoważyć nachylenie Jacataqui trzymającej Wirgińczyka. Jacataqua wielce była przejęta swoją rolą i nie chciała przyjąć pomocy od Noego, ani od Jethra. Możliwe, że kierowały nią najczystsze intencje... Słyszałem, jak coś mówiła do karabiniera. On jej odpowiadał cicho, ale wesoło. W pewnej chwili, słysząc, że Febe pociąga nosem, odwróciłem się. Wydało mi się, że usta Jacataqui i karabiniera zbliżyły się do siebie bardziej, niż wynikałoby z potrzeb ratownictwa. Ale możliwe, że chodziło jej tylko o przyśpieszenie obiegu krwi w jego żyłach, czego nie zdołałby sprawić ani Noe, ani Jethro, i że dzięki temu zbliżeniu Wirginczyk uniknął febry i tragicznego losu McClellana.

Kiedy wreszcie wylądowaliśmy, ci biedacy nie mogli ruszyć nogą. Widząc, co się stało, Arnold kazał rozniecić ogień w pobliskim pustym domu, pomimo że obowiązywał zakaz palenia ogni. W ciepłe ogniska rozbitkowie odtajali i przyszli do siebie.

W sam czas przybiliśmy do brzegu, bo kiedy ruszaliśmy ścieżką prowadzącą na Płaskowyż Abrahama, usłyszeliśmy zgrzyt wiosła w dulkach. Był to patrol, wysłany przez fregatę dla zbadania, kto jest sprawcą tajemniczego ognia. Któryś z żołnierzy okrzyknął załogę patrolu i

zachęcił ją do wyjścia na brzeg. Zgrzytanie wioseł umilkło. W mglistej poświacie księżyca dostrześliśmy niewielką łódź, znoszoną przez prąd rzeczny. Po chwili łódź zawróciła. Wówczas karabiny Wirgińczyków splunęły ogniem, a splunęły celnie, bo w odpowiedzi usłyszeliśmy jęki ludzkie. Pomimo to łódź wciąż się oddalała.

153

Ruszyliśmy stromą ścieżką. Arnold szedł na przedzie. Kiedy zziębni stanęliśmy u szczytu skały, dokoła nas roztoczyła się ośnieżona płaszczyna. Przed nami uwijały się w mroku pomrukujące widma, tworząc czwórki, kompanie, dywizje. Powiedziałem sobie, że cel już prawie osiągnięty: oto stoimy pod murami Quebecu i nie pozostaje nic, tylko wziąć miasto. Myśl ta nie przepełniła mnie ani trwogą, ani radością. Po głodnych, chłodnych, mozolnych dniach, jakie przeżyliśmy, nic już, zdawało się, nie może nas wzruszyć.

Na prawo ode mnie wyłoniła się z mroków kompania prowadzona przez kapitana Smitha. Za nią widniała stłoczona masa domów, zbyt odległych, aby można było jeden odróżnić od drugiego. Smith raportował Morganowi, że obszedł mury miasta i nie sądzi, aby tam wiedziano o naszym przybyciu. Bramy są zamknięte, ale nie ma przy nich pikiet. Jakby na dowód prawdy jego słów usłyszałem zza murów głos nocnego strażnika: — Piąta godzina. Spijcie spokojnie!

W dzień czy dwa później, kiedy przyłączyli się do nas dezercerzy i szpiegzy z miasta, rozeszła się po obozie pogłoska, że w ową pierwszą noc Brama Świętojańska stała otworem i że mogliśmy wejść spacerkiem i bez trudu opanować Quebec.

Nie wierzę w to. Gdyby nam się udało przewieźć na kanadyjkach drabiny oblężnicze — drabiny sklecone przez cieślów i kowali podczas owych pięciu dni, gdy przyczajeni na Przylądku Levis czekaliśmy na zmianę wiatru — gdybyśmy, powiadam, mieli te drabiny, rzeczywiście moglibyśmy owej pierwszej nocy wejść na mury. A wówczas miasto by padło, bo nasi żołnierze palili się do walki jak diabły. Palił się do walki również pułkownik Arnold i Daniel Morgan. Nie pozwolę na nich wieszać psów, znam jednego i drugiego i oświadczam uroczyście: żadna armia, uczestnicząca w naszej długiej wojnie o niepodległość, nie miała wodza dorównującego im śmiałością, bystrością i przedsiębiorczością.

Mateusz Smith również rwał się do walki. Poprowadził swoich karabinierów dookoła murów w mrokach chłodnego listopadowego przedświtu i powrócił z wiadomością, że bramy są zamknięte. Nie mam wielkiego nabożeństwa do Mateusza Smitha, nie mogę zapomnieć o barbarzyństwach, jakich dopuścił się pod Conestogą i w więzieniu lancasterskim. A jednak stwierdzić muszę, że był to wojownik, nie liczący się z żadnymi trudnościami. To samo powiem o jego karabinierach, z których każdy gotów by wyzwać do walki cały pułk żołnierzy, tak byli pewni śmiertelnej celności swych strzałów. Twierdzę przeto, że żadna brama nie stała owej nocy otworem, bo Mateusz Smith zauważyłby to i powie-

154

działby Arnoldowi, a wówczas Arnold, Morgan i Smith weszliby do miasta, bo to nie byli ludzie skłonni do zasypiania gruszek w popiele.

Kiedy snułem się w mroku, szukając kompanii Goodricha, podszedł do

mnie Burr, kwaśny i zirytowany.

- Słuchajcie — rzekł. — Nie powinniście na to pozwolić!
- Na co?
 - Przecież to wstyd i hańba! Ta wasza czerwonoskóra dziewczka romansuje ze zwyczajnym szeregowcem — i do tego Wirgińczykiem! Kiedy próbuję przemówić jej do rozumu, ona mnie ma za proch przydrożny i trzyma się tego przeklętego wirgińskiego niedźwiedzia, jakby to był szlachcic!
 - Nic o tym nie wiem. Jacataqua do mnie nie należy i ani mi się śni wtykać nos do cudzych spraw. Dość miałem ludzkiego wścibstwa w Arundel.
- Obchodzą was przecież jej losy?
 - Tak — odparłem. — Obchodzą mnie, ale nie moja rzecz dawać jej wskazówki. Prawo abenackie powiada, że abenacka kobieta postępuje według swego upodobania. Jeśli podoba jej się poślubić mężczyznę, idzie do jego łoża i ceremonia skończona. Jeżeli chce się rozwieść, opuszcza jego łoża i ceremonia również skończona. Jest to jedna z przyczyn, dla których biali nic mogą współżyć pokojowo z Indianami. Biali nie umieją współżyć z ludźmi rządzącymi się własnym prawem.
 - Ale to wstyd i hańba, powiadam! — upierał się Burr. — Przy dobrych chęciach na pewno potrafiliście ją skłonić, aby wraz z Febe, koleżanką waszą, zgłosiła się do kwatery Arnolda jako kucharka.
 - Nie wydaje mi się, aby towarzystwo Wirgińczyka było dla niej czymś bardziej hańbiącym niż wasze towarzystwo.
 - Ach! — zawołał Bun. — To zupełnie co innego! Cóż ten prosty

żołnierz może jej dać?

Miałem parę dosadnych odpowiedzi na końcu języka, ale wolałem zamilczeć. Pomruczałem pod nosem, jak zwykli czynić ludzie z Maine, kiedy nie chcą czegoś powiedzieć, i poszedłem dalej, rozglądając się za kompanią Goodricha.

Febe przebywała w kompanii jako towarzyszka Noego Cluffa. — Słuchaj — oznajmiłem jej — zaraz mi stąd idź i zamelduj się w kuchni domu, który Arnold obierze sobie na kwaterę. Weź z sobą Jacataquę.

155

- I miej koło siebie dniami i nocami tego galanta spod ciemnej gwiazdy, Burra! Nie, wolę tu zostać, Stefanie!
 - Febe! Tylko bez kawałów! Co zrobisz z Jacataquą, to mi obojętne. Ale sama musisz raz-dwa maszerować do kuchni!
 - Nie, Stefanie! Nie pójdę do kuchni! Noe grozi mi, że umrze, jeżeli go opuszczę, wobec tego muszę zostać. Przynajmniej nie będziesz miał mnie na karku.
 - Co ty za głupstwa wygadujesz! Co za pomysł!
 - Nie chcę, abyś mnie miał na karku. Nie chcę ci zawadzać.
 - Nie będziesz mi zawadzać. Pomyślałby kto, że mogę cię powierzyć Noemu, temu durniowi!
- Noe ziewnął. — Czy mówisz o mnie?
- Lepiej mi będzie z Noem niż z tobą — zaczęła Febe z innej beczki.
- Ty musisz teraz dbać o inną kobietę.
- O kogo? — zapytałem, zapewne ogłupiały z zimna.
 - Jakże to? — rzekła Febe głosem sztucznie słodkim, że aż mdło mi się

zrobiło. — O ile sobie przypominam, słyszałam gdzieś, że w Quebecu jest osoba, którą masz uchronić przed okropną, okropną niedolą!

Spojrzałem na nią surowo, ale ona mi odpowiedziała spojrzeniem tak bezczelnym, tak pełnym niewysłowionego szyderstwa, że odwróciłem się z niesmakiem i poszedłem dalej.

Przed samym świtem Arnold i Morgan ruszyli na czele karabinierów i pozostałych kompanii na przełaj przez Płaskowyż Abrahama. We wczesnej szarości poranka dotarliśmy do dworku otoczonego czworakami, stodołami, zabudowaniami stajennymi, szopami. Ten kompleks budynków, pięciokrotnie większy od naszej warowni w Arundel, należał, jak dowiedziałem się od oficerów, do majora Henryka Caldwell, komendanta milicji w Quebecu.

Opasaliśmy folwark kordonem i ruszyliśmy ku dworowi. Przed wejściem dwunastka służących ładowała na wozy żywność, meble, obrazy i dywany. Nie mogliśmy tych skarbów podzielić między siebie, bo pułkownik Arnold kazał wszystko wnieść z powrotem do środka. Rozproszyliśmy się po kwaterach. Ja wraz z częścią kompanii Goodricha osiadłem w małym budyneczku, sąsiadującym z dworkiem, bo wszystkie pokoje zagarnięte zostały przez karabinierów Morgana.

Miałem już owinąć się w derkę i zasnąć, gdy wszedł Natanis i gestem wywołał mnie z izby. Wskazał palcem na dach dworku.

156

Na dachu siedział Cap, trzymając olbrzymie naręcze tkanin. Zrzucił je nam. Ponieśliśmy zdobycz do kwatery.

Po chwili przyłączył się do nas. Otarł spoconą twarz rogiem jedwabnej chusty, w którą zawinięty był łup, skrzywił się i oznajmił, że chcąc ubiec karabinierów Morgana, musiał działać z szybkością błyskawicy.

- Do kroćset! — zawołał gniewnie. — Te dranie dniami i nocami myślą tylko o kradzieży! Zdążyłem tylko opróżnić jedną szafę, zawiąłem, co się dało, w tę chustkę i uciekłem, jak zmyty.
- Co tu jest?
- Nie wiem. Nie miałem czasu nawet spojrzeć. W każdym razie odzież. A na odzież znajdziemy tu nabywców sporo.

Rozwiązaliśmy chustkę. Okazało się, że Cap przyniósł garderobę pani majorowej. Wśród sterty kolorowych płacht znaleźliśmy kilka par koronkowych majtek, wełnianą tiurniurę, parę gorsetów i dwie sukienki z deseniowego muślinu. Były także trzy pary szarawarów, ale na miarę chłopca dwa razy mniejszego od Febe, tak samo dwie kurtki, zapinane pod szyję, i trzy mereżkowane koszule.

Myślałem, że Cap wybuchnie takim stekiem wyzwisk, że aż dom będzie się trząsł w posadach. Ale widocznie jego rozczarowanie było zbyt głębokie. Zwinął fatałaszki, podszedł do Febe, która leżała obok Noego Cluffa, szczelnie otulona derką, i jął ją kopać w podeszwy tak namiętnie, że dziewczyna obudziła się i spojrzała na niego. Krótко obcięte, potargane włosy upodobały ją do małego chłopca. Wciąż zachowując pełne godności milczenie, Cap rzucił jej zawiniątko na pierś, że aż trzasnęło, po czym otulił się w jedwabną chustę, wpełzł pomiędzy mnie i Natanisa i zasnął.

Obudziłem się wczesnym rankiem. Capa nie było. Ciepła izba. pułap nad głową — te dwa niezwykle zbytki kompletnie mnie oszołomiły. W

pierwszej chwili pomyślałem, że jestem w Arundel, i pociągnąłem nosem, spodziewając się uchwycić znajomy zapach kawy i przysmażonego przez Malary boczku. I nagle uświadomiłem sobie, że jestem daleko od domu, że obozuję wraz z sześcioma setkami kolegów pod murami Quebecu, że w obrębie tych murów przebywa Mary Mallinson wyglądająca zbawcy, który ją wydrze z rąk rabusiów i zabierze do ojczyzny.

Febe poczęstowała nas pszennymi plackami i wieprzowiną świeżego uboju: Oświadczyła, że bardzo jej się przyda odzież

157

przyniesiona przez Capa. Szkoda tylko, dodała patrząc na mnie spod oka, że w tej paczce nie ma futrzanej salopki, bo wówczas mogłaby się elegancko ubrać, pójść do Quebecu i wybadać, jak tam się powodzi moim przyjaciółom.

Zdenerwowała mnie ta jej gadanina. Wziąłem Natanisa i razem ruszyliśmy drogą prowadzącą wzdłuż skalnego grzbietu, na którego krańcu stoi Quebec.

Gdybym był osadnikiem i przybył tu, aby uprawiać ziemię, . chwaliłbym sobie te okolice. Łagodnie sfalowana równina stanowiła wymarzone pole pod zasiewy, jej położenie sprzyjało obfitym opadom letnim i zimowym śnieżycom, które podnoszą urodzajność gleby. Po lewej stronie płaskowyz osuwał się w rozległą, płytką dolinę. Na jej dalekim krańcu czuwał wydłużony łańcuch górski. Taką głębokość, taką bezkresność perspektywy widywałem tylko nad morzem.

Jednakże nie jako osadnik, nie jako rolnik tu przybyłem, lecz aby wydrzeć ziemię jej posiadaczom. Mało zwracałem uwagi na zalety

krajobrazu. Płaskowyż skąpo był zadrzewiony, przewidywałem więc, że północny wiatr runie na nas z tych odległych gór, napędzi śnieżnych tumanów, z hukiem przewieje dolinę, potarga nasze łachmany, przeniknie w nasze półnogie ciała z ostrością noża skalpowego. Miasto było potężnie ufortyfikowane przez naturę, że i diabeł mógłby sobie na nim połamać zęby. Zbudowane na wyniosłej skale, wrzynało się, niby klin, między Rzeki Świętego Wawrzyńca i Świętego Karola.

W oddali widać było długie, niskie pasmo murów, a za nim strzelały w powietrze wieżycy i ostre dachy górnego Quebecu. Tuż przed nami, poza obrębem murów, widniały trzy zbiorowiska domów — na lewo Przedmieście Św. Rocha, pośrodku Przedmieście Św. Jana, a na prawo Przedmieście Św. Ludwika. Te przedmieścia położeniem swoim odpowiadały bramom miasta: Przedmieście Św. Rocha przytykało do Bramy Zamkowej, Przedmieście Św. Jana — do Bramy Świętojańskiej, Przedmieście Św. Ludwika do bramy tego samego imienia.

Po skrajnej prawicy mur wspinał się na grzbiet Przylądka Diamentowego i strzelał wzwyż wysmukłym bastionem. Z naszego wyżynnego stanowiska mogło się zdawać, że bastion opiera się o rozfalowaną błąń, ale w ciągu minionych dni, dobrze się napatrzywszy na miasto z przeciwległego brzegu rzeki, wiedzieliśmy, że w rzeczywistości Przylądek Diamentowy jest urwistą skałą, sięgającą trzystu stóp. Wiedzieliśmy także, że po skrajnej lewicy, gdzie stoi

158

Brama Zamkowa, grunt opada stromo ku Rzece Świętego Karola. Nie mogąc więc wdrzeć się na mur, mieliśmy przed sobą tylko jedną drogę natarcia: zejść na brzeg jednej z rzek, w przesmyk pomiędzy urwistymi

skałami a bezdenną wodą, i mozolnie pnać się po głazach, okrążyć skałę, w nadziei, że znajdziemy jakieś przejście pomiędzy dolnym miastem, przytykającym do wody, a górnym, zbudowanym na przylądku.

Dopiero podszedłszy bliżej mogliśmy w pełni ocenić obronne zalety murów. Wzniesione były z ciosów piaskowca. Miały strzelnice, przez które wyzierały lufy dział. Spiętrzały się niebotycznie, zasłaniając całą panoramę miasta.

Zbliżyliśmy się do Przedmieścia Św. Jana, zbiorowiska ładnych małych domków, położonych w rozfalowanym terenie i po-przegradzanych kępami drzew. Kiedyśmy rozważali, czy podejść jeszcze bliżej, czy wrócić, z gęstwiny, przylegającej do zachodniego krańca przedmieścia, rozległy się krzyki i gniewne wołania. W gęstwinie szamotali się ludzie. Jakiś żołnierz wyleciał spośród drzew skupionych po lewej stronie i pobiegł ku walczącym, spoza wzgórka położonego na prawo wybiegł inny żołnierz. To byli nasi żołnierze-wartownicy. Pędzili na pomoc koledze wartownikowi, który został zaatakowany.

Krzyki wzmogły się, warczenie nie ustawało. Kiedy rzuciliśmy się w kierunku drzew, ujrzeliśmy na śniegu sześciu ludzi ciągnących siódmego ku murom miasta. Za nimi biegł, warcząc i wpijając się w łydki, żółtomordy pies Jacataqui, a Jacataqua nacierała raz po raz na rabusiów i padała, brutalnie odepchnięta.

A więc porwanym wartownikiem był nowy przyjaciel Jacataqui — Jerzy Merchant, wirgiński karabinier!

Zatrzymałem się, narządziłem muszkiet i wypaliłem, ale z takiej odległości trudno było trafić. Spoza muru ukazały się głowy i doszedł nas słaby odgłos wiwatów. Nadbiegli inni karabinierzy i jęli strzelać,

marnując ładunki i klnąc, na czym świat stoi.

Któryś z porywaczy strzelił z pistoletu do żółtomordego psa. Pies zakołował z ogonem w zębach. Brama Świętojańska stanęła otworem i Anglicy przebiegli przez nią wlokąc za sobą karabiniera. Zanim brama się zamknęła, jeden z nich uderzył Jacataquę i powalił ją na śnieg.

Indianka wstała, podeszła do bramy i jęła w nią tłuc pięściami. Wyładowawszy pierwszą wściekłość, zajęła się psem. Okazało się, że kula pistoletowa strzaskała mu ogon tuż przy nasadzie.

Natanis poprowadził mnie ku śladom oddziału.

159

—Ciekawe — rzekł dotykając palcem to jednego śladu, to znów drugiego. Nie wiedziałem, o co mu chodzi.

Zaśmiał się. — Masz krótką pamięć! Czyżbyś już zapomniał, co mówił Paweł Higgins o śladach Treeworgy'ego? Mówił, że Treeworgy, podobnie jak Hook, stąpa wewnętrzną stroną stóp, a jego zwrócone na zewnątrz palce prawie nie tykają ziemi!

Przyjrzałem się uważniej śladom. Wewnętrzna strona pięt odznaczała się wyraźnie, ale palce ledwo były widoczne na śniegu.

Jacataqua wzięła nóż od jednego z karabinierów i odcięła psu ogon, zostawiając niespełna cal.

Była spokojna i na pozór nie bardziej przejęta niż panna, której kropla tłuszczu upadła na nową wstążkę. Ale ze sposobu, w jaki ujmowała rękojeść noża, widać było, że w jej sercu nie ma spokoju.

—Czy ci ludzie nie wydali ci się znajomi? — zapytałem.

Przez chwilę milczała nie odrywając oczu od psa, który z wyrazem bolesnego zdumienia oglądał kikut swego ogona, najpierw z jednej, potem

z drugiej strony.

Wreszcie przemówiła: — Nie, ale jednego nie zapomnę, tego, który strzelił do Anatarsa! Miał ciemnoblond brodę i biały szynel... Jego twarz... — Nagle urwała i zamyśliła się, z nożem wymierzonym w moją pierś. — Ależ tak! Treeworgy! To był Treeworgy!

A więc Hook był w Quebecu!

Usłyszeliśmy stłumione dalekością okrzyki i łoskot bębnow.

Obejrzeliliśmy się. Drogą posuwała się kolumna żołnierzy.

Na ich czele kroczył Arnold, obok niego Oswald, Ogden, Greene i Bigelow. Chciałem dołączyć do dywizji Morgana, ale Bigelow mnie przywołał.

- Co się stało? — zapytał. — Podobno Anglicy robią wycieczkę?
- Nie, tylko osaczyli Merchanta, tego z dywizji Morgana, i wciągnęli go do miasta, zanimbyś człowieku, zdążył powiedzieć „Zdrowaś Maria”.
- Zgadza się — rzekł Bigelow. — Pułkownik liczy, że kiedy zobaczą nasze pyszne ubiory, złakomią się i wyjdą z miasta, aby nas wszystkich powciągać. Dlatego ta defilada.
- Oby tak się stało! — westchnąłem marząc o chwili, gdy będę mógł Hooka wziąć w obroty. — To całkiem możliwe! Przecież na Wolfe'a się złakomili!
- Francuzi, nie oni — poprawił Bigelow. — Przypadkiem tego

160

właśnie dnia Montcalm oszalał. Takie rzeczy nieczęsto się zdarzają. Jo są, bracie, Anglicy, nie Francuzi. Anglicy nie szaleją!

Pożegnałem go i przyłączyłem się do kompanii Morgana.

Nędzne musieliśmy robić wrażenie. Było nas mniej, niż przypuszczałem, bo kapitan Hanchett został na Przylądku Levis z sześćdziesięcioma żołnierzami dla ochrony drabin oblężniczych, z kilkoma dziesiątkami takich, dla których nie znalazło się miejsce w kanadyjkach, i z wieloma chorymi.

Kiedyśmy rozwinęli się przed murami, obrońcy zaczęli wiwatować i machać kapeluszami. Niektórzy z naszych dopatrywali się w tym przyjaznego powitania, ale mnie te wiwaty brzmiały w uchu ironicznie i pogardliwie. Moje podejrzania się potwierdziły, gdy po wymianie powitań przyłożono lont do trzydziestosześcioletowego działa. Zapewne w zapale bojowym Anglicy zapomnieli wycelować, bo kule padały wszędzie, tylko nie między nasze szeregi. Żołnierze wykrzywiali się, pokazywali języki, parskali śmiechem. Wielu uganiało się za kulami po śniegu i pokazywało je ze śmiechem załodze miasta. Niektórzy spośród karabinierów podeszli bliżej, aby strącić paru „raczków” (tak nazywano brytyjskich żołnierzy ze względu na ich szkarłatne surduty), ale odległość była zbyt wielka. Ze smutkiem ujrzeliśmy, że mury, na które chcemy się wdrzeć, są pooblepiane masywnymi bryłami lodu, a pod nimi ziele głęboka, kamienista przepaść — lodowaty grób.

Gdy uzyskaliśmy pewność, że obrońcy miasta nie zamierzają robić wycieczki i ograniczą się do drwiących okrzyków i bezskutecznych wystrzałów, pułkownik Arnold wysłał Ogdena z białą chorągwią pod bramę i zażądał oddania miasta. Załoga zapewne uznała, że biała chorągiew jest po prostu francuską flagą państwową. Tak czy owak, zanim przebył połowę odległości, dzielącej nas od bramy, Anglicy łupnęli w

niego trzydziestosześcioletnim pociskiem armatnim. Na szczęście chybili, ale nie na tyle, aby mógł spokojnie myśleć o następnym wystrzale. Zawrócił z pewną siebie miną, podejrzewam jednak, że cierpła mu skóra na tyłku, bo trzydzieści sześć funtów ołowiu to niezła lewatywa.

Wobec tego wróciliśmy na folwark Caldwell. Wiedząc, że jest dowódcą milicji, która strzelała do naszej flagi pokojowej, z czystym sumieniem zaszlachtowaliśmy jego woły, co zresztą uczynilibyśmy i tak, bez względu na piastowane przez niego stanowisko.

161

XI

W owych pierwszych dniach oblężenia brakowało nam wszystkiego: szarawarów, obuwia, brzytwy, mydła, bluz, derek, kapeluszy, pieniędzy, pończoch, muszkietów, igieł, nici, bagnetów, fajek, tytoniu i wielu innych rzeczy. Byliśmy żebrakami.

Najbardziej dawał się nam we znaki brak ludzi, bo tylko liczebność mogła przesądzić o skutecznej blokadzie dróg prowadzących do Quebecu, i brak prochu, bez którego bylibyśmy bezbronni, gdyby załoga wyszła z miasta i wydała nam bitwę. Po przeliczeniu okazało się, że na żołnierza przypadają cztery ładunki, mniej, niż trzeba dla nadania zapachu muszkietowej lufie, co dopiero mówić o śmiertelnym boju z dobrze zaopatrzonym garnizonem.

Dowiedziawszy się więc, że generał Montgomery wziął Montreal i wkrótce przybędzie tu z odsieczą, pułkownik postanowił wycofać się w bezpieczną strefę i poczekać, a potem wrócić pod Quebec na czele

wielkiej, potężnej armii, zablokować drogi, odciąć dopływ żywności i strzelać, aż w niebie porobią się dziury.

Zasłyszawszy o planowanym odwrocie, rozejrzałem się za Capem Huffem. Nie widziałem go od czasu owej nieudanej wyprawy złodziejskiej, której łupem była garderoba pani Caldwell.

Pamiętałem o jego niechęci do Francuzów, o jego pasji do uciętych harcapów, nic więc dziwnego, że byłem o niego niespokojny. Cap miał sławę człowieka nieokrzesanego i nie przebierającego w słowach, to prawda, prawdą też jest, że nie grzeszył wykwintem i nadmiarem czystości. A przecież dobrze się przy nim czułem, bo jego obecność zwalniała mnie od potrzeby myślenia. Krótko mówiąc, był moim przyjacielem. Kto miał przyjaciela, ten mnie zrozumie. Kto przeżył życie bez przyjaźni, temu nie mam co tłumaczyć, sprawa zawsze będzie dla niego niepojęta.

Pytałem żołnierzy, ale nikt go nie widział od szeregu dni. Wysłałem na poszukiwania Natanisa, Hobomoka i Jacataque — Na-tanisa drogą, która trzyma się biegu Rzeki Świętego Wawrzyńca, do osady Sillery; Hobomoka główną drogą na Montreal, przechodzącą przez miasto St. Foy, Jacataque ku osadom, rozsianym nad Rzeką Świętego Karola. Sam chodziłem po obozie jak błędny, klnąc Capa i jego lekkomyślność. Postanowiono bowiem, że nazajutrz o świcie armia cofnie się poprzez St. Foy do Pointe-aux-Trembles. miejscowości położonej nad Rzeką Świętego Wawrzyńca, o dwa-

162

dzieścia cztery mile wyżej. Bóg jeden wie, co mogłoby się przydarzyć Capowi, gdyby został sam.

Hobomok wrócił po południu z wiadomością, że w St. Foy nie widziano mojego zwariowanego przyjaciela. Przed zmierzchem wróciła Jacataqua od brzegów Rzeki Świętego Karola, również z próżnymi rękami. Natanis zjawił się dopiero po zapadnięciu nocy, ale jego trudy nie były daremne. Posuwając się wzdłuż urwistego brzegu Rzeki Świętego Wawrzyńca ku Sillery i mijając otoczone drzewami letnie domki bogatych mieszkańców Quebecu, natknął się na powłóczyste ślady, prowadzące zygzakowato do jednego z domków. Ślady te, wielkie jak ślady niedźwiedzia, urywały się przy bocznej oficynie, w której okno było stłuczone. Natanis wszedł i znalazł się w kuchni, zawalonej pustymi butelkami po koniaku. Pośrodku leżał gruby, miękki piernat, a na białej ścianie widniał odcisk olbrzymiej łapy. Właściciel tej łapy zapewne oparł się o ścianę, aby podnieść drzwiczki w podłodze, pod którą, jak we wszystkich kanadyjskich kuchniach, znajdowała się piwnica. Ten odcisk był niewątpliwie odciskiem dłoni Capa Huffa.

Wydostawszy się z domu Cap jeszcze bardziej powłóczystym krokiem ruszył przez gęstwą drzew, raz po raz wpadając na pnie i osuwając się na ziemię, jak można było odczytać ze śladów. Natanis nie schodził z tropu. Wreszcie dotarł do drugiego letniego domku, gdzie znalazł drugą stertę pustych butelek i pośrodku kuchni łoże usłane z samych poduszek.

— Sądzę — zakończył Natanis — że twój przyjaciel wciąż jeszcze robi „powstań-padnij” i że powinniśmy natychmiast udać się do Sillery: może zdążymy zapobiec nieszczęściu.

Piorunem zwinęliśmy derki i we czworo ruszyliśmy ku rzece. Noc była ciemna, a śnieg głęboki. Całe szczęście, że wypadło nam iść kanadyjskimi, a nie nowoangielskimi drogami. Licząc się z obfitymi

opadami śnieżnymi, mieszkańcy Kanady wysadzają drogi szpalerem prostych sosen, dzięki czemu wędrowiec nie błądzi, choćby śnieg walił dzień w dzień. Istnieje także prawo, nakazujące każdemu Kandyjczykowi, gdy zawieja śnieżna minie, wyjechać koniem zaprzężonym do kwadratowych, przysadzistych sanek, zwanych tu kariolką, i oznaczyć koleinami ten szmat gościńca, który należy do jego posiadłości. Przeważnie drogi są zawsze czyste i łatwo dostrzegalne.

Natanis wskazał nam pierwszy dom, w którym Cap stał gospodą. Drugi dom był odległy o pół krzyża — to znaczy o połowę odległości między dwoma krzyżami. Katolicy Francuzi stawiają przy drogach krzyże tak gęsto, jak my w prowincji Maine stawiamy słupy granicz-

163

ne, przy tym każdy krzyż ozdobiony jest, niby bożonarodzeniowe drzewko, nożyczkami, drabinkami, młotkami, obciążkami, hakami i butelkami.

Zbliżywszy się do tego drugiego domu, usłyszeliśmy hałas, okrzyki, przytupywania, śmiechy. Dobrze znajomy ochrypły bas wykrzykiwał słowa śpiewki, którą miałem niebawem poznać dokładniej:

Vive la Canadienne,

Vole, mon coeur, vole;

Vive la Canadienne

Et ses jolis yeux doux!

Et ses jolis yeux, doux, doux, dom, '

*Et ses jolis yeux, doux! **

Otworzyłem drzwi i wszedłem do mrocznego przedsionka, a stamtąd do

cieplej, oświetlonej świecami kuchni, której okna zaklejono kawałkami kolorowego papieru dla ochrony przed przejmującym wiatrem i kłującym pyłem śnieżnym. W kuchni siedział Cap, obok niego stary, siwiutki Francuz z harcapem prawie do kolan, dalej młodszy nieco Francuz ze śniadą żoną. Były tam również trzy śniade dziewczyny, dwie mniej więcej w wieku Jacataqui, trzecia mało co większa od komara, i śniady chłopczyk, najwyżej pięcioletni, z fajką w zębach i sznurkiem w zbyt wątłym warkoczu. Rozlokowali się przed brzuchatym, żelaznym piecykiem o czerwonej od żaru szyi.

Chłopiec z fajką siedział na jednym kolanie Capa, dziewczynka na drugim. Na mój widok olbrzym zerwał się z krzesła, upuszczając swoich młodych przyjaciół na podłogę.

— Ho! — zahuczał. — W samą porę przyszedłeś! Hej, Zhulie! Hej, Lizetta! Przyjacieli! Przyjacieli! Ami! Ami!

Ryczał jak bawół, mniemając zapewne, że w ten sposób prędzej go zrozumieją. Jego Irancuscy przyjaciele spoglądali na naszą czwórkę w milczeniu i nie bez pewnej trwogi, bo też musieliśmy wyglądać niepowszednio: ja w poszarpanej odzieży, Natanis i Hobomok, Jacataqua z palcami wczepionymi w kudły Anatarsa.

* Niech żyje Kanadyjka, Leć. o serce, leć. Niech żyje Kanadyjka I jej piękne, słodkie oczy! I jej piękne, słodkie oczy, la, la, la, I jej piękne, słodkie oczy! (przyp. red.).

spokojną francuską rodzinę!

- Co ty wyprawiasz, do kroćset? — przemówiłem. — Martwiłem się o ciebie, ty ośle dardanelski!
- Nie strzęp języka. Czy nie wolno mi się przejść? Musisz mnie wiecznie mieć na oku?
- I ty to nazywasz przechadzką? Ile dni ci trzeba na przechadzkę? Mało się nachodziłeś nad brzegiem Chaudiere?
- Co za giez cię ugryzł? — warknął Cap dobrotliwie i tak serdecznie szturchnął Jacatakę w bok, że biedaczka aż się zakaszła.
- Jutro o świcie armia wycofuje się do Pointe-aux-Trembles. Szukałem cię jak szalony, bo jeszcze byś gdzie tu utkwiał i przez resztę nędznego żywota gnił w brytyjskim więzieniu.

Cap olbrzymimi łapami przetarł czerwoną twarz.

- Jutro! Jakim cudem jutro? Przecież dopiero co przeprawiliśmy się!
- Ty głupcze! Jak ci się zdaje, jak dawno błąkasz się po tej okolicy?
- Dwa dni — rzekł Cap drapiąc się w głowę.
- Kiepski z ciebie rachmistrz. Wszyscy w obozie stwierdzają zgodnie, że nie widzieli cię od pięciu dni!
- Diabła tam! Przedwczorajszej nocy spałem w jakiejś kuchni. Wczoraj spałem w tej kuchni razem z Piotrem Lemoine, jego żoną, matką, synem, trzema córkami i psem. Zdaje się, że spała z nami również świnia, chociaż niewykluczone, że to było cielę.
- Nie ma o co się spierać — rzekłem — ale Natanis zwiedził dwie twoje sypialnie i w obu znalazł stopy pustych butelek. Bóg jeden wie, gdzieś ty jeszcze bywał!

Cap zbliżył się do mnie. Cuchnął czosnkiem na milę, a szeroki uśmiech

nadawał jego czerwonej twarzy okrągłość księżycyca wynurzającego się w ciepłą letnią noc z fal oceanu. — Teraz rozumiem! — zawołał. — Na pewno! Bo i jakże z jednego domu mógłbym ściągnąć aż tyle rzeczy! — Podszedł jeszcze bliżej, dławiąc się niemal swym oddechem. — Powiedz, Stefku, słyszałeś kiedy o normandzkim jabłeczniku?

Potrząsnąłem głową, na poły odurzony jego wyziewami.

—Dlaczego nam nic o tym nie mówiono, Stefku? Stefku, to wspaniały trunek! Ci Francuzi mają w piwnicach koniak czterdziesto letni, czasem nawet pięćdziesięcioletni! Słuchaj, Stefku! Bierzesz galon normandzkiego jabłecznika i dostajesz pół kwarty starego

165

koniaku. Boże, od takiego napoju wnętrzości człowiekowi truchleją! — Pokręcił głową, jakby przypominając sobie coś bardzo bolesnego. — Wiesz, nauczyłem się mówić po francusku! — Wzniósł oczy ku pułapowi i monotonnym, piskliwym głosem zarecytował: — *À Normandi nu biuwą diu si-dre **.

—Nie rozumiem, o co ci chodzi — powiedziałem odpychając go na odległość ramienia. — Nie wiesz, jakim cudem aż tyle rzeczy wyniosłeś z jednego domu? Co to za rzeczy?

Cap filozoficznie przesunął ręką po wilgotnym, czerwonym czole. — Nie opowiadałem ci o obrazku? O Filadelfii Widzianej Z Promu Coopera?

Potrząsnąłem głową.

- Nie mówiłem ci, że mam własną kariolkę? Nie pytałem, czy przyda ci się futrzany płaszcz i komplet stołowego srebra?
- Nic mi nie mówiłeś. O nic mnie nie pytałeś. Przyszliśmy przed chwilą.

- Aha — rzeki w zadumie. — Przypuszczam, że mówisz prawdę, bo nie widziałem cię od dwóch dni, czy od pięciu, nie wiem zresztą. Stefku, mam najpiękniejszy obraz na świecie. Nazywa się: Filadelfia Widziana z Promu Coopera.
- Nakrycia stołowe przydadzą mi się, owszem — powiedziałem. — A raczej nie mnie, tylko mojej matce. Zdaje się, że wspomniałeś o jakimś płaszczu?
- Najpierw muszę ci opisać obraz — upierał się Cap.
- Jaki to płaszcz? Męski czy damski?
 - Nie wiem, nie znam się na tym. Zdaje się, że sobole, ale nie jestem pewny.
- Daj mi ten płaszcz — powiedziałem.
- Muszę ci opowiedzieć o obrazie. Jest to najpiękniejszy obraz świata. Filadelfia Widziana z Promu Coopera. Sztych. Widać okręty na rzece i ludzi na brzegu, wszystko jak żywe. Nie zamieniłbym się na skarby szacha perskiego! Znalazłem tam drugi obraz, dwa razy większy i olejny. Krowy na pastwisku. Ale sto razy wolę moją Filadelfię Widzianą z Promu Coopera. Krowę spotkasz na każdym kroku i kto nie wie, jak krowa wygląda? Ale nie każdy może pojechać do Filadelfii, a jak spojrzysz na mój obraz, to zupełnie jakbyś tam był. A nawet lepiej, bo obraz nie zajmuje tyle miejsca, co Filadelfia.

* Zniekształcenie franc. *En Normandie nous houvons du cidre* — w Normandii pijemy jabłecznik (pr/yp. red.).

i czosnku. — Stefku, nikt, nikt mi nie wydrze tego obrazu, mojej Filadelfii Widzianej Z Promu Coopera!

Po niejakim czasie udało mi się go uciszyć i posadzić na krześle. Zrazu rozmowa szła nam niesporo, pomimo że Cap hałaśliwie domagał się mojej opinii o normandzkim jabłeczniku wzmocnionym koniakiem. Kiedyśmy wszyscy, nie wyłączając śniadego chłopaczka z fajką, pociągnęli po parę haustów, okazało się, że Natanis, wychowany we francusko-abenackim mieście St. Francis, całkiem płynnie mówi tym płaczliwym narzeczem, a Jacataqua potrafi się porozumieć ze swymi śniadymi rówieśnikami. Cap pożyczył od chłopca krótką fajeczkę, zaciągnął się, po czym udając, że się krztusi, runął na ziemię z trzaskiem, od którego zadrżały ściany domu. Leżał tak, niby to wijąc się w męczarniach. Ten epizod na dobre rozwiązał nam języki.

Śniade dziewczyny, Lizetta i Zhulie, zaczęły przygotowywać obiad na jutro, że niby taki już u nich zwyczaj. Lizetta weszła po drabinie na strych, aby odciąć kawałek suszącego się tam mięsa. Zhulie zeszła po drabinie do piwnicy po jarzyny. Gdy Cap próbował za Lizetta wspiąć się na górę, szczebel złamał się pod nim, chłopisko spadło jak kawał drzewa i uwięzło w piwnicznym otworze. Nic mogąc się ruszyć ani w przód, ani w tył przez kilka minut wisiał tak, a błogi uśmiech nie schodził mu z twarzy. Myśleliśmy już, że trzeba będzie porąbać drabinę na drzazgi.

Nic nie pomogło, musiałem się nauczyć piosenki, którą śpiewał. Wobec tego po sto razy powtarzaliśmy słowa piosenki za Lizetta i Zhulie, które dla względów pedagogicznych siedziały nam na kolanach.

Nos amants sont en guerre,

Vole, mon coeur, vole;

*Nos umans sont en guerre;
lis combattent pour nous!
lis combattent pour nous, doux, doux;
lis combattent pour nous!*

*On passe la cara/e, Vole, mon coeur, vole; On
passe la cara/e; Nous buvons tous un coup.*

167

*Nous buvons tous un coup, doux, doux; Nous buvons
tous un coup! **

W późniejszych, spokojniejszych dniach nieraz w pamięci przewijały mi się te słowa, to ta, to inna zwrotka. W piosence była mowa o miłości i winie. Sądząc po śpiewkach, któreśmy słyszeli w tawernie De Menut na Przedmieściu Św. Rocha w przeddzień szturm na Quebec, Francuzi śpiewają tylko o winie i miłości. Nie znam dla piosenki lepszego tematu.

Zainteresowałem się obiadem, przyrządzanym przez Lizettę i Zhulie. Niezręcznie trochę szła im robota, bo Cap nieustannie się pochylał to nad jedną, to nad drugą, a one, zdaje się, były nie od tego.

Wzięły kawałek mięsa, mniejszy niż moja pięść, i wrzuciły go do kotła o szczelnej pokrywie. Dodały ćwiartkę kapuścianej głowy, odrobinę czosnku, parę kartofli i trzy rzepy pocięte w kostkę, po czym napełniły kocioł wodą i ustawiły na piecyku. Następnego dnia w południe zdjęły kocioł. Tym, co włożyły do środka, nie objadłaby się sikora, a przecież w kotle był świetny, zawieszisty rosół na sześć albo i siedem osób. Rozgrzany piecyk utrzymywał w kuchni ciepło przez całą noc, a zimą jest to okoliczność szczególnie miła, gdyż rodzina i goście wraz z całym żywym

inwentarzem z reguły sypiają w kuchni.

Nasz gospodarz Pierre Lemoine robił wrażenie mruka, obojętnego na wszystko, co się dzieje naokoło. Cap mnie zapewnił, że przez Lemoine'a nie będziemy mieć żadnych nieprzyjemności, chyba żebyśmy w dzień zostawili trupa przed wejściem jego farmy. To dałoby do myślenia sąsiadom.

Cap zachowywał się tak, jakby to on był odkrywcą Francuzów. — Te żabojady τ— mówił — myślą tylko i wyłącznie o własnych sprawach. Nie wiem, jak się biją, ale umieją, bestie, nienawidzić! Nienawidzą wszystkich razem i każdego z osobna! Nie znaczy to, że

* Nasi kochankowie są na wojnie
Leć, o serce,
leć; Walczą za nas! Walczą za nas, la, la; Walczą
za nas! Podajmy sobie karafkę. Leć, o serce, leć;
Podajmy sobie karafkę. Napijmy się wszyscy po
tyku. Napijmy się wszyscy po łyku, la, la;
Napijmy się wszyscy po łyku! (przyp red.).

168

są źli. Trzeba tylko się przyzwyczaić do odoru, który panuje w ich domach — do czosnku, nawozu i fajek.

— Słuchaj — powiedziałem. — Chcę koniecznie dostać od ciebie to futro.

Dopiliśmy jablecznik z koniakiem. Cap wziął latarkę i poprowadził mnie przez pobliski zagajnik do letniego domku stojącego na wprost rzeki. Z zewnątrz był to ładny drewniany domek ze szczytowym dachem i wykuszami. Ale środkiem, rzekłbyś, przewiał huragan. Przedmioty były

powyciągane z szaf i półek, potłuczone i powywracane.

Cap tłumaczył się gęsto. — Spieszyłem się, widzisz, a i nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Meble w tym domu musiały być chore na padaczkę. Sporo rzeczy wyniosłem i załadowałem na kariolkę.

- Czyją kariolkę?

- Stary Lemoine powiedział mi, żebym w tej kariolce zajechał przed jego dom, myślę więc, że kariolka jest moja.

Z ukrycia pod schodami wyciągnął futrzany płaszcz. Rzeczywiście był to płaszcz sobolowy. Powinien dobrze grzać wychudzone ciało Febe, pomyślałem.

Cap pokazał mi piwnicę pod kuchenną podłogą i tak się nią szczycił, jakby to on był budowniczym domu i jakby to on założył tu baterię butelek. Butelki były osadzone w drewnianych poprzeczkach ze specjalnie wyciętymi otworami. Miałem wielką ochotę zakosztować tych rozmaitych trunków, których same nazwy obco mi brzmiały w uszach.

Cap przyniósł butelkę wina z napisem na etykietce: „Beaune le Greve, 1761". Oświadczył, że nic innego, tylko chyba to wino, wypite po paru butelkach koniaku, przyprawilo go o trzydniową nieprzytomność, nie odebrało mu wszakże fizycznych sił, bo jak się okazuje, sporo przez ten czas chodził. Połowa butelki nikomu jeszcze nie zaszkodziła, stłukliśmy więc szyjkę i pociągnęliśmy parę łyków. Wino tak mi zasmakowało, że wzięłem dla siebie cztery flaszki, nie zważając na Capa, który mnie namawiał, abym się raczej zaopatrzył w koniak. Twierdził, że koniak lepszy jest na rozgrzewkę i nie oszalał tak człowieka.

Kiedy wracaliśmy do farmy Piotra Lemoine, Wielki Wóz powoli obracał się nad nami, a zimne płomienie zorzy polarnej maszerowały po

niebie. Lizetta i Zhulie wyszły na próg i pomogły nam wejść do ciepłej kuchni. Śpiewaliśmy „Vive la Canadienne” i gwarzyliśmy wesoło, chociaż dawno już minęła pora, o której wszyscy przyzwoici ludzie chodzą spać.

169

XII

Kiedy patrzyłem na zrudziałe od deszczu, spaczone wiatrem domy osady Pointe-aux-Trembles, skupione dokoła katolickiego kościoła na jałowym brzegu szerokiej, oblodzonej Rzeki Świętego Wawrzyńca, pomyślałem sobie, że ani jeden żołnierz naszej niewielkiej armii nie powstrzyma się w przyszłości od serdecznych przekleństw na sam dźwięk imienia tej osady. Śnieg był głęboki i prawie każdy dzień przynosił nową warstwę srebrzystych płatków. Pięciuset naszych żołnierzy wciąż jeszcze miało na sobie postrzępione resztki ubrań, w których wyruszyli z Cambridge w blaskach upalnego wrześniowego słońca.

Tak, wyglądali żałośnie, ale przynajmniej mieli co jeść. Mieszkało się w ciepłych, przytulnych domkach, gdzie gospodarzyli warkoczaści Francuzi, w domkach o wiele zgrabniejszych i przytulniejszych niż osadnicze chałupy na granicach Wirginii, Pensylwanii i Maine. Dziwna rzecz, ale pomimo plugawej odzieży żołnierze nasi mieli wielkie wzięcie u dziatwy, a i wesołe córy farmerskie nie gardziły nimi. Obżerali się do nieprzytomności, grzali się do punktu wrzenia przy brzuchatych piecykach kuchennych, a potem w azurowych szarawarach wychodzili na śnieg głębokości trzech stóp. Zaziębiali się, kaszleli, pluli flegmą, ale jakoś żyli, jakoś nie tracili humoru.

W czasach późniejszych, wspominając Pointe-aux-Trembles,

przymykali błogo oczy i mlaskali ustami, jakby to była oaza niebiańskich rozkoszy. A pamiętam, jak klęli podczas owego historycznego postoju. Nauczyłem się nie wierzyć ludziom, kiedy mi opowiadają o rozkoszach zaznanych w młodości.

Chcąc zapobiec niepotrzebnym awanturom, przekonywałem Capa, że powinien swój tajemniczy zaprzęg oddać Piotrowi Lemoine, ale on ani chciał słyszeć.

- Stefku — rzekł — nie masz kupieckiej żyłki! Ta kariolka spadła nam z nieba. Musimy wywieźć stąd huk gratów. Nie oddam kariolki i nie oddam konia.
- I tak ci zabiorą! Jakiś pułkownik albo major zabierze ci konia, kariolkę i wszystkie twoje skarby!
- Nic podobnego! Póki mi zdrowie służy, póki nie zawodzi żyłka kupiecka! Co mam, to mam!

Ładowanie kariolki było niełatwą sprawą, bo podczas swojej trzydniowej nieprzytomności Cap rzeczywiście wygarnął spod ziemi huk gratów. Butelki koniaku, Beaune i hiszpańskiego wina

170

wetknęliśmy ostrożnie pomiędzy piernaty. Na piernatach ułożyliśmy poduszki, kapy, derki i rozmaite inne drobiazgi, w tym odzież dla Febe, kilka tuzinów srebrnych nakryć i komplet nożyków deserowych.

Wyobrażałem sobie radość matki na widok tych nożyków! W szpary powtykaliśmy laski z masłem i słoniną. Na wierzchu usadowiliśmy się sami. Cap trzymał zwinięty w rolkę wizerunek Filadelfii Widzianej Z Promu Coopera. Przy wyjmowaniu sztychu z ramy robił takie ceremonie, jakby to był co najmniej generalski patent, wyryty na złotej płytce.

Podjeżdżając do Pointe-aux-Trembles, spotkaliśmy kilku wartowników z kompanii Morgana. Na widok naszej zdobyczy aż spocili się z podniecenia

—Na Święte Bliźniętka! — zawołał jeden z nich. — Skądżeście wytrzasnęli te piernaty?

Karabinier cały kulił się w sobie, bo mróz był na potęgę. Tak, pomyślałem, jeżeli dojdzie do bitwy, to walczyć chcę tylko w tej kompanii, przy Wirgińczykach. Ci brutale utorują sobie drogę choćby przez samo piekło.

—Tam, skąd powracamy — odrzekłem — znajdziecie tyle dobyt ku, że można by dostatnio przeżyć całą zimę. Tam wasze miejsce, a nie tu, w tej zgniłej dziurze!

Karabinier ryknął do innego karabiniera, wartującego o kilkadziesiąt kroków dalej: — Hej, Buck! Sprowadź tu starego Dana, ale piorunem!

Z zazdrością dotknął derek. — Czy dużo tego zostało?

—Setki! — zawołał Cap. — Setki derek, oceany koniaku, srebro, słonina, wołowina i francuskie dziewczęta, które o niczym innym nie marzą, tylko o zaszywaniu dziur w żołnierskich bluzach.

Spoza domów wyłoniła się ociężała postać Daniela Morgana. W jego czerwonej, nalanej twarzy bladoniebieskie oczy iskrzyły się ciekawie. — Cóż to takiego? — zahuczał.

—Podobno została jeszcze cała fura różności — wyjaśnił karabinier.

Morgan wetknął rękę między piernaty. Zapewne wymacał butelki, ale wyciągnął rękę próżną i kołysząc się na piętach, zaczął przyglądać się naszemu dobytкови.

- Co to? — warknął uderzając palcem w zwinięty sztych.
- Filadelfia Widziana Z Promu Coopera — odpowiedział Cap. — Najpiękniejszy obraz na świecie.

Morgan chrząknął. — W takim razie nie widzieliście naszego wirgińskiego winchesteru! Palce lizać! Gdzieście to wszystko znaleźli?

171

- Niedaleko stąd, przy drodze — odrzekłem. — Tą drogą przejeżdżają dziesiątki wozów z prowiantem. Warto by tam postawić parę chłopca i wygłodzić miasto.
- Jedna kompania starczy?
 - W sam raz! Pokażemy wam, co, jak i gdzie. Myślałem sobie, że dobrze by znaleźć się w waszej kompanii na wypadek ataku.
 - Do stu par diabłów, no to niech będzie! — zaklął Morgan. Wziął faskę masła, dwie butelki koniaku i ruszył z powrotem.
 - Weźcie i to — rzekłem wyławiając butelkę Beaune. — Jeże-liście nigdy nie pili, będziecie olśnieni! — Wsunął sobie butelkę pod pachę, warknął coś niezrozumiałego i spieszenie odszedł. Karabinierowi, który pierwszy nas okrzyknął, dałem butelkę koniaku, Cap trzasnął z bicia i pomknęliśmy do kwatery głównej.
 - Dobra jest, Stefku — rzekł Cap głaszcząc czule swoją Filadelfię Widzianą Z Promu Coopera. — Masz lepszą żyłkę kupiecką, niż myślałem. Rzeczywiście, lepiej bić się pod Morganem niż pod tymi ślamazarami. Chyba że Arnold miałby swoją własną kompanię. Ale powiedz, czy widziałeś kiedy większych złodziei niż ci Wirgińczycy?

Cap pojechał kariolką do kompanii Goodricha. Ja zgłosiłem się do

pułkownika, a pod bluzą miałem dwie butelki koniaku i dwie butelki Beaune. Służbę adiutancką pełnił Ogden, miły, uprzejmy oficer o ładnej twarzy i niewymuszonych ruchach.

—Chcę zobaczyć się z pułkownikiem.

Ogden ciekawe spojrzenie utkwiał w wypukłościach mojej bluzy i mrugnął porozumiewawczo. Przy całej swojej łobuzerskiej wesołości był lepszym wojakiem niż wielu znanych mi poważnych i nadętych oficerów. — W tej chwili ma u siebie kilku obywateli z Quebe-cu. Wpuszczę was, kiedy wyjdą.

—Jakim cudem przedostali się do nas?

- Carleton wyrzucił z miasta wszystkich, którzy nie chcą walczyć z nami.
- Którędy Carleton przedostał się do Quebecu?
 - Rzeką! — powiedział z gniewem. — Na Belzebuba! Przyplłynął tego samego dnia, którego myśmy stanęli na Przylądku Levis. Teraz będziemy mieli z tym miastem cholereę, nie robotę. To cwany chłop! Gdy goście Arnolda wyszli, solidni obywatele w futrzanych salopach i czapach, Ogden przytrzymał drzwi.

172

- Aha! — zawołał Arnold, kiedy wszedłem. — Byliście mi potrzebni. Kiedy rozpoczęliśmy odwrót, chciałem was posłać z rozkazem na Przylądek Levis, do Hancheta. Myślałem już, że drapnę-liście do miasta, aby złożyć wizytę swojej dzierlatce! — Mówił bez złości, ale twarz miał ciemną i nabrzmiąłą. Widać było, że nie jest zadowolony ani ze mnie, ani z całego układu spraw.
- Szukałem Capa Huffa. Bałem się, że będziemy przez niego mieli

nieporozumienia z Francuzami.

Jego oczy zatrzymały się na mojej wypchanej bluzie. Smutnie pokiwał głową. — Hm — mruknął wstając z krzesła i rozkładając poły szynelu przed nagrzanym piecykiem. — Jak się powiodło?

Wyciągnąłem butelki spod bluzy i postawiłem je na stole.

- Ho! — zawołał. — Beaune le Greve! Rok 1761! Niezgorszy trunek! W każdym razie lepszy od wiadomości, jaką otrzymałem przed chwilą.
- Cóż to za wiadomość?
- Pułkownik McLean, wraz z oddziałem swoim stacjonujący w Sorel, został poinformowany o nadciągającej armii. Dlatego pospieszył się i wrócił do Quebecu na trzy dni przed naszym przybyciem na Przylądek Levis. Ci obywatele z Quebecu powiadają, że McLeanowi przywiózł wiadomość brudny, obdarty, skwaszony żołnierz, podróżujący kanadyjką w towarzystwie Indianina. Niewątpliwie był to wasz przyjaciel Hook.

Zamieniliśmy posępne spojrzenia.

—Kiedy nadejdzie generał Montgomery? — zapytałem.

Potrząsnął głową. Jego nabiegła krwią twarz wyrażała zniecierpliwienie. — Wkrótce! Chyba na dniach! — Utkwił we mnie wzrok. — Straszna rzecz! Pomyślałbyś, że z Montrealu do nas jest co najmniej tysiąc mil, a tu i jednej dziesiątej tego nie ma! — Wiedziałem, o czym myśli. Myślał o swoich wygłodniałych, bosych żołnierzach, którzy w ciągu tygodnia przebyli drogę od jeziora Megantic do Przylądka Levis.

- Pułkowniku — odezwałem się. — Wiecie, co mnie łączy z Mary Mallinson, którą wy nazywacie Marią de Sabrevois. Jeżeli Charleton

nie da nam Quebecu, chciałbym przedostać się do miasta we dwójkę z Natanisem.

- Na Belzebuba! — zawołał Arnold podnosząc krzesło i stawiając je z takim trzaskiem, że, zdawało się, drewniane nogi muszą się złamać. — Co znaczy „nie da?”. Sami weźmiemy! Niech tylko przybędzie Montgomery! Powiadam wam, że wezmę to miasto, choćby mi naprzeciw stanęło stu Carletonów! Trzeba mi tylko ludzi, którzy

173

pójdą za mną w ogień, a nie takich, co tylko pochlipują, że trudno, że niebezpiecznie. Niebezpiecznie, niebezpiecznie! Słyszac płacz tych niemowląt, człowiek by pomyślał, że jedyne niebezpieczeństwo na świecie to kule muszkietowe i armatnie! — Rzucił się na krzesło i spojrzał mi w twarz, niecierpliwie poruszając ramionami pod suknem szynelu.

— Słuchajcie, Nason! Gadacie głupstwa! Po co wam leźć do miasta? Złapią was, jak dwa razy dwa cztery! Wsadzą do więzienia i taki będzie koniec. Nawet nie przedostaniecie się z dolnego Quebecu do górnego. To tak, jakby ktoś chciał wejść na dach bez drabiny. Wybijcie sobie z głowy! Czekaście, aż weźmiemy miasto. Powiadam wam, wezmę miasto, chyba że wszyscy co do jednego stchórzycie i dacie drapaka. Kiedy wejdziemy, będziecie robić, co wam się spodoba. Tymczasem nie. Zgoda?

W ostatnich latach sporo się mówi w Arundel o Arnoldzie: że był dżokejem, oszustem, samochwałem; że ludzie go nienawidzili. To, co tu spisuję, oparte jest na doświadczeniach, jakie wyniosłem z dwóch wypraw, odbytych pod jego przewodem. Kto stara się go oczernić, ten szuka dziury w całym. Arnold był człowiekiem odważnym, a pozostający pod jego rozkazami żołnierze chętnie by za nim poszli na koniec świata.

Każdy, kto go poznał bliżej, musiał dla niego żywić miłość i szacunek, i dotyczy to nie tylko generałów Waszyngtona i Schuylera, ale wszystkich żołnierzy naszej armii, z wyłączeniem, rzecz prosta, tych, co zasłużyli na jego gniew i pogardę — a Bóg świadkiem, że nic brakło takich.

Powiedziałem więc to, co każdy inny powiedziałby na moim miejscu: że poczekam. Po czym wyszedłem i udałem się na poszukiwanie Febe. Myśl, że dziewczyna znosić musi niedostatki żołnierskiego żywota, że marznie, że niedosypia, nie dawała mi spokoju. Febe powinna teraz znajdować się w Arundel, w kuchni, i pomagać matce w trzepaniu pleców lub rozmawiać z siostrami o toaletach bostońskich dam.

Osady nad Rzeką Świętego Wawrzyńca trafiają się dokładnie co osiem mil i tak są do siebie podobne jak kartofle z jednego koszyka: jeden kartofel ma więcej oczek od drugiego, ten jest brudniejszy niż tamten, ale wszystkie mają mniej więcej ten sam kształt i zapach. W kanadyjskich osadach panuje zawsze ten sam smród, a i nazwy niewiele co od siebie się różnią: Święty Pafnucy, Święty Ignacy, Święci tacy, Święci owacy. Domy skupiają się dokoła jednej jedynej ulicy. Nietrudno więc było odnaleźć kwaterę kompanii Goodri-

174

cha. Cała kompania stłoczyła się dokoła kariolki, na której siedział Cap. Widocznie bał się zejść, żeby mu nie zabrano sztychu.

Na mój widok ryknął z ulgą. Żołnierze, zorientowałem się, w przeświadczeniu, że Cap chce wszystko zachować dla siebie, postanowili sami zawładnąć dobytkiem, jak przystało na prawdziwych Synów Wolności.

Oświadczyłem, że zamierzam dokonać sprawiedliwego podziału, i

podczaszym zamianowałem Noego Cluffa. Poprosiliśmy o trochę wolnego miejsca przed domem, w którym zakwaterowani byli żołnierze, i kolejno wręczaliśmy Noemu butelki koniaku i Beaune. Koniaku mieliśmy dwadzieścia dwie butelki, wina — trzydzieści. Gdy inni liczyli, pokrzykując radośnie, ja dałem Febe sobolowy płaszcz, długą luźną salopę, jaką przyodziewają bogate kobiety do kariolki. Pamiętając o jej zamiłowaniu do szarawarów i marynarskich butów, spodziewałem się, że przyjmie dar dość obojętnie. Ona jednak aż zapiszczała z uciechy i pobiegła do domu.

Po długich a wielce hałaśliwych targach postanowiono, że koniak zostanie zmieszany z normandzkim jabłecznikiem według recepty podanej przez Capa Hufta, a wino się wypije na wety. Poduszki fotelowe, masło i słoninę przekazaliśmy kolegom do podziału, a sobie wzięliśmy piernaty, srebra i sztych.

Febe znaleźliśmy w kuchni. Przeglądała się w popękany lustrze. Jej szyja miała na tle czarnego sobolowego futra odcień kremowy, a naszyjnik z kocich oczu, opasujący czoło na kształt paciorkowego diademu Abenaków, odbijał płomienie od barwy włosów. Przez, ogorzałość policzków przebijały świeże rumieńce, niemal tak ciemne, jak czerwień wina Beaune. Spoglądając to przez prawe, to przez lewe ramię, usiłowała uchwycić w odłamku zwierciadła całą swoją sylwetkę. Niczym *nic* przypominała dawnej, zaczepnej, noszącej się po męsku Febe.

Widząc, że wpatruję się w nią jak sroka w kość, oparła rękę na biodrze, nos zadarła dumnie do góry i przeszła obok nas z miną wykwintnisi, kołysząc się z lekka za każdym krokiem. Mijając nas, rzuciła Capowi spojrzenie wystraszonej jałówki i zawołała: — *Oh la! M'sieu!*

Cap upuścił na ziemię całą swoją zdobycz, przyklęknął na jedno kolano, wyciągnął ramiona do Febe i zapiał żałośnie: — *A Normandi nu biuwą diu si-dre!*

— Ty! — krzyknąłem chwytając Febe za ramię i stwierdzając z uznaniem, że kości jej nie są już tak wydatne jak wówczas, nad

175

rzeką Chaudiere: — Ty! Przestań błaznować! Zabierz to wszystko na strych i schowaj tak, żeby ci nikt nie ściągnął.

Zalecona przez Capa mieszanka koniaku z jabłecznikiem nie wszystkim i nie od razu trafiła do przekonania. Ale po północy zmieniono pogląd radykalnie. Pominę inne szaleństwa, wspomnę tylko, że żona farmera tańczyła na stole, podrygując i pośpiewując, a my ryczeliśmy na całe gardło piosenkę:

Vive la Canadienne,

Vole, mon coeur, vole;

Vive la Canadienne,

Et ses jolis yeux doux!

Et ses jolis yeux doux, doux, doux,

Et ses jolis yeux doux!

Dzisiaj, gdy patrzę wstecz, wydaje mi się, że Pointe-aux-Trem-bles było naprawdę nie najpodlejszą miejsciną.

Ostatniego dnia listopada doszły nas słuchy, że generał Montgomery wraz ze swymi oddziałami jest już blisko, że wiezie amunicję i odzież, tę odzież, o której marzyliśmy, która była nam potrzebniejsza od powietrza.

Pierwszego grudnia, mniej więcej koło pory południowej, żołnierze hurmą wybiegli na gościniec i pognali ku przylądkowi. Ich niezdarne, wypchane sianem mokasyny kłapały na śniegu. U przylądka stały trzy uzbrojone szkunery, naładowane wojskiem. Na jednym ze szkunerów znajdował się generał.

Zagrzmiały wiwaty. Bo ten generał, wysoki, szczupły i wytworny, majestatyczny, choć mocno zeszpecony ospą, był niewątpliwie wielkim wodzem. Przy nim był jego adiutant, Aaron Burr, nareszcie w randze kapitana. Uwijał się z rozkazami, niczym mój pies Łowca, gdy trafi na opuszczoną przez lisa norę.

Jego wojsko składało się z Nowojorczyków i było bezwartościową zbieraniną młodych chuliganów, wyłowionych chyba gdzieś z rynsztoka. Myśmy wyglądali żałośnie, to prawda, bo i głodu się zaznało, i przez wielkie przeszliśmy utrudzenia, i biegunka zrobiła swoje, a przyznać trzeba, że i z dyscypliną było u nas nietęgo. Ale kto na nas spojrzał, ten wiedział, że jeszcze niezgorzej potrafimy robić muszkietem i żadne nie odstraszą nas przeciwieństwa, tymczasem ci chłopcy Montgomery'ego robili wrażenie ulicznej gawiedzi, która umie tylko zżerać chleb wojskowy.

Nie byliśmy więc zdziwieni, gdy następnego dnia po defiladzie

176

Montgomery zabrał głos i powinszował nam prawdziwej żołnierskiej postawy. Moi sąsiedzi rozprawiali cicho między sobą, że zapewne ten generał nie widział w życiu prawdziwego żołnierza i że nasza postawa byłaby o wiele lepsza, gdybyśmy mieli parę całych koszul. Ale właśnie w tej chwili generał oznajmił dźwięcznym głosem, że na znak uznania dla

naszej dzielności i wytrzymałości każdemu z nas podaruje nowe umundurowanie i talara w bitej monecie i że jutro mamy się po to wszystko zgłosić. Ktoś wrzasnął: — Niech żyje Ryszard Montgomery, nasz kochany generał! — I zerwała się taka burza wiwatów, jakby Montgomery był najznakomitszym mężem Ameryki. Zresztą tytuł ten chętnie przyznalibyśmy każdemu, kto by się nas podjął odziać i ogrzać.

Zdarzało się za mojej pamięci, że nasi żołnierze woleli chodzić nago, niż przyoblec się w cudze mundury. Tym razem skrupułów nie było. Wydzielono nam brytyjskie mundury, zdobyte w Montrealu: czerwone surduty, białe wełniane szarawary, czarne wełniane pończochy i piękne białe szynele, w których wyglądaliśmy jak eleganci z morskiej piany. Do tego szła czerwona czapka z białą podszewką, naciągana w razie mrozu na uszy. Żaden szynel nie chciał wleźć na Capa Hulta. Olbrzym mamrotał i klął pod nosem. Później dopiero okazało się, jak zbawienna to była dla nas okoliczność.

Po przybyciu Montgomery'ego zawrzało w obozie, Podzielono amunicję i żywność, z szalup wyładowano armatki — armatki tak małe, że nadawały się chyba do polowania na gęsi w bajorach przy Wyspie Łabędziej, ale nie do kruszenia murów Quebecu.

Teraz, gdy było nas wielu, mogliśmy sobie pozwolić na blokadę dróg, prowadzących do stolicy. Natychmiast podjęto przygotowania do powrotnego marszu na Płaskowyż Abrahama.

Nie chcąc się znowu narażać Arnoldowi, udałem się z Capem do głównej kwatery, aby zameldować, że przyłączamy się do karabinierów Morgana. Obok domu stała grupa oficerów w białych pelerynach i czerwonych czapkach: Bigelow, Topham, Thayer, Church, Steele,

Hubbard, Hanchet i Goodrich.

Ogden zjawiał się w drzwiach i wezwał kapitana Hancheta. Hanchet wszedł spiesznie. Raziła mnie jego zadarta głowa, jego pretensjonalnie wysunięty podbródek. Kaszłał, a ten brzydki, nękający kaszel takim rozlegał się echem, jakby zrodzony gdzieś w okolicach kolan.

Bigelow zmierzył go badawczym spojrzeniem, pokręcił głową i cmoknął nieprzyjaźnie. — Kiedy przybył ze swoją sześćdzie-

177

siatką żołnierzy od Przylądka Levis, bredził jak wariat. Wszystkim spotkanym opowiadał, że Arnold umyślnie zwała na niego czarną robotę.

- A cóż takiego czarnego zdarzyło się na Przylądku Levis?
 - Ach — rzekł Bigelow —jedzenie było marne, a w każdej chwili istniało niebezpieczeństwo osaczenia. Poza tym było zimno i rzeka zaczynała zamarzać.
 - Tak — potwierdził kapitan Thayer głosem tak łagodnym, jakby podziwiał perukę w witrynie własnej balwierni. — I, o ile się nie mylę, wiał wiatr, a mógł powiać jeszcze mocniej.
 - Pewno, że mógł powiać jeszcze mocniej! — z udaną powagą rzekł Bigelow. — A co, gdyby spadł śnieg? A gdyby pułkownik Arnold, mając do Hancheta urazę osobistą, nakazał słońcu nie świecić po tamtej stronie rzeki?

Urwał i zaczął nasłuchiwać. Arnold wymyślał komuś, na czym świat stoi. Tym kimś mógł być tylko Hanchet. Słyszeliśmy głos Arnolda, jak gdyby okno nie było dobrze zaopatrzone na zimę, lecz otwarte na oścież. — Oszaleliście! — wrzeszczał. — W głowie wam się pokręciło! Ani jeden z moich oficerów nie pozwoliłby sobie na wysuwanie podobnych

argumentów! Niebezpieczeństwo, dobre sobie! Wstyd mi, że człowiek podległy moim rozkazom śmie mówić o niebezpieczeństwie!

Zapewne Hanchet coś odpowiedział, bo po chwili Arnold wybuchnął jeszcze gwałtowniej: — No to co z tego, że ich kontrakt werbunkowy wygasa z dniem pierwszego stycznia? Na razie mamy grudzień, zechciejcie o tym pamiętać! Podlegają moim rozkazom aż do trzydziestego pierwszego grudnia do dwunastej w nocy! Za kogo ich uważacie? Za niemowlęta? Jak mi Bóg miły, Hanchet, każę was za to aresztować!

Wewnątrz domu trzasnęły jakieś drzwi. Otworzyły się drzwi frontowe i przed nami stanął Arnold z twarzą poczerniałą z gniewu. — Kapitan Topham! — zawołał. — Kapitan Thayer!

Topham i Thayer ruszyli ku drzwiom, Topham różowy i wesoły, jakby czekał go cukierek za dobre sprawowanie, Thayer spokojny i łagodny, jakby wezwano go, aby zaśpiewał piosenkę.

—Panowie — przemówił Arnold — trzeba wziąć armatki z szalup i zawieźć je płaskodennymi łodziami do Sillery. Te same łodzie popłyną do Przylądka Levis i zabiorą stamtąd drabiny oblężnicze. Poinformowano mnie, że rzecz jest niebezpieczna, ponieważ po rzece pływa kra. Czy któryś z was podjąłby się tego zadania?

Topham spojrział na Thayera i rzekł: — Moi ludzie są wytrawni-

178

mi żeglarzami! — Thayer spojrział na Arnolda: — Moi ludzie mogą natychmiast popłynąć!

Arnold uśmiechnął się przyjaźnie: — Niech więc los rozstrzygnie! Thayer podrzucił w powietrze szylinga.

— Reszka! — zawołał Topham.

Thayer wyciągnął dłoń. Topham się nachylił. Thayer zaśmiał mu się w twarz, złożył palce w pięść, jakby chcąc Tophama zdzielić pod żebro, i obrócił się do Arnolda, czekając na rozkazy. Hanchet wyszedł z półuśmiechem na ustach, chociaż przyznam się, że mnie w takiej sytuacji byłoby nie do śmiechu. Oddalił się gościńcem. Wraz z nim odeszli kapitanowie Goodrich i Hubbard.

XIII

Kiedy wróciliśmy pod Quebec, inne czekało nas przyjęcie niż za pierwszym razem. Chcąc nas pozbawić dachu nad głową, Carleton spalił folwark majora Caldwell, folwark, w którym tak dobrze nam się mieszkało, i zburzył domy Przedmieścia Św. Jana, sąsiadujące z Bramą Świętojańską. Na ziemi leżała gruba warstwa śniegu, a mróz był tak dotkliwy, że aż sklejał nam lodem powieki. Na domiar złego Carleton zdjął kanonierów z fregat i ustawił ich na murze. Brnąc przez śnieg ku wyznaczonym stanowiskom, musieliśmy raz po raz kryć się przed bombami i szrapnelami.

Główną kwaterę stanowił Dom Holenderski w osadzie St. Fay, odległej o trzy mile od Bramy Świętojańskiej, ale wielu żołnierzy ulokowało się w klasztorze żeńskim i szpitalu, który stał na brzegu Rzeki Świętego Karola o milę od miasta. Brytyjczycy oszczędzali tego budynku przez poszanowanie dla sióstr zakonnych. Pomimo że tak niewielka odległość dzieliła szpital od murów, Morganowi i jego Wirgińczykom było jeszcze za daleko, bo teraz, mówili, nie czas na marsze, teraz będziemy się bić. Toteż wkrótce po moim przyłączeniu się do karabinierów Morgan nas

przeniósł pod same mury, na Przedmieście Św. Rocha.

Czego nie było na tym przedmieściu! Ubogie chałupy, drewniaki, sklepy, składy, wspaniałe kamienice, a między nimi najślawniejsza oberża dolnego Quebecu — Taverne de Menut, prawdziwa oaza w tej pustyni polarnego mrozu. Przedmieście było przytulone do stóp skały, na której szczycie wznosiło się miasto. Pomiedzy rzeką a skałą stały budynki zamkowe, a raczej resztki budynków. Właścicielem

179

ich był największy bogacz Ameryki: handlowy przedstawiciel Jego Wysokości Króla Francji. Kanadyjczycy nazywali go Królewskim Intendentem. Kamienna szopa, w której przechowywał towary Jego Królewskiej Mości, aby je sprzedawać następnie ubogim po morderczych cenach, znana była powszechnie pod nazwą Oszustki, La Friponne.

Były to prawdziwe fortece. Oszańcowani wśród nich, mogliśmy do woli patrzeć na blanki i przyglądać się strażnikom, ukazującym się w strzelnicach. Chcąc strzelać do nas musieli dobrze wychylać się za parapet, a to, jak niebawem się przekonali, nie było zbyt bezpieczne. Lufy armatnie nie dawały się skierować ku dołowi, wobec tego co dzień wyprawialiśmy się do ruin La Friponne i sprawdzaliśmy celność naszych karabinów na Brytyjczykach, gdy który z nich lekkomyślnie wytknął głowę za mur.

Niedługo jednak trwała ta sielanka. Przekonawszy się, że z dział do nas nie wymierzą, sprowadzili moździerze i trzynastocalowymi szrapnelami jęli zasypywać upłazy skalne nad naszą głową. Szrapnele padały na skałę, staczały się w dół i uderzając w pobliskie budynki, wybuchały z hukiem. Błogosławiliśmy Francuzów, którzy, budując te gmachy, zaopatrzyli je w

ściany grubości trzech stóp.

Pewnego słonecznego poranka, mniej więcej w połowie grudnia, leżeliśmy wśród zrujnowanych izb La Friponne, pukając do strażników. Robota była wyjątkowo przyjemna, bo strażnicy stali w słońcu, a my leżeliśmy w cieniu skały. Nagle któryś kanonier cisnął nam pigułkę w momencie, gdy czołgałem się na brzuchu z głową odchyloną wstecz, policzkiem i nosem przywierając do kolby muszkietu.

Szrapnel rozerwał się z takim grzmotem i brzękiem, że omal nie oderwało mi głowy. Równocześnie ugodziło mnie coś twardego. W pierwszej chwili myślałem, że przygniotły mnie ściany i że już legnę w płytkiej, śnieżnej mogile.

Próbowałem się przewrócić na wznak, ale sięgnąwszy ręką, przekonałem się, że ktoś leży na mnie. Wyszwoleciłem się i usiadłem. To była Febe. Z przymkniętymi oczami, z brudną pręgą przez twarz, wyglądała jak trup. Przeraziłem się jak chyba nigdy w życiu. Dźwignąłem ją, oparłem plecami o mur i przesunąłem po niej rękę, aby zbadać, czy nie jest ranna. Nic jej nie było, bo po chwili otworzyła oczy i rzekła: — Dlaczego tu przychodzisz? Przecież to jest straszne miejsce!

— Febe! — zawołałem z gniewem. — Nie wsadzaj nosa do nie-swoich spraw! Nie jesteś tu potrzebna! Mężczyzna może sobie na

180

wszystko pozwolić, ale ty? Jeszcze by cię, broń Boże, zranili. Wracaj tam, skąd przyszedłaś!

Kanonierzy mieli tego dnia wyjątkowe szczęście. Drugi szrapnel padł na zbocze skały i stoczył się ku murom La Friponne. Gdy wybuch

wstrząsnął podstawami gmachu, Febe tak mocno przytuliła się do mnie, że mało mi żebra nie pękły.

- Gdzie twój pas? — zapytałem.
- Zdjęłam, bo pokrył się lodem.
- No tak — zawołałem nie pojmując, skąd u mnie taki gniew. — No tak. Ale tobie nie wystarczy lód i głód, tobie mało bagien i lasów, ty musisz jeszcze leżeć pod pociski artyleryjskie. Co za licho cię skłoniło? Po coś tu przyszła?
- Przyszłam po ciebie.
- Mogłaś poczekać. I tak miałem zamiar dziś wieczorem cię odwiedzić.
- Dziś wieczorem mogło już być za późno.
- Za późno na co?

Strzepnęła odrobinę śniegu, który uwiązał we włosach mojego szynelu. — Czy wiadomo ci, że Montgomery zażądał od Carletona wydania miasta? Niestety, Carleton nie dopuszcza do bram nawet posłów z białą flagą.

- Słyszałem o tym. W naszej armii nie ma tajemnic!
- Stefanie, podejmuję się zawieźć list Carletonowi. Czy dasz mi konia i kariolkę, w której przyjechałeś do Pointe-aux-Trem-bles?

Aż mnie zaćmiło. — Jakim cudem zawieziesz list, kiedy nikt nie ma dostępu do miasta?

—Ba, wdzieję sukienkę, otulę się w sobolową salopę, wsiądę na kariolkę i spienionymi końmi podjadę pod bramę. Za mną będą biec żołnierze, krzycząc i strzelając. Wówczas brama otworzy się na moje przyjęcie. Powiem, że niosę ważne wiadomości dla Carletona.

Na pewno mnie wpuszczą!

Miała rację. Wpuszczono by ją. A przecież nie uśmiechała mi się ta myśl. I tak już w Quebecu przebywało sporo osób, których losy żywo mnie obchodziły. Mary Mallinson, Guerlac, Ezechiel Hook. Wolałem, aby Febe nie figurowała w tym rejestrze.

- Nie chcę więcej o tym słyszeć! — powiedziałem surowo. — Do miasta, owszem, przedostaniesz się, ale wylądujesz w więzieniu. I dobrze jeszcze, jeżeli nie wezmą cię za szpiega i nie rozstrzelają.
- Słuchaj, Stefanie — zaczęła takim samym przymilnym głosem, jakim niegdyś kusila mnie, abym kupił szalupę — dobrze

181

wiesz, że Brytyjczycy nie rozstrzelują kobiet. Ani razu nie dali ognia do klasztoru, w którym mieszkamy. Jeżeli zamkną mnie w więzieniu, to nie na długo, bo nie gestem szpiegiem i doskonale o tym wiedzą. Poza tym sami nie mają co jeść, trudno więc, aby mnie jeszcze karmili.

- Można przesłać ten list Carletonowi innym sposobem.
- Jakim, proszę?
 - Jest sto sposobów. Można zatknąć na grot strzały i nocą wystrzelić z łuku. Można powierzyć poselstwo pani Grier lub pani Warner, jeżeli już koniecznie chcesz, żeby zajęła się tym kobieta.
 - Aha! Prześlesz list na ostrzu strzały, strzała zaryje się w śnieg i Anglicy odnajdą ją dopiero w czasie wiosennych roztopów! Pięknie. A jeśli nawet tak się nie stanie i list trafi do właściwych rąk, Carleton nie zechce go czytać, tak jak dziś nie przyjmuje posłów. Co do pani Grier i Warner, to są mężatki, poza tym, Stefanie, nie wyglądają zbyt

wytwornie, strażnicy ich nie wpuszczą.

- Hola! — zawołałem, zirytowany jej pewnością siebie. — Odkąd to ludzie biorą cię za księżniczkę?
- Gdybyś miał oczy we łbie i umiał nimi patrzeć, zobaczyłbyś, że są na świecie brzydsze ode mnie kobiety!
- Nie przeczę.

Odwróciła się, muśnięciem ręki poprawiła szynel i włosy, po czym znowu spojrzała mi w twarz. — Zobacz, Stefanie, czy jestem taka brzydka? — Ujęła mnie za ramiona, tak że chcąc nie chcąc musiałem widzieć kremowy trójkąt jej szyi, obramowany kołnierzem, delikatny trójkątny podbródek, owalne, zaróżowione policzki, aksamitne, brunatne oczy, cienkie, czarne brwi, jakby nakreślone piórkiem, pukiel włosów spadający na czoło, prawie do brwi. Twarz jej kształtem przypominała te serduszka, które arundelscy chłopcy wycinają na starych bukach, gdy nad wodami łachy czekają na swoje dziewczęta.

-- Wiec co? Brzydka jestem? — powtórzyła trzęsąc mną i uśmiechając się kątem ust. Nie wiem dlaczego, ale nagle przesunął się przez moje serce krajobraz ojczystego Arundel, a w nim wszystko to, co kochałem: granatowe morze i złocisty blask słońca, brunatne rafy skalne i białe fale rozbijające się o twarde, szary piasek; słodkie, ciepłe wonie solankowych błot i świeży, słony wiatr odmorski; ćwierkanie świerszczów w upalną noc, twarz mojej matki, drobna figurka Cyntii, przywierająca do mnie w czułym, siostrzanym uścisku, gdy powróciwszy do domu, zjadam spóźnioną wieczerzę; Łowca strzygący uszami i przyjaźnie odsłaniający zęby, napraszający się, żeby go za-

brać na polowanie; syk rzecznoego odpływu; orzeźwiający zapach młodych listków rokitowych na wiosnę.

—Czy jestem brzydka? — ponownie zapytała Febe. Siedziałem na występie muru, nie odrywając od niej oczu. Dokoła nas szeptały karabiny Wirgińczyków. Zagrzemiał brytyjski moździerz, wstrząsając na poły zburzoną ścianą, która udzielała nam ochrony.

Spuściłem oczy i powiedziałem: — Masz czerwony nos. — Febe tylko się zaśmiała.

- Słuchaj — rzekłem, chcąc raz na zawsze wybić jej z głowy te szaleńcze pomysły. — Przedsięwzięcie, o którym mówiłaś, nie przystoi kobiecie. Nie przystoi przyzwoitej kobiecie.
- O tym nie pomyślałam —szepnęła. —Jaka to jest przyzwoita kobieta, Stefanie?
- Wiesz tak samo dobrze, jak ja. Przyzwoita kobieta unika awanturnicznych wyskoków. Przyzwoita kobieta siedzi w domu i spełnia swoje codzienne obowiązki.
- Stefanie, czyżbyś mnie uważał za kobietę nieprzyzwoitą?
- Do kroćset! — zawołałem, nie chcąc jej sprawiać przykrości. — Nic podobnego! Ale nic wyprawiaj mi hopek na ulicach Quebecu! To ci przyniesie tylko ujmę.
- Czy potępiasz mnie za to, że towarzyszyłam Jamesowi w wyprawie?
- Nie.
- Ani że dalej szłam z Noem, Natanielem i Jethrem, kiedy James zmarł?
- Nie.
- Czy jesteś pewny, Stefanie, że więcej byś miał dla mnie szacunku,

gdybym, zamiast dowodzić szalupą, wiecznie ślęczała w domu, gdybym tkwiła w kuchni, obgadując sąsiadów i nudząc się widokiem otaczających mnie wciąż tych samych twarzy, za przykładem innych przyzwoitych kobiet z Arundel?

- Słuchaj — odciąłem — cała ta gadanina donikąd nas nie zaprowadzi. Ani mi się śni siedzieć tu z tobą przez cały dzień i strzępić sobie jęzor. Nie pozwalam na ten wypad i basta! Skąd takie pomysły, Febe?
- Skąd! skąd! Niby nic nie wiesz! Stefanie, w naszej kompanii źle się zaczyna dziać. Goodrich i Hanchet są nierozłączni. Nieustannie knują coś po kątach. Z nimi Hubbard. Hanchet nienawidzi Arnolda.
- Stara historia!
- Tak, ale nienawidzi go coraz mocniej. Arnold kazał mu wraz

183

z kompanią udać się na Przedmieście Św. Jana, a Hanchet odmówił. Twierdził, że nie może swoich żołnierzy narażać na niebezpieczeństwo. Arnold strasznie się na niego rozgniewał.

- Takich się rozstrzeliwuje.
 - Nie — odparła Febe. — Arnold postąpił rozumnie. Zawstydził go. Posłał zamiast niego Tophama i Thayera. Jak ten Hanchet nienawidzi Arnolda! Pierwszy raz spotykam się z tak dziką nienawiścią. Powiada, że nie będzie walczył pod jego rozkazami. Goodrich i Hubbard przesiadują z Hanchetem godzinami, słuchają go jak apostoła, piją koniak, a potem szwargocą i szwargocą między sobą.
- Co jeszcze?
 - Stefanie, boję się, że żołnierze ulegli tej chorobie. Ich kontrakty

werbunkowe wygasają z dniem pierwszym stycznia. Nic się nie słyszy, tylko do domu, do domu. Niektórzy mówią, że nie będą się bić. Tak mówi Asa Hutchins. Noe i Nataniel trzymają się mocno,- ale reszta powariowała.

Febe westchnęła głęboko. — Dotychczas byłam tylko ciężarem, teraz chcę się na coś przydać! Gdyby James żył i miał walczyć wraz z innymi, wiedziałabym wtedy, że nie na próżno wyjechałam z Arundel. Jeżeli spełnię to, co zamierzam, może oni zawstydzą się i pomimo wszystko chwycą za broń. Nie mogę siedzieć z założonymi rękami, Stefanie! Nie mogę! Nie mogę!

Spojrzałem na jej ręce. Były zaciśnięte. Obnażony trójkąt szyi czerwienią dorównywał liściom klonu po pierwszym przymrozku.

—Febe! — powiedziałem, nie mogąc opanować rozdrażnienia. — Zakryj sobie szyję. Dostaniesz konia i kariolkę.

Po południu zawiozłem ją kariolką do St. Foy. Miała na głowie czapkę z fokowej skóry, kształtem zbliżoną do hełmu. Czapę tę, zdaje się, wytargował Cap Huff od jednego z Wirgińczyków w zamian za flaszkę koniaku. Do tego nosiła szarą, wełnianą sukienkę, wyproszoną od zakonnic, i po wierzchu sobolową salopę. Na nogach miała długie, fokowe śniegowce, futrem do wewnątrz, śniegowce, w jakich damy z Quebecu zwykły się wybierać na zimową przejażdżkę.

Siedząc obok niej z biczem w ręku, w brudnym białym szynelu, z zarośniętą gębą, naprawdę czułem się jak furman wiozący damę. Ona patrzyła na swoje dłonie, obleczone w mitenki, a ja od czasu do czasu rzucałem na nią ukradkowe spojrzenie. Wstyd mi było, że tak powiedziałem o jej nosie, bo nos miała ładny, chociaż, Bóg świadkiem,

czerwony od mrozu.

184

Nagle podniosła oczy i zauważyła, że się na nią gapię. Chciałem jej coś powiedzieć, ale zapomniałem języka w gębie.

Tego wieczora zaproszono ją na kolację do kwatery głównej. Ja siedziałem w kuchni z żołnierzami i zjadałem wieprzową pieczeń i knedle. Ktoś wchodząc zostawił drzwi otwarte, mogłem więc słyszeć urywki rozmowy. Generał zapytał Febe, skąd ma ten naszyjnik z kocich oczu. Odpowiedziała po prostu i wesoło. Arnold, Burr, Ogden, Bigelow i inni uważnie słuchali jej słów.

—Nie wiedziałam — rzekła — że naszyjnik przedstawia aż taką wartość. Spodobał mi się, więc zapragnęłam go mieć. A jeśli my, Nowoangielczycy, pragniemy czegoś, przedmiot naszych pragnień sam przez się staje się cenny. Jankesi nie lubią kupować za gotówkę, wolą handel zamienny. W ten właśnie sposób doszłam do tego naszyjnika: przez zamianę. Jego koszt wynosił zaledwie kawałek sznura, a sami widzicie, panowie, co mam dzisiaj. Kiedyś, we wczesnej młodości, zrobiłam sobie arkan ze sznura. Byłam wtedy kapitanem małego statku handlowego, kursującego wzdłuż brzegów...

Urwała czekając, aż śmiech zamilknie, po czym ciągnęła dalej: — Raz przewoziłam szalupą pewnego Indianina. Chciał ode mnie kupić arkan. W zamian dał mi woreczek z węzowej skóry, zawierający trzy igły z kości łasiczej. W Portsmouth sprzedałam je pewnej damie, której potrzebne były do naszywania wstążek na brokat. W zamian dostałam pistolet o

mosiężnym uchwycie, tak ciężki, że można nim było otwierać beczki z melasą. Poznawszy pewnego marynarza, wracającego z Wysp Cukrowych, sprzedałam mu pistolet za papugę. Papugę wziął kapitan brygu, zakotwiczonego w Newburyport, a dał mi dwa kamienne toporki i szkło powiększające. Nosiałam te toporki przy sobie, strasznie mi ciążyły, aż pewnego dnia podoficerowi brygu, kursującego między naszymi portami a Cejlonem, wpadły w oko i toporki, i szkło. Wtedy właśnie nabyłam ten klejnot. Jeżeli zliczyć czas i przemyśliwanie, jakie włożyłam w te transakcje, okaże się, że nie dostałam naszyjnika za darmo.

Towarzystwo było zachwycone jej przemową, chociaż chciałbym ja wiedzieć, dlaczego. Zawsze mówiła tak samo. Potrafiła również innymi cudami zabawić współbiesiadników, jak okazało się niebawem. Kapitan Oswald wyszedł do kuchni, aby dać folgę wstrzymywanemu wybuchowi śmiechu.

- Do wielkiej Anielki! —zawołał. — Tego się nie spodziewałem.
- Czego?

185

- Ha ha ha, ta wasza panienska pokazała oficerom zabaweczkę, którą nosi na przegubie, taką ze skóry splecioną ozdobę. Nasz Burr cap pannę za ramię obiema łapami, niby żeby im ułatwić patrzenie. — Jęknął, jak na wspomnienie czegoś rozkosznego.
- W co, że tak powiem dostał?
- Spojrzała mu w oczy niewinnie jak owieczka. Boże mój! To było śmiechu! Zabawka, niby to przypadkiem, obita mu się o nos, i proszę, chłop stoi przed domem i przykłada sobie śnieg do rozkwaszzonego kinola.

Nazajutrz, jeszcze przed świtem podjechaliśmy do gościńca, który prowadził od Sillery do Bramy Św. Ludwika, z nami kilku żołnierzy. O świcie ruszyliśmy dalej.

- Stefanie — rzekła Febe, gdy wysiadałem z kariolki — jeżeli znowu wypadnie ci czatować w tym okropnym miejscu, gdzie strzelają z armat, postaraj się o drugi szynel. Zawsze to cieplej.
- Nie martw się o mnie — odparłem. — Rób, co masz robić, i wracaj jak najprędzej.
- Nie masz dla nikogo zleceń? — zapytała. Spojrzałem na nią złowrogo, a ona zacięła konia i klusem wyminęła zakręt. Pobiegliśmy za saniami, raz po raz strzelając z muszkietów.

Nad bastionami pojawiły się głowy. Usłyszeliśmy słaby odgłos wiwatów. Wciąż biegliśmy, krzycząc i strzelając. Kariolka była już blisko bramy. Ujrzawszy nad zębami murów kłęby dymu, zatrzymaliśmy się. Brama rozwarła się z wolna. Wymachując biczem, Febe wjechała i znikła. Zawróciliśmy i poczęliśmy się oddalać ociężale. Ścigały nas drwiące okrzyki załogi.

Odtąd codziennie chodziłem do kwatery głównej dowiadywać się, czy Carleton odpowiedział na wezwanie Arnolda i czy Febe wróciła. Komu z nas nie zdarzały się w życiu takie tygodnie — tygodnie, w których dzieje się wszystko z wyjątkiem tego, co dziać się powinno? Taki właśnie okres przeżywałem pod nieobecność Febe.

W pobliżu Bramy Świętojańskiej żołnierze ustawili w śniegu baterię złożoną z pięciu działek. Za tą baterią przebiegała droga, prowadząca od La Friponnc, naszej strzeleckiej placówki, do kwatery głównej. Słaba to była bateria, nie tylko ze względu na mały kaliber działek, ale i dlatego,

że grunt miał twardość skały i musieliśmy wały lepić ze śniegu. Kiedy więc ta bateryjka zagrała, kierowano na nią z murów wszystkie armaty i moździerze. Huczało to i grzmiało, szrapnele i granaty wybuchały z piekielnym łoskotem, bomby pada-

186

ły w miejscach, gdzie się ich spodziewano najmniej. Wędrówka do kwatery głównej nie była bynajmniej przyjemnym spacerem. Co parę kroków musiałem dawać nura w śnieg i chronić się przed pociskiem, który i tak by mnie nie minął, gdyby dla mnie był przeznaczony.

Nasi nowoangielscy mędracy mawiają z miną znawców, że jeśli powietrze ścina ostry mróz, nie pora na opady śnieżne. Podczas oblężenia Quebecu padał śnieg przy takim mrozie, że nie odważaliśmy się otworzyć ust, boby nam języki przymarzły do zębów.

Do przekleństwa kanonady dołączyło się przekleństwo śniegu. Zaspy pogłębiły się o stopę, a po tym tak dojęło mrozem, że mróz dni poprzednich wspominaliśmy jak rajską, wiosenną pogodę. Ludzie chorowali, przeważnie na płuca. Gorączka mąciła im w głowie, bełkotali nieprzytomnie o rodzinach swoich, o niegdyś poznanych dziewczętach. Na domiar złego zaczęła się szerzyć ospa. Tu powaliła pięciu, tam trzech, tam sześciu. Po kolei braliśmy ich na kariolki, wywoziliśmy do Sillery i układaliśmy w pustych domkach letnich. Liczyliśmy, że albo skonają, albo wyzdrowieją.

Mijał dzień po dniu, a wciąż ani słychu o Febe. Na cztery dni przed świętami Bożego Narodzenia, w południe, o godzinie, gdy zazwyczaj kanonada słabła i najłatwiej było strzelać do chodzących po murze strażników, za Bramą Świętojańską rozległ się łoskot bębnow — łoskot

tak przeraźliwy, że zewsząd zbiegliśmy się ku miastu, pytając jeden drugiego, co to, czyżby garnizon robił wycieczkę?

Wnosząc z hałasu, musiano w jednym miejscu zgromadzić wszystkie bębny garnizonu. Ponad murami ukazały się głowy, ale twarze były zwrócone do wewnątrz. Pewno oglądano coś bardzo ciekawego.

Werbel umilkł, brama się rozwarła i wyszedł tłum doboszów. Ustawili się po obu stronach, tworząc szpaler, i uderzyli w bębny ze zdwojoną siłą. Nagle w otworze bramy ukazała się postać ludzka, mała, samotna postać, niby łódka przemykająca pomiędzy niebotycznymi bałwanami morskimi. Była to Febe. Szła prosto, wysoko trzymając głowę, niemal dumnie. Nie oglądała się ani w prawo, ani w lewo.

Ludzie, uczepteni murów, obsypywali ją drwinami i pogrózkami. Nieustannie grzmiały bębny, huczały, hurgotały do taktującej krokom.

Wyświęcenie z miasta nie należy do przyjemnych rzeczy. Kiedy więc wybiegłem na spotkanie tej małej, samotnej figurce, serce ścisnęło mi się ze współczucia.

Wieść szybko podróżuje wśród żołnierzy. Zapewne wiedziano u nas, kim jest Febe i czego dokonała, bo gdy podeszła bliżej,

187

z domów Przedmieścia Św. Jana powybiegali ludzie, wiwatując i machając kapeluszami. Nie zdążyliśmy jej dopaść, bo przed naszymi nosami śmignęła kariolka, pryskając śniegiem spod płóz i kopyt — a wjcariolce siedział Burr. Kariolka podjechała do Febe i zabrała ją. Dziewczyna trzymała się prosto i dumnie. Kiedy przejeżdżała obok Przedmieścia Św. Jana, wiwaty zagrzmiały jeszcze donośniej niż przedtem.

Sądziłem, że mnie nie zauważy, bo Burr tak się koło niej kręcił, jak

szczeniak obwąchujący dziuplę bobaka. Ale ona, mijając mnie, wychyliła się i zawołała: — Przyjdź do klasztoru na wieczerzę!

Dziwnego doznawałem uczucia. Chciało mi się iść między domy przedmieścia i głośno wszystkim opowiadać, od jak dawna znam Febe, jaka dzielna była zawsze, jaka wierna i szlachetna.

Główny szpital Quebecu mieścił się wraz z klasztorem w obszernym kamiennym budynku z oknami wychodzącymi na kręte brzegi Rzeki Świętego Karola. Ściślej mówiąc leżał o milę od murów miasta, za Przedmieściem Św. Rocha, gdzie mieszkali Wirgiń-czycy. Wybrałem się tam przed zmrokiem. Starannie wygolony, po raz pierwszy od trzech miesięcy ostrzyżony przez zawodowego balwierza, musiałem być śliski jak makrela.

W tym szpitalu, który zarazem był klasztorem, panował jakiś wilgotny, kwaskowaty odór. Kiedy wlokłem się korytarzem, zaglądając po kolei do wszystkich izb w poszukiwaniu kompanii Good-richa, odnosiłem wrażenie, że tu w powietrzu wisi ospa. Ciemno mi się robiło przed oczami na myśl, że Febe może paść ofiarą tej strasznej choroby, która przyprawia człowieka o nadludzkie swędzenie i zmusza go do zdrapywania strupów, a potem na zawsze znaczy mu twarz dziobami.

W wielkim pokoju, koło kuchni, Febe siedziała z Jacataquą, Noem Cluffem i innymi towarzyszami broni. Znowu miała na sobie szary szynel, przepasany czerwoną szartą, i sukienne szarawary, wpuszczone w cholewki mokasynów. Dla żołnierzy z kompanii nie była zbyt mile usposobiona, ale mnie przywitała przyjaźnie. Kiedy usiadłem, przyniosła mi talerz mięsa duszonego z kartoflami i gałkę twardej francuskiej bułki, z kształtu przypominającej pień drzewny i nadającej się raczej do nabicia

pięciocalowej armaty niż do jedzenia.

Poprowadziła mnie i Jacataquę w zaciszny kąt, a do innych obróciła się plecami. Pomyślałem sobie, że ucztowanie w towarzystwie generałów i przejażdżki z pięknymi adiutantami uderzyły jej do głowy.

188

- Cieszysz się, że wróciłam? — zapytała mnie.
- Strasznie!
- Ach — rzekła ze skruchą. — Gdybym wiedziała, że aż tak cierpisz, postarałabym się wcześniej wyjść na wolność.
- Jeżeli mogłaś wrócić wcześniej, a nie wracałaś, kiedy ja dzień w dzień przemykałem się za tą naszą baterią pukawek do kwatery głównej, aby...
- Łatwiej być mądrym po szkodzie niż przed szkodą — rzekła. — Może bym się wydostała wcześniej, gdybym ich mocniej zdzieliła...
- Kogo?
- Tych, co przyszli do celi.
- Do celi?
- No tak! A coś ty myślał? Że dano mi do dyspozycji królewskie apartamenty na zamku?

Jacataqua zalała się łzami. — Mojego ukochanego Jurka wysłali na okręcie wojennym do Anglii, żeby go pokazać królowi!

- Słuchaj — powiedziałem. — Nie potrafię jeść, póki nie usłyszę wszystkiego od początku do końca. Ty cicho siedź, Jacataqua! Febe, opowiadaj.
- Stefanie — rzekła Febe. — Ten Treeworgy... Ach, dostać go do rąk!

- Opowiadaj od początku!

• Otóż — zaczęła — zaprowadzono mnie do Carletona, cichego, dobrze wychowanego starszego pana. Zapytał mnie, czego chcę.

Wyciągnęłam zza stanika list Montgomery'ego, i wręczyłam mu.

„Co to za list? — zapytał i oczami poszukał podpisu. Odczytawszy nazwisko Montgomery'ego, rzucił list na ziemię, przydeptał stopą i rzekł: — Ze zdrajcami i buntownikami nie prowadzę korespondencji". Zawołał ordynansa i posłał go po kogoś. Czekaliśmy parę minut. Przez ten czas nawet nie spojrzał na mnie. Wreszcie drzwi się otworzyły i wszedł Treeworgy.

„Czy znacie tę kobietę?" — zapytał Carleton.

Treeworgy spojrzał na mnie, tak jak się patrzy na złą gadzinę, i powiedział: „Tak, to jest żona jednego z żołnierzy Arnolda".

Stefanie, gdybym mogła go dosięgnąć, rozbiłabym mu ten ohydny czerep! Niestety, obok mnie stało dwóch strażników i byłam od Treeworgy'ego oddzielona długością stołu. Ach, Stefanie, wydarłabym mu palcami tę zdradziecką krtań!

—Dobrze cię rozumiem. Czekał, i na to przyjdzie pora. Opo-
wiadaj dalej!

189

- Oddalił Treeworgy'ego, przywołał ordynansa, kazał mnie zabrać do Seminarium i tam uwięzić. Wyszłam z gabinetu, nie wypowiedziawszy jednego nawet słowa w obronie własnej. — Potrząsnęła mi pięścią przed nosem. — Byłam tak wściekła na Treeworgy'ego, że zapomniałam języka w gębie. Wyobraź sobie, ja zapomniałam języka w gębie!

- Na Belzebuba! — zawołałem. — Wiesz, budzę się po nocach, cały zlany potem, spragniony tylko jednego: dostać tego łotra w łapy!
- Zabrano mnie do Seminarium — dalej mówiła Febe — wepchnięto do lodowato zimnego kojca o zakratowanym oknie i drzwiach.

Odzyskawszy zdolność myślenia, zrozumiałam, że nie mają prawa mnie więzić. Rozkrzyczałam się, że chcę do Carle-tona, że muszę z nim mówić. Strażnicy śmieli się ze mnie, więc jednego z nich tęgo zdzieliłam tą moją zabaweczką i zażądałam oficera. Do celi weszli dwaj strażnicy, aby mi odebrać broń, ale jeden tak dostał w łeb, że musiano go wynosić. Drugi sam uciekł.

Przyszedł oficer. Powiedziałam mu, że nie uspokoję się, że tylko ten mnie uspokoi, kto mnie zabije. Nie popełniłam żadnej zbrodni i muszę zobaczyć się z Carletonem.

Był ugrzeczniejszy, choć ironiczny. Oddalił się, po godzinie wrócił i zaprowadził mnie do Carletona.

Wszedłszy do gabinetu, już z progu zaczęłam mleć jęzorem.

Powiedziałam Carletonowi, że nie mam na sumieniu żadnej przewiny, że przyniosłam mu list od człowieka równie uczciwego, jak on — list, którego przeczytanie nie uwłacza niczyjemu honorowi. Co go uprawnia, zapytałam, do wydawania wyroku na bliźnich, kiedy nawet ich nie wysłuchał, i czy chciałby, aby w dzień Sądu Ostatecznego sądził go Sędzia odmawiający podsądnym ucha?

Zmierzył mnie ponurym spojrzeniem i począł gniewnie parskać pod wąsem. Byłam pewna, że za chwilę wrzaśnie na mnie, uderzyłam więc w stół moim malutkim obuszkim i oświadczyłam, że Tieeworgy to kłamca i zdrajca, że obecność takiego człowieka jemu, Carletonowi, i jego armii

przynosi hańbę; że jestem tylko prostą sobie dziewczyną z Arundel, trudnię się żeglarstwem, mam własną szalupę i że zostałam prawnie zaślubiona Jamesowi Dunnowi z Arundel, zmarłemu z wycieńczenia w błotach jeziora Megantic; żądam więc od Carletona, aby jako oficer i człowiek honoru, wypuścił mnie na wolność, abym mogła wrócić do ciebie — nie, nie, abym mogła przed Bożym Narodzeniem powrócić na łono rodziny.

190

Carleton tak się rozryczał na mnie, że aż ordynansi powy-tykali głowy przez uchylone drzwi. Gdy milczałam, powiedział, że mnie wypuści, że za nic w świecie nie chce mieć koło siebie takiego gagatka, jak ja, że wypuści mnie z honorami, ba, wyświęci mnie z miasta przy biciu w bębny, aby nikt nie słyszał mojego wszetecznego języka — wypuści mnie, abym tu przyniosła słowa pogardy, jakimi każdy przyzwoity Anglik darzy obłąkańców, zdrajców i buntowników, to znaczy niby nas.

—Fiu! — powiedziałem. — Nie mogłaś mu rąbnąć czegoś do słuchu?

Febe zaśmiała się krótko. — Przychodziły mi do głowy rozmaite odpowiedzi, ale chciałam jak najprędzej wydostać się z miasta. Wiesz, źle się czułam w spódnicy. Przy takim ziąbie, brrr!

Odwróciła się, dłonie wsparła na biodrach i powiodła oczami po kilkunastu żołnierzach z kompanii Goodricha, którzy skończyli już jeść i obstąpili nas półkolem. Zauważyłem wśród nich Noego ClulTa, Nataniela Lorda, Jethra Fisha, czerwonogębego, błyszczącego od tłuszczu rzeźnika z Yorku, Buttsa z Wellsu, który miał grdykę tak ruchliwą, jak u żaby. Ale na

próżno szukałem Asy Hutchinsa.

—Gdzie Asa? — zapytałem.

Febe tupnęła nogą. — Zdezerterował. Proszę: Asa! Wczoraj w nocy przekradł się pod bramę i wszedł do miasta! Asa Hutchins z Arundel! Będzie czym się pochwalić w domu! Razem z nami brnął przez śnieg i lód, głodował i marzył z nami, na wielu drogach zostawił krew swoich stóp, wyłudził psa Dearborna, i teraz, proszę, przeszedł na stronę tych, z którymi mamy walczyć! Teraz czeka go wielka kariera, wysoko zajdzie, aż na wysokość tych strzelnic w murze, i stamtąd prażyć będzie do swoich rodaków!

Żołnierze patrzyli na nią w milczeniu i bez zmrużenia powiek.

- Słuchaj, Febe — odezwał się Noe CluT. — Asa to młodzik. Nie można się po nim spodziewać, że...
- Nie usprawiedliwiał go! Asa jest dezercerem! Zdradził nas! Co gorsza, niejeden tylko Asa! Wszyscy tu przyszliście, aby się bić o wolność waszej ojczyzny, ale podobno wielu z was chce wrócić do domu bez walki. Co, u diabła? Czy ojczyznę macie tylko latem? Czy sprawa wolności przestaje was obchodzić, kiedy na ziemi leży śnieg?
- Tyle wiesz, co zjesz! — mruknął rzeźnik z Yorku.

Febe rzuciła się ku niemu jak rybitwa spadająca na węgorka. — Powtórz to! — krzyknęła. — No! Wiem tyle, że bić się to znaczy bić się! Po coś tu przybył? Aby sprawdzić wytrzymałość swoich nóg?

191

Rzeźnik z Yorku chciał się wycofać, ale Febe pochwyciła go za rękaw i szarpnęła. — Gadaj dalej! Zacząłeś pyskować, to pyskuj dalej! No? po coś

tu przybył? Aby się bić czy aby dawać drapaka?

- Nie pozwolę, żeby kobieta w ten sposób do mnie się odzywała — powiedział rzeźnik, a twarz miał czerwiejszą jeszcze niż zazwyczaj.
- Do kroćset! — zawołała Febe, stając naprzeciw niego z miną rozdrażnionego koguta. — Jeżeli ci się nie podoba moje odezwanie, to dlatego, że nie chcesz walczyć! Nie chcesz walczyć? Tak? Nie chcesz, bo za tydzień wygasa twój kontrakt! Nie chcesz, bo za tydzień wracasz do domu! Biedactwo, jeszcze cię zranią i wrócisz z bandażem na rączce.

Noe Cluff położył rękę na jej ramieniu. — Febe, nie rozumiesz pewnych rzeczy.

- Nie rozumiem! Aha! Cóż to za wielkie prawdy dane są wam, filozofom, a niedostępne dla mojego skromnego umysłu?
- Słuchaj, Febe — rzekł Noe klepiąc ją tak, jak się klepie zbyt ognistego konia. — Wiesz, że pułkownik lubi żyłować ludzi. Jeżeli mamy służyć pod jego rozkazami...
- Milcz! — zawołała biorąc Noego za klapy szynelu. — Wiem, co chcesz powiedzieć, i wiem, po kim to powtarzasz. Tej śpiewki nauczyłeś się od Hancheta! Papugujesz Hancheta! Wszyscy go papugujecie! Hancheta, tego wiecznie nadąsanego, wiecznie obrażonego chłopaczka! Pamiętacie, jak przy Forcie Zachodnim ktoś ukradł pierogi z dynią i jak Hanchet mazał się z tego powodu? Dla niego to była osobista obraza! Czuł się osobiście dotknięty, kiedy Arnold zabrał łodzie i popłynął do Sartiganu po żywność dla nas wszystkich. Nie obchodziło go, że nam potrzebna jest żywność, nie obchodziło go, że umrzemy, jeśli ktoś prędko nas nie nakarmi. Nie! Dla

Hancheta mogliśmy zdechnąć. Dla niego jedno tylko było ważne: że Arnold tak bezceremonialnie odebrał mu łodzie! On to odczuł jako zniewagę! Kiedy mu powierzono komendę oddziałów stacjonujących na Przylądku Levis, to również była osobista zniewaga! Kiedy mu Arnold kazał przywieźć armaty, to była obraza! Czy Hanchet pomyślał o naszej wspólnej sprawie, o sprawie zjednoczonych kolonii? Nie! Myślał tylko o samym sobie, o własnym nędznym ciele, o całości własnej gęby i własnego upartego podbródka! Mnie mówić, że ja tu czegoś nie rozumiem? Bezcelność! Ilu jeszcze Treeworgych i Hanchetów jest w tej armii? Kto z was myśli, że powstrzyma nas od zajęcia Quebecu? — Tupnęła nogą. — Wiem, jak wygląda mazgaj!

192

Tak jak Hanchet! Hanchet jest mazgajem! A Goodrich i Hubbard mażą mu się do wtóru. Teraz i wy na widok mazgajowatych kapitanów samiście się rozmazali.

- Nieprawda! — powiedział Butts z Wellsu, a grdyka zadrgała mu konwulsyjnie. — Ale słowo słowem, kontrakt kontraktem. Zaciągnęliśmy się na czas do pierwszego stycznia. Dowództwo pcha nas do bitwy, a kiedy się rozpocznie bitwa, przepadło, czy pierwszy stycznia, czy dziesiąty.
- Przepadło! — zabasował czerwonogęby rzeźnik.
- Przepadło, tak jak wam przepadły gdzieś rozumy — krzyknęła Febe. — Osobliwa rzecz! Jeżeli tak myśleć, jak wy, to człowiek nie powinien tknąć czwartkowej wieszki, o ile dostał ją dopiero w piątek. Wiecie doskonale, tak jak ja wiem, że gdyby zażądano od was

kontraktu od pierwszego lutego, a nie do pierwszego stycznia, podpisalibyście z ochotą! Podpisalibyście kontrakt na cały rok! A teraz skomlicie mi tu, że nie możecie walczyć, bo pierwszego stycznia musicie być w domu!

Obróciła się na pięcie i spojrzała w twarz Noemu Cluffowi. — Będziesz się bić?

- Nie wiem jeszcze, Febe — powoli wykrztusił Noe.
- A ty? — zapytała Nataniela Lorda.
- Ja — rzekł Nataniel — przybyłem tu, aby walczyć. Jeżeli inni postanowią wstrzymać się od walki, pójdę z kompanią Dearborna.
- A inni?

Część odpowiedziała ponurnym pomrukiem, część milczeniem.

—Jeżeli tak — oznajmiła Febe — to zastanówcie się i kiedy już coś postanowicie, dajcie mi znać. Do tego czasu nie pokażę się z wami, bo mi wstyd! Muszę dbać o dobre imię. Chodź, Stefanie.

Febe, Jacataqua i żółtomordy pies Anatarso udali się ze mną na Przedmieście Św. Rocha. Urządziłem ich u matki Biard, starej, śniadolicej Francuzki, której drewniana chata, odległa o trzy minuty drogi od Taverne de Menut, tak przywierała do zbocza skały, jak jeż morski przywiera do brzegów zatoki. Sprzedawała czary i stąd właśnie ją znałem. Nie wierzę w czary, ale jej amulety były tak tanie, że nie mogłem się oprzeć pokusie. Za jednego szylinga sprzedała mi pakiecik, którego magiczna moc miała mnie zaprowadzić w objęcia ukochanej. Staruszka obiecała zwrócić pieniądze, jeśli czar nie poskutkuje. Do dziś dnia przechowuję ten pakiecik w rogu mojego zielonego marynarskiego kuferka.

Gdyby trunki, wypite przez nas w tawernie Menuta, były w jednej dziesiątej tak zafałszowane, jak wiadomości, których nasłuchaliśmy się tam, obrońcy Quebecu mogliby powiesić swoje muszkiety na kołkach. Bo nasza armia byłaby już doszczętnie wytruta.

Przyjemnie się siedziało w tawernie Menuta w grudniowe wieczory, gdy północno-zachodni wiatr nadciągał ze skowytem od Rzeki Świętego Karola, gdy pył śnieżny szeptał na drzwiach wejściowych i małych graniastych szybkach okien. Na parterze mieściła się duża izba o ścianach tynkowanych i pułapie z belek dębowych, każda belka gruba jak Cap Huff w pasie. Dwa głębokie kominki ziały na prawo i na lewo, a na wprost były drzwi do kuchni. Do tych drzwi z jednej strony przytykała klatka schodowa, z drugiej ładna, rzeźbiona lada, za którą stał Mosju Menut we własnej osobie, ilekroć potrafił ustać na nogach, co nieczęsto się zdarzało. Schody prowadziły do izby górnej, równie obszernej, zaopatrzonej w takie same dwa kominki i zastawionej stołami do gry, przy których, jeżeli wierzyć przechwałkom Mosju Menut, cała szlachta Quebecu i wszyscy żołnierze garnizonu grywali aż do naszego przybycia. Mosju — tak nazwał starego Cap Huff. Twierdził, że to jest amerykańska francuszczyzna, czyli lepsza odmiana języka francuskiego. Natomiast sfrancuszczone francuszczyzna, której przykładem może być wyraz. Menut, brzmiała mu w uszach tak dziecinnie i ślamazarnie, że wstydził się jej używać.

W pierwszych dniach naszej zażyłości z tą tawerną ściany izby oklejone były starymi francuskimi odezwami i upstrzonymi przez muchy

kupletami, które marynarze przywieźli z dalekich portów. Między innymi wisiało tam obwieszczenie McLeana, komendanta Quebecu. W piśmie swoim obiecywał McLean złote góry ochotnikom, którzy zaciągną się do Królewskiego Zamorskiego Pułku Górali, aby walczyć z buntownikami. Taki ochotnik miał dostać dwieście akrów gruntu w dowolnej prowincji Północnej Ameryki, do tego pięćdziesiąt akrów na żonę, jeżeli był żonaty, pięćdziesiąt na każde dziecko i przy kontrakcie jedną gwineę w podarunku.

Zdarliśmy wszystkie odezwy i śpiewki, ale ten afisz zostawiliśmy, gdyż każdy z nas wchodząc lub wychodząc miał obowiązek splunąć na ścianę, możliwie najbliżej afisza. W końcu dokoła obwieszczenia powstała ciemna obwódka, ciemniejsza z każdym dniem.

Bóg jeden wie, skąd nasi ludzie czerpali te bajki, którymi roz-

194

grzmiewały stoły u Menuta, bo opowiadano sobie, że z górą półtora tysiąca Francuzów przyjdzie nam z pomocą, jeżeli przekroczymy bramy miasta, i że każdemu z nas Montgomery wyznaczył osiemset talarów tytułem łupu wojennego, że zbudowano pięćset nowych drabin obłężniczych na miejsce starych, które okazały się za krótkie; że Hanchet ostatnio powiedział Goodrichowi coś bardzo brzydkiego o pułkowniku Arnoldzie; że z miasta przychodzą do żołnierzy chore na ospę nierządnicę, aby nas pozarażać: Tak już jest z żołnierzami: we wszystko uwierzą, w najwierutniej-szą brednię, i poty się nie uspokoją, póki tej bredni nie podadzą dalej. Nam ta gadanina psuła krew, a jeszcze bardziej nas nękały ponawiające się z dnia na dzień dezercje. Jeżeli zbudowano nowe drabiny, to znaczy, że dowództwo myśli o bliskim natarciu. A nawet Cap, przy

całej swojej lekkomyślności, rozumiał, że znajdziemy się w tęgich opałach, jeżeli nieprzyjaciel pozna przez dezertarów nasze zamiary i ruchy.

—Nie podoba mi się — huczał gniewnie — nie podoba mi się to ich mielenie jęzorem! Ognie piekielne! Stefku, jeżeli zostanę kiedyś generałem, będę trzymał w armii tylko głuchoniemych, i to pod warunkiem, że nie umieją czytać ani pisać! Mając dziesięć tysięcy takich zuchów, podejmuję się rozbić w puch najpotężniejszą za morską armię — nawet Szwedów!

Następnego wieczora po powrocie Febe udałem się z Capem do tawerny, aby się ogrzać i aby mu pokazać rysunek sporządzony na moją prośbę przez Halsteda, przyjaciela Arnolda, rysunek, według którego odnajdę siedzibę Guerlaca. Postanowiłem wbić ten plan Capowi w głowę. Jeżeli mnie się coś przytrafi podczas natarcia, on pójdzie do Mary i sprowadzi ją do Arundel.

Popijając normandzki jabłecznik z koniakiem, wykladałem szczegółowo, co i jak: po długich schodach przechodzi się z Dolnego Miasta do Górnego; stanąwszy na rynku przed katedrą, skręcamy na prawo i robimy sto trzydzieści kroków; potem skręcamy w wąską uliczkę na lewo, robimy osiemdziesiąt kroków, skręcamy na prawo i robimy trzydzieści kroków po stromej pochyłości; tam po prawej stronie dom Guerlaca, jednopiętrowy pałacyk o łukowatym dachu, zabezpieczający od pocisków artyleryjskich.

- Jak się nazywa ulica? — zapytał Cap.
 - Mniejsza o nazwę. Zapamiętaj tylko, że masz się oddalić od rogu o trzydzieści kroków.
- A jeżeli wejdziemy z drugiego końca?

- Ty ośle meksykański! — zawołałem. — Jeżeli nie znasz na-

195

zwy, nie możesz wejść z drugiego końca. Gramolisz się, bracie, na rynek i liczysz: na prawo — sto trzydzieści; na lewo — osiemdziesiąt; na prawo — trzydzieści.

— Musisz wystarać się o nazwę ulicy — rzekł Cap.

Bylibyśmy o to na dobre się poprzytkali, gdyby drzwi nie rozwarły się nagle. Wszedł kapitan Smith, dowódca pensylwańskich karabinierów, stanął w progu i jął kopniakami strząsać śnieg z mokasynów. Wiele rzeczy usposabiało mnie nieufnie do Smitha, między innymi pamięć o krwawej łaźni, jaką wyprawił Indianom w więzieniu lancasterskim; jego włosy, zwilżone wodą i szesane na niskie czoło; jego gadatliwość, niewyczerpana gadatliwość, wyładowująca się na pierwszym lepszym przygodnym słuchaczu; wreszcie takt, że wtedy, przy naszym spotkaniu na Siedmiomilowym Potoku, ośmielił się mnie o coś podejrzewać. Słusznie czy niesłusznie, ale nie miałem do niego zaufania. Kiedy więc wszedł, obrzuciłem go baczным spojrzeniem. Wysoko podnosił nogi. Wywnioskowałem stąd, że jest pijany.

Zamiast, zwyczajem oficerów odwiedzających tawernę, wejść od razu na piętro, zbliżył się do jednego ze stołów, przy którym siedzieli jego własni żołnierze, między innymi młody podchorąży nazwiskiem Henry, dobry drwal i myśliwy. Smith klepnął Henry'ego po ramieniu, zaśmiał się głupkowato i powiedział głosem nieco zachrypniętym: — Nareszcie, chłopaki, będziecie mieli coś do roboty! Szykuje się natarcie. Tak, bratki, mieliśmy naradę wojenną! Idziemy do ataku! I to niedługo, wierzcie mi! Musimy się pośpieszyć, inaczej te łotry ze wschodnich prowincji dadzą

drapaką i zostawią nas na łodzi. — Dostał czkawki.

Młody Henry aż splonął słysząc, że jego dowódca tak swobodnie mówi o tym przy żołnierzach. Nieletnie dziecko wie, że o tajnych uchwałach, powziętych na wojennej naradzie, nie rozpowiada się publicznie.

Żołnierze milczeli, oczy utkwivszy w kufle. Milczeli również ci, którzy siedzieli przy innych stołach. Smith rozpiął pas i zakołysał się na nogach, jak gdyby zastanawiając się, co by tu jeszcze powiedzieć. Zachichotał. — Atakujemy. To będzie atak, o jakim świat nie słyszał. Zalejemy Brytyjcom sadła za skórę! Wiecie, jaki jest plan? Najpierw upozorujemy atak przy Bramie Świętojańskiej. Arnold i reszta naszych oddziałów wedrze się do Dolnego Miasta przez Przedmieście Św. Rocha, a Montgomery pójdzie Przylądkiem Diamentowym. Ładny planik, he? Po drodze będziemy chwytać kobiety, dzieci i księży, zmieszamy ich z żołnierzami i marsz po scho-

196

dach do Górnego Miasta! Niech próbują do nas strzelać, pioruny ogniste!

Taka cisza panowała w izbie, że słyszać było wrzenie soku w przekrojach polan płonących na obu kominkach. Krzesło, na którym siedział młody Henry, zazgrzytało na wysypanej piaskiem podłodze. Wstał, świeży, rumiany, kędzierzawy. Był znękanym zachowaniem się kapitana. — Panie kapitanie — rzekł z wyrzutem.

Smith trzepnął go wesoło w pierś, że aż chłopak usiadł. — T-tak! Zanim się spostrzeżecie, będzie natarcie! Wiecie, kiedy ruszamy?

Znowu czkawka. Smith rozejrzał się po kręgu oczu utkwionych w nim nieruchomo. Zainteresowanie, jakie wywołał, przejmowało go dumą.

Cap wysączył jabłecznik z czarnego, połyskującego, glinianego kufła,

dźwignął się na krzesło, jak w strzemionach, i cisnął kuflem w Smitha. Rzut był celny, ale nie dość szybki. Smith zdążył jeszcze powiedzieć: — Jutro w nocy! — a słowa te zabrzmiały równocześnie ze świstem kufla, który w następnej chwili rozbił się hałaśliwie o ten twardy, okrągły czerep. Smith bezwładnie osunął się na ziemię.

W izbie się zakotłowało, języki poszły w ruch, palce wskazywały na Capa, który huczącym basem domagał się nowej porcji jabłecznika. Wydało mi się, że najłatwiej będzie uciec przez kuchnię. Zanim zdołałem podsunąć tę myśl Capowi, na schodach zadźwięczały kroki i do izby weszli major Bigelow, kapitan Thayer i kapitan Topham.

—Hola! — zawołał Bigelow. — Co tu się dzieje? — Przepchnął się przez żołnierzy, którzy coraz gęstszym tłumem otaczali Capa, zapewne nie w najprzyjaźniejszych zamiarach. — Kto go powalił? — zapytał spoglądając na leżącego Smitha.

Dwadzieścia rąk wyciągnęło się ku Capowi.

—Na miłość Boską! — rzekł Bigelow patrząc na nas w zdumieniu. — Co się stało?

—Majorze — powiedział Cap — to było niechcący.

Podniósł się pomruk protestu. — Wstał i rzucił! — rzekł jeden z żołnierzy Montgomery'ego, niedorostek o twarzy jak pysk łasicy.

—Ależ majorze — bronił się Cap — ten obywatel jest w błędzie! Jakże ja bym mógł świadomie przerwać kapitanowi, kiedy z taką ciekawością słuchałem jego słów? Zasłuchałem się i kufel wymknął mi się z rąk!

Bigelow przeniósł oczy z leżącego Smitha na stół, przy którym staliśmy na baczność. — Wymknął się! — powtórzył z niedowierzaniem.

—A co was tak zaciekawiło? — zapytał kapitan Thayer.

197

- Kapitan opowiadał nam o zamierzonym ataku — rzekł Cap. — Powiedział, przez którą bramę dostaniemy się do Quebecu i w jaki sposób przejdziemy z Dolnego Miasta do Górnego. Kiedy miał już nam oznajmić termin ataku, pomyślałem sobie: co to będzie, jeśli ja jeden w całej Kanadzie o tym się nie dowiem? Zdjęty przerażeniem, przyłożyłem rękę do ucha, żeby lepiej słyszeć. Wtedy kufel wymknął mi się z rąk i ugodził kapitana, za przeproszeniem, w potylicę.
- Czy dosłyszeliście? — szybko zapytał Bigelow.
- Tak. Na sekundę przedtem kapitan zdążył powiedzieć, że atak jest wyznaczony na jutrzejszą noc.

Bigelow, Topham i Thayer spojrzeli po sobie z wyrazem zgrozy.

Bigelow podrapał się w szczękę i spojrział ku drzwiom, przez które dwaj karłowaci Nowojorczyacy Montgomery^{go} wykradali się z izby. —

Wydaje mi się — rzekł — że to istotnie było niechcący.

- Widziałem już podobne rzeczy — zgodził się Thayer. — Nie należy pić z tych śliskich, czarnych kufli. Przy najlżejszym ruchu wylatują człowiekowi z ręki.
- Niebezpieczne kufle — dorzucił Topham.
- Ale ja go widziałem! — upierał się ten z twarzą łasicy. — Zamierzył się i cisnął.

Bigelow się rozejrzał. Jego oczy zatrzymały się na Henrym, który podczas całego wypadku siedział obrócony do nas plecami i nic nie mógł widzieć.

- Widzieliście, jak było? — zapytał Bigelow.
- Widziałem, panie kapitanie.
- I jak wam się wydało? Huff to zrobił niechęcy?
 - Niechęcy — poważnie rzekł Henry. — Kufel wyślizgnął mu się z ręki jak ryba.
 - Widzieliście? — triumfalnie oznajmił Thayer. — Do tego prowadzi używanie takich śliskich, czarnych kutii! W gospodach powinny być kufle drewniane z korą na wierzchu!

We wczesnych godzinach rannych pewnien żołnierz Montgomery'ego uciekł do nieprzyjaciela. Był to jeden z tych nowojorskich niedorostków, którzy słyszeli niebaczne słowa Smitha. Dowództwo musiało zmienić plany. Wszelako nie ulegało wątpliwości, że atak jest sprawą najbliższych dni. Cap Huff się niecierpliwił, gdyż z żołdu nie zostało mu już nic, a i zapas monet, przyszytych do koszuli, wyczerpywał się stopniowo. Cap spodziewał się w Quebecu uzupełnić swoje fundusze. Ale istniały również inne, ważniejsze względy,

198

skłaniające do pośpiechu. Względy te ujawniły się nam w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, piękny, jasny dzień, tak mroźny, że każdy z nas patrzył na sąsiada: czy jeszcze oddycha, czy twarz mu nie zakrzepła w bryłę lodu?

Pułkownik Arnold zarządził zbiórkę oddziałów przed kwaterą główną. Apel odbył się na krótko przed zachodem słońca. Cap Huff i ja dla znanych tylko nam powodów dołączyliśmy się do kompanii kapitana Goodricha. Kiedyśmy się ustawili w ordynku, z kwatery pułkownika

wyszedł generał Montgomery, wysoki i ospowaty, wygłosił krótkie, proste, rozsądne przemówienie.

Wytłumaczy! nam, że nie zdołamy wziąć Quebecu długotrwałym oblężeniem, ponieważ nie jesteśmy w stanie oszańcować się w zamarzłym gruncie, a gdyby to nawet było możliwe, jakżebyśmy żyli w okopach na takim mrozie? Poza tym zbyt lekkie mamy armatki, aby zrobić wyłom w murach. O zupełnym okrążeniu miasta również nie ma mowy, ponieważ nasza armia nie potrafi odciąć wszystkich źródeł żywności i opału. Pozostaje jeden plan: wziąć miasto szturmem. Pora i miejsce natarcia zależą od nas. Wiedzą o tym obrońcy i dlatego czuwają po dniach i nocach, znużeni, wyczerpani. Czeka nas zwycięstwo i sława. Ale nie brak również niebezpieczeństw. Dlatego generał postanowił wysłuchać naszego zdania w tej sprawie.

Apel zarządził po to, abyśmy, kompania za kompanią, wypowiedzieli się, czy mamy przypuścić szturm do miasta, czy też uciekać z podwiniętymi ogonami, jak na Martwej Rzece uciekał pułkownik Enos.

Podszedł do kompanii kapitana Morgana i zapytał: — Szturmujemy miasto? — Okrzyk „Tak!”, wzniesiony przez tych dryblasów, którym pachniały mord i rabunek, musiał chyba dolecieć aż do Pointe-aux-Trembles, odległego o osiem mil niemieckich. Gdyby któryś z nich krzyknął „nie”, przypuszczam, że Morgan wyciągnąłby go z szeregów i porąbał toporkiem na krwawe strzępy.

Tak samo entuzjastycznie zachowały się dwie kompanie karabinierów pensylwańskich, a co do żołnierzy Tophama, Thayera i Dearborna, to poszliby oni za swoimi dowódcami choćby w ogień piekielny. Toteż krzyczeli na całe gardło „tak!” — nie gorzej od karabinierów.

General zblżył się do kompanii Goodricha. Zanim zdążył wypowiedzieć pytanie, Cap i ja zaczęliśmy wrzeszczeć: — Tak! Tak! — Ochrypłym, wyrazistym szeptem dodał Cap: — Zabiję tę świnię, co powie „nie”!

Ilu powiedziało „tak”, nie liczyłem, nie wiem. Z pewnością

199

nie wszyscy. Ale też nikt nie powiedział „nie”. W kompaniach Hancheta i Hubbarda niektórzy bez wielkiego zapału mówili: „tak”, inni zalęknionym głosem: „nie”. Okrzyki „tak” i „nie” wzmogły się i doszło do mordobicia. Hanchet i Hubbard rzucili się między swoich żołnierzy i jęli ich okładać kolbami muszkietów, ostatnio bowiem wszyscy oficerowie, z wyjątkiem Arnolda i Montgomery'ego, nosili muszkiety.

Montgomery obrócił się plecami do tej niesfornej zgrai i donośnym głosem oznajmił, że każdemu z nas podaruje na gwiazdkę dwa szylingi, abyśmy się napili za zwycięstwo amerykańskiego oręza.

My z Capem niewiele piliśmy tej nocy. Bo kiedy przyszedliśmy do Febe i Jacataqui, kiedy opowiedzieliśmy o postawie kompanii Goodricha, Febe natychmiast postanowiła wrócić do Noego Cluffa, Nataniela i Jethra na znak, że już się za nich nie wstydzi. My razem z nią poszliśmy tam na wigilijną wieczerzę.

Zapewne dowództwo planowało szturm na dzień następny, ale nazajutrz tak było zimno, że zdrętwiałymi palcami nie mogliśmy ani nabijać, ani narządzać muszkietów.

Po Bożym Narodzeniu zaczął walić śnieg. Tego nam było trzeba, bo tylko pod osłoną tumanów śnieżnych mogliśmy podejść niepostrzeżenie pod mury. Nie byliśmy więc zaskoczeni, gdy do wszystkich baraków i

tawern-przyszedł rozkaz, aby żołnierze zebrali się o północy na ulicach Przedmieścia Sw. Rocha i aby każdy wetknął sobie za czapkę gałązkę jodłową dla odróżnienia od Brytyjczyków, którzy mieli takie same mundury.

Otrzymawszy ten rozkaz, udałem się do Febe. Rozsiedliśmy się w kuchni Matki Biard — Matka Biard, Febe, Jacataqua, kot Matki Biard, białożółty z pręgowatym pyskiem, jakby umazanym o dno patelni, i Anatarso. Anatarso siedział u moich stóp i takimi marzącymi oczyma wpatrywał się w kota, leżącego na moich kolanach, jakby był w nim zakochany.

Matka Biard rozgrzała pogrzebacz do czerwoności i zanurzyła go w kuflu jabłecznika, stojącym przede mną. — Wkrótce ruszamy — rzekłem do Febe. — Na wszelki wypadek chcę z tobą omówić pewne sprawy. — Pociągnąłem spory łyk grzanego jabłecznika, podrapałem kota pod brodą i nagle zrobiło mi się smutno. Chętnie bym oszczędził Febe tej rozmowy.

Przez dłuższą chwilę milczeliśmy. Wreszcie Febe podniosła głowę i spojrzała na mnie, uśmiechając się kątem ust. — Czy coś mówiłeś?

200

— Szukam w głowie odpowiednich słów — odparłem. — Po proszę cię o coś, ale mi nie odmawiaj.

Cicho brzmiał głos Febe. — Na pewno nie odmówię, Stefanie.

- Przecież nie wiesz, o co chcę prosić?
- Zawsze wiem, czego ode mnie zażadasz. Ale w tym wypadku, nawet gdybym nie wiedziała, zgodziłabym się.

Pociągnąłem z kufla. — Wróc do domu i zabierz z sobą Jacataquę. Śnieg jest głęboki i można podróżować na karpiach. Zbierz manatki i

wracaj do Arundel.

- Kiedy mamy wyruszyć? — zapytała pokornie. Byłem zdumiony. Liczyłem na gwałtowny sprzeciw.
- Kiedy? Przy pierwszych powikłaniach. Jeżeli nie wrócimy po ataku, ruszaj w drogę. Schowałem dla ciebie trochę pieniędzy. Na pewno spotkacie jakiegoś Abenaka. Jacataqua potrafi go skłonić, aby za pewną opłatą pomógł wam przejść przez Wysoki Łąd i przewiózł was przez Łańcuch Stawów. Nie spieraj się ze mną o to — dodałem, gdy wciąż milczała. — Matka nie poradzi sobie bez twojej pomocy...
- Ja się nie spieram.
- Jeszcze jedna sprawa. Wypisałem wszystko na arkuszu papieru, który weźmiesz z sobą. Dom należy do matki i przejdzie w dziedzictwie na mojego brata i siostry. Ale pod podłogą kuchni są w baryłce pieniądze, wystarczające na zakup okrętu: niewielkiego, ale dobrego okrętu. Wolą moją jest, abyście zakupili okręt, który w połowie będzie należał do ciebie, a w połowie do matki. W tym oto piśmie zaznaczyłem, że nadzór nad budową okrętu ma być powierzony tobie. A gdyby się zdarzyło, że między tobą a matką powstanie różnica zdań, proszę matkę, aby liczyła się z twoim żeglarskim i handlowym doświadczeniem. Masz również prawo mieszkać w naszym domu, jak długo ci się spodoba. Zarazem uczyniłem zapis dla Jacataqui, ponieważ była mi prawdziwym przyjacielem. Zastrzegłem sobie to na piśmie.
- Nic mi nie trzeba — rzekła Jacataqua.
- Nie wiesz jeszcze. Może się okazać potrzebne.

Febe wzięła rękopis z moich rąk. — Po co ty to wszystko robisz?

- Na wszelki wypadek. Oczywiście, wrócę zdrów i cały. Ale przewidujący człowiek nie zostawia spraw w zawieszeniu.
- Nie o to pytam. Dlaczego mi dajesz połowę udziału w okręcie?
- Dlaczego? Dlaczego? Po prostu dlatego, że jesteś dobrym żeglarzem. Tylko tyle. Wiedząc, że zajmiesz się matką, że poprowadzisz jej sprawy handlowe i gospodarskie, będę się czuł różniej.

201

Skinęła głową. Przez chwilę siedziała w milczeniu, składając dokument i palcami wodząc po jego krawędziach. Wreszcie zakaszła sucho: — Jeżeli znajdziesz Mary, podreż ten papier.

— Ani mi się waż. Tylko ja mogę podreżć to, co napisałem. Nie wolno palić mostów, przez które się nie przeszło!-

Matka Biard krzątała się po kuchni francuskim zwyczajem nastawiając w szczelnie zamkniętym kotle zupę na jutrzejszy obiad. Przypomniała mi się Malary i jej pasztety z kulików. Pamiętam, pośrodku okrągłej brytfanny stawiała kubek bez ucha, naokoło kubka spiętrzała siekane mięso kulików i na to wszystko nakładała warstwę ciasta. Pomyślałem o Łowcy —jak to on z zamkniętymi oczami rzucał się w wodę, aby przynieść ustrzelone przeze mnie kuliki; pomyślałem o Eunice i srebrzystym wrębie wybrzeża; o białej wysypanej piachem świetlicy naszej w Arundel, o trzasku ognia na kominku. Z kolei przypomniał mi się tartak; prawda, przecież miałem urządzić nową przystań na łasze, poniżej tartacznej grobli. Przed oczami mojej wyobraźni przewinęła się łacha, rzeka, głowacze, węgorki, mewy, łódź przewoźnicza, którą był już najwyższy czas naprawić. Słowa same cisnęły się na usta, rozmawialiśmy o domu. Ach, jak chętnie bym odszedł stąd, odszedł od tych

warkoczastych Francuzów, od pocisków artyleryjskich, od tych śnieżnych zasp, lodowatych zatorów, wiatrów mrozących twarz! Z jaką radością powróciłbym do domu, do kraju, do swoich!

Moglibyśmy tak rozmawiać przez całą noc. Naraz u drzwi rozległo się kołatanie. — To Natanis — powiedziałem. Umówiłem się, że pójdę razem z Natanisem, Hobomokiem i Capem, i że Natanis da nam znać, kiedy będzie czas. — To Natanis. Idę. — Podniosłem muszkiet i ruszyłem ku drzwiom. Tak, to był Natanis.

— Śnieg przestał padać — rzekł po abenacku. — Świeci księżyc. Wielki wódz odwołał atak.

Cień skały kładł się atramentową plamą na srebrzystą, ośnieżoną ulicę. Gdybyśmy wytknęli nosy z domów, obrońcy miasta mogliby do nas strzelać jak do indyków na uwięzi. Jacataqua przetłumaczyła słowa Natanisa na angielski. Ale gdy odwróciłem się, aby pożegnać dziewczęta, Febe leżała już w kącie izby, otulona derką, i spała. Wyszedłem na palcach. Krocząc obok Natanisa, pomyślałem sobie, że powinienem mniej mówić, jeżeli moje słowa działają tak usypiająco.

W ciągu kilku następnych nocy musiało w Quebecu panować nie lada podniecenie. Obrońcy wiedzieli, że ruszymy do ataku, skoro

202

pogoda się odmieni. Po całych dniach bombardowali Przedmieście Sw. Rocha, ilekroć więc biegłem ku naszym wysuniętym stanowiskom w La Friponne, a nadmienić muszę, że pomimo wielkich mrozów nie zaniechaliśmy tego zwyczaju, za każdym razem doznawałem dziwnego chłodu w stosie pacierzowym — takiego chłodu zapewne doznaje pies, z

podwiniętym ogonem przemykający się obok człowieka, który go chce kopnąć.

Coraz bliższy był dzień, w którym wygasły kontrakty żołnierzy Hancheta, Hubbarda i Goodricha. Dwudziesty ósmy i dwudziesty dziewiąty grudnia były jasne i morderczo zimne — tak zimne, że aż bolały nas karki. Po nocach księżyc palił się na bladym niebie, niby drugie słońce wyciosane z lodu. Trzydziestego pojawiły się kosmyki obłoków, rozwiane, rozstrzępione, jak gdyby wśród górnych rejonów powietrza wiatr wiał w stu kierunkach. Szrama na moim czole pulsowała boleśnie.

Trzydziestego pierwszego kosmyki wydłużyły się w proporce wiejące na południo-zachód. Dzień szarzał w miarę postępu godzin. Kanonada przybrała na sile. Byliśmy zgnębieni, kiedy więc zapadła ciemność, pobiegliśmy do Menuta i do innych tawern, rozsianych po Przedmieściu Św. Rocha, na jabłecznik, koniak i ciepłą sjestę przy kominku.

U Menuta panowało tego wieczora niezwykle zamieszanie. Grano w „Doktora Wolności”, grę wynalezioną przez Capa Huffa.

Podówczas wielu naszych żołnierzy, zwłaszcza w kompaniach Hancheta, Goodricha i Hubbarda, szukało sposobów na wymiganie się od walki. Udawali chorych, narzekali na ospowe swędzenie, kładli .sobie tytoń pod pachy, a *potem* chodzili bladzi i struci. Niektórzy nacinali sobie palce nożami, umoczonymi w materii ospowatych wrzodów, i tak oto zarażali się.

Chcąc szybko i radykalnie wyleczyć tych symulantów, Cap Huff i Nataniel Lord / kompanii Goodricha wespół z kilkoma Wirgiń-czykami oraz trzema czy czterema żołnierzami Tophama i Thayera, założyli Bractwo Aptekarzy Wolności.

Obowiązki Aptekarzy Wolności polegały na wykrywaniu żołnierzy symulujących chorobę. Wykrytym zakładano pętlę na szyję i ciągnięto ich przed oblicze Doktora Wolności, który urzędował w tawernie Menuta, w rogu świetlicy.

Przyglądać się tej grze to była prawdziwa uciecha, bo konsultacje z reguły kończyły się poczęstunkami dla wszystkich prawomyślnych widzów. Kiedy ostatniego wieczora tego roku przy-

203

szedłem do tawerny Menuta, znękany przejmującym mrozem i z płótnem w kieszeni, gdyż wszystkie prawie oszczędności oddałem Febe, właśnie Cap urzędował jako Doktor Wolności, a po jego prawicy i lewicy stali Aptekarze. Dwaj Wirginczycy przywlekli przed chwilą czerwonogębnego rzeźnika z Yorku.

Jako Doktor Wolności, Cap miał na brzuchu fartuch, wypożyczony od Mosju Menuta, a na głowie czerwoną rybacką czapeczkę.

Pociągnął z kufła tęgi łyk jabłeczniaka z koniakiem i obrócił swój ciężki korpus ku rzeźnikowi.

- Na co uskarża się pacjent? — zapytał.
 - Doktorze — rzekł jeden z Wirgińczyków — uskarża się na ospę połączoną z zapaleniem woreczka żółciowego i pypciem na języku.
- Czy znaleźliście u niego wszystkie te dolegliwości?
 - Doktorze, dostojne Bractwo Aptekarzy nie znalazło u niego ani jednej z wyżej wymienionych chorób.
 - A coście znaleźli? — zapytał Doktor z zawodową obojętnością.
 - Doktorze, badanie nie zostało jeszcze doprowadzone do końca. Na

razie Aptekarze Wolności znaleźli u chorego dwa talary w bitej monecie i ponadto trzy szylingi.

- Czy dostojne Bractwo uważa, że należy pacjenta uleczyć z tej dolegliwości? — zapytał Doktor, biorąc ze stołu kuchenny nóż, długi na dwie stopy, i wodząc palcem po ostrzu.
- Wyleczyć! — ryknęli zgodnie Aptekarze.
- Czcigodny pacjencie! — przemówił Doktor. — Jeżeli wpłacisz na rzecz dostojnego Bractwa Aptekarzy Wolności sumę dwóch talarów i trzech szylingów. Aptekarze uznają cię za uleczonego z choroby twojej i tym samym nadadzą ci prawo walki w obronie ojczyzny twojej i rodaków twoich. Gdybyś jednak powyższej kwoty nie mógł lub nie chciał uiścić...

Doktor przerwał i sięgnął po kufel jabłecznika z koniakiem. Był to sygnał dla Aptekarzy Wolności, którzy ryknęli chórem: — Wolność albo śmierć!

—Wolność albo śmierć! — powtórzył Cap, z brzękiem stawiając kufel na stole. — Zapłacisz i będziesz walczył, czy wolisz chorować i umrzeć?

Tego wieczora Aptekarze przyprowadzili jedenastu symulantów i wszyscy oni, co do jednego, przedłożyli wolność nad śmierć. A kiedyśmy ich napoili jabłecznikiem i koniakiem, ich goto-

204

wość bojowa posunęła się tak daleko, że porywali się nawet na swoich współbiesiadników. Za ściągnięte z nich honoraria lekarskie postawiliśmy wszystkim obecnym na sali jabłecznik z koniakiem i piliśmy hałaśliwie na pohybel staremu rokowi i na szczęście w nowym. Za parę cudem

zaoszczędzonych szylingów Cap kupił trzy wspaniałe baranie pasztety dla Bractwa Aptekarzy, którego, rzecz prosta, zostałem członkiem.

Gdy Mosju Menut przyniósł pasztety. Cap go przycisnął do piersi i wygłosił mowę na temat swoich ukochanych Francuzów. Oświadczył, że spośród wszystkich uwarkoczonych ludów, zamieszkujących Amerykę, Francuzi są najszlachetniejsi i najhojniejsi, a ich warkocze nie mają równych sobie. Francuzi, według niego, byłiby najmilszymi pod słońcem kompanami, gdyby się tylko odzwyczaili od jedzenia czosnku lub gdybyśmy my zaczęli jadać czosnek. Do płaczu go nieraz doprowadza myśl, że przyczyną rozdziału dwóch tak wspaniałych narodów jest nędzna roślinka, jarzyna, korzeń, grzybek, jagoda, czy jak tam określić ten czosnek. A on osobiście gotów jest resztę żywota poświęcić propagandzie nieje-dzenia czosnku wśród Francuzów.

Wówczas Mosju Menut tak się rozczulił, że kazał podać jabłecznik na własny rachunek. Cap wypił za jego zdrowie i rzekł z uśmiechem wtajemniczonego: — *A Normandi nu biuwą diu si-dre.* — Po czym nagle zamilkł i zapatrzył się przed siebie, ocierając twarz wielkimi czerwonymi łapami, jakby chcąc ją uwolnić od nawianej •wiatrem pajęczyny.

Odwróciwszy głowy, ujrzeliśmy przy naszym stole starszego sierżanta z kwatery głównej. Jego szynel od barków aż po poły pokryty był gęstą warstwą śniegu. Sierżant z trzaskiem rozprostował ramiona. Zimne poduszki śniegu wyleciały z laki jego rękawów, rozpryskując się na stole i uderzając o nasze twarze.

- Śnieżyca! — ochryple szepnął Cap.
- Śnieżyca — powtórzył starszy sierżant. — Północno-wschodnia burza. Świat biały jak prześcieradło.

Rozejrzał się po izbie, a my wraz z nim. Żołnierze tłoczyli się do drzwi. Wielu szamotało się z przyciasnymi szynelami.

—Macie się udać do baraków, przygotować wszystko i załapać snu, ile się da — rzekł. — Reszty dowiecie się w barakach.

Odwrócił się i podszedł do następnego stołu.

Ściągnęliśmy pasy i wcisnęliśmy czapki na uszy. Jakiś Wir-gińczyk przystanął przed obwieszczeniem McLeana, obiecującym rekrutom ziemię w dowolnej części amerykańskiego terytorium. —

205

Mojej ziemi nie dostaną! — rzekł. Cisnął pustym kuflem w afisz. Kufel rozbił się na drzazgi. Wyszliśmy na świeży śnieg.

Zatrzymałem się przy domku matki Biard. Możliwe, że już nigdy nie ujrzę Febe. Jeżeli chcę z nią jeszcze porozmawiać, muszę to uczynić teraz. Wirgińczycy poszli dalej, a my wciąż jeszcze staliśmy przed domem.

—Co jej masz do powiedzenia? — zapytał Cap.

Za nic na świecie nie mogłem sobie przypomnieć.

—Daj to katu! — zawołał Cap. — I tak niedługo się dowie! Niech lepiej śpi.

Rada była rozsądna, chociaż, prawdę powiedziawszy, chętnie bym usłyszał, co Febe myśli o zamierzonej budowie nowego okrętu, o Łowcy, o ulepszeniu domu, o budowie mostu przez zatokę i o nowej sukni dla matki. Podszedłem do drzwi: były do połowy zatarasowane zaspą śnieżną.

Cap pociągnął mnie za rękaw. — Chodź! Nic będziemy tu przecież stać na mrozie przez całą noc!

Ruszyliśmy dalej. Śnieg mruczał i syczał w uszach. Ciężko mi było na sercu, a przecież powinienem był się cieszyć, bo nadszedł czas, gdy

wreszcie odnajdę Mary Mallinson.

XV

O czwartej nad ranem zbudził nas gęsty bas Daniela Morgana. Wcisnęliśmy na siebie szynele, ściągnęliśmy pasy i z oczami wciąż jeszcze klejącymi się boleśnie wybiegliśmy na śnieżną burzę. Wepchnięto nam w ręce drabiny obłęznicze i piki — drabina przypadała na każdą dwunastkę ludzi, pika na czterech. Pika, którą mi dano, była tak ciężka, że postanowiłem ją przy pierwszej sposobności oddać Capowi i polegać tylko na kolbie muszkietu.

Na szczęście kompania Morgana była zakwaterowana w bezpośrednim sąsiedztwie murów, dzięki temu mogliśmy spać do ostatniej minuty. Inne kompanie zbudzono wcześniej i przyprowadzono tu aż do szpitala. Nie zazdrościłem im marszu przez taką śnieżycę.

Na ulicy stał długi dwuszereg żołnierzy. W milczeniu posuwaliśmy się szpalerem. Karabinierzy Hendricksa, prawie niewidoczni w zawiei, zamykali kolumnę. Do wiatru obróceni byli plecami, przy sobie mieli drabiny obłęznicze, już pokryte śniegiem. Minęliśmy kompanię Goodricha. Później dowiedziałem się, że Hanchet, Goodrich i Hubbard, gdy połowa ich żołnierzy postanowiła walczyć

206

nawet bez dowódców, zawstydzili się i stanęli karnie w ordynku. Słabsze kompanie przegrodzono silniejszymi. Przed Goodrichem stali ludzie Warda, potem kompania kapitanów Thayera i Tophama, dalej Hubbard i Hanchet, a przed nimi pensylwańscy karabinierzy Smitha. Smitha, wciąż jeszcze liżącego ranę zadaną przez Capa Huffa, zastępował porucznik

Steele.

Steele był ostatni. Przed nim otwierała się biała od śniegu ulica. My, Morgańczycy, ustawiliśmy się na czele, dwuszeregiem, jak wszyscy. Niepokoiła mnie obecność Pawła Hig-ginsa i jego Indian. Wtem od końca ośnieżonej- ulicy nadbiegli Natanis i Hobomok. Wepchnąłem ich za siebie. Natanis szepnął mi, że Paweł wraz ze swym oddziałem kroczy w straży tylnej. Eneasza i Sabatis poprzedniego dnia przedostali »ię do miasta.

—Sądzę — rzekł Natanis — że Eneasza jest naszym wrogiem, ale Satoatis uciekł chyba tylko przez przyjaźń dla Eneasza.

Za nami ozwały się zmieszane głosy. To kapitan Oswald z trzydziestoma czołowymi szperaczami brnął środkiem ulicy. Nie mieli drabin obłęźniczych i szli z pochylonymi głowami, aby ochronić oczy przed śniegiem i wiatrem. Za nimi kroczył pułkownik Arnold, przemawiając do ludzi tym swoim szorstkim głosem, od którego podnosiła się pierś, a krew żywiej tętniła w żyłach.

—No to jazda, chłopcy! Pukało się do gąsek, puknijmy raz do słońca! Jeżeli dobędziecie z siebie wszystkich sił, nikt nas nie powstrzyma! Naprzód! Nie cofać się! Za mną, chłopcy! Generał liczy na was!

Poszedł dalej. Barczysty, roześmiany, kroczył przez zaspy śnieżne z taką lekkością, z jaką przed laty wykonywał akrobatyczne wolty na podwórzu naszym w Arundel. Po prawej jego ręce szedł Daniel Morgan, po lewej młody Mateusz Bigelow. Szli tak przez zawieję za Oswaldem i czołowymi szperaczami. Dołączyliśmy i ruszyliśmy w nogę.

Nie słyszeliśmy nic. Wszelkie głosy pochłaniał żałosny skowyt

północno-zachodniego wiatru i syk płatków śnieżnych, sypiących nam w twarze.

Niejedną chłodną i ciemną noc spędziłem pod gołym niebem, ale czegoś podobnego jeszcze nie widziałem. Śnieg ciał nam powieki, lodowaty wiatr wysysał tchnienie z płuc. Chcąc ochronić usta, musieliśmy zwieszać głowy prawie do pasa. Moje stopy więzły w śniegu. W uszach znowu mi zaszumiał monotony warkot matczyego kołowrotka. Szliśmy powoli. Nad nami piętrzył się mur, czarny masyw, osnuty wirującą bielą płatków śnieżnych. Było oczywiste,

207

że jeszcze trochę, a straż nas dostrzeże. W głowie mi się kręciło, kiedy myślałem o tym. Spodziewałem się, że lada chwila runie między nas szrapnel i ten niepokój gryzł mnie, niby gniazdo myszy we wnętrznościach. Niepokój dokuczał prawie tak jak śnieg.

Może się komuś wydać dziwne, że tyle mówię o śniegu, ale brnęliśmy przez chwytający za gardło, dławiący bezmiar śnieżny, przez świat, w którym nie było nic oprócz wirującego śniegu. Śnieg przymarzał do luf muszkietowych, śnieg zalepiał nam oczy, śnieg nam wpelzał w rękawy, pod kołnierze, pod czapki. Śnieg kąsał nam wargi, kłuł szyje, odrętwiał szczęki i policzki, lodowymi soplami powlekał brwi i rzęsy, a ręce przemieniał w olbrzymie, bolesne gałki ołowiu. Nie pomagało takie lub inne obracanie się, zasłanianie się, płatki śnieżne pluły nam w twarze, syczały w uszach, jakby drwiąc sobie z naszych mizernych wysiłków.

Minęliśmy gruzy La Friponne i zamku, miejsce, w którym zaczynał się mur. Weszliśmy w wąski przesmyk pomiędzy Rzeką Świętego Karola a skałą, dźwigającą mury. Tu już było Dolne Miasto. Nigdy jeszcze żaden z

nas nie zaszedł tak daleko.

Wciśnięci między rzekę i skałę, szliśmy mozolnie przed siebie. Do ścian skalnych przylegały składnice. Przybór wód osadził krę na fasadach składnic. Musieliśmy więc ostrożnie stąpać między lodowymi bryłami. Wlekliśmy się powoli i boleśnie, raz po raz potykając się i poślizgując.

Skręciliśmy na prawo, drogą prowadzącą ku ulicom Dolnego Miasta. Teraz już śnieg siekł z boku, nie prosto w twarz. Cap obrócił ku mnie głowę i rzekł ochryple:

— Karabinierzy powiadają, że przechodzimy pod zajazdem Hotel Dieu. Czy nie robi ci się od tego cieplej? — Nagle przed nami rozległo się ciche, miękkie uderzenie, jakby gałązka trze-pnęła w poduszkę. Potem jeszcze kilka takich uderzeń, jedno po drugim.

Wysoko, w chaosie mroku i płatków śnieżnych zadźwięczał dzwon. Zahuczały inne dzwony. Psy zaczęły ujadać. Na skale piętrzącej się po naszej prawicy krzyczano. Za nami zagrzechotały muszkiety. Ze skały buchnęły noże płomieni, niesamowitym blaskiem rozcinając śnieżne mroki. Całe zbocze załśniło ogniem. U szczytu pojawiły się smugi światła i zagrały armaty. Huk był tak potężny, że aż wpychał mi płatki śnieżne do uszu, zatykał bębenki, ogłuszał.

Usłyszałem radosny okrzyk Capa: — Widzą nas! Widzą nas!

Wypatrywałem celu. Wymierzywszy w rozbłysk światła, nacisnąłem cyngiel, ale muszkiet nie wypalił, a żołnierze parli za mną.

208

więc musiałem iść naprzód. Ani jeden strzał nie padł z naszej kolumny, bo wszystkim proch przemókł od śniegu.

Ustawieni na skale kanonierzy strzelali ogniowymi pociskami nie

znanej mi budowy: pociskami, które przelatwały nad naszym oddziałem i buchały czerwonym płomieniem na wysokość człowieka, nawet wtedy, gdy padały w głębokie zaspy śnieżne. Brnęliśmy pomiędzy murem a gradem ogniowych pocisków, poprzez ogłuszającą wrzawę dzwonów, przez salwy muszkietowe, przez wybuchy bomb i granie dział. Powietrzem szły świsty i szmery, podobne do szmeru, jaki czynią skrzydłami małe ptaszki, zrywające się spod nóg myśliwego, gdy we wrześniu kroczy wśród bagien. Były to szmery i świsty kul.

Ujrzeliśmy Wirgińczyka, powalonego przy drodze, z trudem utrzymującego się na czworakach. Gdy Cap go dźwignął i puścił z rąk, chłop runął plackiem w śnieg. Poszliśmy dalej. Przez zaspy śnieżne i tak nie zdołalibyśmy go przenieść, zresztą co za pożytek z ранnego?

Natknęliśmy się na trzech innych, rozciągniętych na śniegu. Jeden leżał na wznak i coś tam bełkotał do przechodzących. Kiedy się nad nim pochyliłem, kazał się obrócić twarzą do ziemi. Spełniłem jego prośbę i pobiegłem naprzód, wzdychając do Boga, aby mi oszczędził podobnego losu.

Przesmyk się rozszerzał. Okrzyknąłem Capa. Wysunęliśmy się z szeregu i dołączyliśmy do czoła.

Nie na wiele zdał się nasz pośpiech, bo kolumna przystanęła. Przed nami stała grupka ludzi, jakby wahających się, czy iść dalej, czy wracać.

Usłyszałem głos: — Podnieście mnie! Podnieście mnie! — Był to ostry, podniecony głos Arnolda.

—Jezus Maria! — zawołał Cap. — Arnold ranny!

Po chwili go dostrzegłem. Ramieniem oplatał szyję Ogdena. Śnieg czerwienił mu się u stóp.

—W tyralierę, chłopcy! — zawołał. — W tyralierę, bo powystrze
lają was jak kaczki! I na miłość Boską, naprzód, naprzód!

Morgan syknął: — Jechał to sęk! Kto dowodzi?

- Greene! — rzekł Arnold. — Zresztą mniejsza! Grunt, żebyście szli
naprzód! Jesteśmy o pięćdziesiąt kroków od bariery! Do ataku!
- Niech no ja ich dopadnę! — wrzasnął Morgan. — Nie pierwszyzna
dla mnie!
- Naprzód! — rozkazał Arnold.

209

Morgan potrząsnął ku nam pięścią. — Naprzód, draby! Przepędzimy
ich, gdzie pieprz rośnie! — Pobrnął przez śnieg, niby rozwścieczony łoś.
My za nim tak prędko, jak tylko nam pozwalał ciężar muszkietów, pik i
drabin oblężniczych. Ogden szarpnął któregoś z Wirgińczyków. Ten
wyszedł z szeregu i podstawił bary pod ramię Arnolda. Arnold krzyknął
nam jeszcze w ślad: — Nie traćcie otuchy! Naprzód, chłopcy! Naprzód!
Naprzód!

Serce mi się ścisnęło, gdym słyszał jego cichnący głos, głos wciąż
jeszcze wydający komendy, wciąż prowadzący nas do boju. Oto wypełniał
się finał planów i wysiłków tego niestrudzonego dowódcy, i finał ten
został mu wydarty z rąk, on sam musiał wracać, ranny i zboczony krwią,
a myśmy .->zli dalej, nie wiedząc, co pocniemy bez jego wspaniałej
orientacji i szaleńczej odwagi.

Skąła podsuwała się pod sam skraj rzeki. Z krzykiem wdarliśmy się na
zbocze i dopadliśmy wąskiej uliczki, zwanej Sault-au--Matelot —
maleńkiego zaułka, zabarykadowanego palisadą z pni drzewnych.
Palisada była wysoka, ale tyle zważyło się przy niej śniegu, że bez trudu

wspięliśmy się po zaspie i zeskoczyliśmy na drugą stronę. Morgan ryknął i skoczył pierwszy, za nim ci, co nie mieli drabin i pik. Myśmy najpierw przesunęli piki i drabiny, a potem wygramoliliśmy się sami, prosto w zęby rozszalałej śnieżycy.

Za palisadą wznosiła się wyższa nieco bariera z dwiema strzelnicami. Jedna ze strzelnic buchnęła mi prosto w twarz gorącym, białym płomieniem, zdzierającym, rzekłbyś, powieki z oczodołów. Zapewne pocisk przemknął nad naszymi głowami, bo dotarliśmy do bariery zdrowi i cali. Cztery drabiny stanęły przy murze w krótszym czasie, niż zdołałbyś obłupać cebulę.

Cap chrapnął mi hałaśliwie w nos. — Na Święte Bliźniętka! Wcale mnie to nie bawi!

Na każdej drabinie przysiadł żołnierz, jakby czekając na komendę. Morgan sięgnął ręką i jednego z nich ściągnął w śnieg. — Za mną wal, durniu! — ryknął tym swoim kaprańskim głosem i sam wspiął się lekko jak kot. Przywitała go salwa dwunastu muszkietów. Morgan runął na wznak z drabiny. Wirgińczycy podnieśli wściekły wrzask.

— Jezus Maria! — zawołał Cap. — I Morgana ustrzelili! — Podszedł do najbliższej drabiny, ściągnął stojącego na niej Wirgiń-czyka i sam począł się niezdarnie wspinać. Zanim doszedł do górnego stopnia, Morgan wygramolił się z zasy śnieżnej i ruszył ku tej samej drabinie co przedtem, wrzeszcząc jak opętany. Dźwignąłem pikę, przelazłem za Capem, zeskoczyłem w jakąś jamę i spiesznie ruszy-

210

łem dalej, bo zeskakujący żołnierze mogli mi przetrącić kark. Zdaje się, że wstąpiłem na platformę strzelniczą, bo za następnym krokiem poleciałem

na łeb na szyję w śnieg. Obok mnie stał Cap z muszkietem wymierzonym w uciekające postacie, raz po raz daremnie spuszczał kurek i klnąc biblijnym iście językiem.

Morgan skakał w kółko, przytrzymując prawą nogę i krzykiem przynaglając żołnierzy do pośpiechu. Obejrzeliśmy się: jeden po drugim przechodzili przez mur. Nastawiliśmy uszu: jeden po drugim padali na śnieg, staczali się ze strzelniczej platformy, klęli.

Poszukałem piki, ale piki nie było. Z okien drewniaka, do którego schroniły się uciekające postacie, zaczęto nam prażyć w twarz.

—Narządzić broń! — krzyczał Morgan. — Prędko złazić i narządzić broń! Przekłuć zapłony, bo zmokły!

Podsypaliśmy prochu i poczęliśmy trzaskać kurkami w stronę okien. Zapewne od lut naciekło śniegu, bo ani jeden karabin, ani jeden muszkiet nie wypalił.

—Daj to katu! — krzyknął Morgan. — Wykurzyć ich!

Chwiejnym krokiem podszedł do drewniaka. Kiedyśmy, najeżeni pikami i bagnietami, wleźli przez okna, straż rzuciła się w popłochu ku tylnym drzwiom.

Głos Morgana zagłuszał wszystko. — Hej, z drabinami tu! Z drabinami! Przynieść trzy drabiny, jedną zostawić! Dawać tu trzy drabiny! Reszta w pościg za tą hałastrą! Capnąć ich, zanim dopadną następnej bariery!

Wybiegliśmy z drewniaka i rzuciliśmy się w pogoń. Ulica była wąska — tak wąska, że domy, zdawało się, runą na nas z tej bladej, rozśnieżonej ciemności, ale jakoś nie słyszeliśmy dział ani muszkietów. W tym biegu chyba nie dogoniłby mnie i królik, tak mi było pilno dopaść drugiej

barykady, zanim obrońcy ogień na nas otworzą. Sądzę, że innych uskrzydlała ta sama obawa, bo w mgnieniu oka dopędziliśmy i rozbroiliśmy strażników.

Przyparliśmy ich do muru, pięćdziesiątkę chłopca, i odebraliśmy im muszkiety. Wtem od wylotu ulicy rozległy się strzały. Cap Huff wyłowił mnie z tłoku i pociągnął za sobą.

—Chodź — wrzasnął. — Chce mi się postrzelać trochę z su chego muszkietu! Dalibóg, Stefku, oni mają gorszego pietra niż ja. A ja, prawdę powiedziawszy, umieram ze strachu.

Przyłączyli do nas Natanis i Hobomok. Ruszyliśmy przed siebie wąską uliczką, trzymając muszkiety pod szynelami, aby nie przemokły. Z okna na prawo błysnął wystrzał. Morgan wydał gniewny

211

rozkaz. Wirgińczycy zawyli złowrogo, podbiegli, zdobyte muszkiety wrazili w szyby okien i poczęli strzelać do wnętrza. W odpowiedzi rozległy się okrzyki bólu i przerażenia.

Cap Huff podsunął się pod drzwi i wyważył je plecami, wrzeszcząc: — Wychodźcie! — Na ulicę wylał się różnobarwny tłum, kupcy udający żołnierzy, wszystko to pijane i zamroczone. Na ich czele kroczył brzuchaty Kanadyjczyk we wspaniałym mundurze wyzierającym spod szynelu, tak pijany, że czepiał się nas jak płotu. -Na szczęście czy nieszczęście, uczeplił się Capa i nie chciał go puścić.

Był oburzony i głośno oburzeniu swemu dawał wyraz, pomimo kłuszącego śniegu i mrozu. — Nieładnie! — wołał. — Ba-bardzo nieładnie! Ta-tak w wy-wilgię wigilię No-Nowego Roku! Nieła--ładnie!

Dostał czkawki.

—Zabrać im broń! — ryczał Morgan. — Wepchnąć w ką, przy gnać również tamtych! Załadujcie ich do drewniaka, Huff, i stojcie na straży, póki inni nie nadejdą! Naprzód, chłopcy!

Stłoczyliśmy to tałatajstwo we wnętrzu domu, a Morgan i jego ludzie ruszyli dalej. Cap zatrzymał brzuchatego Kanadyjczyka w progu.

- Piękny macie mundur, generale — zauważył.
- Uszyty na o-obstalunek! — rzekł tamten, grubą łapą klepiąc Capa po plecach. — Ale nieładnie! Nieładnie! Ro-robić burdy w wilg-wilię Nowego Roku! No, niech tam! Kto wy jesteście? Amerykanie, czy jak tam wam po ma-maci?
- Ech, wy! — krzyknął Cap potrząsając nim rubasznie. — Zdejmijcie no te szatki!

Wytworny brzuchacz zaczął wymachiwać rękami. — Nie! Nie mundur! Szpa-szpada! Szpa-padę oddam. Jak wo-wojna, to wo-wojna!

Cap warknął. — Szpada i mundur! Prędko, powiadam, inaczej wepchnę ci tę szpileczkę w wątpia! — Przytknął bagnet jeńcowi do brzucha.

—Nie-hieładnie! — protestował tamten.

Cap zerwał mu z głowy trójgraniasty kapelusz i wcisnął na własny łeb. — Tu nie ma zabawy! No, prędko, mówię! Zdjąć mundur i szynel! — Pochwycił za szynel i zdarł go z Kanadyjczyka, jak łuskę z żytniego kłosu. — Teraz mundur! No! Jazda!

Ściągnął z niego mundurowy surdut, po czym przebrał się i własną kurtkę, brudną i przemoczoną, cisnął oburzonemu jeńcowi.

Widząc zbliżających się ludzi Goodricha, Cap, wielce dumny ze wspaniałego nowego munduru, przekazał im pieczę nad więźniami, a

wrzeszczał takim rozkazującym basem, że pomyślałbyś, mówi sam Morgan. Skończywszy, pochwycił mnie za ramię i ruszył przodem.

Jak daleko zaszliśmy, nie wiem. Zapewne było jeszcze jakieś pół mili do Bramy Zamkowej. Skręcające na prawo ulice zdawały się wskazywać, że znajdujemy się gdzieś koło centrum Dolnego Miasta i że podchodzimy ku ostrzu przylądka, na którym stoi Quebec — strażnik dwóch krzyżujących się rzek.

Po drodze spotykaliśmy jeńców, skulonych w sobie, plecami obróconych ku siekącym płachtom śniegu. Nagle wyłoniła się przed nami nowa bariera, u której stóp tłoczyli się nasi karabinierzy, również obciążeni jeńcami. Pomiedzy jedną a drugą barierą wzięliśmy do niewoli co najmniej stu dwudziestu ludzi. Pod barierą panował zamęt. Wirgińczycy, Mainczycy i Rhode-Islandczycy pchali się jeden przez drugiego, jakby nie mieli dowódców. Z ich ruchów poznałem, że tak samo jak ja nie panują nad nerwami. Miałem uczucie, jakbyśmy od wielu już godzin tłukli się tak przez śnieg, a przecież wciąż jeszcze nie było oznak świtu.

Daleko za nami, w głębi zaułka, grały działa i grzechotały muszkiety. Kapitan Thayer przebiegł obok mnie i kopniakiem rozwarł drzwi domu sąsiadującego z zaporą. Pobiegłem za nim pytając o Morgana.

- Żeby go pokręciło! — zawołał. — Sam jeden poszedł na zwia-dy.
- Czy i my możemy ruszyć dalej?

Syknął boleśnie. — Jesteśmy zatkani! Mamy więcej jeńców niż własnych żołnierzy. Jeżeli nam umkną i obsadzą barykady, dostaniemy się w dwa ognie!

- Gdzie są inni, do pioruna? — zahuczał Cap stojąc za mną.

- A gdzie Montgomery? — odparował Thayer. — Montgomery powinien już tu być! Tu mieliśmy się spotkać! Za barierą zaczyna się ulica Górską. Nie możemy nawet podpalić miasta, póki nie wiadomo, gdzie jest Montgomery. Jeszcze wiatr zawieje na niego płomienie.
- Rany Boskie! — mruknął Cap spoglądając na piętrzące się nad nami mroczne budynki. — Utkwić w takim pudełku?
- Pochowamy się po domach! — rzekł Thayer przestępując próg. — Przynajmniej oroch nam nie zmoknie i będziemy mogli strzelać!

213

Podszedł do nas Natanis. — W zaporze jest furta. Na ulicy pusto. Straż uciekła w popłochu.

Udaliśmy się za nim ku drewnianej części zapory. U lewego jej krańca, tuż obok najbliższego domu, było przejście służące do wycieczek, zamknięte drzwiami ze strzelnicą. Obok stał Hobo-mok, nie odrywając oka od strzelnicy. Widząc nas, otworzył drzwi i przeszedł, my za nim. Za barierą ulica skręcała na prawo i rozwidlała się. Jedno ramię biegło w górę, drugie okrężało podstawę skały, podobnie jak Sault-au-Matlot. Ulice, puste i zaryte w śnieg, przeświecały mgliście przez bladą, wietrzną ciemność.

- Idę do Górnego Miasta — powiedział Cap. — Ta kręta ulica to jest Górską. Niedaleko stąd powinny być schody wiodące na rynek. Jakżeś ty mówił? Sto trzydzieści kroków na prawo, potem na lewo osiemdziesiąt, potem znów na prawo i trzydzieści kroków w dół. A dom jest po lewej. Czy tak mówiłeś, Stefku?
- Nie możemy się odłączać! — zaprotestowałem.

Cap szarpnął mnie za pas i zaciągnął pod ścianę dolnej ulicy. Natanis i Hobomok ukryli się również. — Ty ośle jeden! Przecież ogniem i żelazem utorowaliśmy sobie drogę do miasta! Co się stanie, jeżeli Montgomery nie nadejdzie? Jeżeli nasi koledzy zostaną zamknięci między dwiema barykadami? Czy myślisz, że wyjdą z tej pułapki?

- Przeprowadźmy ich przez furkę.
 - Nie ma mowy! Nie ruszą się, póki Morgan nie wróci i nie wyda rozkazów. Zresztą nie mogą się ruszyć. Mają za dużo jeńców. Jeden strzał z muszkietu, a jeńcy naskoczą im na karki i adiu fruziu. Jeżeli zostaniesz za barierą, nikomu od tego nie będzie lżej. Jeżeli nie weźmiemy dzisiaj miasta, nieprędko ci się trafi druga taka sposobność i już nie znajdziesz ani Guerlaca, ani Mary.
- Boże mój! Gdyby tu był Arnold!
 - Cóż pomogą westchnienia! — rzekł Cap i ruszył w górę ulicy. Uszedłszy kilka kroków, obrócił się do nas. — Jesteście moim oddziałem. Jeżeli nas zaczepią, milczcie, a ja będę gadał. — Ruszył naprzód, ociężały, zawadiacki, pyszny. Nowy oficerski mundur leżał na nim jak ulany, kapelusz tkwił na głowie jak grzyb. Szliśmy, nic nie mówiąc. Z prawej strony dobiegały stłumione dalekością odgłosy wystrzałów, dokoła zalegało milczenie, rzekłbyś, wysokie domy spoglądają na nas ze wstrzymanym oddechem.

Gdzieś blisko skrzypnęły drzwi. Z domu wyszła stara kobieta z tobołem na plecach. Na nasz widok zapiszczała i chciała uciekać,

214

ale poślizgnęła się i upadła. Zdaje się, że zrozumiałem jej przestroch, bo kiedy drzwi się otworzyły, serce zatrzepotało mi w piersiach jak

myśliwemu, gdy spod stóp mu frunie kuropatwa. Cap podniósł staruszkę i rzekł z głęboką powagą: — *A Normandi nu biuwą diu si-dre*

Wybuchła potokiem francuskich słów, kilkakrotnie ucałowała rękę Capa i podreptała przez zaspy śnieżne. Dogoniliśmy ją. Cap podniósł staruszkę razem z tobołem i posadził ją sobie na ramieniu. Z bocznej uliczki wysunął się starzec i dwie kobiety, jedna z nich prowadziła dziecko. Na nasz widok przystanęli, ale po chwili ruszyli dalej, z trudem włócząc nogami, dysząc boleśnie. Wziąłem dziecko pod pachę, bo zapadało się w śnieg po szyję, a matka, o ile to była matka, nie miała już siły go ciągnąć.

Przed nami szło pięcioro czy sześcioro kobiet i starców z dziećmi. Cienko i beznadziejnie brzmiał dziecięcy płacz w śnieżnej zawiei.

Powietrze napełniała szarość — szarość świtu. Doszliśmy do niewielkiego placyku. Na przeciwległym krańcu stał katolicki kościółek o stromym dachu. Minąwszy ten kościółek zauważyliśmy, że ludzie skręcają na prawo. Na śniegu znać było wiele śladów prowadzących na prawo. W Dolnym Mieście musiał powstać popłoch i cała ludność schroniła się na górę.

Przy zakręcie była brama, a po jej bokach stały małe domki wartownicze. Kiedy skręciliśmy, oczom naszym ukazała się długa galeria schodów, obrzeżona wałem z basztami dla lekkiej artylerii i piechoty — galeria tak długa i tak stroma, że jej wierzchołek ginął w tumanach śnieżnych. Zdawało się, że stopnie prowadzą w chmury. Po schodach szli ludzie, cały tłum ludzi. Wspinając się, padali raz po raz.

Nie wiem do dziś dnia, czy strażnicy tych schodów, jednego z. dwóch istniejących połączeń Dolnego Miasta z Górnym, oddalili się, aby

odeprzeć atak, czy uciekli w popłochu, wzorem obrońców drugiej bariery, czy wreszcie siedzieli w domkach wartowniczych i nie zaczepiali nas, ponieważ mieliśmy na sobie brytyjskie mundury i pomagaliśmy mieszkańcom Dolnego Miasta w ucieczce. Tak czy owak, strażników, ku wielkiej naszej uciechy, nie było.

Opierając się na muszkietach jak na kijach, dotarliśmy do szerszych stopni i weszliśmy na stromą drogę, prowadzącą do schodów w górę. Niebawem stanęliśmy na obszernym placu, okolonym czterema dużymi gmachami. Jeden z tych gmachów był kościołem i dźwigał dwie niebotyczne dzwonnice. Wiatr wył żałośnie, spiętrzając na placu sterty śniegu. Ci, którym pomogliśmy, obsypali nas kaska-

215

da francuskich podziękowań i oddalili się w śnieżną biel. My skręciliśmy ostro na prawo. Przed nami szedł Cap, masywny, wspaniały w bladej szarości świtania.

—Sto trzydzieści! — zawołał.

Stanęliśmy u wylotu zaułka, szerszego nieco niż zaułki Dolnego Miasta, ale nie na tyle szerokiego, aby myśl o muszkietach, zapewne czatujących gdzieś za żaluzjami, była nam obojętna.

Skręciliśmy w zaułek. Jednopiętrowe domki tłoczyły się gęsto, jeden obok drugiego. Między nimi i za nimi widniały wysokie drzewa, poskrzypujące w porywach wściekłego wiatru. Cap liczył półgłosem. Gdy doliczył się osiemdziesięciu, znaleźliśmy się na rogu wąskiej uliczki, opadającej ostro w dół po prawej stronie. Domy jej były duże, ładne, otoczone drzewami.

—To ta ulica! — rzekłem do Capa. —Trzydzieści! Prędko! Już

się robi dzień!

Przyspieszyliśmy kroku, starając się iść po śladach Capa i zostawić na śniegu jak najmniej odcisków. Z dołu, od strony miasta, doszła nas wrzawa wiwatów. Z okolic drugiej bariery wiatr przywiał echo odosobnionych wystrzałów. Dzwon począł jęczeć, dźwięczeć, dzwonić, wzbierać tonami i zamierać, jakby cierpiąc za tych wszystkich, którzy walczyli i padli w walce.

—Trzydzieści! — powiedział Cap.

Po prawej stronie stał dom z zakrzywionym dachem, okolony drzewami. Domy z takimi dachami służą mieszkańcom Quebecu dla ochrony przed pociskami artyleryjskimi. Serce załopotało mi w piersi. Z Dolnego Miasta dochodziło echo coraz gęstszych strzałów, jakby do wtóru moim przyspieszonym oddechom. — Między drzewa! — szepnąłem. Cap wielkimi krokami podszedł do gęstwy drzewnej, my za nim.

- A jeżeli to nie ten dom? — zapytał ochryple.
 - Ten — odpowiedziałem. — Czuję to. Co teraz radzisz zrobić. Cap?
 - Niech Hobomok wali we frontowe drzwi, a my zajdziemy od tyłu.
 - Nie — odpowiedziałem. — Na razie mężczyźni zajęci są obroną miasta. Kiedy wrócą, wolałbym, aby nie znaleźli śladów przed frontowymi drzwiami. Nie powinniśmy ich płoszyć. Mogą nam bardzo przypaść do smaku.
 - Tak, nie powinniśmy ich płoszyć przed czasem — zgodził się Cap. — To wiesz? Zerwiemy okiennicę i wrzucimy cię przez, okno do środka.

- Dobra jest! Pracujcie szybko i bez hałasu. Kiedy wejdziemy, zamknijcie wszystko i zaryglujcie, żeby nie było znać od zewnątrz. No to jazda!
- Miejmy nadzieję, że znajdzie się coś do picia! — szepnął Cap.
- Miejmy nadzieję, że znajdziemy Mary! — tyle tylko mogłem odpowiedzieć.

Wysunęliśmy się z drzew i gęsiego okrążyliśmy dom.

Przypomniała mi się stara maksyma ojca: „Najprostsza droga najprędzej prowadzi do celu”. Syknąłem na Capa, wbiegłem na kuchenne schody i cicho nacisnąłem klamkę. Ustąpiła pod moją dłoń. Drzwi się otworzyły. Wszedłem.

XVI

Otyła kobieta w gładkim, szarym kitlu pochylała się nad blachą kuchenną, podnosząc do ust łyżkę. Obok niej stała z tacą zgrabna wiejska dziewczucha w szarej sukience. Przy stole siedziała młodziutka posługaczka, lewą ręką zbierając fałdy szarej spódnicy, a uzbrojone w igłę palce prawej zapuszczając w pończochę. Powietrze przenikał aromat kawy, mocny, drażniący, rozkoszny aromat, od którego aż ślinka ciekła na język.

Gdy otyła kucharka spojrzała na mnie przez ramię, coś ohydneho było w błysku jej białek ocznych. Szybko do niej podszedłem, wykręciłem rękę, w której tkwiła łyżka, przewróciłem babę, zatkałem jej usta i kolaniem przydławiłem gardło. Dziewuszcze w szarej sukience taca wysunęła się z rąk i z trzaskiem gruchnęła o ziemię. Ale zanim z bełkotu zdążył się uformować krzyk, Cap miał już dziewczuchę w łapach. Nie

odrywał przy tym olśnionych oczu od posługaczki, której omal nie wyskoczył łokieć od pośpiechu, z jakim wyciągała rękę z pończochą i opuszczała spódnicę.

Natanis dopadł posługaczki, zanim zdołała krzyknąć. Zresztą i tak by chyba nie krzyczała.

— Która piśnie słówko — wyszeptalem szczypiąc kucharkę w tłusty policzek — ani się obejrzy, jak dostanie toporkiem w łeb. — Natanis moją groźbę powtórzył po francusku. Hobomkowi poleciłem poszukać drzwi od piwnicy, która, kanadyjskim zwyczajem, powinna była znajdować się pod podłogą kuchni.

W rogu kuchni zadźwięczał dzwonek. Hobomok pochwycił ku-

217

charkę i zepchnął ją do piwnicy, a ja tymczasem zarygłowałem drzwi, przez które weszliśmy. Dzwonek zadźwięczał ponownie. Cap i Natanis ładowali do piwnicy swoje ofiary. Przyłożyłem ucho do drzwi wewnętrznych. Po chwili doszedł mnie słaby głos, cichy i przyjemny: — Justyno! Justyno!

—Zwiąż kobiety sznurem — rzuciłem Capowi. — Wchodzę do środka.

Cicho otworzyłem drzwi i znalazłem się w długim korytarzu. W ścianę po obu stronach wprawione były drzwi, a na końcu korytarza widniały wielkie, dwuskrzydłowe drzwi, które wziąłem za wejście frontowe. W korytarzu było ciepło i zalegała ciężka atmosfera snu — lub półsnu — nasycona mocną wonią fiołków. Stałem tak, nasłuchując, nie wiedząc, które drzwi otworzyć. Niecierpliwy, władczy głos kobiecy zażądał

Justyny.

Zbliżyłem się do drzwi. Rozwarły się. Stojąca w progu, przerażona moim widokiem kobieta, była to ta sama Mary Mallinson o brązowych łydkach, która niegdyś z podcienia sosen, rosnących po drugiej stronie łąchy, na wprost naszego warownego domu, posłała mi pożegnalne spojrzenie. Miała na sobie cienką, obcisłą koszulę, jak mogłem stwierdzić przy blasku świecy, którą trzymała w prawej ręce. Jej włosy były ciężkie i złociste. Nawet w tak niezwykłej chwili nie zapomniała ręką wygładzić rozwichrzonej fryzury. Przez jej nos od policzka do policzka biegł leciutki nalot złocistych piegów. Była piękna. Ale nie dostrzegłem wielkiego podobieństwa pomiędzy nią a dawną Mary, może dlatego, że rysy jej wykrzywił strach.

Odchrząknąłem i zebrałem się w sobie, aby przemówić. Rzuciła we mnie świecą, cofnęła się i szarpnęła drzwi, piszcząc przy tym tak przeraźliwie, że ten wrzask musiał chyba przewiercać ściany domu i ściany wszystkich innych domów w Quebecu, tak jak przewiercał bębenki moich uszu. Wsunąłem nogę między drzwi, rozwarłem je i pochwyciłem dziewczynę, zanim zdążyła krzyknąć po raz drugi.

—Mary — powiedziałem zatykając jej usta ręką — Mary, nie krzycz! To ja, Stefan Nason. Nie poznajesz mnie, Mary?

Wyrwała się z moich ramion i znowu otworzyła usta, aby krzyknąć. Ale zanim dobyła głosu, mocno ją przycisnąłem do siebie i zdusiłem jej w piersiach oddech. Złodowaciały na moim szynelu śnieg zaczął w ciepłe pokoju tajać. Koszula Mary przemokła i stała się przezroczysta jak po deszczu.

—Usta na kłódkę! — krzyknąłem. — Rozumiesz? Na kłódkę!

Nie na to odbyłem taki kawał drogi, aby dostać teraz kulka w łeb przez jedną rozkrzyczaną kobietę!

Myśli moje powinny były skupić się wyłącznie na Mary, która przecież jedynie i niepodzielnie władała moim sercem od najpierw-szych lat. Ale ja myślałem o Febe. Co by Febe powiedziała, myślałem sobie, gdyby mogła widzieć, jak moczę śniegiem nocną koszulę Mary? Jak zachowałyby się w takiej chwili? Czy roześmiałyby się? Czy drwiłyby ze mnie? Czy, obracając w palcach kamyki naszyjnika, pociągałyby nosem i pokaszliwała sucho? Febe!

- Cap! — zawołałem, nie wypuszczając Mary z uścisku i bezceremonialnie zatykając jej usta ręką, nie gładząc od starego pomarszczonego buta.
- Jestem! — odezwał się natychmiast. Pewno przez cały czas stał przy drzwiach i słuchał.
- Zapal światło. Postaw Natanisa przy frontowych drzwiach, a Hobomoka przy kuchennych. Niech patrzą, czy kto nie idzie. I zapal światło!

Mary wiała się i szamotała w moich ramionach jak miękkie, ciepłe kociak, ale jej paznokcie drapały jak pazury żbika. Miałem tego dosyć. Brutalnie nią potrząsnąłem. Uspokoila się.

Cap wrócił, w jednej ręce trzymając świecę, w drugiej butelkę koniaku. Obchodząc pokój zapalał po kolei świece stojące w świecznikach ściennych. Tych świec starczyłoby na oświetlenie dziesięciu takich pokoi. Łóżko było wielkie jak szalupa. Ponad nim na czterech słupach, jak na czterech masztach, rozpościerał się czerwony, aksamitny baldachim,

zbytkowny i zbyteczny. Okna miały aksamitne zasłony, a podłogę okrywała cała masa skór, głównie skór białych niedźwiedzi. Na środku i przy ścianach stało parę rzeźbionych foteli z poduszkami. Kołdry na łóżku były jedwabne. Woń fiołków, mocna już na korytarzu, w tym pokoju wprost odurzała.

Rozglądałem się, wciąż trzymając Mary w ramionach. Nagle opanowałem się. O czym to ja myślę? Myślę, jakby tu to wszystko spamiętać, muszę przecież opowiedzieć Febe. Febe! Dlaczego właśnie Febe? Rzuciłem Mary na łóżko, tak jak była w mokrej koszuli i przykryłem ją kołderkami.

—Słuchaj — powiedziałem nie odejmując ręki od jej ust. Cap stał w nogach łóżka, sącząc koniak z butelki, krytycznym spojrzeniem ogarniając Mary i obryzgując jedwabne kołderki strugami roztającego śniegu. — Jeżeli krzykniesz, kiedy odejmę rękę, zaknebluję ci usta tak, że język poczujesz, gdzieś koło grdyki! — Puściłem ją i odszedłem, aby zdjąć przemokły szynel.

219

—Dobry pomysł! — rzekł Cap. Poszedł za moim przykładem i oba szynele wyniósł z pokoju do kuchni.

Mary, skulona w łóżku, cała drżąca, wybuchła potokiem niezrozumiałych francuskich zdań. Płakała, szlochała, pociągała nosem, terkotała i terkotała. Jej niebieskie oczy, wyzierające spod jedwabnej kołderki, nie odrywały się od mojej twarzy.

—Mary — rzekłem — nie rozumiem, co chcesz powiedzieć. Jestem Stefan Nason z Arundel. Ten drugi to Cap Huff, ten sam, który za naszego dzieciństwa rzucił Guerlaca w szlam łachy. Nie

zrobimy ci nic złego, jeżeli będziesz z nami szczerą. Mów po angielsku.

Ona dalej szwargotała po francusku, zła i wzburzona.

Mówiła, zdaje się, że nazywa się De Sabrevois i że powinienem niezwłocznie opuścić jej dom.

Cap wrócił ze swoją nieodłączną butelką koniaku. Chodząc po pokoju, zbierał ze stołów i stolików rozmaite srebrne drobiazgi, oglądał je ze wszystkich stron, zaglądał do szuflad.

—Cap — powiedziałem — ona zapomniała po angielsku.

Cap wyciągnął z dna szuflady małą skórzaną kasetkę i podniósł wieczko. — Nie pleć głupstw. Przestała krzyczeć, kiedyś jej powiedział do słuchu, co?

Mary przeniosła spojrzenie z Capa na mnie. Cap cisnął kasetkę do szuflady i obrócił się twarzą do łóżka. — Hej, córo! Co ty sobie myślisz? Że po to kluczyliśmy przed armatnimi kulami, po to włąziliśmy na te przeklęte schody, abyś teraz robiła z nas durniów? Dostyc tego francuskiego międlenia!

W milczeniu spoglądała na niego.

Cap niecierpliwie strzepnął palcami. — Gadaj! — Pomyślał, zaśmiał się i dodał: — Siostro!

—Czego chcecie? — zapytała cichutko.

To pytanie mnie zaskoczyło. Próżno szukałem w głowie właściwej odpowiedzi. Wyręczył mnie Cap.

- Chcę jeść. Pewno i ty, Stefku.
- Tak — odparłem. — Mary jest również głodna. Przeszkadziliśmy jej w śniadaniu. Przejdziemy do kuchni, a ona tymczasem się ubierze.

- Może się ubrać przy nas — rzekł Cap wyciągając następną szufladę i grzebiąc w niej skrzątnie. — Jest trochę za cwana jak na mój gust. Tłumaczyłem, że przecież nie możemy jej tak zawstydząć. —A to wstydliva dziewoja! Jeżeli myśli, że jesteśmy łasi ujrzyć

220

jej wdzięki, niech się ubiera pod kołdrą. Ani mi się śni tkwić w pułapce przez czyjąś dziewiczą wstydlivość.

Wziął z krzesła kłębek pajęczej bielizny, obejrzał ciekawie, obwąchał i rzucił na łóżko, wzdychając przy tym ekstatycznie. — No, ubieraj się, prędko!

- Chamie! Nie tknę bielizny, którą miałeś w łapach!
- Hola! — zawoła Cap. — Co za delikacik z ciebie! Zapomniałaś, jak to się dawniej chodziło w Arundel, boso i w niebieskiej bawełnianej sukience. Ubierz się albo ja cię ubiorę. — Tonem ironicznie pieszczotliwym dodał: — Siostrzyczko!
- Cap! — upomniałem go. — Licz się ze słowami! Nie masz prawa w ten sposób mówić do... do... do Mary!
- Racja. Do Mary w ten sposób się nie mówi! Wziął ze stolika oprawną w srebro szczotkę i przygładził sobie włosy. — Ładna szczotka — rzekł oglądając ją z podziwem. — H. G. de S. To twoje literki, siostrzyczko?

Mary, ukryta pod kołdrą, nie mogła odpowiedzieć.

—Cap — powiedziałem. — Bądź łaskaw zmienić ton. Nie pozwolę na ta-kie gadanie.

Cap wyciągnął mnie na korytarz, ale drzwi zostawił otwarte, aby widzieć ruchy Mary uwijającej się pod kołdrą. — Słuchaj, Stefku — rzekł

ochryplym szeptem. — Przed zmrokiem nie wydostaniemy się z tego domu, a i wtedy na dwoje babka wróżyła. Cały dzień tu przemieszka! Bóg jeden wie, kto tu przyjdzie i co się z nami stanie. Może przyjdzie Guerlac, a nie przypuszczam, aby poległ w walce o Qucbcc. Słuchaj, nie puszczaj cugli tej twojej Mary, bo ona przy pierwszej sposobności wetknie ci nóż w plecy. Nie nasza już ona jest, Stefku. Zrobiła się z niej wielka dama, a my cóż? Wstrętni, brudni prostacy.

- Przestraszyła się, biedaczka.
 - Od tego cera jej się nie popsuje! — mruknął Cap idąc z powrotem do sypialni.

Mary miała na sobie niebieską brokatową suknię, wspaniale uwydatniającą jej figurę. Wywinięty z tyłu kołnierz odsłaniał białą skórę szyi. Ta suknia, ta twarz — to były skończone arcytwory sztuki i przyrody. Była w Mary jakaś wiotkość, jakaś wielkopańska kruchość i wyniosłość. Rzekłbyś, uśmiech kosztuje ją za wiele wysiłku i mógłby — broń Boże — zniekształcić rysy. Pod oczami jej złocił się drobniutki pył piegów, ten pył, dla którego Francuz Charles nazwał ją Lilią Francji. Sploty jej włosów miały taki ciężar i tak były złociste, jak pętle złocistej patoki, którą na święta Bożego

221

Narodzenia moja siostra Cyntia wytapia z melasy, zawiesza na żelaznym haku i rozciąga palcami wysmarowanymi masłem. Co z tymi włosami, z tą delikatną skórą stałoby się w błotach jeziora Mega-ntic? Aż strach pomyśleć.

Przyglądałem się jej w milczeniu. Prawdę powiedziawszy, byłem ponury i niemy jak sowa. Czulem się jak chłopiec, którego nagle wyrwano

z kręgu marzeń. Tylko że chłopięce marzenie utrwaliło się we mnie na wiele, wiele lat. Ileż tysięcy razy fantazjowałem na temat mojego spotkania z Mary, jak piękne jej i sobie do ust wkładałem tyrady! I oto marzenie moje się ucieleśniło. Niestety, kobieta, która stała przede mną, to nie była Mary Mallinson, ale jakaś wyniosła, filigranowa francuska dama. Patrzała na mnie tak, jak mogłaby patrzeć na wielkiego, mokrego, kudłatego niedźwiedzia z mokrych, wielkich, kudłatych lasów, gdyby takim trafem przy-błąkał się do jej wytwornej sypialni.

I ja się w nią wpatrywałem, usiłując dojść do głosu, ale coś mi ścisnęło krtani. Wreszcie, chcąc złagodzić ten bolesny ciężar, który zalegał moją pierś, odkaszlnąłem głośno i bezceremonialnie.

—No tak... — powiedziałem i znowu odkaszlnąłem. — No tak... — Nie rzekłszy nic więcej, przeszedłem do frontowej części korytarza iostałem tam parę minut.

W pokoju, znajdującym się po lewej stronie korytarza, czuwał Natanis i wyglądał na świat przez otwór wycięty w okiennicy. W pokoju tym stał żelazny piecyk, podłoga była pokryta futrzanymi dywanami, a ściany całe w malowidłach. Z sufitu opadał festonami iskier wspaniały kandelabr z mieniących się szkiełek.

- Śnieg zelżał — powiedział Natanis — ale zanoszą się na nową burzę. Na ulicy wciąż nie widać żywej duszy. Dom jest obronny. Okna mają żelazne okiennice, również drzwi są z żelaza. Podeszedłem do drzwi i odsunąłem rygiel. Było tak, jak powiedział Natanis. Pierwsze drzwi otwierały się do wewnątrz, a w odległości trzech stóp widniały drugie drzwi, również z żelaza, otwierające się na zewnątrz. Pokazałem Natanisowi, że zewnętrzne drzwi pozostawiam otwarte, a

wewnętrzne zaryglowuję.

- Jeżeli ktoś przyjdzie, zawołaj mnie. Potem otwórz i schowaj się za skrzydłem drzwi. We dwójkę poradzimy sobie. Uważaj. Zaraz przyniosę ci coś do jedzenia. Powinniśmy cało wyjść z tej przygody.

Wszedłem do kuchni. Hobomok sprawował wartę przy drzwiach kuchennych. Pośrodku na krześle siedziała Mary wpatrzona w ścianę. Przed nią stał Cap, wielce wzburzony.

222

—Do stu par beczek! Stefku, przysięgła mi, że nie ma pojęcia o gotowaniu, i wiesz? Zaczynam wierzyć, że tak jest. Wstyd i hańba dla miasta Arundel, dla całej prowincji Maine! Nie umie gotować! Niechże ją dunder świsnie! Patrzcie, państwo! Kobieta urodzona w Maine i nie umie gotować!

Mary nie raczyła spojrzeć ani na niego, ani na mnie, tylko głosem nieco łamiącym się rzekła: — Urodzona w Maine? Za kogo wy mnie bierzecie? Za plugawą Bostonkę?

Cap aż rozdziawił gębę ze zdumienia. Nachylił się, ręce oparł na kolanach i zmierzył Mary przeciągłym, groźnym spojrzeniem: — Jaką Bostonkę?

- Pilnuj własnego nosa! — upomniałem go. — Mało to w Arundel kobiet, które tak się znają na gotowaniu, jak sztokfisz, na malarstwie? Sam sobie zrób śniadanie!
- Zdaje mi się, że innej rady nie ma — rzekł Cap prostując się. — My, plugawi Bostończycy, nie umiemy żyć powietrzem.
- A co będziemy jeść? — zapytałem.
- Dobre pytanie! — zawołał Cap. — Jedyne przyzwoite żarcie, jakie

znam, to wieprzowina. Wieprzowina i winko, co myślisz, Stefku, o takiej przekąsce? Zdziebko wieprzowiny i beczka wina, he? — Obrócił się do Mary i ugrzecznionym tonem zapytał: — Siostró, gdzie wieprzowina?

- Gdzie moja służba? — odparowała Mary.
- Zapasy są w piwnicy — pouczyłem Capa. — Wiesz o tym doskonale. Przynieś ze dwa mendle jaj i parę butelek Beaune, jeżeli znajdziesz.

Cap zszedł do piwnicy ze świecą w ręku. Przez otwarte w kuchennej podłodze drzwi wydobył się pisk kobiecy. Mary spojrzała na mnie, a w jej oczach było nieme, wzgardliwe pytanie. Czułem się jak egzaminowany uczeń, ale jakoś zebrałem się w garść i odpowiedziałem.

- Domownicy są w loszku, ale nic im się nie stanie — rzekłem gburowato. Po czym, wciąż skręcając się pod jej chłodnym spojrzeniem, niezręcznie, po prostaku, cały w pąsach, usiłowałem wygłosić choćby część przemówienia, które od tak dawna składało się w mojej głowie. Daremnie. Jąkałem się, nie kończyłem zdań, mówiłem urywkami i myślałem urywkami.
- Ścigaliśmy cię, ja i ojciec, ale... Myśleliśmy, że uda nam się... nie udało się... potem przez wiele lat marzyłem, że kiedyś... że wreszcie... marzyłem, że cię odnajdę... Nie-mogłem zapomnieć...

Przerwała mi cichym, zimnym śmiechem. — Wiem tylko jedno —

223

rzekła rzucając mi ukośne spojrzenie, spojrzenie, które znałem i od którego serce ścisnęło mi się w piersi. — Wiem, że ten człowiek nie stałby na czatach, gdyby Bostończycy wzięli miasto. — Jej słowa odnosiły się do Hobomoka, który siedział przy drzwiach z muszkietem między kolanami.

- Mary! — wyjąkałem. — Postanowiłem cię odzyskać, wypełnić dane ci przyrzeczenie.
- Przyrzeczenie? Co wyście mi przyrzekali?
 - Nie pamiętasz? Przyrzekłem ci. Wtedy... kiedy schowaliśmy się wśród diun... jedliśmy homary... wtedy... pocałowałaś mnie i kazałaś mi przyrzec, że będę twoim mężem.

W ręku miała pajęczą chusteczkę. Musnęła nią usta. Jej oczy osuwały się coraz niżej, aż spoczęły na moich stopach. Podniosła powieki, spojrzała na moje dłonie, jakby powątpiewając o ich czystości, chociaż przysięgam, że były czyste, bo chyba cała fura śniegu zdążyła na nich roztajać, odkąd o świcie opuściliśmy baraki.

Przełknąłem ślinę. — Jakoś wydostaniemy się z miasta, Cap i ja, jeżeli pójdiesz z nami. Wrócimy do Arundel. Zawsze marzyłem, żeby cię zabrać do Arundel.

Podniosła na mnie oczy. Były niebieskie jak filiżanki fajansowe, które matce mojej przywiózł z Anglii kapitan Callendar. Tak samo niebieskie i tak samo twarde.

- Do Arundel! Do tego gniazda drewnianych chat, zbudowanych na usypisku z rybich ości!
- Jak to! — zawołałem. — Czy ty naprawdę w ten sposób myślisz o nas?
- Ty! — krzyknęła na cały głos, tyle pogardliwej nienawiści wkładając w to słowo, że omal się nie cofnąłem. — Ty małomiasteczkowy chamie! Ty oberżysto!
- Na miłość boską! Co ty wygadujesz, Mary!
 - Rozejrzyj się! — wrzeszczała. — Czy nie masz oczu we łbie? Czy

nie widzisz, do czyjego wdarłeś się mieszkania? W całym Quebecu nie znajdziesz świetniejszego domu! Czy wiesz, kto tu bywa? Sam gubernator! Pokaż mi Kanadyjczyka, który by zaprosin do tego domu, do tego stołu, nie poczytywał sobie za największy zaszczyt! Wiesz, ilu mężczyzn chętnie by zapłaciło życiem za pocałowanie tego pantofla? — Ku mojemu nieomal przerażeniu wytknęła spod krzesła drobną stopkę, obutą w pantofelek ze złoczonej skóry na wysokim, czerwonym obcasie. — I wiesz, kim są ci ludzie? Jakie ich stanowiska? To najwięksi oficerowie i magnaci! I ty, ty śmiesz mi proponować powrót do tego bajora wypełnionego zgniłą wodą?

224

Ty, prostak w brudnej, cuchnącej odzieży! Ty, cham bez krzty dystynkcji! Nie wpuszczono by cię do tego domu, ale tyś się wślizgnął jak złodziej, ty i twoi ohydni kompani!

—Wielki Boże! — wyszeptałem. — Wielki Boże!

Za mną rozległ się łomot. Cap zatrasnął klapę piwnicy i wyłożył na stół mięso, jaja, butelki. — Do stu par diabłów! — zawołał podchodząc do Mary i patrząc na nią uporczywie. —Słyszałem jej słowa, Stefku! Wiesz, kogo ona mi przypomina? Swojego ojca, który ani razu w życiu nie wypowiedział rozsądnego zdania. Widocznie po nim odziedziczyła głowę.

Rozruszał ogień pogrzebaczem i sięgał już po rondel, gdy Natanis otworzył drzwi i szybko rzekł coś po abenacku.

—Zaopiekuj się nią. Cap! — rzuciłem. — Ani mru-mru!

Wyszedłem za Natanisem. To, co powiedział, znaczyło, że zjawił się Guerlac, bez towarzyszy.

Przystanęliśmy przy frontowych drzwiach. Zgrzytnęła zewnętrzna

klamka i jęknięty zawiasy. Doszło nas dźwięczne, metaliczne pukanie. Serce targnęło mi się w piersi, gdy Natanis ołlsunął rygiel i otworzył drzwi. Ich skrzydła rozwarły się szeroko w mrocznym korytarzu, zupełnie nas zasłaniając. Guerlac różnym krokiem przeszedł koło nas, ściągając z siebie pelerynę.

—Marie! — zawołał. — Marie! — Zamknąłem za nim drzwi. Nie oglądając się, wykrzyknął parę niezrozumiałych dla mnie francuskich słów, po czym, jak gdyby przedrzeźniając naszą Arundelską przeciągłą wymowę, dodał wesoło po angielsku: — Skończona parada! Powystrzelaliśmy, pojaliśmy ich co do nogi, całe tałatajstwo poszło w puch!

Przystanął nasłuchując. — Marie! — zawołał ponownie. Obrócił się, zamierzając cisnąć pelerynę odźwiernej. W odległości dwóch stóp od niego stał Natanis.

Guerlac odskoczył i sięgnął do szpady, ale ja stałem po przeciwnej stronie. Schwyciłem go za jedno ramię, Natanis za drugie. Począł się nam prężyć w rękach, ale widząc, że nic nie wskóra, zaniechał.

- To niespodzianka — rzekł nieprzyjemnym, suchym, świszczącym akcentem, który tak dobrze pamiętałem. — Oczy mam zawiane śniegiem. Komu zawdzięczam to miłe powitanie?
- Starym przyjaciołom — odparłem. — Starym, dobrym przyjaciołom. Zapewne przypominacie sobie mojego ojca, który wam tak pięknie rozłupał ucho. A i okoliczności, w których omal nie rozplataliście mi czaszki, nie wywietrzały wam chyba z pamięci. Jest tu

się dość żałośnie, bo wylądowaliście w szlamie rzeczonym.

Drzwi na drugim brzegu korytarza rozwarły się, ukazując rozjaśnioną świecami kuchnię, i ciekawie wyjrzał Cap Huff. Mocniej ujęliśmy Guerlaca, w obawie, że będzie chciał się nam wyrwać na widok niemej sceny, jaka się przed nim rozgrywała. Mary ze skrępowanymi rękami i nogami siedziała na krześle, a usta miała zakneblowane ręcznikiem. To Cap Huff tak ją urządził przewidując, że będzie usiłowała ostrzec Guerlaca. Hobomok spoglądał na nas z przeciwległego końca korytarza, mocno ściskając między kolanami muszkiet. Nad wszystkimi górował Cap, wytworny i majestatyczny w zrabowanym mundurze kanadyjskiego oficera.

Zaciągnęliśmy Guerlaca do kuchni. Tam Cap sznurem skrępował mu nogi i ręce. Przytroczyliśmy go do krzesła. Następnie wyciągnęliśmy knebel z ust Mary, co zresztą nie na wiele się zdało, bo i tak milczała.

—Aha! — rzekł Guerlac wodząc po nas chłodnym spojrzeniem. — Czterej dezserterzy, którzy kolegów swoich opuścili w niebezpieczeństwie!

Nie była pora na folgowanie złości. Z zadowoleniem spostrzegłem, że i Cap to rozumie. Przyjrzałem się Guerlacowi. Niewiele się zmienił od czasu, gdy widzieliśmy go w Arundel. Włos mu nieco posiwił kołu uszu, policzek i prawe ucho przecinała szrama, pozostawiona przez, strzałę mojego ojca. Z lekka zarysowywał mu się drugi podbródek. Poza tym był to ten sam wysmukły, wyniosły Guerlac, którego wizerunek zachowałem w pamięci.

Cap krajał wieprzowinę do rondla. — Do kroćset! Pilnując tej sekutnicy i czekając na tego wolnego ptaszka, który ją obdarza afektami,

wygłodziłem się jak wszyscy diabli! —Z trzaskiem postawił rondel na ogniu. Wieprzowina zaczęła skwierczeć wesoło, a kuchnię napełnił obłok wonnego dymu.

- A przecież — rzekł Guerlac — apetyt powinien by wam przejść od myśli, że wasi kamraci gniją w więzieniu, a wy powędrujecie na szubienicę jako szpieg. Niedługo czekać, zjawią się tu moi przyjaciele i ułatwią wam tę wędrówkę.
- Wyjmij kubki, Stefku — powiedział Cap. — Zrobimy sobie labę. Nie co dzień zdarza się złapać mordercę w jego własnym domu, a i warto by oblać Nowy Rok! Nie będziemy przecież chlać wina z butelek, pomimo że jesteśmy plugawi Bostończycy.

Wyłowił z rondla mięso i na skwierczący tłuszcz rzucił piętnaście jaj. W skrzynce pod stołem znaleźliśmy chleb. Śniadanie było co się

226

zowie. Zjedliśmy do spółki pół kopy jaj, opchnęliśmy się wieprzowiną i wypiliśmy kawę, którą kucharka zostawiła w garnku na blasze. Kubki do jednej trzeciej napełniliśmy kawą, a do reszty winem, dobrym, mocnym winem, zwanym Marsault. Bóg świadkiem, że trzeba mi było czegoś pobudzającego. Godziny walki na terenie Dolnego Miasta, słowa Mary, wiadomość o wymordowaniu i pojmaniu naszych ludzi — wszystko to odjęło mi sporo sił. Nie wiedziałem, o ile mam wierzyć Guerlacowi, ale rzecz pewna, gdybym go zaczął wypytywać dokładniej, łotr oplatałby mi mózg łągarstwami jak mokrym sznurem kotwicznym.

Podjadłszy sobie i podpiwszy, Cap odchylił się na poręcz krzesła i zimnym okiem łypnął ku Guerlacowi. — Osobliwe, że też nie zawiesiliście sobie na ścianie skalpu Mallinsona!

Guerlac siedział w milczeniu, powiekami przykrywszy oczy.

- Od owego wypadku — powiedziałem mu — kiedy porwaliście Mary i zrobili mi tęgiego guza na łbie, często o was myślałem. W ostatnich czasach zadziwiła mnie wasza przemiana. Wy, kapitan z pułku Bearna, nieprzejednany wróg Anglików, walczyście teraz przeciw Amerykanom? Francuzi są, jak wiadomo, z nami i pragną wziąć odwet na Anglikach.
- Macie akurat tyle oleju w głowie — odparł — ile może mieć Bostończyk. Wiecie tyle, ile zjecie. Wielu Francuzów w Quebecu uznaje słuszność brytyjskich roszczeń. Pułkownik Voyer, kapitan Dambourges, kapitan Moront i kapitan Aleksander Dumas dzisiaj przed południem bronili ulicy Sault-au-Matelot przed waszą rozwrzeczszaną gawiedzią.
- To możliwe — powiedziałem spokojnie, pomimo że starał się mnie rozdrażnić, i spojrzałem mu w oczy: — Ale pułkownikowi Arnoldowi dawaliście do zrozumienia, że z nim sympatyzujecie.

Zaśmiał się półgłosem. — No tak! Miałem dla niego szczerą sympatię. Ale dowiedziawszy się, że planuje natarcie w Quebec, uznałem, że chyba oszalał i przestałem z nim sympatyzować.

- A jego listy — rzekłem — oddawaliście zapewne rządowi?
 - Byłby z was świetny adwokat — odciął. — Od czterech miesięcy nie miałem listu od Arnolda.

Zrozumiałem, że nic z niego nie wydobędę, a i nie miałem pewności, czy istotnie Guerlac wie coś ciekawego.

Milczeliśmy — dziwaczna, nieprzyjazna grupa. Ciszę przerwał nagły ruch Hobomoka. Indianin syknął ostrzegawczo i wstał z krzesła, muszkiet

przywodząc do nogi.

—Nie strzelaj! — szepnąłem.

227

Cap wziął z podłogi pogrzebacz i potrząsnął nim w stronę Guerlaca i Mary. — Niech no które puści parę z gęby — szepnął — a zębki powybijam!

Szarpięto za klamkę zaryglowanych drzwi. Rozległo się ostre pukanie.

- Ilu? — cicho zapytałem Hobomoka.
- Dwóch! Eneasz i Hook!

Pchnąłem rygiel i otworzyłem drzwi. Pukającym był Hook, Eneasz stał za nim. Miałem przygotowany plan działania. Ledwo drzwi się rozwarły, skoczyłem Hookowi do grdyki, ale on mnie uprzedził. Chybiwszy celu, z rozłożonymi rękami padłem na śnieg o krok od najniższego schodka.

Upadek mój był brzemienny w następstwa. Mieliśmy bowiem do czynienia z ludźmi o potężnych mięśniach, o szybkiej orientacji, o dużej sprawności bojowej. Mogli nas zniszczyć w jednym mgnieniu oka.

Zanim zdążyłem się poruszyć, Eneasz skoczył na mnie. Wraził mi kolano w plecy, że aż dech ze mnie wyparło, ręce założył pod dolną szczękę i pociągnął do góry, chcąc mi złamać kark. Tak szybko się to wszystko stało, że byłem jak sparaliżowany i ani rusz nie mogłem go zrzucić z siebie, sprężyłem tylko mięśnie szyi, aby oprzeć się dławiącym rękoma. Czułem w mięśniach rozdzierający ból, słyszałem trzaskanie własnego kręgosłupa.

Oczami, które wyskakiwały z orbit, ujrzałem przed sobą Hobomoka. Wydawało mi się, że ucieka w popłochu. Po chwili uszu moich doszło

chrząknięcie podobne do jęku. Poznałem głos Capa Huffa. Wielkie, szkarłatne ciało wyleciało w powietrze, jakby wyrzucone z gigantycznej procy. Upadło obok mnie i leżało bez ruchu — szkarłatna grań na tle białości śniegu. Tak, to był Cap HuH, zapewne martwy.

Z głębi domu zahuczał muszkiet i Hobomok zachwiał się, trafiony kulą.

A więc w ciągu jednego momentu przyparto nas do samych wrót zagłady. Do ludzi upojonych zwycięstwem nieszczęście przychodzi bez biletu wizytowego.

Ani Natanis, ani Hobomok, ani Cap, ani ja, nie przypuszczaliśmy, że w ten sposób zostaniemy zaskoczeni. Mieliśmy przeciwko sobie dwóch mężczyzn, wciągniętych w zasadzkę, więźnia skrępowanego sznurami i kobietę. A przecież ta czwórka zdołała w krótkim stosunkowo czasie przechylić szalę na swoją stronę i zepchnąć nas

228

na krawędź klęski. Co do mnie, to stałem na krawędzi śmierci i świat mi wirował przed oczami, straszliwe bóle przeszywały mi pierś, błyskawicami ognia przelatowały przez mózg. Było dla mnie jasne: takie cierpienie nie może trwać długo.

Dziwne, przedziwne: że też człowiek nawet w najrozpaczliwszej chwili nie przestaje myśleć. Przez głowę mi przechodziły myśli, pytania, sentencje. Co za ironia losu, myślałem, marzyć o Mary Mallinson przez długie lata, przybyć tu wreszcie po to, aby ją wyzwolić — wyzwolić tę, która nie chce wyzwolenia i ma dla mnie tylko pogardę; i oto zginąć niesławnie w takim niespodziewanym zdarzeniu, paść z karkiem złamanym rękoma indiańskiego szpiega! Nie pojmowałem, jakim cudem to się stało!

To pytanie będzie Capa doprowadzało do wściekłości chyba aż po ostatni dzień jego żywota. Gdy Eneasz skoczył do mnie, a Hobomok szamotał się z Hookiem, Natanis pobiegł mi na pomoc. Cap popełnił wówczas wielki błąd: poszedł ku drzwiom, aby zobaczyć, jak sobie radzimy. Właściwie trudno go za to winić. Kierowała nim obawa o mnie i przyjacielska troska. Ale zostawił w kuchni dwoje zręcznych i obrotnych wrogów, którzy, rzecz prosta, nie przepuścili okazji. Mary ściągnęła ze stołu nóż i przecięła sznury pętające Guerlaca. Hobomok zostawił muszkiet w kuchni. Twardość kolby wypróbował Guerlac na czerepie Capa Huffa, następnie wypalił do Hobomoka, aby ratować Hooka.

Uderzenie kolbą musiało być potężne, bo Cap miał swoją wagę, a przecież odleciał na tyle, na ile ja skoczyłem z progu, i padł obok mnie bez ruchu. Bez ruchu, ale nie bez ducha — winien jest za to wdzięczność praszczurom swoim, którzy przekazali mu w dziedzictwie czerep tak gruby, że równego nie znaleźć na całym północnoamerykańskim kontynencie. Ale walka się skończyła, bo Cap usiadł. Ja również usiadłem. Obaj nie wiedzieliśmy, na którym jesteśmy świecie.

Ocalił nas Natanis. Jego toporek zadał śmiertelny cios Eneaszowi. Moja głowa, niemal wyszarpięta z zawiasów, wróciła do normalnej pozycji, a zbolące mięśnie szyi rozprężyły się. Oczami, które wciąż jeszcze patrzyły jak przez mgłę, ujrzałem, że Hobomok się zatrzymuje. Zdawało mi się tylko, że ucieka — *to* Hook uciekał, a Hobomok go ścigał. Na białym szynelu Hobomoka rozszerzała się czerwona plama: widocznie miał kulę w łopacie. Ale oto wzniosł tomahawk i rzucił krzyżowym rzutem, jak zwykli rzucać Abena-kowie. Toporek ugodził Hooka w sam środek kręgosłupa. Trafiony zatoczył się i upadł z ciałem jakby wykręconym ze

spoiwał. Upadł

229

i leżał bezwładnie, drąc tylko śnieg prawą ręką, jakby szukając oparcia, usiłował się dźwignąć i walczyć dalej.

Dopiero później dowiedziałem się, jak szybko, jak przemyślnie działał Natanis. Cios, zadany Capowi Huffowi, był równoczesny z ciosem, który spadł na głowę Eneasza. Gdyby Natanis w tej samej chwili nie odskoczył z powrotem ku drzwiom, drzwi by się zawarły, Guerlac i Mary wybiegliby przed front domu i skrzyknęliby całe miasto.

Ale Natanis miał w nogach diabła i zdążył dopaść drzwi, zanim spuszczone klamkę. Hobomok wrócił i we dwójkę zdołali wepchnąć się do środka. Zanim jęczącego Capa postawiłem na nogi, Guerlac siedział już na krześle, mocno spętany sznurami, a obok niego Mary, biała i oszołomiona.

Natanis i Hobomok podbiegli do Hooka, wzięli go pod ramiona, zaciągnęli do kuchni i ułożyli na podłodze. Weszliśmy, Cap i ja', ledwo trzymając się na nogach. Zamknęliśmy drzwi, zasunęliśmy rygiel. Cap znalazł jakąś ścierkę, zamoczył ją i przyłożył do tyłu głowy. Stał przed Guerlakiem w posturze pełnej uszanowania.

—Nie róbcie takich rzeczy — powiedział. — Mogliście mnie zranić! Ba, gdyby to był zwyczajny sobie dzień, wystrzał z mu szkietu sprowadziłby tu całe tłumy ciekawych. Na szczęście, tyle prochu się spaliło w ciągu ostatniej nocy i dzisiejszego rana, że jeden wystrzał to mięta. Nikt pewno nie zwrócił uwagi, ale na przyszłość bądźcie łaskawi nie sprawiać nam takich niespodzianek! Dobrze wiecie, że sąsiedzi są u nas niemile widziani.

Natanis ściągnął z Hobomoka biały szynel i opatrzył ranę. Hobomok siedział z miną obojętną, jakby nigdy nic. Zdumiewające, bo kula mu poszarpała mięśnie pleców, a Natanisa metody bandażowania były doprawdy heroiczne. Ani jeden jęk nie wyrwał się z ust Indianina. Hobomok milczał tak samo, jak konający na podłodze Ilook.

Nienawidziłem Hooka jak nikogo na świecie, nienawidziłem go chyba mocniej niż Guerlaca — a przecież nienawiść moja roztapiała się, gdy patrzałem na jego oczy, wędrujące ode mnie do Capa, od Capa do Hobomoka i Natanisa z tą samą dziką zaciętością, z jaką opuszczał niegdyś progi naszej oberży, unosząc z sobą wywichniętą szczękę, a zostawiając na pięttrze ojca mojego w agonii.

Było to spojrzenie rannego orła-rybitwy. Zrozumiałem, że o wiele przyjemniej jest ścigać nieprzyjaciela, niż schwytać go i zniszczyć.

—No tak — ponuro zagadnąłem Capa — sprawdza się. To właś-

230

nie podejrzewaliśmy: istnieje związek pomiędzy Hookiem i Guerlakiem, pomiędzy Eneaszem, Hookiem i Guerlakiem.

Zostawiliśmy Hobomoka w kuchni, powierzając mu nadzór nad tą trójką. Cap, Natanis i ja zabraliśmy się do przeszukiwania domu. Wyważaliśmy zamknięte drzwi i przetrząsaliśmy szuflady, opukiwaliśmy podłogę, zaglądaliśmy pod piece, spodziewając się trafić na jakiś obłuz/iiony kafel. Wreszcie Cap wyczuł chwiejność kolumnienki podtrzymującej kominek we frontowym pokoju. Kiedyśmy tę kolumnienkę wyrwali z nasady, okazało się, że pod spodem jest skrytka, a w skrytce blaszane pudełko.

— Masz — rzekł Cap podając mi zdobycz — zdaje się, że to będzie właśnie to. — Dalej walił pięściami w ściany, zaglądał w węgły, pod meble, za obrazy.

W pudełku znalazłem mapy, papiery hipoteczne i zwój złotych monet. Na samym dnie leżała paczka listów. Pierwszy z nich nosił adres: „Wielmożny John Woodward, Le Chat Qui Peche, Quebec”. Wszystko stało się dla mnie jasne: Guerlac otrzymywał listy adresowane do Woodwarda. Woodward to był Guerlac.

Zdjąłem z listów banderolę i przejrzałem je pośpiesznie. Wśród nich był jeden, pismem pułkownika Arnolda zaadresowany do kapitana Williama Gregory. Mogłem dalej nie patrzeć, bo Arnold mi mówił, że w sprawach, dotyczących Kennebecu, wywiadywał się u kapitana Williama Gregory i że pod pieczęcią listu Gregory'ego znalazł dopisek zalecający zwrócić się do Johna Woodwarda.

Zdawałoby się, że powinienem cieszyć się z tego odkrycia i ze zwycięstwa nad Guerlakiem. A przecież nie radość mnie przepelniała, lecz raczej poczucie jakiejś straty, jakiejś klęski. Wziąłem z pudełka zwitek monet, zważyłem je w rękę i powiedziałem sobie, że będzie za co umeblować kajutę Febe na „Łowcy”.

Machinalnie wsunąłem złoto do kieszeni. Gdy odrywałem palce od zwitka, nagle rozjaśniło mi się w głowie. Zrozumiałem całą swoją ślepotę i głupotę, zrozumiałem, że Febe tak jakoś wzrosła przy mnie, tak wrosła we mnie, że już nie widzę bez niej świata, że świat jest dla mnie niczym, jeżeli jej nie ma.

I uświadomiłem sobie, że dokądkolwiek wędrowałem, cokolwiek czyniłem, Febe zawsze była pierwsza w moich myślach. A ja — idiota —

zaplątałem się w matnię, z której nie wiem, czy wyjdę, nie wiem, czy ujrzę jeszcze tę dziewczynę. Aż pot mnie oblał na tę myśl. Jak to! Więc oddałem ją Jamesowi Dunnowi i sam nie rozumiałem, dlaczego to ich małżeństwo doprowadza mnie do takiej wściekłości! Jeden po

231

drugim przypominały mi się rozmaite fakty, świadczące dosadnie o mojej głupocie. Mógłbym sam siebie zbić z gniewu.

Ogarnęła mnie taka tęsknota za Febe, za rodzinną okolicą, za widokiem, zapachem morza i solankowych bagien, że czym prędzej poszukałem Capa, aby mu się zwierzyć z moich trosk.

Znalazłem go w owej upachnionej sypialni. Kiedy wszedłem, właśnie był zajęty błyszczącymi sprzączkami trzewików, wspaniałymi sprzączkami, w których tkwiły najczystszej wody brylanty.

- Czy to były właśnie te papiery? — zapytał wpychając sprzączki do kieszeni.
- Cap — powiedziałem. — W całej Nowej Anglii nie ma większego głupca nade mnie!
- Czy ktoś nas wytropił? — Cap spojrzał niespokojnie ku drzwiom.
- Cap! Odesłałem Febe do domu! I patrzaj, gdzie my jesteśmy!
- Tak, przypuszczam, że ma do domu o wiele bliżej niż my! Jeżeli cię dobrze rozumiem, chciałbyś ją zobaczyć.
- Tak, i to bardzo.

Podrapał się w głowę. — Ja mam te same pragnienia, zwłaszcza jeżeli Febe jest gdzieś blisko domu. Ten budynek to całkiem sobie elegancki budynek, przytulny, bogaty, ale psiakrew! Ma jedną złą stronę: musimy

w nim wytrwać aż do zmroku, a i potem nie wiadomo, czy nie przyjdzie nam gryźć ziemi. Musimy działać diablo ostrożnie, a i ostrożność nie wiem, czy na wiele się zda!

Miał rację. — Jak sobie wyobrażasz nasz odwrót? — zapytałem.

Znowu się podrapał w głowę. — Stefku, dosyć się natrudziłem, kiedyśmy tu szli. Już nie mam siły myśleć. Jaki ty masz plan?

- Nie mam żadnego planu.
- Tak czy owak, nie ma mowy o powrocie przez Dolne Miasto. Jeżeli postawimy nogę na tych okropnych schodach, po pięciu sekundach będziemy gęściej podziurkowani niż koronkowy kołnierzyk twojej maiki!
- Nie, przez Dolne Miasto nie możemy iść. Mam już barykad po dziurki w nosie. Najpierw postanówmy, co zrobić z Guerlakiem, a potem, jak się stąd wymknąć.
- Łatwiej przez ucho igielne — mruknął Cap.

Kiedy wróciłem do kuchni i cisnąłem blaszane pudełko na stół, w twarzy Guerlaca nie zaszła żadna dostrzegalna zmiana. Może patrzył na mnie nieco uporczywiej, ale ani nie zbladł, ani nie stracił nic ze swojej wyzywającej wyniosłości.

232

Wyłożyłem zawartość pudełka na stół i przejrzałem listy. — Oto dowód — rzekłem. — Hook, który w naszej armii występował pod nazwiskiem Treeworgy, wysłany został do Quebecu przez bostońskich torysów dla współdziałania z Carletonem. Jako człowiek bystry i obrotny, znający Abenakow i puszcę, doskonale nadawał się do roli szpiega. Zwiódł

pułkownika Arnolda, zdobył jego zaufanie, a powierzone sobie listy oddawał Guerlacowi. Oto są listy Carletona do Guerlaca, w których mowa o Hooku, i listy McLeana do Guerlaca z podziękowaniami za oddane usługi i zapewnieniami, że rząd J.K.M. nie zapomni o nim. Widzisz więc, że Guerlac był również szpiegiem.

- Ile mu płacono? — zapytał Cap.
 - Hm — rzekłem, uważnie przyglądając się Guerlacowi — myślę, że nic mu nie płacono. Podróże po naszej prowincji przekonały go, że już nie zazna szczęścia wśród amerykańskich świętoszków i obłudników, ludzi tak nietolerancyjnych, że rzucają go w błoto, zamiast podziwiać celność jego kpín, ludzi, którzy rozcinają mu ucho i twarz, kiedy zbyt ostro sobie poczyna z kobietami. Sądzę, że sprzymierzyłby się z każdym, aby ratować swoje domy i majątki przed takimi jak my, obłudnymi prostytutkami.

Guerlac uśmiechnął się wzgardliwie, ale nic nie rzekł.

- A oto — ciągnąłem dalej — list Arnolda do Johna Woodwarda, którego polecił kapitan Gregory. Oto list Arnolda do Gregory'ego. Hook oddał list Guerlacowi zamiast Gregory'emu, a Guerlac sfalszował odpowiedź. Z tych listów jasno wynika, że John Woodward to był właśnie Guerlac. W zamian za pieniądze, bezpieczeństwo lub zaszczyty, on i Hook podjęli się udaremnić wyprawę pułkownika Arnolda.
- Gdyby mocniej się starali — rzekł Cap opróżniając butelkę Mersault — mogli nam uniemożliwić przebycie Rzeki Świętego Wawrzyńca.
- I tak zrobili swoje! Przecież to John Woodward zaleci! użyć

plaskodennych łodzi. John Woodward nadesłał Arnoldowi fałszywe papiery, na podstawie których uznano Natanisa za szpiega. Na wypadek, gdyby nie wszystkie łodzie się strzaskały, szpiegowska banda miała dopilnować, aby Natanisa zabito albo odsunięto od armii, pozbawiając ją tym samym jedyne go przewodnika, znającego wszystkie szlaki i ścieżki pomiędzy Martwą Rzeką a Quebe-kiem. Chcieli zagłodzić żołnierzy w samym sercu puszczy kanadyjskiej. Tak, nikt inny. tylko John Woodward pouczył Hookajak się trwożę i niezadowolenie wśród żołnierzy, jak skłaniać ich do odwro-

233

tu. O tym mowa w liście Hooka do Guerlaca. Eneasza na rozkaz Hooka zdradził Arnolda i jego tajne listy doręczył Guerlacowi. W ten sposób zastępca gubernatora w Quebecu był uprzedzony o naszym nadejściu. Hook spiesznie popłynął do Sorel, do McLeana, i wypaplał mu wszystko. Dzięki temu McLean zdążył z garstką obrońców dotrzeć do Quebecu tego samego dnia, w którym my osiągnęliśmy Przylądek Levis.

—Czy potrafisz to udowodnić? — zapytał Cap.

Te papiery są dowodami.

Zaległo milczenie. Natanis zapytał mnie po abenacku, czy to Guerlac był sprawcą krzywdy, jaka go spotkała. Kiedy potwierdziłem, zapytał, w jaki sposób zamierzam go zabić. Wówczas Guerlac uśmiechnął się chłodnym, spokojnym uśmiechem. A więc nie zapomniał po abenacku!

—Ostrzegam was — rzekł. — Nie ważcie się mnie tknąć. Ta chorągiewka na dachu, ten wasz generał Montgomery, poległ wczoraj przy zaporze pod Przylądkiem Diamentowym, a jego łachmaniarskie wojsko uciekło jak zgraja zbitych psów, nie usiłując nawet zabrać

ciała dowódcy. Ludzie Arnolda zostali albo więci do niewoli, albo padli na Sault-au-Matlot. Jesteście tu sami i nie przejdziecie żywym. Jeżeli włos mi spadnie z głowy, szubienica pewna!

Patrzyliśmy na niego z zamierającymi sercami. To, co mówił, było niewątpliwie prawdą.

—Wiem jedno — rzekłem wreszcie. — Wiem, że nie wydostanie się z miasta, jeżeli was zostawimy na wolnej stopie. Przeto najzwyczajniejsza ostrożność nakazuje was zabić.

Mary, zdaje się, aż do tej chwili nie rozumiała, o czym mówimy. Siedziała, zapatrzona przed siebie, z głową z lekka przechyloną, jakby rozważając w duchu doskonałość swoich kształtów i nie wątpiąc ani na chwilę, że wszyscy obecni z podziwem patrzą na jej blade piękno. Bóg świadkiem, że mieliśmy na głowie inne, ważniejsze sprawy.

Słyszając ostatnie moje słowa, obróciła się szybko do mnie. Omdlałość pierzchła z jej oczu. — O czym wy mówicie? Kogo chcecie zabić?

- Nie udawaj, że nie zrozumiałaś.
- Oskarżacie Henryka o jakieś ciemne machinacje. To czczy wymysł!
- Nie wymysł, lecz prawda! Za jego i Hooka sprawą gniją teraz w lasach i błotach trupy naszych braci!

Zaśmiała się niegłośnie. — No to niech gniją!

234

- Z Hookiem skończyliśmy — powiedziałem. — Ma strzaskany kręgosłup. Żywy już nie wyjdzie z tej kuchni. Ale nie skończyliśmy jeszcze z Guerlakiem.
- Nie ośmielicie się go tknąć. — Znowu się zaśmiała. — Nie tkniecie go.

- Ty, gadaj lepiej, dlaczego się z tobą nie ożenił.
- Brr! — parsknęła. — Co za ohydne prostactwo! Ma żonę we Francji, a mnie nie zależy na małżeństwie.

Odwróciłem się, bo nie mogłem już patrzeć na nią. Więc to była Mary Mallinson!

XVII

Wśród papierów Guerlaca znalazłem mapę miasta. Rozłożyłem ją na kuchennym stole i pochyliłem się nad nią.

Jedyne znane nam mapy Quebecu były to niezdarne szkice, wykonane rękami dezertarów. Ta mapa nie pozostawiała nic do życzenia: ulice były wyprowadzone jasno i dokładnie, domy zakreślone atramentem, strzelnice w murach oznaczone, tak sarno domki wartownicze i schody przy zaporach. Bez trudu odnalazłem schody, łączące Dolne Miasto z Górnym, i naszą drogę do pałacyku Guerlaca. Określiłem położenie Zamku i La Friponne, tych dostojnych ruin, wśród których nieraz leżeliśmy na brzuchach, pukając do spacerującej po blankach straży.

Dotknąwszy palcami tego miejsca na mapie, zawołałem Capa. Miałem pomysł. Mogliśmy łatwo i bezpiecznie wykraść się z miasta i przyprowadzić Arnoldowi Guerlaca w upominku — o ile Arnold jeszcze żył!

Wcześniej zapadł mrok — gęsty mrok, przesiany śniegiem. Wiatr zawiewał z północo-wschodu, porywami, niepewnie, jak gdyby wahając się, czy oszczędzić świata, czy też zesłać mu nową burzę śnieżną. Zjedliśmy dobry podwieczorek i pochyliliśmy się nad mapą,

przepowiadając sobie ustalone role. Mary i Guerlaca ulokowaliśmy w sypialni, związawszy ich tak, żeby nie mogli się uwolnić z pęt.

Cap miał pod surdudem całą baterię butelek i całą składnicę najrozmaitszych przedmiotów. Przebieg tego dziwnego spotkania z Mary mocno mnie przygnębił. Cap widział, co się ze mną dzieje, kiedy więc przebaknąłem coś o potrzebie miłosierdzia, postanowił dodać mi ducha.

235

— Stefku! — rzekł wycierając usta wierzchem dłoni. — W ostatnich latach nauczyłem się patrzeć na kobiety. Pod jednym względem wszystkie są podobne do siebie, jak krople wody. Utrata mężczyzny nigdy ich nie porusza do głębi. Jakoś umieją przeboleć. Nie sędzę, aby Mary stanowiła chwalebny wyjątek. Ręcę ci, że będzie czekała na Guerlaca tydzień, a potem znajdzie sobie innego i życie potoczy się dalej, jakby nigdy nic! Nie znam ani w Kittery, ani w Portsmouth kobiety, która by po stracie mężczyzny zapłakała się na śmierć. Wdowy, i te siedemdziesięcioletnie, znajdują nowych mężów i bardzo sobie chwalą tę odmianę!

Nalał mi koniaku. Wysączyłem kubek i z podwójnym zapalem jałem się przygotowywać do ucieczki.

Koło jakiejś piątej Cap zszedł do piwnicy i na nowo przewiązał jedną z posługaczek — tę, która cerowała pończochę, gdyśmy wdarli się do domu. Sznurem o stu chyba węzłach przytroczył ją do krzesła i przymocował do ściany, tak że chcąc uwolnić resztę służby, musiałaby wprzód uwolnić samą siebie. Rąk jej nie skrępował. W ten sposób po jakiejś godzinie zdoła się wyswobodzić, a potem rozwiąże koleżanki.

Trzeba było teraz przewiązać Guerlaca, tak żeby mógł chodzić. Natanis oznajmił ze śmiechem, że oto nareszcie jeniec, który na pewno nie

ucieknie. Długo i starannie pracowali, on i Cap, nad pętami Francuza. Ramiona mu przymocowali do sznura oplatającego go w pasie, nadając im pozycję naturalną. Nogi złączyli pod kolanami cienkim postronkiem, który nie zawadzał w chodzeniu, ale uniemożliwiał bieg, i do postronka tego przywiązali dłuższy postronek, aby było za co trzymać. Knebel zostawiono mu w ustach, ale szczęki zwarto za pomocą skrawka materii, przeciągniętego pod brodą i związanego na ciemieniu. Kiedyśmy wcisnęli mu czapkę na uszy i podnieśli kołnierz peleryny po same usta, nawet w dzień trudno by było poznać, że jest związany. Natanis powiedział Guerlacowi po abenacku, że za lada zdradzieckim ruchem odrąbie mu toporkiem twarz i puści żywego między ludzi, aby odtąd zgrozą napawał kobiety i dzieci.

Cap i Natanis zabrali jeńca do kuchni. Mary, leżąca w postronkach na łóżku, zaczęła mnie błagać, abym zostawił Guerlaca. Obiecywała — powtarzając, rzecz prosta, przez niego podsunięte słowa — że dostanę za to tysiąc funtów w bitej monecie, a on już sprawi, abyśmy bezpiecznie mogli ulotnić się z miasta. Gdybym zaś wolał przejść na stronę Brytyjczyków, Guerlac postara mi się o rangę majora, a gdy wojna dobiegnie końca, otrzymam pięć tysięcy akrów urodzajnego

236

gruntu itd. itd.... O mdłości przyprawiała mnie świadomość, że tak mało jestem dla niej wart, że uważa mnie po prostu za podłą, sprze-dajną kanalię.

—Zbytecznie strzępisz sobie język — powiedziałem. Ona nie ustawała w prośbach, patrząc mi błagalnie w oczy: — Porzućcie tę krzykliwą gawiedź, przyjdźcie do nas! Henri powiada, że równie

obdartego wojska nie widział w życiu i że hańbą jest walczyć po ich stronie, i hańbą jest walczyć przeciwko nim! Ich oficerowie to balwierze, kowale, oberżyści, rzeźnicy i farmerzy, a każdy nadyma się, jakby był szlachcicem!

Pomyślałem o Thayerze, Steele'u, Morganie, Tophamie, Dear-bornie i innych oficerach, przypomniałem sobie, jak u źródeł Siedmiomilowego Potoku oddawali żołnierzom swoje mizerne racje, jacy byli dobrzy i delikatni dla podkomendnych. Zniosłem Mary do piwnicy i zostawiłem ją tam, nie rzekłszy słowa.

Leżący w kącie kuchni Hook przyglądał się nam, jak wsuwamy na siebie surduty, ściągamy pasy, wyjmujemy naboje z muszkietów i na nowo ładujemy. Oczywiście miał już zasnutą szklawicą bliskiej śmierci, ale wciąż płonął w nich nienawiść, taką rogatą duszę miał ten człowiek.

Kiedyśmy zbierali się do odejścia, zapytałem, czy ma kogoś w Nowej Anglii, czy nie chciałby przed śmiercią przesłać komuś bliskiemu pozdrowienia.

- Ty głupcze otumaniony! — wyszeptał błyskając ku mnie zębami spomiędzy warg szarych jak popiół drzewny. — Nie wydostaniesz się z tego miasta! Bramy Św. Ludwika i Bramy Świętojańskiej pilnuje setka ludzi. Dolne Miasto roi się od marynarzy. Jakąkolwiek podążysz drogą, potną cię kulami na rzeszoto! — Zatchnął się i wyszczerzył zęby w straszliwym grymasie.
- Moce Beliala cofnęły się przed hufcami Boga! Prawda jest potężna i ona zwycięży! Montgomery nie żyje, a twoje wojsko, złożone ze złodziei i bluźnierców, gnije po więzieniach. — Oddech mu uwiązł w krtani. — Tej jeszcze nocy będziesz smalił się w piekle, bluźnierco!

- Chodźmy! — powiedziałem do Capa.

Odsunął rygiel kuchennych drzwi i wyszedł na śnieg, za nim Natanis, potem Guerlac z. Hobomokiem. Ja szedłem na końcu, bacząc, aby Hobomok nie zasłabł od upływu krwi. Było ciemno, tak ciemno, że Cap, kroczący na czele naszej grupy, przedstawiał mi się jako bezkształtna, ruchoma góra. Śnieg padał bez ustanku. Szanse nasze nic były najgorsze. W mieście panowały nastroje noworoczne,

237

niebezpieczeństwo natarcia minęło, mieszczanie i obrońcy zapewne pospali się po długich dobach czuwania i po alarmach ubiegłej nocy. Kto nie musiał, ten chyba wolał nie wytykać nosa na ulicę.

Nasz plan był prosty — tak prosty, że prawie niezawodny. Rzeczywiście, później nieco, zimą, wielu naszych ludzi wyłamało się z cel i uciekło tą samą drogą, jedni samodzielnie, inni w towarzystwie strażników.

Dom Guerlaca stał w sąsiedztwie wielkiego gmachu, należącego do jezuitów, a jezuici odlegli byli zaledwie o sześć kwartałów od muru Bramy Zamkowej. Bezpośrednio za tą partią murów leżało Przedmieście Sw. Rocha i ruiny La Friponne. Podczas owych długich godzin, kiedy leżałem na brzuchu strzelając do strażników, wpadły mi w oko pewne cenne szczegóły.

Pamiętam, że chodzący po parapecie żołnierze byli doskonale widoczni w wylotach strzelnic i że przez taką strzelnicę bez trudu mógłby się prześlizgnąć człowiek. Pamiętałem również, że mur ma trzydzieści stóp wysokości, licząc od skarpy, ale zawieje śnieżne, dmące nieodmiennie z północo-wschodu na południo-zachód, z dnia na dzień sypały na skarpie

coraz wyższy wał śniegu. Po ostatniej burzy, która towarzyszyła naszemu natarciu, zaspą musiała wzrosnąć o dobry sążeń, tak że skaczący z muru człowiek zaryłby się w śnieg jak w stertę puchu. Krótko mówiąc, trzeba było przejść sześć kwartałów, dzielących dom Guerlaca od muru, wspiąć się na parapet i skoczyć.

Wychodząc z gęstwy drzew, które osłaniały dom Guerlaca, wyglądaliśmy jak oddziałek śpieszący na zmianę warty lub patrolujący miasto, z tą tylko różnicą, że jeden z nas — Guerlac — nie miał muszkietu. W Natanisie i Hobomoku nikt by nie poznał Indian, bo twarze mieli ukryte we wciśniętych na uszy czapkach i podniesionych kołnierzach.

Stromą ulicą poszliśmy na lewo, pod górę, potem ostro skręciliśmy na prawo. Naprzeciw nam brnął przez śnieg samotny oficer z głową w kapiszonie peleryny. Spojrzał spod oka na kroczącego przodem Capa i mruknął parę niezrozumiałych słów, zresztą głosem dość przyjaznym. Cap odpowiedział mu równie niezrozumiałym bełkotem, zrodzonym gdzieś z okolicy przednich zębów i wyplutym w kołnierz peleryny. To widocznie najzupełniej zadowoliło oficera, bo wciągnął głowę w kapiszon, niby żółw, i podreptał dalej.

Doszedłszy do ulicy Świętojańskiej, przystanęliśmy w portyku narożnego domu i zapuściliśmy wzrok w ulicę. Dobrze uczynili-

238

śmy, bo w tej samej niemal sekundzie przeczną, w odległości niespełna dwudziestu stóp od nas, przeszedł strażnik.

Musieliśmy działać prędko, bo lada chwila mogli nadejść inni strażnicy

i zaskoczyć nas na tym rogu. Cap ruszył przodem, zataczając się pijacko. Strażnik nas okrzyknął. Cap odpowiedział mu gwałtownym wybuchem czkawki i bełkotliwym życzeniem: — Na zd-zdr-rowie! — Nastąpiła chwila ciszy, potem ledwo słyszalny grzechot i rżenie. Cap dusił strażnika. Hobomok i ja wzięliśmy Guerlaca pod pachy i powlekliśmy go ulicą Świętojańską. Przed nami Natanis leciał po śniegu jak duch.

Cap dogonił nas, sapiąc i dysząc. Szybko skręciliśmy w wąskie uliczki północno-zachodniego kąta Quebecu. Mieliśmy do przebycia jeszcze trzy kwartały, potem skrawek niezabudowanego gruntu i już. jeden tylko krok do muru. Na tych ciemnych, stromych uliczkach nikt nam nie wszedł w paradę.

Wiedzieliśmy z mapy, że ostatni budynek przed pustym placem należy do koszar. Kiedy przechodziliśmy obok, okna jarzyły się od światła, ze środka dochodziły pijacka wrzawa i nieskładne chóralne śpiewy. Widok ten dodał nam otuchy.

— Psiakrew! — z pogardą szepnął Cap. — Ten garnizon pijany jest dziś co do nogi. Obrzydliwość! Wejdziemy na ten mur tak gładko, jakby to było piéterko twojej oberży, Stefku!

Natanis i Hobomok, zgodnie z planem, pierwsi ruszyli przez pole. Gdy uszli sześć kroków, nie sposób było ich dojrzeć na tle śniegu. Wzięliśmy więc Guerlaca mocno pod pachy i poszliśmy za nimi. Po trzydziestu krokach zamajaczył przed nami mur — mur niski w porównaniu z wrażeniem, jakie czynił na zewnątrz. Dostrzegliśmy schodki, a przy nich mały domek wartowniczy. Natanis i Hobomok czekali skuleni. Natanis mi szepnął, że po parapecie chodzi strażnik, że wkrótce minie schody, a wtedy będzie można bezpiecznie się przeprawić.

Serce mi tętniło w piersi, zatykało krtań. Dławiła mnie obawa, że zostaniemy wykryci i zatrzymani o dziesięć kroków przed strefą bezpieczeństwa. Czekaliśmy, przycupnięci na śniegu, a podczas tego czekania najosobliwsze przychodziły mi myśli: że odrobina czosnku nie może zaszkodzić matczynej sałatce z ogórków; że Cap chyba się powiesi z żalu, jeżeli będzie musiał wracać do domu bez swojej Filadelfii Widzianej z Promu Coopera; wspomniałem wizję, która niegdyś nawiedzała mnie po nocach, wizję triumfalnego w marszu do Quebecu: kroczę w szeregach kontynentalnej armii, po

239

obu stronach wysokie kamienne domy. z chodników i okien witają nas roześmiane dziewczęta i wiwatujący mężczyźni.

Cichy chrzęst rozległ się nad naszymi głowami, powolne kroki po śniegu. Rozdziawiłem usta. aby oddychać jak najciszej. Odgłosy stóp oddalały się i zamierały.

Natanis i Hobomok chyłkiem wspięli się na schody. Cap i ja postawiliśmy Guerlaca na nogi i podążyliśmy za przyjaciółmi. Nagle, gdzieś w połowie schodów. Cap poślizgnął się i upadł z takim przeraźliwym łomotem, jakby zegar ścienny runął na drewniany podest. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła i w nozdrzach mi zakręcił silny odór koniaku.

Strażnik okrzyknął nas w mroku. Gdy wołanie się powtórzyło, byliśmy już na parapecie i ciągnęliśmy Guerlaca ku strzelnicy. Natanis wystrzelił, trzymając lufę muszkietu tuż koło mojego ucha. W odpowiedzi rozległ się strzał strażnika i okrzyk z wartowniczego domku. Natanis wślizgnął się w strzelnicę, muszkiet Hobomoka splunął ogniem, a ja nagle sobie

uświadomiłem, że wrzeszczę wniebogłosy na Capa i Hobomoka, aby wreszcie skoczyli i dali mi przejść.

Cap pomrukując i pochrzając przelazł przez strzelnicę. Za nim przesunął się Hobomok. Nagle z wartowniczego domku zahuczał muszkiet.

Guerlac wyprężył się do góry, opadł i zawisł bez ruchu w moich ramionach.

Zewsząd dochodziły nawoływania straży. Nic pora było badać, jakich obrażeń doznał Francuz. Podniosłem go, wepchnąłem w strzelnicę i zrzuciłem, poczym przeszedłem sam i skoczyłem z zamkniętymi oczami.

Spadając, obracałem się z wolna w powietrzu. Chciałem się zwinąć w kłębek, aby utrudnić straży celowanie, ale daremnie: nogi moje rozwierały się pod najdziwaczniejszymi kątami, wirowałem nieustannie. Nagle w połowie obrotu ugodziłem barkami w coś twardego. W mózgu moim wybuchł gejzer białego światła, podobnie jak przed laty, gdy Guerlac zdzielił mnie toporkiem w głowę.

Bogu jednemu wiadomo, ile koniaku wlał we mnie Cap. nim zacząłem kaszleć i wymiotować. Dźwignąłem się na kolana, aby wypluć z ust gryzącą ciecz, i kaszlałem, mało mi płuca nie podarły się na strzępy.

— Dzięki Bogu! — zawołał Cap. — Myślałem, że z jedynej ocalałej butelki poję trupa! Szyję miałeś wiotką. Stefku, niczym stara pończocha! — Z bulgotu, który nastąpił, wywnioskowałem, że Cap

240

musiał przestraszyć się nie na żarty i teraz kuruje się po tym wstrząsie.

Było ciemno choć oko wykol, ale czułem, że otaczają mnie mury/— Co

się stało? — zapytałem. Kark bolał mnie, jakby był złamany. — Co się stało? Gdzie Natanis i Hobomok?

Usłyszałem obok siebie ich głosy.

—Stało się to — rzekł Cap — że wydostaliśmy się z miasta bez szwanku. Mnie jednemu przytrafiło się nieszczęście: chyba aż do setnego roku życia będę sobie wydłubywał spod skóry szkło.

Nagle rozjaśniło mi się w mózgu. — Gdzie Guerlac? Zdaje się, że kula ugodziła go w plecy.

- Nie — odparł Cap. — Ugodził go niejaki Nason z Arundel.
- To niemożliwe! — obruszyłem się. — Kiedy strażnik dał ognia. Guerlac wyprężył się i mało nie upadł.
- Słuchaj! — rzekł Cap. — Obmacaliśmy go ze wszystkich stron. Nie zabraliśmy ciała, bo po co cackać się z truposzem, kiedy zaspą jak sto diabłów! Trzeba ci było widzieć tę zaspę! Wysoka jak góra Agamentyk i ze dwadzieścia razy twardsza!

Spadłeś jak kłoda — ciągnął dalej. — Niewiele widziałem, bom się bał, że trzaśniesz mnie bucioremami w zęby, ale wydało mi się, jakbyś runął na Guerlaca. Tak czy owak, lufa twojego muszkietu wraziła mu się w łeb. W takiej znaleźliśmy was pozycji. Miał we łbie dziurę głęboką na palec.

- A rany postrzałowej nie miał?
- Ani draśnięcia!
- I nie żył?
- Niczym indyk Hioba!

Byłem zadowolony, że Guerlac zginął w ten sposób, bo udając rannego, chciał nas wywieść w pole i rzeczywiście, niewiele brakowało, abym go zostawił na parapecie. Bałem się również, że jeżeli go dostarczę

Arnoldowi żywego, zostanie uwolniony w drodze wymiany lub ucieknie. Zachodziło też niebezpieczeństwo, że Cap i Natanis, zniecierpliwieni jego uciążliwą obecnością i spragnieni zemsty, rozłupią mu głowę toporkiem. Nie wziąłbym im tego za złe, ale prawdę powiedziawszy, wolałem mieć czyste sumienie.

Strażnicy, według słów Capa, nie mogli na tle śniegu dojrzeć naszych białych szyneli. Poczęli prażyć na oślep, tymczasem Natanis, Hobomok i Cap zaryli się w śnieg i ciągnąc mnie za sobą, stoczyli się ku gruzom La Friponne.

Kiedy opuściliśmy La Friponne i zanurzyliśmy się w mroczne, opustoszałe ulice, przez które niespełna piętnaście godzin temu

241

maszerowaliśmy w śnieżnej zamieci wraz z całą armią. Cap zaczął lamentować. Skarżył się, że ciało ma nabite szkłem jak arbuz pestkami. Wobec tego zatrzymaliśmy się przy tawernie Menuta, jeszcze wczoraj tak gwarnej i przytulnej. Kiedyśmy ostrożnie otworzyli drzwi, żaloszny oczom naszym objawił się widok: świetlica była zrujnowana, a Mosju Menut wraz z kilkorgiem służby krzątał się w blasku świec, tynkując dziury w ścianach i wywabiając ciemne plamy z desek podłogi. Na nasz widok schowali się pod stołami. Przekonawszy się, że przybywamy w pokojowych zamiarach, wyszli z kryjówek, jęcząc i narzekając. Tymczasem Cap zwlekał z siebie przemoczoną koniakiem i najeżoną szkłem odzież.

Mosju Menut usiadł i zaczął opowiadać o przebiegu wydarzeń. Zostawiłem przyjaciół w tawernie, a sam pośpieszyłem do domku matki Biard, przycupniętego przy skarpie brzegowej, jak króli-czątko przy

krzaku. Okna były ciemne, podobnie jak we wszystkich okolicznych domach. Na ulicy leżały sterty śmieci —deski, wiechcie powyrywane ze strzech, odłamki ceglanych kominów, jakaś strzaskana kariolka. Długo waliłem w drzwi, wreszcie rozległ się ze środka strwożony głos matki Biard. Otworzyła na cal, aleja wsunąłem nogę w szparę, wszedłem i zatrzasnąłem drzwi za sobą.

Z jej kilku zniekształconych angielskich słów zdołałem zrozumieć, że Febe i Jacataqua czekały aż do świtu. Obok domu przeciągały kariolki z rannymi Amerykanami, zdążające do szpitala. Wielu miało odmrożone stopy, dłonie i twarze; inni płakali i jęczeli; inni śmiali się dziko i strasznie klęli. W godzinach przedpołudniowych z Bramy Zamkowej wyszła kolumna Brytyjczyków i ruszyła w kierunku szpitala. Garstka naszych otworzyła artyleryjski ogień i przepędziła ich precz. Kule gwizdały ulicami przedmieścia, druzgo-tały ściany domów, strącały kominy.

Więcej rannych nie było, bo resztę armii wzięto do niewoli i przeprowadzono do Górnego Miasta. Wobec tego Febe i .Tacata-qua zwinęły derki, pożegnały pięknie matkę Biard i powlokły się na północ.

Rzuciłem jej sztukę złota z Guerlacowskiej skarbnicy i wróciłem do Capa, Natanisa i Hobomoka. Od Menuta mieli dokładniejsze wiadomości. Podobno nasi ludzie czekali między zaporami Dolnego Miasta przez cztery godziny, wypatrując posiłków. Wzrastające oddziały nieprzyjaciela wzięły ich w dwa ognie i zmusiły do poddania się.

- Czy Menut zna liczbę pojmanych?
- Powiada, że wzięto do niewoli wszystkich, którzy uszli

pod śniegiem, o tym wie jeden Bóg, a my się dowiemy dopiero na wiosnę, gdy roztaje. — Cap takimi przekleństwami obsypał nieobecnych wrogów, takich życzył im przedśmiertnych męczarni, że śmierć Guerlaca wydała mi się lekka.

- Gdzie Febe? — zapytał skończywszy kląć.
- W drodze.

Cap niedźwiedzimi łapami przetarł czerwoną twarz i obciągnął na sobie szynel. Pożegnaliśmy się z Mosju Menut i ruszyliśmy w kierunku głównego szpitala.

W oknach tego rozsiadłego budynku jarzyły się światła, a wewnątrz zalegała cierpka atmosfera choroby. Po korytarzach snuły się zakonnice z miednicami i bandażami. W przedsionku stał wartownik. Nie mogliśmy go poznać, tak był zeszpecony śladami niedawno przebytej ospy. Kiedy wyłuszczyliśmy cel naszego przybycia, zostawił nas w przedsionku, a sam poszedł na główną salę: Po chwili zjawił się nasz chirurg wojskowy, młody Senter, owiązany skrwawionym prześcieradłem, ubroczony krwią po łokcie, tak zmęczony, że za chwilę, rzekłbyś, padnie z nóg.

- Czego chcecie od pułkownika Arnolda? — zapyła! z irytacją w głosie. — Pułkownik Arnold jest ciężko ranny. W tej chwili pisze listy. Przyjmuje tylko w ważnych sprawach.
- Ha, nie wiem, czy nasza sprawa jest ważna, czy błaha — odparłem. — Przed godziną wydostaliśmy się z miasta. Sądzę, że Arnoldowi będzie przyjemnie z nami porozmawiać.

Senter wytrzeszczył oczy. — Przychodźcie prosto z Quebecu?

Usłyszałem ostry głos Arnolda. Na dźwięk tego głosu krew, jak zwykle, szybciej zaczęła mi krążyć w żyłach. Senter pobiegł na salę i po chwili

wrócił.

—Chce was widzieć, i to prędko! Zrzućcie z siebie te szynele. — Wierzchem przegubu potarł sobie czoło. — To diabeł nieczłowiek! Chciałem go przenieść do Śt. Foy, bo tu w każdej chwili grozi wycieczka z miasta. Ale on tylko kazał sobie przynieść szpadę i przy łóżku każdego rannego postawić nabity muszkiet. Chociaż ranny i złożony niemocą, gotów jest wydać im bitwę! — Popchnął nas ku drzwiom głównej sali. — Boże mój! — zawołał z goryczą w głosie. — Co za fatum! Arnold i Montgomery! Że też obaj musieli paść od pierwszego wystrzału!

W podłużnej, półmrocznej, tynkowanej sali stały dwa rzędy łóżek. Między łózkami uwijały się zakonnice. W głowach każdego

243

łóżka stał o ścianę oparty muszkiet. Gdzieś blisko ktoś bełkotał sylaby bez związku. Ktoś inny kaszłał boleśnie i powoli, a po każdym kaszlnięciu zachłystywał się krwią.

Arnold leżał tuż przy drzwiach, odgradzony od innych parawanem z żerdzi i prześcieradeł. Leżał wysoko na poduszkach, obok niego stał na zydlu znany mi dobrze pulpit polowy. Koszula z lnianego samodziału, rozpięta u szyi, nadawała choremu osobliwą, łagodną bladość, ale oczy jego patrzyły śmiało i jasno jak zazwyczaj. Na nasz widok, zdawało się, wyskoczą z orbit.

Kiedy zasalutowaliśmy, strzepnął niecierpliwie palcami. — Szkoda czasu! Mówcie prędko, gdzieście byli po natarciu?

—Pułkownik — powiedziałem — byliśmy w Górnym Mieś

cie. — Jego oczy biegały po naszych twarzach. Zapaściłem palce pod koszulę, wyciągnąłem papiery Guerlaca i wręczyłem je Arnoldowi. — Złapaliśmy całą trójkę. Guerlaca, Hooka i Eneasza.

Przerzucił papiery. Twarz mu się wydłużyła w szczerym, dobrze znajomym uśmiechu. — Niezłe, doprawdy, niezłe! No, a czemu nie przyprowadziliście mi Guerlaca we własnej osobie?

—Pułkowniku — odrzekłem — chcieliśmy. Bardzo chcieliśmy, ale się nie udało. Przechodząc przez mur, jeden z nas się potknął. Strażnicy otworzyli na nas ogień. Kiedy zeskoczyliśmy na ziemię, Guerlac już nie żył.

Arnold kiwnął głową. Patrzył przed siebie obojętnym wzrokiem. Pomyślałem sobie, że wątpi o prawdzie moich słów. Zapewne ta sama myśl zrodziła się w głowie Capa, bo wyciągnął spod surduta szpadę i rzekł uroczyście: — To jego szpada. Przyda się wam, pułkowniku. — Położył ją na łóżku. Arnold sięgnął ręką i wysunął oręż z pochwy.

- Co z jego siostrą? — zapytał oglądając klingę.
- Znaleźliśmy ją — odparłem: — Jest... jest inna, niż przypuszczałem.

Cap ryknął gniewnie: — Inna! Pewno, że inna! Wiesz, jak u nas w Kittery nazywają taką kobietę?

Wziąłem go za łokieć. Zamilkł, spojrział na mnie i począł mruzczyć pod nosem jakąś nieskładną melodię.

Arnold ogarnął mnie poważnym spojrzeniem. — Mogłem wam powiedzieć o tym przed laty, ale nie bylibyście mi uwierzyli.

- Nie uwierzyłbym.
- No to dalej! — niecierpliwie rzekł Arnold. — Opowiadajcie. Jakim cudem przedostaliście się do Górnego Miasta?

- Pułkowniku — odparłem — przy drugiej zaporze nie było ani

244

jednego obrońcy. Przeszliśmy przez nią, idąc za przykładem Morgana.

- Co wy mówicie? Więc Morgan przeszedł przez drugą zaporę? Kto wam o tym powiedział?
- Kapitan Thayer. Morgan poszedł na zwiady, a żołnierzom kazał pilnować jeńców.
- Widzieliście Morgana za drugą zaporą?
- Nie. Nikogo nie widzieliśmy, tylko kobiety i dzieci uciekające do Górnego Miasta.

Arnold gryzł paznokcie. Twarz mu pociemniała i naląła się krwią. — Jeżeli to prawda, to dwudziestu ludzi mogło w ciągu jednej godziny podpalić całe Dolne Miasto. A Górne zdobylibyśmy w miesiąc bez straty jednego człowieka!

— Thayer mówił, że nie można podpalać, bo pożar odciąłby Montgomery'ego.

Arnold posępnie kiwnął głową. — Montgomery nie był dzieckiem! Gdyby nie leżał martwy w śniegu, lecz szturmował Dolne Miasto, na pewno potrafiłby sobie poradzić z płomieniami.

—Pułkowniku — rzekłem. — Jaka szkoda, że was tam nie było! Arnold ponownie skinął. — Tak czy owak, zalelibyśmy im sadła za skórę.

—Co byście zrobili?

—Bogu jednemu wiadomo — odparł zgaszonym głosem. —

Wszystko zależy od tego, na ile dokładna jest wasza relacja. Jedno pewne: z jeńcami czy bez jeńców, nie stałbym beczynnie przez cztery godziny pod barierą. Jeżeli nie chcesz, człowieku, czegoś znaleźć, dam ci prostą radę: nie szukaj. Wolałbym polec w działaniu, niż ocaleć w beczynności.

Zamyślił się. — Nie wiem, jak bym postąpił. O takich rzeczach decyduje się na miejscu. Mając przy sobie Morgana, za sobą jego Wirgińczyków, i wiedząc, że nikt nas nie powstrzymuje przy drugiej barierze, zapewne podpaliłbym Dolne Miasto i jakoś uszedł spośród płomieni.

Pokręcił głową i zaśmiał się. — Cóż, wojenne losy! Ale jeszcze dostaniemy ich w łapy! No, opowiadajcie dalej!

Opowiedziałem mu wszystko po kolei. Kiedy skończyłem, przez parę minut leżał w milczeniu, palcami wodząc po rozdarciu kołdry. Ranny żołnierz, leżący w sąsiednim łóżku, zaczął pochlipywać i czkać, jak uspokajające się z płaczu dziecko, i głośno przywoływał matkę.

—Pułkowniku — odezwałem się. — Co z Montgomerym?

245

—Jeszcze za wcześnie mówić o tym z całą pewnością. Kiedy szliśmy Przedmieściem Św. Rocha, Montgomery natarł od strony Przylądka Diamentowego. Cieśle wycięli kłody z pierwszej palisady i Montgomery ruszył naprzód, prowadząc za sobą nowojorskie oddziały — obok niego adiutanci, kapitanowie Cheeseman, McPherson i Burr. Za palisadą stała armata nabita szrapnelem. Raz tylko wypalono, zanim obrońcy rzucili się do ucieczki. Raz tylko, ale przejście było wąskie, a nasi ciasno stłoczeni. Szrapnel położył Montgo-

mery'ego, Cheesmana, McPhersona i dwunastu żołnierzy.

Umilkł i palcami znowu dotknął dziury w kołdrze. Cap odchrząknął z takim rezonansem, jakby zęby tartaku zazgrzytały na sęku sosnowym. — To wszystko?

- Tak. To wszystko. Nowojorczycy wycofali się do St. Foy. Dalszy atak wydał im się niebezpieczny.
- Kto dowodził przy odwróceniu? — zapytał Cap paskowując. Widać było, że za chwilę wybuchnie.
- Podpułkownik Donald Campbell z brygady nowojorskiej — rzekł Arnold.
- Podpułkownik Donald Campbell — powtórzył Cap. — Ten podpułkownik Donald Campbell z brygady nowojorskiej, zdaje się, zapomniał, że my wszyscy znajdziemy się w pułapce, jeśli on zaniecha natarcia. Chcecie wiedzieć, co ja o tym myślę?
- Wojenne losy! — powtórzył Arnold szarpiąc rozdarte miejsce kołdry.
- Jakże tam losy! — głośno obruszył się Cap. — Gdyby ten nędznik miał choćby tyle odwagi, co wiesz, wzięlibyśmy miasto! Ha, gdybyście wy byli na miejscu pułkownika Donalda Campbella, to wzięlibyście nogi za pas? Pobieglibyście do St. Foy z wrzaskiem, że niebezpiecznie, że się boicie? Dobrze sobie! Chcecie wiedzieć, co ja myślę?

Arnold podniósł oczy na świecąca, purpurową twarz. Capa i roześmiał się serdecznie.

- W tym rzemiośle, które nazywa się wojna, musicie sobie przyswoić jedną naukę: co się stało, to się nie odstanie! Trzeba umieć zapomnieć o klęsce i budować nowe zwycięstwo! Żołnierz, który

chciałby nieustannie myśleć o stratach poniesionych wskutek cudzego tchórzostwa i niedbalstwa, musiałby zwariować.

- Słusznie — powiedział Cap wypinając swoją olbrzymią, beczkową pierś, jakby chciał zaraz, na niej zabębnić — ale wiem, że gdybyście wy tam byli, nie cofnęlibyście się! Żołnierze poszliby za wami, tak, nawet te tłustogębne nowojorskie szczury usłu-

246

chałyby waszego rozkazu. A o tym podpułkowniku Donaldzie Carnpbellu myślę, że on i Roger Enos powinni by się przebrać w spódnice i sprzedawać pierniki na rogu alei! Tylko na tyle się zdadzą! Ba, nasza Febe więcej ma w sobie żołnierskich cnót, niż ten podpułkownik Donald Campbell z nowojorskiej brygady!

Arnold kiwał głową, a Cap mówił coraz łagodniej, wreszcie przeszedł w serię pomruków i pochrząków. — No tak! No pewno! Dzielna dziewucha. Dziewucha, jakich mało! Będzie z. niej dobra żona! — Wyzywająco spojrział na mnie. Czułem, że się czerwienię.

- Będzie z niej dobra żona, to pewne — odparłem. — Żeby ją tylko znalazł!
- Hoho! — zawołał Arnold. — Nareszcie przejrzeście na oczy! Dawno, dawno temu powiedziała mi, że macie do niej sentyment, ale nie zdajecie sobie z tego sprawy. Powiedziała, że ta bladolica damulka Guerlaca to robak, co się was uczeplił, a wy go nie umiecie strząsnąć z mózgu.

Milczałem przestępując z nogi na nogę.

- Jak ją znaleźć? — rzekł Arnold podciągając się na łóżku. — W południe przyszła tu do szpitala, aby rozejrzeć się wśród rannych za

swoimi krajanami i aby mnie zawiadomić, że kazaliście jej wracać. Jeżeli oczy we łbie mam nie od parady, to wiercie, Febe jest wasza. Nie możecie jej utracić, tak jak dziecko nie może utracić miłości matki. — Zaśmiał się, a w oczach mu zamigotał płomyk szczerzej wesołości.

- Oby się okazało, że macie słuszość! — powiedziałem. — Febe uważa mnie za umarłego. Raz już zdarzyło się, że poślubiła najgłupszego człowieka w Arundel, chociaż nie wiem, jak to rozumieć, jeżeli rzeczywiście jest taka rozsądna, jak powiadacie. Raz już postąpiła w ten sposób, czemu nie miałyby znowu postąpić tak samo?
- Aha! — rzekł Arnold poruszając postrzeloną nogą i aż krzywiąc się z wysiłku. — Więc ona nigdy wam się nie zwierzała z motywów, które ją skłoniły do tamtego małżeństwa? Zdumiewacie mnie!

Z tonu, jakim to wypowiedział, widać było, że wcale nie jest zdumiony. Nic z tego wszystkiego nie pojmowałem. Byłem znużony i bardzo chciałem zobaczyć Febe.

Arnold wziął do ręki szpadę Guerlaca, wysunął ją z pochwy i wsunął z powrotem. Powtarzając tę czynność, mówił: — Sprawa jest prosta. Idźcie w górę rzeki, o parę mil za Pointe-aux-Trembles. Tam lód jest mocny, a środkiem biegnie świeżo wyrębana ścieżka. Febe z pewnością tamtędy się przeprawi. Dogonicie ją.

247

Poskrobał się w szczękę i jasnymi, jakby zdumionymi oczami spojrzał na mnie. — Słuchajcie! Pomogę wam! Jaka jest, zdaniem tych waszych Indian, najkrótsza droga do Bostonu i jak długo trzeba by podróżować?

Odpowiedź miałem na języku. — Moi przyjaciele twierdzą, że po

naszej armii została nad Kennebekiem i Chaudierec wspaniała droga, której wszystkie niedogodności zatarł i wygładził śnieg. Idąc na karpiach, moglibyśmy dotrzeć do Bostonu przed upływem dwóch tygodni. Chyba że zatrzymałyby nas burze śnieżne, a na to się nie zanoszą.

- Świetnie! — rzekł Arnold. — Posyłam was. całą czwórkę, do Cambridge z listami dla generała Waszyngtona. Dogońcie Febe i odprowadźcie ją do domu. Po tym, co dla nas zdołała, należy się jej eskorta.
 - Pułkowniku, jestem bardzo wdzięczny.
 - Domyślam się — rzekł. — A i ja jestem wam wdzięczny. — Podniósł wieko pulpitu, wkręcił lichterze i zapalił) świecę od świecy, która stała obok na zydlu. — Poczekajcie w przedsionku. Kiedy list będzie napisany, wezwę was. Otrzymacie dokładne rozkazy. — Na arkuszu papieru zanotował sobie nasze nazwiska, ale przy jednym się zawahał. — Huff! Jak wam właściwie na imię?
- Cap w zakłopotaniu spuścił oczy. Zlitowałem się nad nim. — Capnięty z Niewoli — powiedziałem.
- No to bardzo się cieszę — uprzejmie rzekł Arnold. — A jak mu na imię?
 - No właśnie Capnięty z Niewoli. Znaczący to coś dopiero wtedy, kiedy napisać zwyczajnie „Cap”.

Arnold aż chrapnął z uciechy. — Zwyczajnie Cap — powtórzył. Gestem wyprosił nas do przedsionka. Kiedyśmy szli, zauważyłem, że bezceremonialność, z jaką potraktowaliśmy jego kapitańskie imię, wprowadziła Capa w bardzo zły humor i że gniew swój gotów jest wyładować na pierwszej ofierze, jaka się nawinie.

XVIII

Mógłbym pierwszej spotkanej zakonnicy zarzucić ręce na szyję, taki radosny szal wznieciła we mnie pewność, że niebawem ujrzę Febe i ojczyste Arundel. Ale zamiast zakonnicy spotkaliśmy w przedsionku Burra — kapitana Burra, że wymienię rangę, którą niedawno otrzymał od Montgomery'ego. Kiedyśmy przestępowali

248

próg, on właśnie domagał się dostępu do przyjaciela swego. Mateusza Ogdena. Nadymał się przy tym jak wół, zwyczajem wszystkich drobnych! żabek.

Nła nasz widok zagryzł usta i złowrogo kiwnął głową, jakby znajdował jakąś posępna satysfakcję w strojeniu groźnych min.

—Na Lucypera! — zawołał. — Nie sądziłem, że ujrzę was zdrowych i całych! Podobno wszystkich, którzy uszli kulom, wzięto do niewoli. Ognie piekielne! Może wy potraficie mi powiedzieć, gdzie znajdę tego wykrętnego skrzata, tę Jacataque?

Cap spojrział spode łba, a trzeba wiedzieć, że Ignął do Burra jeszcze mniej niz ja. Ale mnie zbyt lekko było na duszy, abym komukolwiek mógł odmówić dobrego słowa. — To, co słyszeliście, jest niestety prawda — odpowiedziałem. — Zapewne i my nie uszlibyśmy kulom lub niewoli, gdyby nas Opatrzność nie zaprowadziła do Górnego Miasta i nie pozwoliła wyrównać rachunków z Treeworgym i jego chlebowdawca.

—Do Górnego Miasta! — wykrzyknął i gwizdnął przeciągle. W jego bladej, ładnej twarzy odmalowało się powątpiewanie.

Nie chcąc z nikiem wdawać się w zwadę, a zwłaszcza z oficerem, teraz,

gdy mieliśmy już opuścić ten przeklęty, ośnieżony kraj, kiwałem tylko głową i uśmiechałem się głupkowato, pragnąc w sercu, aby ten fircyk czym prędzej poszedł do łoża rannego przyjaciela, a nas zostawił w spokoju. Ale Cap przestępował z. nogi na nogę, podciągał sobie szarawary i wielkimi, włochatymi łapami przecierał czerwoną twarz: nieomylny znak, że zbiera się w nim na burzę.

—Wszyscy moglibyśmy przedostać się do Górnego Miasta — rzekłem chcąc uprzedzić Capa — gdyby Montgomery nie poległ pod Przylądkiem Diamentowym.

Burr ściągnął boleśnie wargi. — Tak, to było okropne, okropne! Montgomery, Cheeseman i McPherson trupem od pierwszego szrapnela. a na śniegu ze dwudziestka rannych, jęczących żołnierzy! Przysięgam, pięćdziesiąt siekańców świsnęło mi koło ucha! — Prawą pięść wraził w rozwartą dłoń lewej. — A Campbell, żeby go pokręciło, za nic w świecie nie chciał iść naprzód!

- Coś tu się nie zgadza! — warknął Cap. — Jak daleko staliście od Montgomery'ego, kiedy upadł?
- O niespełna dziesięć stóp! Zwalił się jak podcięte drzewo! Ani pisnął nawet.

Cap chrząknął. — Jeden parszywy Francuz z Górnego Miasta powiedział nam, że ludzie Montgomery'ego uciekali jak smagane psy. Nikt nawet nie próbował podnieść martwego dowódcy!

249

Patrzył na Burra, a Burr patrzył na niego. Ta niema scena trwała dobrą połowę minuty. — Ten Francuz — rzekł Burr pochylając głowę i spozierając na nas spode łba, jak żmija: — Ten Francuz łgał! Nie

wiedzieliśmy, co się święci. Było ciemno jak w grobie, tylko wiatr wył i zalepiał nam oczy śniegiem!

- Wiemy, wiemy! — zawołał Cap. — Jak wam się zdaje, co myśmy robili o tej porze? Czytaliście książki? Tam, gdzie byliśmy, również nie brakowało śniegu, a przecież zabraliśmy Arnolda do szpitala i wdarliśmy się do Dolnego Miasta. A ci, co atakowali od strony Przylądka Diamentowego, też nie musieli być kompletnie ślepi, bo kiedy zachciało im się wiać, trafili jakoś do dziury w palisadzie. Jak duża była ta dziura? Mniej więcej tej wielkości co Montgomery, hej?
- Jakże to? Więc oskarżacie mnie o tchórzostwo? — cicho zapytał Burr.
- Nie — powiedziałem ściskając Capa za ramię — Burr nie jest tchórzem! Wśród tych, co przybyli tu z Arnoldem nie ma tchórzów! Z sali doszło nas wołanie Arnolda.
- Jak wrócę, powiem wam, co myślę o tym — rzekł Cap do Burra szeptem tak donośnym, że aż zaszeleściło w białych czepkach dwóch przechodzących zakonnic. Udaliśmy się na salę. Arnold właśnie zalepiał listy woskiem.
- Capnięty Z Niewoli! — przemówił nie podnosząc oczu. — Zechciejcie nałożyć sobie wędzidło na język. Mówienie prawdy w oczy jest zawsze zbytkiem, a nieraz i przekleństwem. Mylić się — to ludzka rzecz. Zapewne i wy czasami się mylicie.

Wielkim palcem przycisnął gruzel gorącego wosku i chłodno spojrzął na Capa. — Nie możecie wiedzieć, co się stało pod Przylądkiem Diamentowym, tak jak ja nie wiem, czym macie wypchane kieszenie. Nie waszą rzeczą jest zarzucać tchórzostwo kolegom-żoł-nierzom, co dopiero

oficerom! Jeżeli takie bojowe macie usposobienie, bijcie się z wrogami, a swoich zostawcie w spokoju. Zrozumiano, Capnięty Z Niewoli?

- Na miłość Boską... — zaczął Cap, ciężko dysząc. Przełknął ślinę i znowu próbował przemówić. — Nigdy nie miałem zaufania do... — omal się nie udławił. Wreszcie rzekł: — Tak jest, pułkowniku.
- Dobrze — powiedział Arnold. — Wychodząc, przeprosicie kapitana Burra. Dostyc mieliśmy trosk jak na jeden dzień, nie psujmy sobie krwi pośpieszną mową. — Nagle zniecierpliwiał się. — Osioł jesteście, Aaron Burr to najczupurniejszy kogut w całej naszej armii!

250

Wręczył mi listy. — Oddacie to do rąk własnych Jego Ekscelencji!!
Zaopatrzenie się w żywność na drogę. Zdaje się, że mamy jeszcze coś pieniędzy.

— Pułkowniku — rzekłem, nieco zawstydzony. — Na szczęście znaleźliśmy trochę pieniędzy w... w Quebecu. Nic nam nie trzeba.

- Aha! — rzekł Arnold lodowatym tonem. — W takim razie ruszajcie natychmiast i nie żałujcie nóg. Rozmawiajcie tylko z generałem Waszyngtonem, poza tym nikomu ani słówka. Przed upływem trzech miesięcy stanę na nogach. Niech mi tylko przyślą ludzi, a wezmę miasto wiosną! Jako Bóg na niebie! — Spiesznie, niecierpliwie uściskał nam ręce, jakby chciał się nas czym prędzej pozbyć. Ale ja go dobrze znałem.
- Hola! — okrzyknął mnie, kiedy już odchodziłem. — Mam tu coś dla was! — otworzył szufladę i wyjął pierścień z wielkim zielonym sygnetem. Na kamieniu wyryty był herb, a pod herbem łacińskie zawołanie: "*Gloria mihi sursum*". — Sława nade wszystko — rzekł, a

w jego śmiałych jasnych oczach załśniło przyjazne światełko. —
Dajcie to Febe. Powiedzcie jej, że to podarunek ślubny od szczerego
wielbiciela.

Machnął nam ręką na pożegnanie. Wyszliśmy. Ten odważny, wspaniały
człowiek, z którym rozmawialiśmy przed chwilą, sprawnością i orientacją
bojową przewyższał wszystkich amerykańskich generałów i niewątpliwie
doczekałby się zasłużonego uznania, gdyby nie straszna rzecz, która stała
się później. Miał wszystkie zalety wielkiego żołnierza —
sposstrzegawczość, bystrość, zdolność ogarniania sytuacji jednym rzutem
oka, władcą pewnością siebie, stanowczość, energię, odwagę. Mnie wprost
olśniewał.

Muszę tu o jednym jeszcze nadmienić, bo prawda pozostaje prawdą,
nawet gdy kłuje w uszy: wiele czytałem, ale nie zdarzyło mi się czytać o
człowieku, którego równe spotkałyby prześladowania, rozczarowania i
udręki. Gdyby mianowanie oficerów zależało od generała Waszyngtona, a
nie od tępotliwych pyskaczy z Kongresu, nikt by się nie ośmielił
oczerniać Benedykta Arnolda. I gdyby nie zważyło się na niego tyle
krzywd, z pewnością miałby do dziś dnia czyste ręce i nigdy by nie
nadeszła ta chwila, gdy, znużony, krwawiący od ran, dał się nakłonić czy
też. pchnąć do potwornej zbrodni *.

* Poniektórzy członkowie Kongresu mieli do Arnolda stosunek
nieprzychylny, długo nic przyznawano mu zasłużonej rangi generała-
majora i choć miał w generale Waszyngtonie wiernego obrońcę, spotykały
go liczne zawody ze strony Kongresu. W r. 17X0 Arnold przyłączył się
do wojsk brytyjskich, został uznany za zdrajcę i wyjechał do Anglii w r.
17X1 (przyp. red.)

Kiedy Cap wyszedł do przedsionka, aby przeprosić Burra za niesprawiedliwą napaść, wyglądał jak zmoczona ścierka. Ale w przedsionku był tylko wartownik i dwie zakonnice, pochylone nad zwojem bandażu. Chciałem podejść do strażnika i zapytać, gdzie mieszka Burr, ale Cap mnie powstrzymał. — Do diabła z nim! Ulotnijmy się stąd prędko. Może już nigdy nie ujrzymy tej obłudnej, śniadej gęby!

Zanim minął kwadrans, wszyscy czterej siedzieliśmy już w ka-riolce i przy dźwięku dzwoneczków sunęliśmy przez śnieg ku Pointe-aux-Trembles. Sporo od tego czasu upłynęło wody w Kennebecu, zanim znowu zeszedliśmy z Aaronem Burrem.

Francuzi o twarzach jak z garbowanej skóry radośnie nas przyjęli w małym zajeździe w Pointe-aux-Trembles, pomimo że już była północ. Nakarmili nas pieczonymi kurczętami, napoili jabłecznikiem. Karpli obiecali nam dostarczyć wczesnym ranem, ponadto poprosiliśmy o derki, żywność i parę innych niezbędnych drobiazgów. Noc przespaliśmy spokojnie. Co do mnie, to czułem się, jakbym wstał z grobu, którego czarne wieko przytłaczało mnie przez długie miesiące i lata.

Przed świtem przebudziłem się nagle. Przypomniały mi się srebrne nakrycia, wyniesione z letniego domku w Sillery. Ciągnęło mnie, aby wyjść samotnie na dwór, może jeszcze je znajdę. Rzuciwszy okiem na chrapiącego potężnie Capa, ruszyłem jedyną ulicą osady, szukając domu, w którym kwaterowały przed jakimś czasem oddziały Goodricha.

Z komina domu walił dym czarnym słupem w mętne szare niebo, a w oknach migotały światełka. Pchnąłem drzwi i wszedłem do kuchni. Obok kominka stał warkoczasty Francuz, z rodziną, przyglądając się

Indianinowi, który zwijał derkę w podróżny toból. Indianin obejrzał się. Poznałem Sabatisa. Na ziemi leżały jeszcze nie zwinięte derki i sobolowa salopa. Na rogu jednej z tych derek siedział pies Anatarso, jakby pilnując swoich do niej praw. Indianin kiwnął mi poważnie głową. A więc w tym domu przebywają Febe i Jacataqua, pomyślałem, a Sabatis opuścił Eneasza i niby wierny pies powrócił do prawdziwych swoich przyjaciół!

Febe zapewne była na strychu, zajęta wygrzebywaniem moich sreber ze słomy. Wspiąłem się po stojącej w rogu drabinie, otworzyłem klapę i cicho, cichutko wydostałem się na piętro.

Przy oknie stała Jacataqua, rękami rozgrzebując słomę strzechy. Pośrodku strychu klęczała Febe, a przed nią lśnił dwuszereg srebrnych nakryć. Chciałem się odezwać, ale serce tak mi tętniło, że nie mogłem wykrztusić słowa.

252

Chociaż wszedłem bezszelestnie, Febe nagle obejrzała się i spojrzała mi prosto w oczy. Odwróciła głowę, jakby szukając Jacataqui, potem cała obróciła się ku mnie. Patrzała na mnie jak na zjawę senną.

Sprawdziłem, czy pas mam zapięty, dotknąłem twarzy, która była mniej zarośnięta niż zwykle, bo w przeddzień bitwy wszyscy się goliliśmy. Nie znalazłszy w powierzchowności swojej żadnych szczególnych uchybień, przewyciężyłem wzruszenie zapierające mi dech i oznajmiłem — chociaż właściwie chciałem powiedzieć coś zupełnie innego — że przychodzę po srebrne nakrycia.

Dźwignęła się na nogi, drobna i prosta w szarym szynelu, przepasanym niebieską szarfą, w szarych szarawarach i francuskich skórzanych getrach, w futrzanej czapeczce wciśniętej na uszy. Na tle tego

półmrocznego, chłodnego strychu wyglądała jak młodziutki chłopiec, Podeszła do mnie i przyłożyła mi dłoń do piersi, po czym kiwnęła głową i wplątała palce w naszyjnik.

—Srebra są tu. Chciałam je zabrać do Arundel. Dobrze? Czy mam... Czy mam również zabrać obraz Capa? — Zaczerpnęła tchu, a łzy nabiegły jej do oczu i zawisły na rzęsach. Gdy zaczęły ściekać po twarzy, gęste jak groch, wróciła mi władza w członkach. Porwałem ją w ramiona.

Że też mogłem uskarżać się na twardość i płaskość jej pleców! Febe mocniej przylgnęła do mnie, niż Mary Mallinson w przejrzystej mokrej koszuli, woniejąca francuskimi perfumami, biała i wyniosła...

—Słuchaj — powiedziałem czując w oczach niemile palenie — skończ z tym mazgajstwem! — Podniosłem ją do góry, była lżejsza od jagnięcia. Posadziłem na stercie słomy, sam usiadłem obok, zdjąłem jej czapę z głowy i zapuściłem palce w jej gęste, ciemne włosy.

Tak mocno objęła mnie za szyję, że aż mi zabrakło tchu. — Odpowiadaj! — zawołała, gdy chciałem się wyrwać z tego dławiącego objęcia. — Pytam cię po raz piąty, gdzie Cap? — Otworzyłem oczy: przed nami stała Jacataqua i przyglądała się nam z zaciekawieniem.

—Zdrów i cały — powiedziałem, gestem posyłając Jacataquę z powrotem ku oknu. — Kiedy wychodziłem z gospody, chrapał tak głośno, że aż komin drżał na dachu. Zostawiłem przy nim Natanisa i Hobomoka.

Febe odsunęła mnie od siebie ramieniem mocnym jak drążek stalowy.

—Na miłość boską! — zawołałem z gniewem. —Czy po to zmar

nowałem tyle lat, żebyś teraz mnie odpychała? Nie dasz mi się nawet pocałować!

253

- No to całuj! Wcale nie wiesz, jak bardzo jestem spragniona twoich pocałunków. — Gdy usta nasze się zetknęły, zrozumiałem, że mówiła prawdę. — Chcę koniecznie wiedzieć — rzekła w końcu — na jaki czas zwolniono cię z armii?
- Pułkownik Arnold — odrzekłem — posłał mnie z listami do Cambridge, tak samo Capa, Natanisa i Hobomoka. Mamy rozkaz odprowadzić cię do domu. Przywiozłem ci ślubny podarunek od Arnolda. Ślubu może nam udzielić miejscowy ksiądz, jeżeli nie boisz się katolickiego ślubu. Pośpieszmy się, bo trzeba jeszcze kupić karpie, a chciałbym, abyśmy w południe byli już na tamtym brzegu rzeki.
- Dla mnie może być ślub katolicki. Ale jak tu stanąć przed ołtarzem bez ślubnej sukni?
- Ślubna suknia! Odkąd ty chodzisz w sukniach?

Rzuciła mi spojrzenie pełne wyrzutu. — Przecież sam mówiłeś, że szarawary nie są odpowiednim strojem dla kobiety. Jako kochająca żona, chcę ci dogodzić. Jestem nawet gotowa w sukni z trenem brnąć po śniegu.

- Febe — powiedziałem — czy zaraz weźmiemy ślub?
- Koniecznie. Inaczej umrę z niecierpliwości! — wyszeptała.
- Stefanie — rzekła po chwili milczenia — kiedy armaty huczały, kiedy wiatr wył w okiennicach i żołnierze wracali potykając się, padając, ciągnąc jeden drugiego, zostawiając na śniegu czerwone

plamy —ja szukałam ciebie, mało sobie oczu nie wypatrzyłam. Widziałam Mateusza Ogdena, całego we krwi. Rzeźnik z Yorku niósł na barkach Nataniela Lorda jak owcę. Nataniel miał przestrzelone płuca. Kiedy podbiegłam i zapytałam, co mam od niego powiedzieć rodzicom, zakaszał, zachłysnął się i skonał. Nikogo poza tym z naszych nie widziałem. Nic wrócił Noe, ani Jethro, ani Ivo — nikt, nikt, Stefanie. Ani Morgan, ani Steele, ani Topham, ani Thayer! Dearborn nie wrócił, nie było Goodricha, Bigelowa, Greene'a, Meigsa — niko- go, nikogo, nikogo! Byłam prawie pewna, że ty... że i ty nie wrócisz!

Przycisnęła się do mnie. Pocieszałam ją, jak mogłam. Większość naszych, mówiłem, dostała się do niewoli i prędzej czy później powinni wrócić. Nagle ogłuszył nas radosny basowy ryk. To Cap przyszedł po swoją Filadelfię Widzianą Z Promu Coopera.

- Stefanie — rzekła Febe, gdy pod klapą zatrzeszczały szczeble drabiny — czy znalazłeś Mary?
- Tak. Znaleźliśmy ją.

Nic więcej nie powiedziała, tylko położyła się przy mnie, głaszcząc mnie po ramieniu. Po raz pierwszy w życiu zaznałem prawdziwego, głębokiego spokoju.

254

U klapy rozległ się potężny ryk. Podniosłem głowę. Nad podłogą sterczała głowa Capa, niby dojrzała dynia w blasku jesiennego księżyca. Spoglądające na nas oczy były szeroko otwarte, usta rozdziawione promiennie.

—Więc to ty? — zawołałem. — Czego tu chcesz?

Cap się zdumiał. — Czego chcę? Boże! Nie udawaj, że nie wiesz,

Stefku! Gdzie mój obraz?

Febe pokazała palcem. Twarz rozjaśniła się Capowi, gdy ujrzał zwinięty w rolkę karton. Z okrzykiem dzikiej radości rzucił się ku swojej Filadelfii Widzianej Z Promu Coopera.

Rozwinął karton i długo mu się przyglądał. Wreszcie przysiadł na piętach i ogarnął nas spojrzeniem człowieka, w którego duszy zapadła ważna decyzja.

- Nie jestem ślepy — rzekł. — Wy dwoje, o ile mnie wzrok nie myli, zamierzacie się połączyć świętym węzłem małżeństwa.
- Nie wiem, co cię upoważnia do takich przypuszczeń — odparłem — ale przypadkowo masz rację.

Cap wstał, spojrział na nas, potem na obraz, potem znowu na nas. Bolesnie przełknął. — Tak, z przyjemnością! — rzekł drżącym nieco głosem. — Muszę wam, rzecz prosta, złożyć ślubny upominek i to upominek nie byle jaki. Daję wam tę Filadelfię Widzianą Z Promu Coopera!

W jego twarzy malował się taki smutek, tyle go ta hojność kosztowała, że, oczywiście, wolałem zrezygnować z daru. — Jest to niezwykle cenny i wartościowy obraz. — rzekłem. — Zbyt cenny jak na skromne domostwo, w którym zamieszkamy.

- Do diabła! — wrzasnął. — Daj Febe dojsć do głosu! Niech ona postanowi!
- Nie — spieszenie wtrąciła Febe. — Nie możemy przyjąć od ciebie obrazu. Będziemy mieszkać głównie na okręcie. Gdybyśmy powiesili obraz w kajucie okrętu, prędko by się poplamił i zbutwiał.
- Trudno — westchnął Cap, z ulgą ocierając pot. — Jak nie, to nie. Ale

niech no ja znajdę gdzieś drugi egzemplarz, wtedy mi już nie odmówicie. Mam tu jeszcze parę drobiazgów. Może się wam przydadzą.

Opróżnił kieszenie surduta i szarawarów. Na stół posypały się srebrne sprzączki od trzewików, złote łyżki, drogocenne koronki, złoty zegarek z inkrustowanym brelokiem, dwie figurynki ze słoniowej kości, miniaturowa szkatułka ze złota, szczotka do włosów oprawna w srebro, cztery złote flakoniki perfum, garść złotych monet, woreczek z miękkiej, żółtej skórki, komplet brzytw o srebr-

255

nych rękojeściach, kawałki pachnącego mydła, pierścionki, pieczętka, zapinki i cała masa innych drobnych przedmiotów.

- Hejże! — zawołał Cap wywlekając jeszcze jakieś cudo z przepaścistej kieszeni szarawarów. — Tu mam coś dla Febe. — Rozwarł niezgrabne palce. Ukryty w jego łapie diadem z drogocennych kamieni zagrał w półmrocznej poświacie gamą błękitnych i czerwonych ogni.
- Brylanty — rzekł Cap. — Taką opaskę nosi się we włosach. Widzicie? Jak ta figurynka.

Siedząca na moich kolanach Febe wyprostowała się, wzięła klejnot i założyła go sobie na czoło, tak że obejmował i spinał jej kędzierzawe włosy. Ręce splotła na podołku, usta wygięła w półuśmiech i siedziała tak z wielce tajemniczą miną, jakby ukrywała przed nami jakiś sekret, którego nigdy nie przenikniemy. Jacataqua przestała szukać w strzesze, podeszła do Capa, oparła się o jego ramię i we dwoje w milczeniu przyglądali się Febe. Co do mnie, to sam siebie nie mogłem zrozumieć. Gdzie ja miałem

oczy? Jeżeli tak długo byłem ślepy na piękność Febe, to jakim cudem trafiałem łyżką do ust? Jak to się stało, że nie utonąłem gdzieś w drodze i że odróżniałem dzień od nocy?

Wreszcie Febe potrząsnęła głową, zdjęła diadem i obróciła go w rękę, że aż zamigotało. — Nie, to musi kosztować majątek. Zabierz, Cap.

Cap niedbale machnął ręką. — Zatrzymaj sobie. Jeżeli nie chcesz nosić, to sprzedaj lub zamień. — Febe rzuciła mu diadem do nóg. Cap podniósł klejnot i otarł go o połę szynelu. — Hm... — mruknął. — Hm... — zapuścił palce w woreczek z żółtej irchy i wydobył sznur okrągłych, białych paciorków o aksamitnie miękkim połysku.

- No, to chyba możesz nosić.
- Perły Mary! — zawołała.
- Co cię obchodzi, czyje?

Febe zwróciła ku mnie szybkie spojrzenie. Po raz pierwszy zauważyłem coś cudownego: w oczach jej migotały złociste iskierki. Obróciła się do Capa i łagodnie potrząsnęła głową.

—Nie — powiedziała.

Cap zaczął przebierać perły naszyjnika, jakby rozważając, co z nim zrobić. Jacataqua wsunęła mu się pod ramię i przyłgnęła do niego tak, jak przed kilkoma miesiącami, kiedyśmy byli na Wyspie Łabędziej, przyłgnęła do mnie ku wielkiemu zgorszeniu Febe. Cap ukrył perły w grubych palcach i przycisnął Jacataquę ramieniem, aż zapiszczała.

256

- He — chrząknął patrząc na nią surowo. — Powinienem był się tego spodziewać. Gdybym zawczasu wystarał się o sznur perełek, może byś nie latała za takimi typami jak Burr lub Jerzy Merchant.

- Może bym nie latała — rzekła Jacataqua, wyzywająco błyskając ku niemu oczami.
- A może byś i latała! — Wywinął perłami młynka. Jacataqua sięgnęła po nie. ale Cap zdążył ją w czas pochwycić.
- No, no! Nic z tego, panno! Za piękne spojrzenia — piękne spojrzenia. Musisz być dobrą, spokojną dziewczynką, opiekować się Febe i nie kokietować pierwszego spotkanego draba. Wtedy, kto wie, może dostaniesz perły. — Zwarł rękę. — Tak — dodał podejrzliwie. — A skąd się wziął u was ten czerwony piekielnik Sabatis?

Febe zeskoczyła mi z kolan, wdziała tokową czapkę, ściągnęła na siebie dzianą szarfę i zapięła płaszcz pod szyję. — Kiedy natarcie się zaczęło, wyszedł z miasta i przyłączył się do Abcnaków Pawła Higginsa.

Przeprowadził ich przez Zatokę Świętego Karola, dzięki temu ocaleli.

Oświadczył nam, że jego miejsce jest wśród braci znad Kennebecu. To dobry Indianin. Zaofiarował się doprowadzić nas do domu. Uważam go za cenny nabytek. Czy nie myślicie, najmilsi, że czas nam w drogę.

- Gdzie Paweł i jego ludzie? — zapytałem. Febe niewątpliwie miała rację: Sabatis spełniał tylko rozkazy Fneasza, nie wiedząc wcale, jaką nam wyrządza szkodę.
- Udali się do Lorety Indiańskiej, aby zaopatrzyć się w karpie i ususzyć mięsa na drogę. Dostyc mają walki pod rozkazami Arnolda, trudno im się przystosować do naszej wojskowej dyscypliny. Czy ty poszukasz księdza, Stefanie, czy ja mam się rozejrzeć?

Cap wepchnął swoje łupy z powrotem do kieszeni. Spakowaliśmy srebra razem z kartonem Filadelfii Widzianej Z Promu Coopera i zeszliśmy po drabince na dół. W kuchni czekali na nas Francuzi o

twarzach ciemnych jak garbowana skóra.

Usłyszawszy, że odbędzie się ślub, a po ślubie pijatyka, chętnie podjęli się zaprowadzić nas do księdza. Kiedy stanęliśmy w oberży, aby kupić koniaku, i tam dowiedzieliśmy się, że ksiądz mieszka w ładnym, niedużym domku obok kościoła, wlokło się już za nami z pięćdziesięciu Francuzów. Śmieli się, swiergolili swoim zabawnym, ptasim językiem, wyśpiewywali na sto odmian „*Vive la Canadienne*” i „*Vive la Canadienne*”.

Gdy się okazało, że mamy pieniądze, przyniesiono nam chyba wszystkie karpie, jakie były w osadzie. Słusznie mówił Cap: daj

257

Francuzowi powąchać sztukę złota, a okaże się najuprzejmiejszym, najuczynniejszym człowiekiem na świecie.

Możliwe, że są tacy francuscy katolicy księża, którzy nie mają suchej, wąskiej twarzy i nie zalatują z daleka czosnkiem. Ci, których ja znałem, odznaczali się takim właśnie wyglądem i zapachem. Ksiądz, który nas zaślubił, wielebny Claude-Marie Delacroix, nie stanowił bynajmniej wyjątku od reguły.

Kiedy stanął przed nami w długiej, czarnej sutannie, podobny do derkacza, kiedy zaczął szczebiotać po francusku, zatracilibyśmy się do cna, gdyby nie pomoc Jacataqui. Kiedy Jacataqua szturchała Febe, Febe ;mówiła: — Tak. — Gdy szturchała Capa, który stał tuż za mną. Cap wrażał mi palec pomiędzy łopatkami. Wówczas ja mówiłem: — Tak.

Na razie wszystko szło jak po maśle. Nagle Jacataqua szepnęła coś spiesźnie Capowi, a Cap zaczął grzebać w kieszeni, mieszczącej największą część jego łupów. Nie rozumiałem, co tu się święci. Wreszcie

wyciągnął pierścionek i podał księdzu. Patrzyliśmy na ten pierścionek jak olśnieni: w złotą obrączkę sprawiony był czerwony kamień tej wielkości, co oko mojego Łowcy, kamień tak ognisty i błyszczący, jakby go wyciągnięto z blasków zorzy wieczornej. Naokoło migotały drobne, drobno szlifowane brylanciki. W szorstkiej łapie Capa klejnot ten wyglądał tak niespodzianie, jak banknot tysiącfuntowy. Ksiądz aż znieruchomiał. Zanim zdołał się zorientować i wyciągnąć rękę, odzyskałem przytomność umysłu. Kazałem Capowi schować tę błyskotkę, a sam z kieszeni wydobyłem pierścień otrzymany od Arnolda. Tym pierścieniem zostaliśmy zaślubieni.

Później zapytałem Febe, czy po ceremonii odprawionej w niezrozumiałym świergocie czuje się naprawdę jak mężatka. Odparła, że jej by nawet wystarczyło, gdyby abenacki m'teulin zaślubił nas na migi.

Było jeszcze dość wcześnie, gdy ruszyliśmy brzegiem rzeki. Szliśmy w górę aż do miejsca, gdzie zaczyna się ścieżka wyrębana w lodozwałach, które prąd osadził między skalnymi ścianami górskiego koryta. Bez wstydu przyznaję, że wolałbym mieć przeciwko sobie dwunastu Guerlaców lub Hooków i dziesięć razy uchodzić z Quebecu, niż raz przeprować się przez zamarzłą Rzekę Świętego Wawrzyńca. Kiedyśmy posuwali się wyrębanym torem, dokoła nas, za nami i pod nami rozlegały się piekielne huki i trzaski: zdawało się, że zagrała nagle cała bateria armat. Lód drżał, a mróz. prze-

258

nikał do szpiku kości, jakby nasza odzież była z bawełny. Zimny pot mnie oblewał na myśl, że lód może się załamać i Febe wpadnie do wody.

Obawy moje, jak to bywa najczęściej, okazały się płonne. Ruszyliśmy drugim brzegiem Rzeki Świętego Wawrzyńca. Szliśmy gęsiego. Natanis na przedzie, potem Jacataqua z psem Anatarso, za nią Cap, Sabatis, Febe i ja, na szarym końcu Hobomok. Wieczorem stanęliśmy w Osadzie Świętej Marii nad rzeką Chaudiere i zanocowaliśmy w oberży — w tej samej oberży, z której Cap niegdyś wyniósł baryłkę hiszpańskiego wina. Przyjęto nas, jak się przyjmuje nowożeńców. Do weselnej uczyty podano paszteciki z kurczęcia, pieczeń niedźwiedzią, jabłeczne przekładance, hiszpańskie wino i jakiś okropny koniak.

I oto właśnie w środku tej wspaniałej uczyty strzeliło mi do głowy zapytać Febe, dlaczego wyszła za Jamesa Dunna. Spojrzała na mnie z dziwnym, niewyraźnym uśmiechem i nic nie powiedziała. Nigdy więcej nie pytałem jej o to, bo ostatecznie było mi wszystko jedno.

Pomimo że obładowani znacznymi zapasami mąki i wieprzowiny, posuwaliśmy się rażno. Lekko nam było na sercach, a śnieżyc nie spotykaliśmy w drodze, jeżeli pominąć drobne zadymki, które zdarzały się głównie po nocach, kiedy spaliśmy spokojnie na posłaniach z gałęzi jodłowych pod ochroną śniegowych ścian. Dzień w dzień robiliśmy po czterdzieści mil. Nic w tym dziwnego, gdyż jeziora, stawy i bagna, przez które z takim trudem przeprawialiśmy się w marszu na Quebec, przemieniły się teraz w szerokie, białe, twardo wymoszczone drogi, a sękate, zębate pieńki, na których tylekroć wywracaliśmy się podczas przeprawy przez Wysoki Łąd i Wielkie Międzyrzecze, tkwiły głęboko, głęboko pod białą pokrywą śnieżną.

Na trzeci dzień po wyruszeniu z Osady Świętej Marii przeszliśmy przez jezioro Megantic. potem w górę, wzdłuż zakrętów Siedmiomilowego

Potoku, do pięknej łączki górskiej i wspięliśmy się na Wysoki Łąd z taką łatwością, z jaką człowiek spaceruje z Saco do Arundel.

Tu znaleźliśmy wreszcie szlak wiodący w dół. I chociaż świtało późno, a zmierzchało się wcześnie, robiliśmy codziennie pięćdziesiąt mil.

Szybszej podróży nie można sobie wymarzyć.

We dnie, gdy szliśmy po śniegu, i po nocach, kiedy leżeliśmy na pośłaniu z jodłowych gałązek, wspominałem po tysiąc razy — jak do dziś dnia wspominam — tę udrękę, ten potworny mozół, który towarzyszył naszemu marszowi na Quebec. Przed oczami zjawiali mi

259

się jęczący, spoceni żołnierze naszej małej armii, żołnierze na poły martwi z wycieńczenia, pokaleczeni, chorzy, zgłodniali, zmarznięci, a przecież zawsze pierwsi do śmiechu, do bohaterskiego śmiechu, zawsze gotowi stawić czoło przeciwnostwom, które wymyślił chyba najzłośliwszy geniusz piekła.

Myślałem o zgubionych muszkietach, o strzaskanych łodziach, o strzępach namiotów, które z pewnością leżą jeszcze gdzieś pod jakimś lodozwałem. Ach, przypominały mi się okropne, sztywne ciała, niewidzącymi oczami spoglądające z ziemi w niebo. Dziw to był i chyba sen, że my tak lekko, tak łatwo kroczyliśmy drogą, która niedawno jeszcze była pasmem cierpień i utrudzeń. W szumie lasu słyszałem — jak słyszę do dziś dnia, gdy zasłucham się w szum arundel-skich dębów — okrzyki wioślarzy, nawoływania zbłąkanych, komendy oficerów, wszystkie głosy i odgłosy armii Arnolda.

Na trzeci dzień po przejściu przez Wysoki Łąd dotarliśmy do

opuszczonego Norridgewocku i tam zanocowaliśmy. Następnego dnia przybyliśmy do Fortu Zachodniego, skąd wyruszyliśmy z całą armią dokładnie przed czterema miesiącami.

O dwa dni później, pod koniec szarego styczniowego dnia, stanęliśmy u bagnistych brzegów rzeki Arundel. Właśnie zbliżał się przypływ i stalowoszare fale niosły świeżą, ożywczą woń oceanu, połączoną ze znajomym zapachem drzewnego dymu. Kiedy ruszyliśmy w kierunku ujścia, nagle aż dech mi zapało. Ilekroć wracam do domu z długiej podróży, zawsze doznaję tych samych wzruszeń.

Cap rozdziawił gębę i dalej wyśpiewywał kuplety o Benningu Wentworthie, a Febe zaczęła, aż się z nią zrównam, i wsunęła mi rękę za pas. Zanim się obejrzelśmy, staliśmy już na piaszczystym nadbrzeżu na wprost naszego warownego domu. W jednym oknie płonęło światło. W oddali naszczekiwał pies. Wznoszący się z komina pióropusz dymu chwiał się i rozprzestrzeniał nad dachem, jakby nie wiedząc, z jakim teraz pożegłować wiatrem.

Wydało mi się, że w słonym aromacie morza rozróżniam zapach prażonego bobu i świeżego chleba. Przystanąłem na brzegu, chwiejąc się tak samo, jak ten dym, posyłając roziskrzone spojrzenia ponad ciemną wodę i mocno tuląc do siebie Febe. Stałbym tak do północy, gdyby Cap nie chwycił za róg, zawieszony przy słupie promowym, i nie zadał całą siłą płuc: wydawało się, że od tego tchu róg wywróci się na nice.

W łódce podpłynął nie znany mi chłopiec, zapewne najęty specjal-

Natanisa i Hobomoka.

Przeprawiwszy się przez rzekę, okrążyliśmy dom. Febe otworzyła kuchenne drzwi. Matka siedziała przy kołowrotku, a u jej stóp leżał Łowca. Na terkot kołowrotka aż stężały mi mięśnie twarzy. Moja siostra Cyntia stała przy kaflowym piecyku, podnosząc pokrywę garnka i zaglądając do prażącego się bobu. Malary, zrzędząc i gderząc, wtykała widelec w błyszczące, razowe bochny chleba.

Matka podniosła głowę. Jej oczy otwierały się coraz szerzej; chyba nigdy w życiu nie uwierzy, że to wszystko prawda. Powoli z twarzy jej schodził wyraz oszołomienia i niewiary, ustępując miejsca promiennej radości. Straciłem matkę z oczu, straciłem z oczu siostrę, Malary, Łowcę, izbę. Wszystko wirowało, łązy przesłoniły mi świat. Byłem w domu — w Arundel.

Spis treści

- 1.Księga pierwsza: Manitou Kinnibec 5
- 2.Księga druga: Śnieżna dama 147,